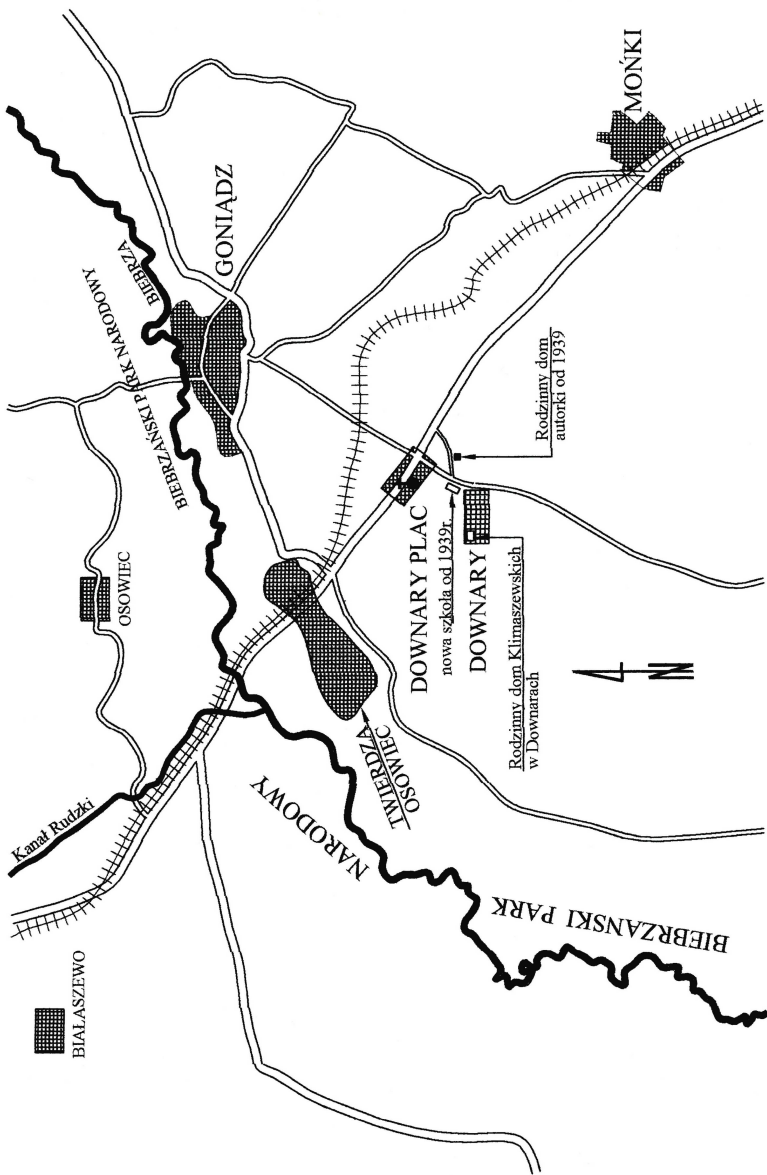


ZOFIA PRONIEWICZ

W DOLINIE RZEKI BIEBRZY





DOLINA RZEKI BIEBRZY

W DOLINIE RZEKI BIEBRZY

**WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA
PRZEKAZUJĘ MŁODEMU POKOLENIU
MOJEJ RODZINY
POZNAJCIE SWOJE KORZENIE**



**Wspomnienie jest naszym rajem,
z którego nikt nas nie może wypędzić**

Autor N.N.

ZOFIA PRONIEWICZ

**W DOLINIE RZEKI
BIEBRZY**

2007

Opracowanie tekstu
KAZIMIERZ CIMOCHOWICZ

Korekta
JAN JUSZCZYK

© Copyright by Zofia Proniewicz Augustów 2007

Podziękowanie za pomoc w opracowanie tekstu składam:
Joli Andruszkiewicz, Luci Ejme i Bożenie Kowalczyk



HELENA I FELIKS



HELENA I FELIKS Z CÓRKAMI:
ZOFIĄ I LUCYNKĄ

NOSTALGIA

Na ekranie telewizyjnym mistrz wyczarował obrazek. Wyczarował, bo nie był to zwykły rysunek. Końcami palców usmarowanych kredą jednym promienistym ruchem narysował koronę wierzby. Kilka dodatkowych ruchów i ... korona osiadła na garbatym pniu, a w perspektywie ukazały się zarysy kilku kop siana rozplywające się we mgle. Obrazek powstał w ciągu dwudziestu sekund. Powstał, aby na nowo obudzić we mnie Nostalgę.

Siedzę pod tą wierzbą, poranny chłód przenika mnie do głębi. Ciężka mleczna mgła kłębi się wokół. Wyłaniają się z niej, to znów giną zarysy kop świeżo zgrabionego siana. Siedzę i czekam kiedy opadnie mgła i słońce osuszy rosę.

Nic nie widać poza wierzbą i tymi dwiema, trzema kopami siana.

Wokół mgła, ale przez jej tumany widzę rozległe nadbiebrzańskie łąki. Widzę ślepe jezioro - te boże oczka pozostałe po wiosennym wylewie Biebrzy. Jezioro pełne ryb, które można wyciągać siecią brodząc po pas w wodzie.

Trzepocą się na trawie śmigłe szczupaki, srebrnołuskie płotki, drapieżne okonie.

Białe nenufary rozsiadły się pysznie na wodzie. Królewskie kwiaty! Raz tylko zapragnęłam je dostać, lecz kiedy szybko zwiędły i straciły swój królewski przepych, pożałowałam, że tak lekkomyślnie pozbawiłam je życia.

Żółte grązele jak miniaturowe dzbanuszki: tak miło było bawić się nimi.

Oazy na bezbrzeżnej topieli łąk - suche grądy - bujnie porośnięte krzewami i olszyną. Miejsca odpoczynku i krótkiego wytchnienia strudzonych przy sianokosach ludzi.

Rude błoto barwiące na czerwono bosa stopy.

Pokosy spłowiałej w słońcu trawy ciągnące się od lasu aż hen, po horyzont, ku rzece.

Łoziny, łożyny ... i wreszcie Rzeka. Bystra, zdradliwa Rzeka, lecz jak rozkosznie zanurzyć się w chłodnej wodzie!

Odświeżyć rozpalone słońcem i pracą ciało. Mrużyć oczy przed błyskami promieni słonecznych, łamiących się w drobnych falach.

Strzeliste stogi uwieńczone długonogą sylwetką bociana czy żurawia.

Psołny, mały wicherek tańczący po łące z porwanym wiechciem suchej, lekkiej trawy.

Siedzę pod tą wierzbą, wyczarowaną ręką mistrza i widzę jak mgła się kłębi, wylewa się poza ramy obrazka, jak się wylaniają z niej i znów giną zarysy kop ...

Czy to mgła, czy moja dusza szybuje nad łąkami?

Czy to obrazek wyczarowany ręką mistrza, czy ja siedzę pod tą wierzbą?

Czy to wilgoć przenika mnie dreszczem, czy rozkosz powrotu w tamte dni?

Czy to kwili zraniony kosą ptak? Czy to on drży w moich dłoniach, czy moje serce tak trzepece?

Piorun rozdarł wyniosłą olchę. Suche gałęzie jak kikuty rąk mierzą w niebo.

Dzika kaczka porzuciła gniazdo. Zostało w nim dwanaście zimnych jaj. Nie wypłyną kaczęta na spokojne wody Bożych Oczek. Nie nacieszą się pięknym światem. Jakiż to los tragiczny spotkał cię, dzika kaczko? Dlaczego nie wróciłaś do gniazda?

Opustoszały łąki. Zwiędłe nenufary leżą żałośnie na trawie.

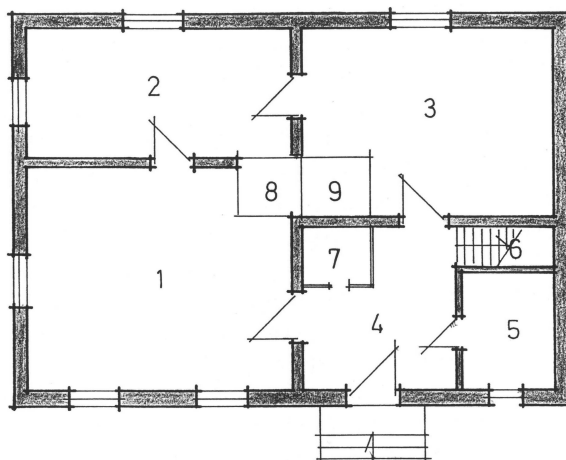
Moje gorące łzy spadają na rannego ptaka, na zimne gniazdo, na zwiędłe nenufary, ale nie przywrócą życia.

Moje gorące łzy spadają na puste dłonie, ale nie przywrócą minionych dni.

Łąki, nadbiebrzańskie Łąki! Jakiż przemożny czar zamknął się w waszym bezkresie! Czemu za wami tak tęsknię?

Czemu do tej wierzby wracam jak do domu? Niespełniona miłość? Nostalgia?

RODZINNY DOM KLIMASZEWSKICH W DOWNARACH



- | | |
|---|----------------------|
| 1. Duża izba | 6. Wejście na strych |
| 2. Alkierz | 7. Kuca (dla kur) |
| 3. Kuchnia | 8. Piec |
| 4. Sień | 9. Płyta kuchenna |
| 5. Komórka – spiżarka
(latem służyła dla
dzieci za sypialnię) | |

LAS (cztery pory roku)

WIOSNA

Na skraju lasu obłok spadł,
zakwitł barwami fiołków.
Na dzwonku leśnym motyl siadł,
wygrzewa się na słońku.
Ptaszące pieśni dźwięczą już,
las nieruchomy słucha,
Kukułczych wróżb, pomyślnych wróżb,
wiosennych głosów echa.

LATO

Wysokie sosny, żywicze wonie,
piaszczyste leśne drogi.
Gorący piasek w słońcu płonie
i parzy bose nogi.
Wysokie sosny płyną górą,
na dole duszna cisza,
Żywiczne pyły płyną chmurą,
nad drogą leśną wiszą.

JESIEŃ

Bogactwem barw jesieni lśnią
brzozowe zagajniki.
Z poszumem sosen niosą się
tęskne żurawi krzyki.
Z leśnych bagienek wstały mgły,
wiatr goni je po lesie.
Z lasu na pola będą szły.
To jesień. To już jesień.

ZIMA

W dali cichutko dzwonki dzwonią,
suną po śniegu sanie.
Za nimi leśne echa gonią,
na śniegu kopyt granie.
Wysokie sosny. W białe czapy
odziały się jałowce.
Na śniegu ślady. Lisie łapy
kreślą misterne wzorce.

Zofia Proniewicz

LEN

Hej matulu, lny nam kwitną,
Jako niebo tak błękitno.
Pielcież zagon wedle krzyża,
Bo się na mnie czas przybliża.
A łzami go polewajcie
A na słońcu suszyć dajcie.
Uszyjcie mi koszulinę
W połudeńko w progu chaty.
Nie żałujcie zgrzebnej szmaty.
Albo wrócę, albo zginę,
Jak dostanę w piersi kulę
Jeśli taki wyrok boski
Niech na sercu mam koszulę
Z lnu naszego, z naszej wioski.

Maria Konopnicka

Hej matulu lny nam kwitną...

Dziewczynka lubiła wyglądać przez wywietrznik w stodole i czyniła to każdego dnia.

Wywietrznik znajdował się od północnej strony i widok był jakby przyćmiony, ponury i tajemniczy.

Ze względu na jego małe wymiary widok był ograniczony: obejmował kawał pola, a za polem zarośla na bagnie.

Dziewczynka miała bujną wyobraźnię i zapełniała widziany obszar różnymi postaciami z bajek, najczęściej tak strasznymi, że szybko wycofywała się ze stodoły, najpierw

spokojnie, na paluszkach, a potem biegiem, aż słychać było dudnienie bosych pięt.

Przez chwilę nic nie widziała po nagłym przeskoku z półmroku w jasność słonecznego dnia, lecz oczy szybko przyzwyczajały się do nowego natężenia światła i dziewczynka mogła zająć się swoimi nowymi sprawami.

Chociaż serce jeszcze biło nieco szybciej pod wpływem doznanego uczucia strachu, lecz następnego dnia jakaś siła ciągnęła ją, żeby popatrzeć przez wywietrznik i przeżyć ten strach na nowo.

I tak było każdego dnia, aż nagle... Wyjrzała i aż się cofnęła. W zasięgu jej wzroku coś się zmieniło.

Widoczny przez wywietrznik kawałek pola był jaskrawo niebieski.

- Czyżby obłok spadł na ziemię?- pomyślała.

Aby to sprawdzić, musiała wyjść ze stodoły i przejść na jej tył. Rzeczywiście, wielka połać pola była niebieska. Popatrzyła na niebo: było jasne, czyste, bez najmniejszej chmurki. Skąd więc ten obłok?

Zaintrygowana, przeszła przez dziurę w płocie i zaczęła brnąć przez bujną nać ziemniaczaną, żeby ten niezwykle obłok obejrzyć z bliska.

Potem mama powiedziała- to jest len. Len tak właśnie kwitnie.

Dziewczynka teraz przypomniała sobie, jak mama, kilka razy wychodząc z domu, mówiła:

- Idę pleć len, bo bardzo zarósł chwastami.

Wtedy len jej nie interesował- jakieś tam zielsko!

Dopiero, kiedy ujrzała kwitnące, drobniotkie, niebieskie kwiatki, jej zainteresowanie lmem wzrosło.

Codziennie chodziła oglądać poletko i z żalem stwierdziła, że jego błękit zaczyna blednąć, matowieć, aż pewnego dnia zniknął zupełnie, a pojawiły się zielone kuleczki zamiast kwiatów.

I znowu sprawy ważniejsze dla niej sprawiły, że zapomniała o tym zielsku.

Pewnego dnia mama powiedziała:

- Idę rwać len, pójdiesz ze mną Zosiu? Chodź, pomożesz mi – zachęciła.

Praca nie była ciężka. Wrywały wiotkie łądyżki z brązowymi kuleczkami i ustawiały w małe namiociki.

- Teraz potrzebna nam pogoda, żeby len wysechł i oddał nam nasionka.

- Jak może oddawać nasionka, ten co nie ma rąk?- dziwiła się w myślach Zosia, lecz nie chciała nudzić mamy pytaniami; postanowiła cierpliwie poczekać i zobaczyć to na własne oczy.

Po kilku pogodnych dniach tata zebrał namiociki w snopki i przywiózł je do stodoły, na klepisko. Jeszcze tego samego dnia mama z babcią i dwie sąsiadki, rozsiadłszy się na klepisku z kijankami w rękach, rozpoczęły młócenie lnu. Brały pełne garście suchych łądyg i silnymi uderzeniami kijanek oddzielały ziarna od łądyg. Dziewczynka siedząc na snopku wsłuchiwała się w bezładne, nierytmiczne uderzenia i porównywała je z rytmem wybijanym przez tatę, gdy młócił cepem zboże.

Robotę zakończono szybko, jako że w towarzystwie czas szybciej płynie.

Mama z babcią obiecały sąsiadkom, że „odrobiją” pomoc, jak tylko zajdzie potrzeba.

Ogołoczone z ziaren łądygi tata znów powiązał w snopki i powiedział, że jutro zawiezie je do moczenia.

Dziewczynka nie wiedziała, jak wygląda moczenie lnu, więc zaczęła przymilać się tacie, aż obiecał, że zabierze ją ze sobą.

Z rozmowy starszych dowiedziała się, że część tych pięknych, brązowych, połyskliwych ziaren zostanie przechowana na nasienie do przyszłej wiosny, a z reszty zrobi się olej do jedzenia w Wielkim Poście.

Siedziała teraz przy stercie nasion i z przyjemnością przesypywała je w dłoniach, rozkoszując się ich jedwabistym dotykiem.

Babcia przesypując nasiona na lekkim wietrze oczyszczała je ze śmieci i zeschniętych chwastów.

Udział w moczeniu lnu miała Zosia już zapewniony. Teraz postanowiła być zawsze bardzo grzeczna, żeby łatwiej było uzyskać pozwolenie na wyjazd do olejarni.

Zanim Feliks stał się tatą Zosi, najpierw ubiegał się o względy Heleny, jej mamy.

Matka Heleny, Karolina wysłała swoje trzy starsze córki do Ameryki, do męża Antoniego. Została na gospodarstwie sama z szesnastoletnią Heleną i dwunastoletnią Janią.

Po wyjeździe starszych sióstr w domu zrobiło się smutno i pusto.

Helena uczyła się prąść na kołowrotku, a Jania chodziła do szkoły. W chwilach wolnych od zajęć snuły się po kątach i wyglądały przez okna, jakby czekały na kogoś.

Karolina bardzo dobrze wiedziała, że w domu potrzebny jest mężczyzna, bo sama sobie nie poradzi. Nawet miała takiego jednego na oku, lecz patrząc na Helenę widziała w niej raczej dziecko, niż kandydatkę na żonę.

Postanowiła jednak wprowadzić do domu nieco życia i zabawy, dlatego też pewnego dnia w karnawale zaprosiła kilka młodych dziewcząt z kołowrotkami na wieczornicę.

Liczyła na to, że za dziewczynami przyjdą chłopcy i wytworzy się atmosfera sprzyjająca swatom.

Już o zmierzchu zaczęły przychodzić koleżanki Heleny, a Karolina usadzała je w miarę wygodnie, ściągając z całego domu wszystko, na czym można było siedzieć.

Właśnie skończyła zmywanie statków po wieczerzy, żeby zrobić więcej miejsca prądkom.

Na początku dziewczyny pracując sprawnie przy kołowrotkach, pogadywały spokojnie, lecz kiedy zaczęły przychodzić chłopcy, ożywiły się i atmosfera stawała się coraz gorętsza.

Opowiadano niewybredne dowcipy i naiwne zagadki. Niektóre dziewczyny przeniosły się z kołowrotkami do alkierza, gdzie można było swobodnie pożartować i pofiglować.

Helena siedziała na ławce obok płyty kuchennej i z lekka zagadkowym uśmiechem, co chwila spoglądała na drzwi wejściowe.

Na co czekała? A może na kogo?

- A co jest z Felkiem Szczepaniukiem, dlaczego nie przyszedł?

- Pewnie dlatego, że ma najdalej- zażartował któryś z chłopaków, bo Felek mieszkał tuż obok domu Karoliny.

Felek nazywał się Klimaszewski, ale z racji tego, że we wsi mieszkali przeważnie Klimaszewscy, albo Bielscy, poszczególne rodziny musiały mieć jakieś przydomki czy przezwiska, aby można było je odróżniać od siebie i żeby wiadomo było o kogo chodzi. Feliks był synem Szczepana, a więc proste, że został Szczepaniukiem.

Podczas tej wesołej wymiany zdań, nikt nie zauważył lekkiego rumieńca na twarzy Heleny. Może zresztą był to blask ognia bijący z płyty kuchennej, rozpalonej do czerwoności.

Felek zatrzymał się w drzwiach, powiedział jak należy „pochwalony”, potem ogarnął wzrokiem wszystkie dziewczęta i wyjął jakiś przedmiot, który trzymał za plecami. Była to prostokątna deska osadzona na drążku, służąca do zawieszania kądzieli lnu podczas przędzenia.

Deska była misternie rzeźbiona, podpalana żelaznym rozżarzonym prętem: prawdziwe arcydzieło, jako że Feliks był na miarę swego środowiska- artystą. Miał zdolności manualne, które w przyszłości dziedziczyły jego dzieci i wnuki.

Wszystkie dziewczęta zatrzymały kołowrotki i wstrzymały oddechy. Która będzie szczęściarą i dostanie deskę?

Felek podszedł do Heleny, zdjął kądziel z jej kołowrotka i delikatnie położył na kolana. Następnie wyjął starą deskę i założył tę wykonaną przez siebie a potem zawiesił na niej kądziel.

Tym razem rumieniec ogarnął płomieniem twarz dziewczyny, aż po czubek głowy. Zmieszana zakręciła kołem tak gwałtownie, że pękła nitka, której potem nie mogła znaleźć na szpuli.

Na szczęście prądkie wróciły do swoich pogaduszek i nikt już nie zwracał uwagi na Helenę i jej zmieszanie. Chyba tylko jeden Feliks spoglądał na nią od czasu do czasu, a Karolina przechwytywała te spojrzenia i uśmiechała się zadowolona.

Taki mężczyzna, starszy, doświadczony, silny przy tym i przystojny – nadawałby się na zięcia i gospodarza.

Karolina przyniosła groch w przetaku, a chłopcy zajęli się prażeniem go na gorącej płycie. Groch śmiesznie podskakiwał, chłopcy łapali go w powietrzu, częstowali dziewczyny i sami chrupali młodymi zdrowymi zębami.

Feliks cały czas kręcił się koło Heleny, podawał jej gorące ziarenka, ostudziwszy je trochę w dłoniach.

Wieczór był wesoły i piękny. Było romantycznie, bo nieśmiało rozkwitała miłość, która okazała się w przyszłości wielką miłością.

- A łzami go polewajcie. . .

Tak mówi wiersz, lecz skąd wziąć tyle łez?- myślała Zosia.

Następnego dnia tata załadował snopki na drabiniasty wóz, zabrał kilka kołków ostro zaciętych z jednej strony, kilka dużych kamieni, jakieś linki, a na końcu siekierę.

Dziewczynka siedziała na samym wierzchu i miała obowiązek pilnować, aby nic z wozu nie spadło.

Miała tylko pięć lat i wszystko ją interesowało, a teraz czuła się bardzo dumna z powierzonych jej obowiązków.

Lubiła przebywać z tatą, bo zajęcia przez niego wykonywane były bardziej interesujące, niż te wykonywane przez mamę i babcię.

Teraz też kucając nad brzegiem Strugi patrzyła z przejęciem, jak tata wbija kołki do wody, rozmieszcza pomiędzy nimi snopki lnu, obciąża kamieniami, oplątuje konopną linką, chwilę spogląda na swoją pracę i mówi:

- Pochodź sobie po wodzie Zosiu, zanim ja wypalę papierosa.

Jest koniec sierpnia, panują upały i susza, woda w Strudze przypomina wodę nagrzaną na kuchennej płytce przez mamę i wlaną do blaszanej wanienki na kąpiel dla Zosi.

- Przyjdziemy tu jeszcze kiedyś- przymila się do ojca.

- Przyjdziemy, przyjdziemy, kiedy len dostatecznie wymoknie- odpowiada tata i wsiada na wóz.

Zosia niechętnie wdrapuje się za nim. Konie też niechętnie kierują się w stronę domu, bo trawa nad Strugą jest młoda i soczysta.

Dom jest niedaleko i wkrótce zajeżdżają na swoje podwórko.

Zosia kątem oka zerka w okna sąsiedniego domu, gdzie mieszka jej stryj Jan i bardzo zła stryjenka, której dziewczynka panicznie boi się. Na szczęście nikt nie wygląda spoza „zadzrostek” misternie haftowanych, chociaż obficie upstrzonych przez muchy.

Wpada do domu, opowiada mamie i babci o tym, co robili z tatą, pije ogromny kubek mleka, zagryza czerstwym chlebem i już jej nie ma.

Musi opowiedzieć wszystko jeszcze raz swoim koleżankom, których ma mnóstwo.

A potem zapomina o lnie, realizując tysiące nowych pomysłów na zabawę.

Zanim zamoczono len w Strudze, starsze dzieci chodziły tam kąpać się lub brodzić w czystej, źródlanej wodzie.

Teraz woda jest zatruta przez moczący się tam len, o czym świadczą nieliczne ryby, które pływają na powierzchni brzuchami do góry.

- Szkoda ryb, lecz i one nie zmarnują się. Drapieżne ptaki będą miały wyżerkę i uprzątną Strugę- tak mówi tata.

A Zosia myśli z podziwem: jaki ten mój tata jest mądry, wszystko wie.

Rzeczywiście był mądry, ponieważ skończył jakąś szkołę, wprawdzie pod zaborem rosyjskim, lecz wiadomości zdobył wiele i biegle władał językiem rosyjskim, nie mówiąc już o języku ojczystym.

Zosia o tym nie wiedziała, ale i tak tata był dla niej wyrocznią.

Nagle pogoda zepsuła się. Któregoś dnia słońko zasnęło w gęstej warstwie chmur. Najpierw zaczęło kropić, potem padać, aż w końcu nabrzmiące brzuchy chmur pękły i zaczęła się ulewa.

Cała wieś została zalana, ulica zamieniła się w rwący potok, który płynął w kierunku domu Zosi, a potem za nią kierował się do Strugi. Ulewa nie trwała długo, ale drobny, dokuczliwy deszcz padał do wieczora i przez całą noc.

Na drugi dzień wszystko się powtórzyło. Ogrody warzywne leżące na skraju podmokłych łąk w dolinie rzeczki zostały zalane, zwierzęta nie chciały opuszczać suchych stajni i obór, aby wyjść na pastwisko.

Ludzie byli przerażeni, lecz najgorsze nastąpiło trzeciego dnia. O szarym świcie Zosię obudziło stukanie w okno, przy którym akurat spała i wołanie:

- Woda zabrała len! Biegnijcie ratować len!

Cała wieś stanęła na nogi. Kto miał konie w stajni, natychmiast zaprzęgał do wozu, inni biegli pieszo, aby tylko uratować bezcenny len.

Wszak to koszule dla całej rodziny, ręczniki, pościel- wszystko co potrzebne wieśniakowi do codziennego życia!

Nie wiadomo, jakim cudem Zosia znalazła się na wozie obok rodziców. Przyjechali na miejsce. Tata odetchnął z ulgą.

- Nasz nie popłynął- powiedział -lecz kołki obluzowały się i niewiele brakowało.

Trzeba było wyciągać snopki na brzeg i dziewczynka rzuciła się do pomocy, jednak woda była tak głęboka, że zanurzyła się z głową i tylko szybka interwencja taty zapobiegła utonięciu.

Inni gospodarze nie mieli tego szczęścia, a może byli zbyt niedbali zabezpieczając len w wodzie.

Kiedy woda wróciła już do swego koryta, długo jeszcze znajdowano len na pastwiskach, gdzie wyrzucił go wartki prąd. To był „zwodek”- mówili ludzie, kiwając głowami.

Czyli jeszcze nie powódź, lecz gwałtowne zlanie się wody w jedno miejsce.

W dalszym ciągu padał deszcz i wyłowiony ze strugi len, jeszcze niedostatecznie wymoczony, rozłożono na ściernisku.

- Niech go teraz moczy deszcz- powiedziała mama.

Zosia chodziła codziennie na ściernisko, w przerwach między jedną a drugą falą deszczu.

Dzieci nudziły się przeważnie zamknięte w chatach, bo możliwości zabawy w przyciasnych pomieszczeniach były ograniczone. Zbierały się czasem grupką u Zosi, lub u innej dziewczynki. Jeśli w domu nie było dorosłych, wymyślały zabawę, w której głównym rekwizytem był las.

Las zapewniał zabawę w Czerwonego Kapturka, Królową Śnieżkę i wiele innych. Tylko skąd w domu wziąć las?

Zosia i na to znalazła radę.

Powiedziała koleżankom, żeby zebrały z okien wszystkie doniczki z kwiatami i ustawiły na podłodze. Zrobił się z tego wspaniały las.

Wprawdzie mama koleżanki po powrocie do domu zrobiła awanturę i Zosia jako pomysłodawczyni uciekała najpierwsza, ale i tak jak tylko trafiała się okazja, „las” niezmiennie brał udział w zabawie.

Pewnego razu dziewczynka obudzwszy się, spostrzegła przez okno jasność. Szybko wyskoczyła z łóżka, wybiegła na podwórko, popatrzyła na niebo, na ziemię.

Znowu zaświeciło słońce! To było najprawdziwsze słońce, a niebo wydawało się bez dna w swoim błękitcie.

Babcia, a tej można było wierzyć tak samo jak tacie, powiedziała:

- Chwała Bogu, deszczu już nie będzie. Słoneczna pogoda potrwa dłużej.

- Teraz możemy suszyć len, prawda mamó? – ucieszyła się dziewczynka.

Po śniadaniu poszły razem na ściernisko i znowu ustawiły z lnianych łodyg małe namiociki. W ten sposób nie tylko słońko, ale i wiatr będzie suszyć namokłe łodyżki.

Każdego dnia dziewczynka chodziła na ściernisko, a potem zapewniała mamę, że len naprawdę, ale to naprawdę

jest już suchy. Ona może nawet się „zabożyć”. Mama śmiała się i zapewniała córkę, że na wszystko przyjdzie pora.

Wróciwszy od koleżanek z drugiego końca wsi Zosia zauważyła w szopie tatę. Szopa miała tylko trzy ściany i dach i była przeznaczona na drewno do palenia w piecach.

- Co też tata tam robi?- pomyślała dziewczynka i pobiegła prosto do niego.

Przy jednej ze ścian leżały snopki wysuszonego lnu i przez chwilę poczuła żal, że przywieziono je bez jej pomocy. Jednak w następnej chwili zainteresowała się dziwnymi urządzeniami, które tata właśnie montował.

- Tata, co robisz, co to jest?

Ale tata właśnie wbijał kołek w ziemię i dopiero, kiedy skończył, odpowiedział:

- Te dwa to są międlice, a te dwa nazywają się cierlice, a do czego służą, to zobaczysz wieczorem.

Zosia przez dłuższą chwilę meła językiem w buzi, zanim wypowiedziała dwa nowe słowa.

- Międlica, cierlica- powtarzała biegnąc do domu, żeby jak zwykle podzielić się z mamą i babcią nowymi wrażeniami.

Babci nie było. Poszła na warzywnik po kapustę na kapuśniaczek. Mama była zajęta pisaniem listu do swojej siostry, która właśnie wyjechała do szkoły w Białymstoku.

Pokręciła się więc chwilę po mieszkaniu, znalazła w szafce kawałek wysuszonego sera i znowu pobiegła do taty.

Tata akurat palił „skręta” siedząc na pniaku obok szopy, więc miał czas na pogaduszki z córką.

Po wieczornym udoju przyszły sąsiadki, aby pomóc przy lnie. Zosia już przedtem zwołała swoje koleżanki i przyjaciółki, aby godnie asystować przy tak ważnej pracy. Przyszli również mężczyźni i porozsiadali się wokół na czym popadło, żeby towarzyszyć kobietom, ale nie pomagać, bo to typowo „babska” praca.

Pracę rozpoczęły międlice, których zadaniem było wstępnie połamać łodygi lnu, następnie do akcji przystąpiły

cierlice, które już dokładnie oczyszczały pasma włókien z resztek łądy- paździerzy.

O ile głos międliec był głuchy i nieprzyjemny, o tyle cierlice śpiewały dźwięcznie swoją pieśń o lnie.

Dziewczynki długo przypatrywały się pracy kobiet, nawet same próbowały pracować, lecz wkrótce nudziły się i poszły bawić się w komórki do wynajęcia.

Tego wieczoru, przy księżycu, cała wieś rozbrzmiewała wesołym trzaskaniem cierlic, śmiechem młodzieży i głosami bawiących się dzieci, którym pozwolono być na podwórku nieco dłużej niż zwykle.

Tak było przez kilka dni, a gdy ostatnia garść lnu była gotowa, przystąpiono do klepania i czesania.

Drewnianym narzędziem w kształcie krótkiego mieczyka wybijano resztki paździerzy, a ostateczny stan włókien otrzymywano po przeczesaniu ich na czesarce, czyli desce nabitej gwoździami: jedna część deski miała rzadsze gwoździe, druga gęste.

Zosia przytknęła do policzka garść włókien, które mama akurat przeczesywała. Były one bardziej jedwabiste i bardziej miękkie niż jej własne włosy. Poskręcany w „koki” len- jak to określiła dziewczynka- powędrował na strych.

Na razie były ważniejsze prace: zebrać z ogrodu resztę warzyw, złożyć kapustę do beczek, wyczyścić wszystkie przewody kominowe i wiele innych czynności zabezpieczających domostwo przed zimą.

Pewnej nocy, gdy dziewczynka wyszła do kuchni „za swoją małą potrzebą”, zdziwiła się bardzo, ujrawszy babcie przy kołowrotku. Nawet zaczęła dopytywać się jak zwykle: co to?, dlaczego?, ale babcia przegoniła ją do łóżka.

Rano dowiedziała się, że babcia przedzie pakuły, to znaczy odpadki pozostałe po czesaniu lnu, a mama na drugim kołowrotku przedzie jedwabne włókna najpiękniejszego lnu.

-Dlaczego tak?- na nieuniknione pytanie odpowiedziała babcia:

- Moje palce są grube, niesprawne i chore, więc mogę prząść tylko grubszą nić. Z tych nici będą utkane prześcieradła, ręczniki i codzienne obrusy.

Mama przędzie cieniutką nitkę, z której utkamy płótno na koszule dla całej rodziny.

Kołowrotki warczały aż do chwili, kiedy tata przyszedł na śniadanie ze stodoły, gdzie młócił żyto.

- Tata, ile było dzisiaj cepów?- zainteresowała się Zosia.

- Tylko dwa- odpowiedział tata.

- To było łupu-cup, łupu-cup- naśladowała dziewczynka uderzenia cepów.

- Trzeba było przyprowadzić sąsiada na śniadanie- powiedziała mama.

- Nie mógł przyjść, miał coś do zrobienia w swoim gospodarstwie.

Babcia podała czerwony zabelany barszcz. W talerzu taty pływał kawałek wędzonego żeberka. Tata był najważniejszy i ciężko pracował. Po barszczu i ziemniakach pojawiła się na stole kasza jęczmienna na mleku, po której każdy grzecznie podziękował i każdy zajął się swoimi sprawami. Tylko tata poszedł do dużej izby, żeby zdrzemnąć się trochę, jako że do młócki wyszedł wkrótce po północy.

Babcia też wstawiała bardzo rano i przyświecając sobie kagankiem własnej roboty, przędła swoje pakuły. Za to spać chodziła „razem z kurami”- jak mawiała mama. Zosia już miała zamiar wyjść do którejś z koleżanek, gdy nagle weszły do nich dwie sąsiadki, obie z „kołkami”. Mama ucieszyła się, że w chacie będzie weselej, bo zasadniczo przędzenie to nudna praca, jednak na pogawędce i ploteczkach czas szybciej płynął i nie wiadomo, kiedy okazywało się, że gruba szpula jest już pełna nici.

Dziewczynka przyjrzała się dokładnie kołowrotkom i pracy prządek, wydawać mogłoby się lekkiej, lecz w rzeczywistości, ciężkiej.

Cała rzecz polegała na tym, że prządka wprawiała w ruch koło zamachowe przy pomocy pedału. To koło uruchamiało szpulę.

Na wysokości ramion wisiała kądziel potarganego lnu, z którego prządka wiała cieniutką nitczkę a ta z kolei nawijała się na szpulę.

Zręczne ręce kobiet nie potrzebowały kontroli wzroku; kierowały się dotykiem, aby ukreślić właściwej grubości nitkę. Dlatego babci wystarczała do pracy kopciałka zrobiona z konopnego sznurka i wieprzowego sadła.

Naftę oszczędzano, bo była droga, a pieniędzy nie było.

Dziewczynka całe lato chodziła w sukieneczce z szarego, niebielonego lnu tyle, że Jania, siostra mamy wyszyła jej kilka kolorowych kwiatków w miejscu, gdzie w przyszłości miały znajdować się dziewczęce piersi.

Teraz znudzona sąsiadkami i tematami, które nie interesowały jej, powiedziała mamie, że idzie do Łodzi „za drogę”.

- Dobrze- zgodziła się mama- tylko ubierz się ciepło i przyjdź na obiad.

U koleżanki też siedziało kilka przątek, więc dziewczynki wyniosły się z kuchni do dużej izby, wymyślając coraz to nowe zabawy, Zosia zapomniała o obiedzie.

Przypomniała o domu, kiedy było już ciemno i perspektywa samotnej przeprawy przez ulicę, a jeszcze gorzej, przez własną, ciemną sień, napełniła ją przerażeniem.

Na szczęście trafiła na moment, gdy od mamy wychodziły sąsiadki i drzwi były otwarte. Niepostrzeżenie wślizgnęła się do kuchni.

Na płycie bulgotały gotujące się na kolację ziemniaki, a z patelni roznosił się smakowity zapach podsmażonej słoninki do okraszenia ziemniaków. Była też i zacierka z żytniej mąki, ugotowana na świeżym mleku.

Dziewczynka dopiero teraz przypomniała, że przegapiła obiad i z tym większym apetytem zabrała się do kolacji.

Od tej pory w całej wsi furczały kołowrotki. Zabierano je do sąsiadów, aby przy okazji pogawędzić i poplotkować, zabierano na wieczornice, gdzie chłopcy mieli okazję przerywać dziewczynom przędzone nitki.

Dziewczynka najbardziej lubiła, kiedy wraz z kobietami przychodzili koledzy taty, którzy opowiadali o strachach, duchach i niesamowitych przygodach, przeżytych przez nich samych, podczas pierwszej wojny światowej, a także i szarym codziennym życiu.

Następnym urządzeniem, które Zosię zainteresowało, było motowidło.

Cudaczne urządzenie- długi kołek z jednej strony rozwidlony, z drugiej miał dwa ramiona jakby krzyż.

Na motowidło motano uprzedzone nici. Kiedy namotano wystarczającą ilość, zdejmowano duży motek i to nazywało się przedziano. Przedziona zwinięte w „koki, wędrowały do schowka. Na niedługo.

Wcześniej rozpoczęła się zima, śnieg padał bez przerwy. Mężczyźni każdego ranka oczyszczali ścieżki do stodół, do studni, do sąsiadów.

Porobiły się głębokie tunele, do krawędzi których dziewczynka nie dosięgała i niewiele widziała. Była bardzo ciekawa, jak wygląda świat, aż któregoś dnia tata zabrał ją na strych, skąd przez małe okienko mogła zobaczyć chociaż fragment swojej wsi.

Było to widowisko niezwykle: konary drzew wyrastały wprost ze śniegu. Z chat porobiły się białe pagórki, z których wydobywały się smużki dymów. Gałęzie obciążone ciężkimi białymi czapami, gięły się do ziemi.

Było tak pięknie i tak niezwykle jak w bajce, aż robiło się jej jakoś słodko koło serca.

A kołowrotki we wsi furczały bez przerwy.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, skromne, lecz zawsze radosne.

Babcia obliczała zapasy, które zgromadziła do wypieku ciasta domowego.

Zosia liczyła dni do przyjazdu Jani ze szkół.

Mama prała, sprzątała, lecz każdą wolną chwilę poświęcała przedzeniu.

Drogi zostały trochę przetarte i chociaż z trudem, lecz można było dojechać do szosy i pobliskiego miasteczka.

Dziewczynka słysząc rozmowy dorosłych martwiła się, czy tata dojedzie na stację kolejową po jej ukochaną ciocię Janię.

Po choinkę tata wybrał się pieszo. Zresztą las był blisko, dochodził do samej wsi. Wybrał najpiękniejszą, przeprosił, że musi ją wyciąć, przyciągnął na podwórko i ukrył w stodole.

Zosia chciała już ubierać choinkę, lecz mama powiedziała, jak kiedyś przy suszeniu lnu:

- Na wszystko przyjdzie pora.

Dziewczynka liczyła dni, potem godziny, a kiedy tata pojechał na stację kolejową po Janię, to nawet minuty.

Świeże pachnące drzewko pod sam sufit.

Na czubku fruwa anioł, zrobiony z bibułki. Drobne czerwone jabłuszka, cukierki prawdziwe i sztuczne, ciastka własnego wypieku i różne ozdoby wykonane z bibułki, wydmuszek jaj, słomek. Nie sposób wszystkiego wyliczyć.

W wigilię zapłonęły na choince świeczki. Co za radość!

Kołowrotki schowano do komórek. Czas Bożego Narodzenia do Nowego Roku był czasem zabaw i odpoczynku.

Nie wolno było wykonywać żadnych prac, z wyjątkiem bieżących, czyli obrządzania inwentarza.

Sąsiedzi odwiedzali się nawzajem, młodzież organizowała kuligi, działało kółko dramatyczne wystawiając „komedyjki” w swojej wsi i gościnnie w sąsiednich.

Ociepliło się, więc dzieci spędzały całe dni na podwórku, lekceważąc nawet świąteczne kołaczki.

Kółki- kołowrotki milczały.

Za to drugiego stycznia zaczęły furczeć ze wzmożoną energią. Trzeba było nadrobić stracony czas. Do Wielkiej Nocy musi być wytkane płótno, a tutaj tyle jeszcze przędzenia.

W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy ostatnia kądziel zmieniła się w nitkę. Kołowrotek spełnił swoją rolę.

Teraz całymi dniami na środku kuchni kręciły się wituchy, na które nakładano przędziona i zwijano nici na kłębki.

Tych kłębków była cała moc. Zosi nigdy nie udało się policzyć ile, myślała nawet, że taka liczba nie istnieje.

Dziewczynka też próbowała zwijać, lecz jej małe rączki nie mogły utrzymać kłębka.

Wituchy leciutko skrzypiały całymi dniami, wprawiane w ruch przez mamę lub babcię.

- Co też to będzie, gdy ostatnie nitki zostaną zwinięte- zadawała sobie pytanie. Niedługo czekała na odpowiedź.

Właśnie stała na ulicy liżąc lodowy sopel i zastanawiając się do której koleżanki pójść, gdy zawołała ją Lodzia, koleżanka „zza drogi”.

- Chodź do nas, coś zobaczysz- krzyknęła i Zosia poczłapała po miękkim, wodnistym śniegu.

Wszedłszy do kuchni oniemiała: na środku stało coś, czego nigdy przedtem nie widziała, coś, co obracało się dookoła, a mama Lodzi trzymała garść lnianych nitek i nawijała na to coś.

- Co to jest?- zapytała szeptem.

- To jest snownica- odpowiedziała mama Lodzi.

Pod ścianą stała niezliczona ilość różnych naczyń i własnych i pożyczonych od sąsiadów, a w każdym naczyniu znajdował się kłębek. Kłębki obracały się, wszystkie nitki przechodziły przez zwiniętą dłoń kobiety, która nakładała je równomiernie na snownicę.

Dziewczynki długo obserwowały pracę i działanie nieznanego im dotąd urządzenia. Właściwie nieraz widziały te czynności, lecz wcześniej były za małe, aby zwrócić na to uwagę i zapamiętać.

Wkrótce znudzone, rozpoczęły swoje zabawy i zagalopowały się w nich tak daleko, że Zosia stłukła jedno z naczyń: była to donica lub jak mówili inni- makutra. Winowajczyni ledwie zdążyła chwycić swoje paltko i już jej nie było. Przyszła do domu markotna i snując się po kątach, oczekiwała, kiedy przyjdzie mama Lodzi na skargę do jej mamy.

Po kilku godzinach rzeczywiście przyszła, a Zosia wciśnięta za kuferek w dużej izbie czekała na wyrok w sprawie tego

straszego przestępstwa. Była nawet zdziwiona, że potraktowano ją względnie łagodnie.

Sąsiadka przysłała z propozycją, że skoro już ma snownicę gotową do pracy, może skorzystać z niej i mama Zosi.

I tak się stało. Mama zabrała cały worek kłębków i poszła, ale Zosia wolała zostać w domu. Lepiej było nie pokazywać się sąsiadce, zanim sprawa nie pójdzie w zapomnienie.

Podczas kiedy mama pracowała u sąsiadki, tata zajął się przesuwaniami sprzętów w alkierzu- izdebce, w której spała babcia. Kiedy już umieścił każdy sprzęt w zaplanowanym przez siebie miejscu, zaczął przynosić ze stodoły „graty”- jak to określiła- bo w jej pojęciu było to wszystko bez sensu i celu. Już nawet przestała zamęczać tatę pytaniami- co to?,dlaczego? tylko czekała cierpliwie na efekt jego działania.

A efekt był taki, że z tych wszystkich „gratów” powstał warsztat tkacki.

Mama wróciła późnym popołudniem z ogromnym przedzaniem przewieszonym przez ramię.

Tego wieczora wszyscy odpoczywali po kolacji. Tata ułożył się na leżance, babcia na swoim łóżku, mama i Zosia na ławeczce przy płycie kuchennej. Mama otworzyła książkę na założonej zakładką stronie i zaczęła czytać dalszy ciąg przygód braci Rymaszów porwanych w jasyr przez Tatarów. Wszyscy słuchali z zapartym tchem a Zosia tak bardzo zazdrościła mamie tego, że umie czytać.

Przy tej okazji zawsze przypominała wiersz Marii Konopnickiej, który zaczynał się słowami:

- Ja nie zazdroszczę, uchowaj Boże,
nic i niczego na całym świecie.
Jednego tylko zazdroszczę może,
że wy panowie czytać umiecie.

Dziewczynka ze wszystkich sił pragnęła umieć czytać, lecz na razie знаła tylko niektóre litery.

Warsztat tkacki składał się z wielu części, a każda miała swoją nazwę.

Dziewczynkę najbardziej bawiło słowo „nicielnice”. Ciągłe ja sobie powtarzała, wierząc się wokół warsztatu. Była to część przypominająca płótek z grubych lnianych nici. W każdej nitce było zawiązane kółko, przez które należało przewlec poszczególne nitki osnowy.

Potem była „płochą”- też płótek, lecz sztywny, skonstruowany z fiszbin oprawionych w drewnianą ramkę, przez które przewlekało się nitki. Gdy przędzono zostało już nawinięte na gruby walek, a poszczególne nitki znalazły się na właściwych miejscach, wystarczyło tylko nawinąć nitkę na rurkę z trzciny, założyć na czółenko, nacisnąć pedały, które część nitek podnosiły do góry, a część do dołu. Wytwarzał się wówczas tunel, w który tkaczka wprowadzała czółenko z nitką i przybijała ją płochą.

Znów nacisk na pedały i czółenko biegnie z powrotem.

I tak bez końca: nacisk na pedały, ślizg czółenka, głośny przycisk. Czym sprawniejsza tkaczka, tym płochą częściej i głośniej trzaska przybijając nitkę. Dziewczynka patrzy jak zaczarowana, gdy z minuty na minuty zwiększa się na krosnach połącz szarej, szorstkiej tkaniny.

Babcia nawija na kołowrotku nici na cewkę, żeby mama miała zapas i żeby nie musiała przerywać pracy.

Teraz całe dni wypełnione są trzaskaniem płochy i Zosia ma już tego dosyć.

Większość czasu spędza na dworze z koleżankami.

Jest luty; w nocy mroźno, a w dzień kapie z dachów, tworzą się sople gigantycznej wielkości, z których też kapie, jak z nosów zakatarzonej dzieciarni.

Przemoczone nogi nie są żadnym problemem, tylko w nocy kaszel spać nie pozwala i babcia musi parzyć łydygi malin, żeby ulżyć wnuczce.

Nie wiadomo, kiedy z krosien zdejmuje się pierwszy postaw płótna. Dziewczynka jest obecna przy tej czynności i nie może się nadziwić, że to robota jej mamy.

Będzie jeszcze jeden postaw takiego samego płótna i płótna na worki. Trzeba więc się spieszyć, by zdążyć przed Wielkanocą

i wysprzątać porządnie mieszkanie, bo przy tej robocie nakurzyło się, że hej!

- W przyszłym roku wytkamy chodniki ze ścinków różnych szmat i „sukienko” dla taty na kurtkę- powiedziała mama.

Na razie płótno wyniesiono na strych, a krosno tata wyniósł do stodoły.

I znów Zosia zapomniała o lnie. Jej uwagę pochłonęły inne sprawy.

Pewnego majowego dnia mama powiedziała do córki:

- Chcesz iść ze mną nad Strugę?

- Pewnie!- dziewczynka aż podskoczyła z radości- a co będziemy tam robić?

- Będziemy bielić len.

Mama wzięła na ramiona dwie sztuki lnianej tkaniny, a Zosi dała wiadro. Do Strugi było blisko, jakieś ćwierć kilometra, lecz trzeba było iść przez bagno.

Dziewczynka lekka jak piórko szła sobie spokojnie przeskakując z kępy na kępę, ale mama obciążona dwoma belkami płótna zapadała się od czasu do czasu w bagno, aż po kolana.

Gdy wreszcie dotarły na miejsce, mama rozciągnęła na trawie oba pasma płóciennej szarej tkaniny, zlała je obficie wodą ze Strugi, a potem położyły się na miękkiej jak aksamit trawie i po krótkim milczeniu posypały się pytania:

- A dlaczego nie bielimy płótna na podwórku? Tam jest też piękna trawka.

- Po podwórku chodzą kury i gęsi, a nawet prosięta, więc chyba możesz sobie wyobrazić, jak pobrudziłyby i zadeptałyby tkaninę.

- A stryjenka Janowa mogłaby wysypać popiół na nią- uzupełniła Zosia.

- To bardzo możliwe- zgodziła się mama.

Jeszcze kilka razy polewały tkaninę wodą ze Strugi, zanim wybrały się do domu.

- Mama, ale to płótno wcale nie zrobiło się białe- martwiła się Zosia.

- Zaczekaj kilka dni, wtedy zobaczymy. Gdybyś była starsza, to mogłabym zostawić cię tutaj samą- mówiła mama- ale jesteś za mała i niebezpiecznie byłoby ryzykować, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się pewnego dnia.

I mama opowiedziała o dwóch pięcioletnich dziewczynka, które przyszły ze wsi po drugiej stronie Strugi. Najpierw turlały się po trawie, zrywały kwiatki, a potem weszły na kładkę, przerzuconą przez rzeczkę. W pewnej chwili jedna z dziewczynek poślizgnęła się i wpadła do wody głową w dół. Druga dziewczynka usiłowała ratować koleżankę, ciągnąc ją za nogi, lecz nie miała dość siły. Gdyby nie interwencja mamy, kto wie, czy ta kąpiel nie zakończyłaby się tragedią.

Czasami, gdy mama miała coś ważniejszego do roboty, zostawiała płótno nad wodą bez opieki.

Na wsi nie było złodziei, każdy miał własny len i własne płótno.

W maju musiała być wykonana inna bardzo ważna praca: kopanie torfu na bagnach w dolinie Biebrzy.

Płótno znowu zostało odłożone do lamusa, czekając na swój czas. Jeszcze nie było całkowicie wybielone i nie było uprane w ługu, czyli roztworze popiołu drzewnego z wodą. Dopiero wtedy osiągnięte należytą miękkość i biel.

Nareszcie przyjechała na wakacje tak bardzo oczekiwana przez wszystkich, a zwłaszcza przez Zosię, Jania.

Jeszcze nie zaczęto kopać torfu, kobiety miały trochę wolniejszego czasu, więc powrócono do bielenia płótna.

Teraz zajęły się tym Jania z Zosią. I to dopiero była frajda! Jania studiowała biologię, znała każdą roślinkę, każde najdrobniejsze żyjątko i dzieliła się swoją wiedzą z siostrzenicą w sposób zajmujący i ciekawy.

Nieraz maleńki żuczek tak je zaabsorbował, że zapominały o podlaniu płótna. Odrywały się wtedy od obiektu obserwacji i z poczuciem winy, lecz i ze śmiechem polewały obficie tkaninę.

A płótna stawały się z każdym dniem bielsze i Zosia musiała przyznać, że już dość tego bielenia.

W domu była maszyna do szycia marki „Singer”, którą babcia przywiozła z Ameryki. Babcia potrafiła na niej szyć i na razie tylko Jania. Zosia próbowała, ale babcia bała się, że może zepsuć tak cenną maszynę, chyba jedyną w całej wsi.

Kobiety ręcznie szyły z płótna koszule, prześcieradła, obrusy na stół. Szyły lnianą nitką, która nawet nie była widoczna na szwie.

Maszyna do szycia w domu Zosi była wielkim komfortem.

Jania miała zadanie: uszyć dwa prześcieradła, dwie koszule dla babci a z własnej inicjatywy postanowiła uszyć i ozdobić kolorowymi nićmi świąteczny obrus na stół. Przywiozła nawet nici do wyszywania i postanowiła wykorzystać każdą wolną chwilę do pracy nad obrusem, który miał być gotowy na wigilię.

A tymczasem za stodołą znowu niebieski obłok spadł z nieba i okrył pole hen, aż do zarośli bagiennych, gdzie zaczynał się Chrust.

Dziewczynka znowu wyglądała przez wywietrznik w stodole i chociaż była już o rok starsza, lecz ciągle odczuwała strach i czuła mrowienie na plecach, wyobrażając sobie siedzibę Baby Jagi w Chruście.

NAJMŁODSZE LATA

- Odpoczniemy chwilkę - powiedziała Helena do córki - opuszczając się ciężko na siwy, wysuszony mech zaścielający ziemię pomiędzy wysokimi, starymi sosnami.

Zosia z ulgą usiadła obok matki i zaczęła rozcierać obolałe łydki. Przy okazji zerknęła na nogi matki, porównując je ze swoimi. Żenujące wydały jej się zwiotczałe mięśnie nóg matki, gdy porównywała je ze swoimi.

Helena miała trzydzieści lat, Zosia natomiast dwanaście i wydawało się jej, że mama jest bardzo stara i że ona sama nigdy taka nie będzie.

Po dłuższym wypoczynku Helena podniosła się z westchnieniem i zaczekawszy na ociągającą się Zosię poszły w kierunku swojego domu.

Wracały z odległego Bagna, gdzie suszyły i przewracały wykopany wcześniej torf. Praca nie była ciężka. Wcześniej wykopany torf, ułożony w niskie kopczyki zdążył przeschnąć i stał się lekki. Trzeba było znosić go i układać w wysokie sterty, aby swobodnie mógł wyschnąć do końca. Dopiero potem będzie można zwozić go do domu.

Zosia lubiła Bagno. Pachniało tam gorzkimi ziołami, po obrzeżach kwitły łubiny, a liście młodych brzoźek szeleściły delikatnie w majowym upale. Darzyła też Bagno sentymentem z powodu romantycznej historii opowiedzianej jej któregoś dnia przez Helenę.

- Kiedy miałam szesnaście lat - mówiła Helena - mieszkańcy wsi zebrali się na Bagnie, aby wyciąć rosnące tam drzewa i oczyścić teren do wykopu torfu. Ciężko i wywożono drzewo do domów na opał. W pewnym momencie opustoszało, pozostała tylko Helena i jej sąsiad Feliks. Urok tego osobliwego miejsca tak podziałał na oboje, że Feliks powiedział do Heleny: - wybudujemy tutaj dom i zamieszkamy w nim tylko we dwoje.

Wybudowali dom znacznie później, lecz stworzyli go w niedługim czasie po tych romantycznych oświadczeniach

i był to dom szczęśliwy, chociaż biedny i nie pozbawiony zwykłych ludzkich dramatów. Dom ten był zawsze otwarty na miłość.

*

Pierwszym dramatem rodzinnym, który Zosia przeżyła w pełni świadomie i boleśnie była choroba mamy.

Helena - młoda mężatka, młoda matka dwóch córek - zaledwie dwudziestosiedmioletnia kobieta - zachorowała na gruźlicę.

W tamtych czasach gruźlica, to był prawie wyrok śmierci, i Zosia zdawała sobie z tego sprawę. Wpadła w rozpacz. Wszędzie: w domu, w szkole, we śnie, na jawie widziała mamę martwą.

W chwilach największej rozpaczcy zabierała Lucię i prowadziła do Borku, gdzie nie było nikogo. Siadały obie pod sosną, na suchym mchu i Zosia zaczynała płakać.

Lucia, u której i tak oczy były w bardzo mokrym miejscu, przyłączała się do Zosi nie znając właściwie nie rozumiejąc przyczyny płaczu. Płakały obie na cały głos, na cały ten niewielki las.

Ludzie rzadko tamtędy przechodzili, lecz jeżeli nawet ktoś usłyszał płacz dzieci, wiedział że to jest płacz sierotek i nie miał serca żeby podejść i pocieszyć.

W domu nie było pieniędzy na lekarza, na dobre odżywianie, na unikanie ciężkiej pracy. Mimo to lekarz przyjeżdżał a po każdej jego wizycie ojciec z babką Karoliną mieli posępne miny, a dziewczynki szły do Borku płakać.

Aby odciążyć od pracy Helenę, Feliks często zabierał do pracy Zosię do żniw lub sianokosów. W wakacje dodatkową pomocą była Jania, która przyjeżdżała ze szkół.

W latach trzydziestych wieś była zacofana. Ręczna uprawa pól pociętych w drobną szachownicę przynosiła marne plony. Trudno było z tego wyżywić rodzinę a o sprzedaży plonów, żeby uzyskać jakieś pieniądze mowy nie było. Kury niosły jajka tylko na wiosnę.

Krowy wypasane na dalekich pastwiskach niechętnie dawały mleko. Świń nie było czym karmić, więc hodowla była minimalna a świnioobicia dokonywano dwa razy w roku: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Jeśli gospodyni sprzedawała kilka jaj czy osełkę masła, to tylko kosztem rodziny. Pszenicy nie uprawiano, a mąkę mielono z żyta. Jak więc w takich warunkach stosować dobre odżywianie?

Feliks robił co mógł: w wolnych chwilach przyjmował zlecenia stolarskie - był stolarzem amatorem - ale co to były za zlecenia, dobry Boże! Co najwyżej trumna, gdy się komuś na wsi zmarło.

Doszły więc jeszcze długi, a Helena była nadal chora.

Przyszła jesień - bez zmian.

Zosia już nie chodziła płakać do Borku, ale nadal była pewna, że mama umrze. Codziennie wracała ze szkoły z bijącym sercem - czy mama jeszcze żyje? Zastawszy całą rodzinę na miejscu, uspakajała się i nawet stawała się wesoła.

Gorzej było, gdy w domu była tylko babka Karolina. Siedziała zwykle przy kołowrotku: przędła len lub wełnę, na płycie perkotały ziemniaki dla świń.

Zosia pilnie uważała na minę babki Karoliny: jeśli była posępna, znaczyło to, że mama umarła, jej ciało Karolina ukryła w łóżku.

Mina pogodna znaczyła to samo, tylko z odrobiną przewrotności, żeby Zosię zwieść. W obu przypadkach dyskretnie zaczynała penetrować łóżka. Nie znalazłszy ciała, uspakajała się i wtedy mogła jeść obiad.

Tak przeszła zima i na przedwiośniu pojawiła się nadzieja: Helena poczuła się lepiej.

Podczas kolejnej wizyty, lekarz długo opukiwał i osłuchiwał chorą, a potem z wahaniem powiedział: - nie chcę robić państwu złudnych nadziei, ale wydaje mi się, że jest lepiej.

I było lepiej, coraz lepiej, a lekarz powiedział, że tu zadziały siły wyższe, a nie on.

Wiele lat później Zosia wytłumaczyła to sobie tak: kiedy pewnego razu płakały obie z siostrą na całym Borek, przechodził tamtędy Pan Bóg ze swoim sekretarzem Aniołem. Usłyszawszy płacz dzieci ulitował się i polecił swemu sekretarzowi odnaleźć księgę przeznaczenia i pod imieniem Helena - wykreślić słowo - śmierć, a wpisać - życie.

*

Helena z Zosią weszły na podwórko. Było pusto, tylko kury kąpały się w piasku pod płotem.

Feliks był na sianokosach nad Biebrzą a babka z Lucią zapewne na warzywniku.

Helena przyniosła z komórki dzbanek z chłodnym mlekiem. Piły obie zachłannie, aż ukazało się puste dno.

Muchy zmęczone upałem, brzęczały sennie. Część z nich potruła się muchomorami rozłożonymi na talerzykach, zaścielającymi gęsto parapety małych okien. Część przylgnęła do porozwieszanych lepów lecz była to kropla w morzu w porównaniu z istniejącym stanem liczebnym żywych owadów.

Każdego ranka Zosia z młodszą siostrą Lucią przynosiły świeże, zielone gałęzie, zasłaniały w chacie wszystkie okna, pozostawiając otwarte tylko drzwi i wypędzały dokuczliwe owady. Muchy chętnie leciały do światła i po kilkakrotnym powtórzeniu tego manewru, nagle w izbie nastawała cisza, a wypędzone muchy stawały się pokarmem jaskółek, gęsto zasiedlających wieś. Pomimo zamkniętych okien zasłoniętych szczelnie drzwi, do wieczora ilość much w chacie osiągnęła taką samą liczbę jak przed wypędzaniem.

Aby zapewnić w miarę spokojny sen dziewczynkom, Helena przygotowała łóżko na strychu. Wprawdzie nie było tam much lecz było trochę straszno.

Porozwieszane na belkach stare ubrania przypominały wisielców.

Połamane sprzęty utożsamiały się ze strasznymi postaciami z bajek, a drobny tupot mysich nóżek urastał do ciężkiego człapania wielkoluda.

Korzystając z tego nastroju Zosia mogła do woli straszyć swoją młodszą siostrę, a przy tym sama przeżywała dreszczyk emocji.

Zosia miała wybujałą fantazję, natomiast Lucia była nadwrażliwa i ślepo wierzyła starszej siostrze.

Zosia potrafiła wymyślać najprzeróżniejsze historie, w których sama bywała najczęściej bohaterką. Walczyła ze smokami, pokonywała potwory, ratowała się z tonącego statku, wynosiła dzieci z płonących domów i temu podobne bzdury. Lucia domagała się szczegółów: np., jak duże jest oko smoka? Odpowiedź przychodziła natychmiast: takie jak okno na strychu.

- Tylko jedno oko jest takie duże? - dziwiła się Lucia.

- Oczywiście - odpowiadała Zosia z pełnym przekonaniem.

Lucia przez chwilę przyglądała się oknu i jeszcze raz zapytała.

- I ty naprawdę to widziałaś? - niedowierzała.

- Jak ciebie tutaj widzę - zaklinała się Zosia.

Potem z głowami pod kocem szybko zasypiały topiąc w śnie swoje strachy i dziecinne problemy.

*

Wróciła babka Karolina z warzywnika, gdzie peła warzywa. Zmęczona, spalona na słońcu, w powalanej ziemią długiej spódnicy, jaką nosiła od zawsze w niezgodzie z aktualną modą .

Miało się ku wieczorowi i każdy zajął się swoją częścią obowiązków.

Karolina rozpałała pod płytą ogień i nastawiła wieszak. Obrala ziemniaki, postawiła je na ogień, następnie zagniotła z żytniej maki zacierkę i wrzuciła na gotujące mleko. Podsmarzyła słoninę z cebulą do okraszenia ziemniaków.

Helena wydoiła krowy, nakarmiła i zamknęła w szopie kury.

Świnie dostały swoje ziemniaki bardzo rozrzedzone wodą, za to okraszone zielonymi i świeżymi chwastami wypielonymi przez Karolinę na warzywniku.

Tymczasem wrócił z sianokosów Feliks i wszyscy zasiedli do kolacji. Wszyscy oprócz Luci, która zawieruszyła się gdzieś z koleżankami i straciła poczucie czasu. Potem były wymówki mamy, łzy Luci i zimna zacierka na mleku, później jeszcze chwila odpoczynku na progu z kamieni przed domem, wymiana spostrzeżeń na temat wykonanych prac minionego dnia i wtedy kolejno zaczęli rozchodzić się do łóżek na zasłużony wypoczynek.

Feliks stwierdził, że jest czysty, bo się wykąpał w Biebrzy, lecz dzieci nie ominęło mycie się w chłodnej, studziennej wodzie.

Małe błyskawice rozświetlały niebo na południu.

- Małanka orzechy pali - powiedział kładąc się do łóżka Feliks.

- Będzie pogoda, jutro jedziemy na Dąbrówkę grabić siano - dodał.

Małanka zaglądała też w niewielkie okienko na strychu, lecz dziewczynki już tego nie widziały. Posapywały cichutko w swoje poduszki.

Nazajutrz, już od wschodu słońca w obejściu zapanował ruch.

Feliks poszedł na pobliskie gromadzkie pastwiska po swoje konie, Karolina doła krowy śpiesznie, aby zdążyć dołączyć je do stada pędzonego przez pastucha ulicą wsi, na pastwisko.

Helena przygotowywała śniadanie a także posiłek przeznaczony na sianokosy. Były to gotowane jajka, chleb z masłem i kawa zbożowa z mlekiem.

Po śniadaniu Zosia z rodzicami pojechała na łąki a Lucia z babką Karoliną zostały w domu.

Łąki nad Biebrzą były podmokłe i bagniste. Poszczególne działki były wąskie, zaledwie na dwa, trzy pokosy, za to długie ponad kilometr.

Ciągnęły się te pasy od lasu, aż po rzekę.

Trzeba było suche siano zgrabić w mniejsze kopki, potem poznosić je na nosidłach w jedno miejsce pośrodku działki i ułożyć w stóg. Koni ani wozu nie można było wprowadzić w to grzęzawisko. Dopiero zimą, kiedy bagna zamarzyły, zwożono siano saniami.

Upał doskwierał, źle obute nogi raniło ostre rżysko, słońce spalało odkryte części ciała, pot zalewał oczy.

Zosię podtrzymywała na duchu tylko jedna myśl - pragnienie: prędeej do rzeki! Ochłodzić spieczone słońcem ramiona i nogi, zanurzyć twarz w chłodnej czystej wodzie! Ale krótka to przyjemność: do końca dnia stóg musi być postawiony. Inaczej w razie deszczu siano zamoknie trudno będzie je wysuszyć.

Zbudowanie stogu siana nie było łatwe, wymagało pewnych umiejętności. Najlepiej do tej pracy nadawali się dwaj mężczyźni, lecz Feliks miał do pomocy tylko dwie kobiety, a właściwie dziecko i wątłą szczupłą, niewysoką kobietę. Na szczęście przyszedł do pomocy sąsiad z sąsiedniej działki, który swoją pracę ukończył wcześniej. Stóg wyszedł jak należy - spiczasto zakończony, zawieszony kołkami, przysadzisty.

Helena jak zwykle w takich okazjach i tym razem wypowiedziała sakramentalne zdanie:

- Chwała Bogu, siano w stogu.. - To znaczy, że deszcz już mu nie zagraża.

Do domu wracali drabiniastym wozem wypełnionym sianem, na którym można było wyciągnąć się i nareszcie odpocząć po morderczej pracy.

Słońce wisiało tuż nad ścianą czarnego lasu. Feliks popędził konie - w domu czekało jeszcze tyle pracy.

*

Zosia obejrzała swoje nogi: w okolicy kostek były bardzo zaczerwienione, poranione ostrym rżyskiem po skoszonej trawie.

Zanurzyła je w zimnej wodzie w cebrzyku przy studni. Przyniosło to chwilową ulgę, lecz gdy je wyjęła z wody i wytarła, pieczenie stało się nie do zniesienia. W domu nie było żadnych leków, żadnych maści, nic co by przyniosło ulgę. Jednak babka Karolina znalazła radę. Nazbierała liści babki, obłożyła obolałe kostki Zosi, zawinęła czystym gałgankiem i położyła do łóżka. Stopniowo ból zelżał, a potem Zosia zasnęła.

Rano Zosia w półśnie usłyszała bębnienie deszczu o dachówki wiedząc, że w tym przypadku nie ma dla niej ważnej pracy, zapadła w głęboki sen, z którego wyrwało ją szarpanie za ramię i głośnie wołanie:

- Wstawaj, wstawaj - wołała Lucia.

- Nie wiesz, kto dzisiaj przyjeżdża ? Wstawaj - nie dawała za wygraną Lucia.

Zosia wolno wracała do rzeczywistości. Oczywiście, dzisiaj przyjeżdża Jania, ich ukochana ciotka, siostra mamy. Ale to dopiero z tatą wieczorem pojedą po nią na stację kolejową.

- Ty wariatko - rozzłościła się Zosia. - Do wieczora jest cały dzień, a ty nie dasz pospać. Wiesz jak wczoraj ciężko pracowałam? Śpijmy.

Ale sen raz spłoszony już nie wrócił.

Lucia zapytała: - to już Jania jest prawdziwą nauczycielką?

- Tak, skończyła swoją szkołę, dostała dyplom i teraz może uczyć dzieci.

- Czy nas też będzie uczyła?

- Nie wiem, odpowiedziała, ale chyba wyjedzie do innej szkoły, bo w naszej szkole są już nauczyciele.

- To lepiej żeby oni wyjechali, a Jania niech zostanie.

- To nie nasza sprawa - odpowiedziała Zosia.

Lucia miała jeszcze dużo tego rodzaju pytań, lecz mama zawołała dziewczynki na śniadanie i rozmowa została przerwana.

Rodzice mieli skwaszone miny, bo gdzieś tam mokło skoszone siano a deszcz nie przestawał siać.

Tylko Zosia z Lucią były zadowolone, bo mogły spokojnie czekać na nadejście wieczoru i cieszyć się na tak oczekiwane spotkanie.

Dzień się dłużył niesamowicie. Helena przy pomocy córek zrobiła porządek w całym domu, jako że była to sobota, zmieniła pościel, potem zajęła się kuchnią żeby przyrządzić coś smacznego dla oczekiwanego gościa, czyli siostry Janiny.

Jania ukończyła Seminarium Nauczycielskie kosztem wielu wyrzeczeń całej rodziny. Skromne dochody z gospodarstwa w całości szły na opłatę czesnego. Oszczędzano, zaciskano pasa i tak sprawa została doprowadzona do końca. Jania dostała dyplom nauczycielki, a Feliks miał cichą nadzieję, że kiedy Zosia skończy szkołę powszechną, Jania pomoże w dalszym kształceniu córki.

Dom otaczał niewielki ogródek, w którym w trzech rogach rosły trzy ogromne krzaki bzu. Jeden z nich był tak rozrośnięty, że mieścił się pod nim okrągły stół otoczony owalną ławeczką. Było to ulubione miejsce wypoczynku wszystkich członków rodziny, a w szczególności Janiny, dlatego Zosia przyszła tutaj podumać o swojej ukochanej Jani.

Deszcz przestał nareszcie padać, lecz liście jeszcze nie obeschły, więc Zosia potrząsnęła gałęziami strącając ostatnie krople wilgoci, wytarła do sucha stół i ławeczkę i usiadła.

W tym domu a raczej w tej rodzinie, beczynność była zjawiskiem tępiącym przez dorosłych, więc Zosia zabrała ze sobą robotkę. Wszywając na białym płótnie szafirowe chabry, oddała się wspomnieniom.

Opowiadania mamy i Jani były tak sugestywne, że Zosia uważała je za osobiste wspomnienia. Na przykład: zapamiętała bardzo piękny majowy słoneczny dzień, na podwórku, w jednym miejscu kuciała mama, a o kilka kroków dalej kuciała Jania, a ona - Zosia właśnie stawiała swoje pierwsze kroki pokonując odległość między mamą i Janią. Opowiadanie było tak sugestywne, że przez wiele lat Zosia była przekonana, że je zapamiętała.

Jania miała wtedy dziesięć lat i była opiekunką Zosi. Rodzice wyjeżdżali na dalekie pola lub łąki na cały dzień, na gospodarstwie zostawała babka Karolina, a dzieckiem opiekowała się Jania. Może dlatego stała się dla Zosi matką, siostrą, przyjaciółką i powierniczką. Nawet później, kiedy Zosia zaczęła dorastać i pojawiły się pierwsze miłości, powierniczką była Jania, a nie mama.

Zosia bez przerwy zerkła na słońce, lecz ono jak na złość wisiało w jednym miejscu, ani myślało zniżyć się i wreszcie zejść. Dzień trwał ciągle. Przyszła Lucia od koleżanek, żeby się dowiedzieć czy nie czas już jechać na stację. Znowu zaczęły się lawinowe pytania, na które przeważnie Lucia nie oczekiwała odpowiedzi.

Wszyscy uwijali się przy wieczornym obrządku: karmieniu zwierząt, udoju a Feliks poszedł na pastwisko po konie, które dzisiaj z powodu deszczu miały odpoczynek i pasły się cały dzień.

Dziewczynki z niecierpliwością czekały na jego powrót, obawiając się spóźnić na pociąg.

W końcu jednak nadeszła upragniona chwila i dziewczynki znalazły się na wysokim siedzeniu, sporządzonym z worka wypchanego sianem, na szerokim drabiniastym wozie. Na pierwszym siedzeniu umościł się rodzice.

Do szosy było niedaleko: około jednego kilometra a potem cały czas jechało się szosą, najpierw przez las. Potem następowało dość duże obniżenie terenu, droga leciała w dół, las się kończył a po obu stronach rozłożyły się rozległe bagna. Obniżenie terenu nazywano Morgową Górą.

Wielu ludzi ze wsi przeżyło tutaj swoje niesamowite przygody, a najwięcej tych przygód przeżył stryj Zygmunt. Lucia zawsze chętnie słuchała opowiadań stryja, lecz dzisiaj była zbyt zaabsorbowana przyjazdem Jani, żeby myśleć o czymś innym.

Wkrótce znaleźli się na podjeździe przed dworcem kolejowym.

Feliks dobrze obliczył czas i do nadejścia pociągu pozostało zaledwie kilka minut - bardzo długich minut.

Gdy wreszcie pociąg zagwizdał zanim wyłonił się z zakrętu, Lucia na wszelki wypadek schowała się za maminią spódnicę.

Lokomotywa minęła oczekujących zwalniając coraz bardziej a w oknie wagonu ukazała się uśmiechnięta twarz Janiny.

Feliks wskoczył na stopnie pociągu, aby pomóc przy wynoszeniu bagażu i po chwili zamieszania, uścisków, pocałunków, wykrzykników, zaczęli sadowić się na wóz razem z całym bagażem.

- Ależ ty, Luciu, wyrosłaś - dziwiła się Jania. - I jaka piękna z ciebie panna.

- Z ciebie też - odważyła się powiedzieć Lucia, lecz zaczerwieniła się i odwróciła buzię.

Potem rodzice rozmawiali z Janią o pracy, o tym jak trudno będzie ją dostać, lecz to już Zosi nie obchodziło. Wakacje zdawało się nie będą miały końca a Jania będzie cały czas w domu.

W domu pachniało odświeżenie brzoźowymi gałęziami, babka Karolina wypędziła muchy a od świeżo umytej podłogi w kuchni szedł przyjemny chłód.

Na stole stał dzbanek z kwaśnym mlekiem, na płycie „dochodziły” ziemniaki a na patelni skwierczały skwarki do okraszenia ziemniaków.

- Jak swojsko, jak cudownie - pomyślała Jania.

Potem, jak zwykle siedzieli na kamiennych schodach rozmawiając i ciesząc się, że „małanka orzechy pali” na pogodę.

*

Nazajutrz była niedziela.

Zosia uwielbiała ten dzień, który zaczynał się zwykle ćwiczeniami strażaków Ochotniczej Straży Pożarnej, której naczelnikiem był Feliks.

Ćwiczenia odbywały się na wygonie, obok remizy strażackiej, oczywiście w asyście gromady dzieci. Na zakończenie ćwiczeń chłopcy maszerowali i śpiewali zawsze tę samą piosenkę - „Tam nad Wisłą w dolinie siedziała dziewczyna...”.

Potem Feliks wracał do domu, jadł śniadanie i zaczynało się zawsze nerwowe wybieranie się do kościoła oddalonego o kilometr polnej drogi.

W ostatniej chwili okazywało się, że koszula jest pognieciona, skarpeta nie zacerowana, buty nie wyczyszczone do połysku, no i najgorsze - zegarek Feliksa, wielka cebula z tombakową dewizką, nie leżał na swoim miejscu. Wreszcie pokonawszy te wszystkie przeszkody, rodzina wyruszała do kościoła.

Babka Karolina zwykle wyruszała wcześniej, żeby jeszcze pośpiewać przed nabożeństwem.

Feliks natomiast śpiewał w prawdziwym chórze kościelnym, który Zosia też uwielbiała.

Fascynowały ją niezrozumiałe a jednak takie jakieś wzniosłe słowa: „Kyrie, elejson, Chryste, elejson...”.

Wraz z melodią modlitwy śpiewanej w niezrozumiałym języku potrafiła wznieść się wysoko, aż pod sklepienie kościelne: traciła poczucie czasu i rzeczywistości, stawała się, „jedną wielką modlitwą”.

O tkliwy Pelikanie dusz, Jezu Mój Chryste
Krwią swoją serce moje z win obmyj nieczyste,
Wszak jedna jej kropelka w tak wielkiej jest cenie
Że zdolna przynieść światu całemu zbawienie. / - /

Nagle w moją zadumę wpadły modlitewne słowa kościelnego chóru:

- Kyrie elejson , elejson
- Kyrie elejson, elejson.....
- Kyrie elejson.....

Umilkł gwar przed kościołem, głowy pochyliły się nad modlitewnikami.

- Kyrie elejson , elejson , elejson

Chóralna pieśń wznosi się , miesza z szumem topoli i spotęgowana płynie wprost do Boga.

Chryste elejson , Kyrie elejson

Błagalne słowa rozrywają serce, niosą je ponad złote ścierniska, wyzwalają tęsknoty, spazmem dławią krtań.

Chryste elejson , Kyrie elejson

Podniosły nastrój odprawianej mszy uszlachetnia dusze, oczyszcza serca, wyzwala z codziennych trosk. Niezrozumiałe łacińskie słowa w jakiś przedziwny sposób stają się wyrazami uczuć, są hymnem błagalnym, dziękczynieniem, wyrażają miłość i bojaźń bożą, pokorę i uwielbienie. Melodia wznosi się lekko, to opada gwałtownie w dół, to zawiesza się w koronce liści, to płynie w dal ponad ścierniska

- Kyrie elejson – błagają soprany,

- Chryste elejson – wzywają basy.

Słowa wpadają na siebie, to się łączą, to się rozbiegają, lecz zawsze w zgodzie harmonii.

Modlitewnik otwarty na pierwszej stronie tkwi w zaciśniętej dłoni.

Zatraciło się ciało, pozostała melodia i muzyka wylewająca się z otwartych drzwi kościoła.

Tęsknota, zaduma, rozmodlony barwny tłum przed kościołem.

-Kyrie elejson, Chryste elejson

Umilkły zasłuchane ptaki, zastygł bez ruchu rozmodlony wiatr.

Cały świat stał się jedną wielką wspólną Świątynią.

- Chryste elejson.....

*

Tego dnia Zosia została w domu.

- Przypilnujesz domu i gospodarstwa - powiedziała mama.

Zosia nie oponowała: to też było przyjemne - poczucie ważności i odpowiedzialności za całe gospodarstwo.

Zagrożenie stanowili jedynie Cyganie włóczący się nieraz po wsi, więc Zosia zamknęła drzwi na klucz, klucz schowała, a sama usiadła na schodach z książką w rękę.

W tym czasie Zosia czytała wszystko. Szkolną skromną bibliotekę знаła na pamięć. Czytała książki przywożone przez Janię, a także wypożyczone przez mamę w bibliotece w pobliskim miasteczku.

Z czasów kiedy nie umiała jeszcze czytać, zapamiętała wiersz Konopnickiej, a zwłaszcza następującą zwrotkę:

"Ja nie zazdrozczę, uchowaj Boże
nic i nikomu na całym świecie
Jednego tylko zazdrozczę
Może, że wy panowie czytać umiecie".

I Zosia zazdrościła tym nieznanym panom, aż do bólu, „że umieją czytać”.

W okresach długich wieczorów w rodzinie Zosi utarł się zwyczaj głośnego czytania. Zwykle po wczesnej kolacji babka Karolina zasiadała przy kołowrotku, Feliks z Zosią układali się na leżance stojącej w kuchni, a Helena na ławce obok płyty kuchennej, gdzie było najcieplej.

Zaczynało się czytanie i wprost zachłanne słuchanie, żeby nie uronić ani jednego słowa z aktualnie toczącej się akcji. Helena czytała aż do zachrypnięcia, a słuchacze nie mieli dosyć.

Zosi szczególnie zapadła w pamięci historia dwóch braci Rymyszów wziętych w Jasyr przez Tatarów. Książka nosiła tytuł „Dwaj Rymyszowie” i Zosia długo przejmowała się losami obu braci.

Tym razem czytała „Lato leśnych ludzi” Rodziewiczówny.

Zosia miała zdolności pełnego wczucia się w epokę, miejsce, akcję, osobowość opisywanych postaci do tego stopnia, że zatracala poczucie rzeczywistości, była głucha na to, co się wokół niej działo.

Dlatego, gdy w ciszę upalnego popołudnia wyludnionej wsi wdarł się nagle wielogłosy gwar męskich głosów, Zosia nie od razu uniosła głowę znad rozłożonej na kolanach książki.

Wolno wracała do realnego świata z leśnej głuszy, gdzie wspólnie z leśnymi ludźmi przeżywała leśne przygody, gdy nagle została otoczona gromadą żołnierzy - młodych wesółych chłopaków.

Czemu wieś jest taka pusta ? Gdzie są wszyscy ? - zapytał przystojny oficer.

- W kościele - odpowiedziała zażenowana Zosia.

- Czy możemy się napić wody ?

- Proszę bardzo. Zosia odłożyła książkę, otworzyła drzwi kluczem przyniosła kilka fajansowych kubków.

Przy studni uczyniła się wrzawa, chłopcy pili, oblewali się wodą hałasowali. Oficer podniósł ze schodów książkę, przekartkował kilka stron a potem powiedział:

- Nie wiedziałem, że wiejskie dziewczyny czytają książki.

Gdy żołnierze odeszli i wokół znowu zapanował spokój, Zosia nagle rozzłoszczona powiedziała głośno:

- Idiota - odnosiło się to oczywiście do oficera, który miał wyniosłą minę i zimny obojętny wzrok.

Przypomniała sobie małe zdjęcie w podręczniku historii, pułkownika Lisa - Kuli. Młodzieńcza, szczerą twarz, blond włosy. To była pierwsza wielka miłość Zosi. To nic, że - „świsnęła mała kulka i grób wyryła mu” - Zosia i tak go kochała, a im dłużej wpatrywała się w jego zdjęcie, tym silniejsze było uczucie.

- A czy tego z zimnymi oczami ktoś pokocha ? - powątpiewała Zosia.

Chciała wrócić do czytania, lecz wieś zaczęła się ożywiać. Wkrótce wrócili rodzice. Mama zabrała się za przygotowywanie świątecznego obiadu, a Lucia sapiąc ze zmęczenia usiadła obok Zosi na schodach.

- A gdzie Jania ? - zapytała Zosia.

- Znalazła sobie koleżankę i poszła do niej - odpowiedziała nachmurzona Lucia. Zosia też poczuła w sercu uczucie zazdrości, że muszą się dzielić Janią z jakimiś tam koleżankami.

*

Po wieczornym obrządku i kolacji zeszli się sąsiedzi przed dom Feliksa, aby pogawędzić o tym i owym. Naczelnym tematem było oczywiście siano: czy pogoda się utrzyma, czy zdążą zebrać skoszoną trawę i umawiano się o wzajemnej pomocy przy wznoszeniu stogów.

Potem mówiono o polityce, sprzeczano się o to, czy będzie wojna, i że wkrótce zjawi się we wsi czternasty DAK.

Młodsze dzieci bawiły się w komórki do wynajęcia, w czym bardzo pomocne były młode topole posadzone wzdłuż ulicy.

Starsze dzieci bawiły się piłką. Właśnie Zosia goniąc za nią przebiegała obok grupy mężczyzn i usłyszała niezrozumiałe słowo - DAK.

Potem, kiedy już wrócili do mieszkania, Zosia zapytała:

- Tato, co to jest czternasty DAK ?

- Dziwię się, że nie wiesz, przecież oni co roku przyjeżdżają do wsi, a DAK znaczy - Dywizjon Artylerii Konnej, a czternastka to ich numer.

- Jesteś ich wychowanką, a nawet jakby córką pułku, nie pamiętasz ?

Zosia rzeczywiście pamiętała, że rodzice wyjeżdżając na cały dzień do pracy zostawiali ją pod opieką żołnierzy kwaterujących w ich stodołę, a głównie pod opieką kucharza, który cały dzień nie odchodził od swojej kuchni. Ta opieka musiała się Zosi podobać, bo kiedy wieczorem Feliks przychodził po dziecko, żołnierze zagrzebywali ją głęboko w siano, a ona z całej siły pragnęła, oby tylko tata jej nie znalazł.

Tak było każdego dnia, kiedy rodzice wyjeżdżali na pole do pracy, a babka Karolina była zajęta na warzywniku lub przy domu.

Lato mijało, wojsko wyjeżdżało do swoich koszar, a Zosia traciła opiekunów. Ale nie zupełnie: były na wsi dwie babki,

u których chętnie przebywała. Były to: babka Baltazowa, u której można było jeść do syta smaczny twarożek i bawić się ogromną dynią, i babka Dorkowa, która cały dzień modliła się i u której nie było nic do jedzenia, więc Zosia przynosiła sobie śniadanie w węzełku.

Zosia miała prawo wyboru, u której z babek chciała spędzić dzień.

Teraz Zosia nie potrzebowała opieki, bo sama opiekowała się swoją młodszą siostrą Lucią.

*

Lucia urodziła się pewnej styczniowej, bardzo mroźnej i wietrznej nocy.

Poprzez chichot wichury Zosia usłyszała jakiś obcy głos, jakby beczenie jagnięcia i babka Karolina potwierdziła, że to rzeczywiście młoda owieczka, a rano Zosia znalazła przy mamie zawiniątko z niemowlakiem, czym wcale nie była zachwycona. Zawiniątko bez przerwy płakało z małymi przerwami na sen i jedzenie. Zosia miała sześć lat i nie interesowało ją skąd się wzięło niemowlę. Po prostu zjawilo się w mroźną, burzliwą noc, którą Zosia zapamiętała na zawsze. Jeszcze przez wiele nocy tej zimy Feliks palił w piecach, żeby mieszkańcy tego domu, a zwłaszcza ci najmłodsi - nie zamarzli.

Potem, kiedy mróz zelżał, płaczące zawiniątko otrzymało imię Lucyna i stało się Lucią. Ceremonia odbyła się w kościele parafialnym.

Jeszcze w roku 1905 babka Karolina wracając ze Stanów Zjednoczonych przywiozła ze sobą trzy córki tam urodzone, trochę rzeczy użytkowych, a między innymi białą pikowaną kapę.

Co jakiś czas przychodziła sąsiadka bliższa, czy dalsza z prośbą:

- Pani Bielska, pożyczcie kapę, bo chcemy ochrzcić naszego Antosia lub Zosię. Były to najpospolitsze imiona na wsi.

Z biegiem lat na kapie przybywało żółtych plam i Lucyna paradowała w drodze do kościoła już w mocno upstrzonymi tymi plamami okryciu.

Ale i tak zabrała ją sobie na pamiątkę, w dorosłe życie.

*

Minęły trzy dni wytężonej pracy przy sianie, na szczęście przy sprzyjającej pogodzie, gdy pewnego ranka obudziły Zosię jakieś nieznanne odgłosy: szczęk uprzęży, tupot wielu końskich kopyt, nawoływania.

Lucia także obudziła się i obie wyrzały przez swoje małe okienko na strychu.

Wieś od razu ożywiła się, zaroilo się od żołnierzy artylerzystów.

Podoficerowie zajmowali się rozlokowaniem ludzi, koni i sprzętu.

Przez kilka godzin trwało zamieszanie, lecz w końcu zapanował ład i porządek, kuchnia dymiała na podwórku Feliksa, a kucharz już zaprzyjaźnił się z Lucią i Zosią.

Kiedy grochówka była gotowa, kucharz zaprosił dziewczynki na obiad. W zupie pływały spore kawałki mięsa i Helena powiedziała, że to jest konina i nie chciała jeść. Jednak Feliks wytłumaczył, że jeśli nawet to jest konina, to żaden problem, bo koń to jest bardzo czyste stworzenie, nawet brudnej wody nie napije się, nie to co świnia, która zjada wszelkie nieczystości. Zosia, która uważała swego tatę za najmądrzejszego człowieka na świecie i tym razem mu uwierzyła.

Odtąd, aż po dorosłe życie nie czuła żadnego wstrętu do końskich wyrobów.

W roku 1920 Feliks służył w wojsku w Żandarmerii Polowej i dlatego czuł się emocjonalnie związany z wojskiem. Znał też wielu podoficerów zawodowych w czternastym DAK-

u, z którymi utrzymywał stosunki koleżeńskie i w ich towarzystwie spędzał wieczory na pogawędkach przy kieliszku. Oficerowie nie nawiązywali raczej stosunków towarzyskich z ludźmi ze wsi. Była to dla nich za niska klasa społeczna.

Raz tylko jeden porucznik dowiedziawszy się na wsi, że Jania jest nauczycielką i posiada skrzypce, złożył jej wizytę, z prośbą o wypożyczenie instrumentu.

Jania oczywiście wypożyczyła mu skrzypce, bo sama nie była wirtuozką. Po prostu muzyka była w szkole przedmiotem obowiązkowym i Jania miała opracowanych kilka melodii, które czasem grała.

Lucia najbardziej lubiła melodię ze słowami:

„Hej, hej do kniej, hej, hej do kniej!

Bo w kniei trąbki ton
cichutko gra, aż serce drga
a trąbki ton jak dzwon.

A teraz dwie ozwały się
Jak dwoje zgodnych dusz
to nas, to nas wołają w las
my już tuż tuż, tuż tuż.”

Zosi natomiast podobała się inna melodia, lecz Jania za nie w świecie nie chciała udostępnić jej słów.

Przy nadarzającej się okazji Zosia wyszperała nuty i nie tylko przeczytała słowa, lecz nauczyła się ich na pamięć i będąc sama, przyśpiewywała sobie „...Puchowy śniegu tren w krąg roztacza swe czary...”

Zdarzyło się jednak, że Jania usłyszała śpiewanie i była z tego wielka awantura - zdaniem Zosi niezasłużona, bo w tej piosence według niej nie było niczego zdrożnego. To, że panicz przywiózł dziewczynę do swego domu - nie było niczym złym, gorzej, że ją potem wyrzucił na mróz. Tego Zosia nie mogła zaakceptować.

Żołnierze zadomowili się, zaczęły się flirty i nawet Zosię ten i ów chłopak zaczął zagadywać, co dało jej wiele do

myślenia. Jednak była jeszcze dzieckiem, chętnie grającym z koleżankami w klasy i inne zabawy.

Wojsko w dzień wyjeżdżało na dalekie poligony na ćwiczenia, natomiast wieczorami grała orkiestra, tańczono, śpiewano.

Było wesoło.

Na podwórku Feliksa stała lipa, pod którą prawie zawsze stał żołnierz z karabinem, na baczność.

Ojciec wyjaśnił dziewczynkom, że to rodzaj kary za jakieś tam wykroczenie przeciw regulaminowi wojskowemu.

- Dobrze, że przynajmniej pod tą lipą jest cień - mówiła współczująco Lucia.

Poprzez różnego rodzaju dźwięki i hałasy, bez przerwy rozlegało się z głębi wsi donośne wołanie - Kacpura !!!

Musiał to być magazynier lub intendent - fakt, że wszyscy ciągle go potrzebowali i wołali o każdej porze dnia.

Z tym Kacpurą zdarzyło się coś zabawnego, coś o czym zarówno Zosia jak i Lucia długo pamiętały.

Z jednej strony domu Feliksa mieszkał jego brat Jan z żoną, a z drugiej strony rodzina Potockich. Była to liczna rodzina: starzy rodzice, młode małżeństwo z synkiem Antosiem, dwie dorosłe panny i jeden dorosły kawaler.

Kiedy mały Antoś wracał do domu z włóczęgi po wsi, głodny i spragniony, zastawał zamknięte drzwi, zaczynał wołać kolejno członków rodziny.

Najpierw było:

- Mama, tata! - brak odpowiedzi.

- Helenka! - (ciocia) brak odpowiedzi.

- Józia! - (ciocia) brak odpowiedzi.

- Kazulu! - (stryj, imię zdrobnione od Kazimierza)

I wreszcie w ostatnim akcie rozpaczy, zebrawszy ostatki sił i energii:

- Kacpuru!

Kiedy i to wołanie nie pomagało, zbolały Antoś musiał cierpliwie czekać, aż w końcu ktoś się zjawi i zajmie się zgłodniałym dzieckiem.

Ta scenka powtarzała się regularnie każdego dnia, aż nazwisko Kacpura zostało włączone do użytku rodziny Zosi.

Np. Jania wołała - Zosia Kacpura!, a Zosia wołała - „mama Kacpura”!

Nawet do babki Karoliny przyjął się ten przydomek.

To była zabawa na całe lato, lecz gdy wojsko wróciło do koszar, Kacpura poszedł w zapomnienie.

Wiejskie chaty budowano szczytem do ulicy. Dachy były strome, co chroniło je przed zawaleniem pod zwałami śniegu. W samym trójkącie szczytu zwykle znajdowało się gniazdo os, a poniżej półeczka, na której gospodynie suszyły na słońcu sery.

Tego pierwszego ranka, gdy do wsi przybyło wojsko, większość serów zniknęła. Zosia z Lucią wyjrzawszy przez swoje okienko na strychu widziały żołnierza na koniu, który długą lancą zdejmował sery z „serowników” jadąc kolejno od chaty do chaty.

Dziewczynki zdjęły szybko swoje dwa sery i w ten sposób uratowały je.

Gdy potem opowiedziały o tym tacie, ten się tylko roześmiał.

- A niech tam sobie chłopaki zjedzą, im też się w tym wojsku nie przelewa. To samo Feliks powiedział, gdy z ich ogródka zniknęły słoneczniki, tylko że te były jeszcze niedojrzałe, więc nikt z nich nie skorzystał.

Pewnego wieczora zjawił się porucznik ze skrzypcami, które pożyczył wcześniej. Rozmawiał długo z Janią, lecz Zosi nie udało się podsłuchać o czym. A potem dał się zaprosić na zsiadłe mleko z okraszonymi ziemniakami. Potem Jania powiedziała, że się pożegnał, bo musiał wyjechać, lecz na pożegnanie zagrał jej „Białej akacji kwiat” i podarował nuty tej piosenki. Zosia oczywiście wygrzebała ze schowka nuty i nauczyła się słów piosenki, lecz tym razem nie zdradziła się z tym.

Tę krótką znajomość Jani z Porucznikiem, Zosia zakwalifikowała do serii romantycznych historii.

W rodzinie Potockich - sąsiadów Feliksa z całego rodzeństwa, Józefa była najmłodsza. Kształciła się ona w Szkole dla Dobrze Urodzonych Panien, dzięki swemu nazwisku i bratu ze Stanów, któryłożył na jej wykształcenie. Imię też zmieniła z Józefy na Józefinę i brzmiało to wcale arystokratycznie: - Potocka Józefina. Miała wtedy około dwudziestu lat i szalenie lubiła tańczyć. Jako partnerkę upatrzyła sobie Zosię i w każdej wolnej chwili wirowały po podwórku. Wtedy to Zosia nauczyła się wielu tańców. Mogły tańczyć bez muzyki, ale jeszcze lepiej, gdy w Dalnym Łużku przygrywała wojskowa orkiestra, a muzyka rozbrzmiewała na całą wieś.

*

Skwarne, letnie popołudnie. Zosia idzie miedzą pośród dojrzewającego ładu żyta. W omdlewającym upale drzy rozpalone powietrze nad srebrnymi kłosami. Cisza. Ptaki nie śpiewają, świerszcze umilkły, wiatr także usnął.

Nisko, nad znieruchomiałym łanem szybują dwa jastrzębie, leniwie poruszając skrzydłami. Jest w tym ruchu skrzydeł jakaś łagodność, wdzięk, spokój. Nie ma ani trochę agresji, nic, co przypominałoby polowanie, zabijanie. Nie nurkują w zboże po ewentualną ofiarę: one po prostu są, żyją. Coś je wystraszyło: wzbily się wyżej i odfrunęły do pobliskiego Chrustu. Chrust, to było grząskie bagno porośle olszyną, niedostępne dla ludzi, za to wymarzone siedlisko dla ptaków i drobnych zwierząt.

W dzieciństwie Zosia wierzyła też mocno, że mieszka tam Baba Jaga. W nocy słyszała jej wołanie i na nic się nie zdało przekonywanie taty, że to sowa krzyczy. Zosia nawet wołała, żeby to była Baba Jaga, bo mogła wyobrazić jak wygląda jej domek, jakie ma zwierzęta. Jak wszystkie dzieci leżąc w bezpiecznym domu lubiła trochę się bać. Wiadomo, jej tata dałby radę nie tylko kudłatej czarownicy, lecz i potężnemu smokowi.

Na to wspomnienie uśmiecha się pobłaźliwie, teraz do woli może straszyć młodszą siostrę. Sama jest na tyle dorosła, że nie wierzy w strachy.

Przyśpieszyła kroku, trzeba jeszcze posprzątać podwórko.

Każdej soboty wymiatano dokładnie podwórko z rozrzuconej słomy, opadłych liści i gałązek. Trawnik po takim sprzątaniu wyglądał świeżo i zachęcająco do odpoczynku. Śmiecie palono w piecu pod płytą kuchenną, dzięki czemu nie było na wsi śmietników.

Jedyny śmietnik, który Zosia widziała na wsi, był w ogrodzie kierownika szkoły, do której chodziła.

Dzieci chętnie chodziły na ten śmietnik, bo było można znaleźć tam różne atrakcyjne przedmioty, jak np. laurki wręczone nauczycielom przez uczniów z okazji różnych uroczystości. Chodziło głównie o wstążeczki, którymi były przewiązane laurki, bo papier najczęściej bywał rozmoczony przez deszcze. Panu kierownikowi nawet nie przyszło do głowy, że lepiej było te laurki spalić. Wyrzucanie na śmietnik wprawdzie skromnych, ale jednak dowodów pamięci oznaczało wzgardę. Przynajmniej Zosia tak to odczuwała.

Poza tym wszystkie odpady na wsi były skrzętnie zagospodarowywane.

Z popiołu drzewnego robiono ług do prania bielizny lnianej, pozostały popiół wysypywano na pola i ogrody jako nawóz.

Podwórko przy domu Feliksa było lekko pochylone od domu w stronę ulicy. Po tej pochyłości zjeżdżało się fantastycznie na sankach, na butach, czy po prostu na siedzeniu, co robiły dzieciaki z całej wsi, czyniąc niesamowity wrzask. Było to jedyne miejsce nadające się do uprawiania sportów zimowych i dzieciaki tę okazję wykorzystywały. Hałas i wrzawa towarzyszące zabawie bardzo przeszkadzały Babce Karolinie. Chcąc zniechęcić dzieci do zabawy, każdego ranka wybranym z pieca popiołem, starannie posypywała całe podwórko.

Jednak dzieciom to nie przeszkadzało.

Po godzinie po popiele nie było nawet śladu. Zostawał rozniesiony do ostatniego pyłku. Pojedynek Babki Karoliny z dziećmi trwał całą zimę, a każda ilość popiołu była zużytkowana.

Każdą, najgorszą szmatę zabierał szmaciarz, wymieniając na fajansowy talerz, lub blaszany kubek.

Każda szklana butelka była skrzętnie przechowywana, bo zawsze jeszcze mogła być do czegoś użyta a potłuczone szkło służyło do zasypywania szcurzych nor. Przeczytane od deski do deski gazety służyły do sporządzania „skrętów”, tj. papierosów.

Dziurawe garnki też wykorzystywano na różne sposoby, chociażby jako doniczki do kwiatów.

Tak więc na wsi nie było śmieci ani śmietników.

*

Kiedy nieco ochłodziło się, Jania, Zosia i Lucia uzbrojone w miotły i grabie przystąpiły do sprzątania podwórka.

Tak naprawdę, połowa podwórka należała do Feliksa, a połowa do jego brata Jana, i do kłótlivej żony Jana, Janowej. Ta ostatnia nigdy nie pomagała przy sprzątaniu, lecz zawsze była z czegoś niezadowolona.

Zresztą stosunki sąsiedzkie braci Jana i Feliksa, to temat na obszerną, oddzielną powieść. O ile dom Feliksa tętnił życiem mieszkańców i odwiedzających ich sąsiadów, młodzieży, dzieci starszych i młodszych, uczestników chóru kościelnego oraz wszelkiego rodzaju interesantów, ponieważ Feliks był sołtysem, o tyle dom Jana stał zawsze cichy, jakby w ogóle niezamieszkały, gdyby nie majacząca w oknie przez upstrzone przez muchy szyby twarz Janowej, napiętnowana grymasem złości.

Dzieci uważały, żeby nie zbliżać się zbyt do jej domu, bo zniemacka mogłoby się otworzyć okno, i na głowy dzieci mogły się posypać śmieci. Nie było wyraźnego podziału podwórka, lecz Janowa zawsze miała pretensję, że jej granica jest naruszana.

Zosia słyszała jak mówiono w domu, że złośliwość charakteru Janowej wynika z tego, że nie ma dzieci.

- Też mi powód do zmartwienia - myślała Zosia. Wielkie mi tu szczęście: najpierw ryczące zawiniątko, a potem kula u nogi starszej siostry.

Wszystkie koleżanki Zosi miały młodsze siostry, które bardzo przeszkadzały starszym dziewczynkom w ich zabawach. Kiedyś postanowiły ukarać maluchy. Wyprowadziły je za wieś do lasu i uciekły. Dzieci wpadły w panikę i rozwrzeszczane, nieprzytomnie na oślep biegły, przypadkiem we właściwym kierunku, do wsi. To była okrutna kara, co starsze dziewczynki rozumiały i nie stosowały więcej podobnych praktyk.

*

Biednej Zosi przez myśl nie przeszło, że właśnie bocian z zawiniątkiem w dziobie przefrunął nad Gibraltarem i kieruje się prosto nad ich chatę.

Pewnego dnia, a było to święto Piotra i Pawła, Helena zachorowała i od rana pozostała w łóżku. Babka Karolina powiedziała dziewczynkom, że to nic takiego, że mamę tylko boli głowa i najlepiej będzie jak sobie pójdą na cały dzień „na Młynek”, żeby mamie nie przeszkadzać. Było to najbardziej ulubione miejsce zabaw dzieci ze wsi. Struga w tym miejscu tworzyła płytkie rozlewisko - coś w rodzaju brodzika z czystą wodą na złotym piasku.

Kiedyś w tym miejscu był prawdziwy młynek, którego resztki tkwiły nad Strugą.

- Co to za budynek w lesie pod wierzbami?

Jest to wodny młynek ze swymi kołami,

a w tym młynku coś stuka, coś turkoce i puka... / - /

Teraz było to ulubione i bezpieczne miejsce zabaw dzieci.

Dziewczynki uszczęśliwione perspektywą całodziennej, beztroskiej zabawy wzięły chleba z masłem do węzła, skrzyknęły swoje przyjaciółki i poszły za wieś do swego „Raju”.

Od strony południowej Strugę ocieniał wysoki, sosnowy las, po przeciwnej stronie wznosiły się kilkumetrowe, wspaniałe, piaszczyste wzgórki - wspaniałe warunki do zabawy.

Zabawy wymyślały dzieci z całej grupy, lecz główną inicjatorką była Zosia. Ona to, jako najbardziej odczytana, wymyśliła zabawę w „Wandę, co nie chciała Niemca”. Trzeba było rozdzielić role, i każda dziewczynka chciała być Wandą, natomiast żadna nie chciała być Niemcem.

W końcu ustalono, że każda będzie w kolejnym przedstawieniu Wandą i każda Niemcem.

A więc przyjeżdżał na sękatym kiju Niemiec, prosił króla o rękę Wandy, która odmawiała, a potem rzuciła się do Wisły (Strugi) i tonęła. Niemca wypędzano, a Wandzie odprawiano wspaniałą pogrzeb.

Był tam stos ofiarny, na którym znoszono różne dary jak: kamyczki, kwiatki, co było pod ręką.

Potem sypano kopiec Wandy, a że piasku było mnóstwo kopiec był bardzo okazały. Na koniec wszystko rujnowano i cała zabawa rozpoczynała się na nowo, tylko zmieniała się obsada. Raz nawet któraś z dziewczynek złapała ciernika, których w strudze było pełno. Chciała złożyć go na stosie ofiarnym, lecz Lucia uratowała mu życie, odnosząc go z powrotem do wody.

Po latach, Zosia wspominając dziecinne zabawy w „Wandę, co nie chciała Niemca” podziękowała Bogu, że jej fantazja nie posunęła się do tego, aby któraś z kolejnych Wand naprawdę zasypać piaskiem.

Tego dnia w święto Piotra i Pawła wracali rozbawioną, szczęśliwą i beztroską gromadką. Przed pierwszym domem stała gospodyni czekając na powracające z pastwiska krowy. Ujrzawszy Zosię i Lucię krzyknęła wesoło:

- Hej, Zosia, macie braciszka!

Przez moment Zosia zaniemówiła, lecz w tym jednym momencie zdołała powiązać fakty:

Zniekształcona figura mamy, jej rzekomy ból głowy, poranny wyjazd taty wozem, na którym było przygotowane paradne siedzenie, a nade wszystko propozycja Babki Karoliny, która po prostu chciała pozbyć się dzieci z domu.

Obie dziewczynki pobiegły do domu bez tchu.

Mama leżała w łóżku blada, jakaś nieobecna i obca. Obok niej leżało zawiniątko o pomarszczonej buzi, lecz wbrew przewidywaniom Zosi - spokojnie.

- Pocałujcie mamę i braciszka - powiedziała Babka Karolina.

Zosia zrobiła to z rezerwą, natomiast Lucia wybuchła płaczem obejmując mamę i zawiniątko, które Babka Karolina nazwała braciszkiem.

Zosia wsłuchując się w płacz Luci, przypomniała jej dzieciństwo, które było JEDNYM WIELKIM PŁACZEM.

Lucia płakała w dzień i w nocy. Płakała w łóżeczku i w bujanej kołysce. Płakała na rękach mamy i babci, płakała, gdy była głodna i gdy nie była głodna. Gdy już zaczęła chodzić i mogła wdrapać się na ławeczkę stojącą obok płyty kuchennej, zwykle rano wstawiała z łóżka, sadowiła się na tej ławeczce i zaczynała płakać. Na początku rodzina usiłowała dociec przyczyny płaczu, lecz bez skutku. Lucia po prostu musiała wylać nagromadzone łzy i po godzinie lub dwóch, płacz się kończył. Czasami przez nieuwagę Lucia przypiekała sobie rękę lub nogę i wtedy płacz był w pełni uzasadniony.

W każdym razie Zosia z ulgą wychodziła do szkoły, odcinając się od domowych spraw i płaczu siostry.

*

Wrócił Feliks, który odwoził akuszerkę do domu. Zadowolony, radosny, dumny, że ma syna.

Helena długo jeszcze chorowała a z urywków podsłuchanych rozmów Zosia dowiedziała się, że poród był bardzo ciężki i omalże nie skończył się tragicznie, o co Zosia miała pretensję do braciszka, któremu dano na imię Stefan - Piotr. Całe szczęście, że były wakacje, i że była w domu Jania,

która pomagała Feliksowi we wszystkich pracach gospodarczych. Jeszcze zwożono resztki bardziej podsuszonego siana z łąk, zwożono torf, przygotowywano drzewo na opał.

Zosia była szczęśliwa, że nie musi zajmować się maluchem. Wprawdzie już go zaakceptowała a nawet polubiła, ale wolała być wolna. Starczyło jej jednej „kuli” u nogi.

Lucia była bardziej wrażliwa i uczuciowa, często płakała i obrażała się na Zosię, a raz nawet nazwała ją kłępą. Gdy sprawa trafiła do wyższej instancji, Lucia z niewinną minką powiedziała do mamy:

- Przecież kłępa to żona łosia, a nie żadne przezwisko.

Wyrok najwyższej instancji brzmiał: natychmiast się pogodzić. Dziewczynki cmoknęły się niezdarnie, trafiając sobie w nosy. Zosia jednak długo jeszcze nie mogła zapomnieć obraźliwego epitetu.

Tak więc wszystko toczyło się ustalonym trybem. Dorośli mieli swoją pracę, a dzieci wolny czas na zabawę, jednak niekiedy musiały pomagać swoim rodzicom przy pracy.

Pod lipą stał żołnierz z karabinem „słupka”, a po wsi niosło się jak zwykle wołanie: Kacpuraa !!! We wsi ciągle jeszcze obozowało wojsko.

Niepostrzeżenie nadeszły zniwa.

Cała wieś ruszyła z sierpami, ponieważ długie i wąskie zagony nie dopuszczały użycia kosy. Przez lata rodzice dzielili ziemię pomiędzy dzieci, te znowu między swoje dzieci i w ten sposób powstała prawdziwa szachownica, z której zbierano nędzne plony, wkładając w to niezmierny wysiłek, trud i czas.

W rodzinie Feliksa też ścigano się z czasem, korzystając z pogody. W domu zostawała tylko Helena z Lucią i małym Stefką, pozostali tj., Feliks, Babka Karolina, Jania i Zosia wyruszali wczesnym rankiem na pola. W południe Feliks przywoził coś do zjedzenia i dzban wody ze studni, w której był zamoczony suchar z razowego chleba. W upale woda szybko stawała się ciepła, lecz dzięki temu sucharowi nabierała

smaku i dawała się pić. Kobiety osłaniały głowy i twarze białymi chusteczkami, lecz i tak skóra opalona była na brąz.

W rozgrzanym powietrzu, bez odrobiny cienia, trzeba było wytrwać przez cały dzień, aż do zachodu słońca.

Zosia myślała, że większej katorgi nie ma na świecie, że to już samo dno męki, dopóki nie przeczytała szkolnego opowiadania Jani.

Przypadkiem znalazła jej szkolny zeszyt i przewertowała go od pierwszej do ostatniej kartki, a potem jeszcze raz z uwagą przeczytała wypracowanie zatytułowane „Radość pracy”.

Jania opisywała właśnie taki jeden dzień znojnjej, fizycznej pracy, potem uzasadniała jej cel i pożytek. Na koniec opisała rozkosz wypoczynku, kąpiel w chłodnej wodzie i zdrowy sen - wolny od majaków i widziadeł.

Zosia po przeczytaniu tych osobistych wynurzeń Jani, nabrała innego stosunku do pracy, wzniosła się jakby wyżej o szczebel społeczny a co więcej - odnalazła w tym wszystkim romantyzm (romantyzm pracy - pomyślała).

- Myśl pozytywnie - powiedziała kiedyś Jania i oczywiście musiała objaśnić znaczenie słowa - „pozytywnie”.

Jania była ideałem w oczach Zosi, a także Luci. Wierzyły we wszystko, co powiedziała, bo jak sama mówiła, nauczycielkom nie wolno kłamać.

- Myśl pozytywnie - powtarzała odtąd Zosia w sytuacjach ekstremalnych.

Słońce piecze - wolno mu, bo jest lato.

Deszcz pada - niech pada i ożywia ziemię.

Wiatr wieje - proszę bardzo, osuszy ziemię i rozsiej nasionka.

I tak bez końca: cały świat i całe życie człowieka składa się z części zależnych od siebie i idealnie do siebie pasujących.

- Dlaczego boisz się żaby? - pytała Jania. - Ona jest taką samą cząstką świata jak ty, i jest tak samo ważna w przyrodzie jak ty - mówiła do Zosi.

- A jak mam myśleć o burzy? - nie dawała za wygraną Zosia.

- Chron się przed nią, lecz jej nie przeklinaj.

*

Charakterystyczną postacią we wsi była Zuzanna. Była samotna, nie miała domu, chociaż była właścicielką dużej gospodarki. Przed pierwszą wojną światową wyjechała z rodziną do Rosji, gdzie podczas rewolucji wszyscy zginęli, pozostawiając Zuzannę samotnie mieszkającą w Baku.

Gdy po kilku latach wróciła do Polski, jej gospodarkę przywłaszczyli dalecy krewni i Zuzanna żyła na łasce sąsiadów, pomagając dorywczo przy pracach polowych. Często pracowała i spała u Feliksa. Zosia lubiła słuchać jej opowiadań o niezwykłych przygodach w Baku (z akcentem na u). Miała swoje jedyne zdjęcie w stroju kozackim i w papasze i była na tym zdjęciu jak... Zosi zwykle brakowało słów, żeby określić jej piękność. W każdym razie Zosia nie widziała piękniejszej kobiety w całym swoim życiu.

Jeśli ktoś miał wątpliwości, co do jej opowiadań - miała zwyczaj mówić:

- Jaż wiem, jaż była w Baku!

To powiedzenie wrosło w atmosferę rodziny Feliksa i było używane na co dzień.

Kiedy ktoś chciał poprzeć swoje zdanie, mówił:

- Jaż wiem, jaż była w Baku!

Po wielu latach, już po śmierci Zuzanny, jej powiedzenie było ciągle jeszcze w rodzinie Zosi używane a jej piękność zapadła na zawsze w pamięć.

*

Czas mijał nieubłaganie, już przeszła połowa wakacji, a Jania nie miała żadnych widoków na pracę. To niepowodzenie zaważyło na domowej atmosferze. Jania często wyjeżdżała, lecz nigdy nie wracała z pogodną miną zwiastującą pomyślne załatwienie sprawy.

Zresztą nie tylko Jania nie miała pracy. W tym czasie trwała wielka wędrówka ludzi poszukujących jakiegokolwiek zajęcia. Trwał wielki kryzys i wielkie bezrobocie.

Tysiące ludzi przemierzało Polskę wzdłuż i wszerz, oczywiście na piechotę. Feliks był sołtysiem i do jego obowiązków należało zapewnić nocleg i posiłek ludziom, którzy w swojej wędrówce zatrzymywali się na wsi. Sołtys prowadził ludzi kolejno do poszczególnych domów, gdzie nieraz niechętnie przyjmowano nieproszonych gości, których nie było czym nakarmić.

Pewnego razu rozwścieczony mężczyzna chciał podpalić dom sołtysa, za to, że mu wyznaczył nieodpowiednią kwaterę.

Czasami też Feliks zostawiał kogoś w swoim domu, żeby pogadać i dowiedzieć się światowych nowinek. Z tych rozmów Zosia dowiedziała się o wielkim światowym kryzysie, głodzie panującym na świecie, o wielkich bankrutach, samobójstwach spowodowanych utratą majątków.

Poszukujący pracy to nie tylko robotnicy, lecz także i ludzie wykształceni, inteligencja, zjednoczeni w jednej wielkiej tragedii.

Jeden z nich zainteresował się szkolnym obrazkiem Zosi, wyrażał się o nim fachowo, z czego Zosia zrozumiała, że ma talent i powinna zostać malarką. Mogła więc teraz marzyć bez końca i wymyślać dla siebie wspaniałą przyszłość.

*

Pewnego dnia Lucia obudziła się z płaczem. Mama zaniepokoiła się, bo dawne, dziecięce poranne koncerty już dawno poszły w zapomnienie.

Zaczęto wypytywać o co chodzi, lecz w miarę wzrostu zainteresowania, płacz stawał się coraz głośniejszy.

Na koniec Lucia wyszłochała do ucha Jani, że bolą ją plecy.

Przerażenie ogarnęło Helenę, Janię i Babkę Karolinę a u Zosi dodatkowo ożyły wyrzuty sumienia. Czyżby to był nawrót choroby?

Przypomniała sobie, jak to przed rokiem zawędrowała z koleżankami i Lucią na oborę swego taty, chociaż właściwie nie było tam nic ciekawego.

Z nudów Zosia wdrapała się na poziomą belkę bramy i rozkazała Luci popychać bramę, bo chciała się pohuścić.

Obok na ścianie stodoły na żelaznym haku wisiały żelazne zębate brony.

W pewnym momencie rozkołysana brama uderzyła w wiszące brony i jedna z nich zaczęła spadać.

Spadała i spadała nieskończenie długo a na dole była Lucia. Potem był krzyk dzieci, płacz Luci i z pierwszą pomocą przybiegła Babka Karolina. Zdjęto bronę z dziecka - na szczęście głowa trafiła pomiędzy zęby i nie była uszkodzona, innych obrażeń też nie znaleziono, oprócz niewielkiego sińca na kręgosłupie, na wysokości bioder.

- Chwała Bogu cieszyli się wszyscy, a najbardziej Zosia, która dostała ogromną i zasłużoną burę.

- Gdy dziecko upada, anioł poduszkę podkłada - powtarzała Babka Karolina, lecz tym razem pomyliła się.

Lucia rozchorowała się na dobre. Na kręgosłupie, w miejscu gdzie był siniec powstało bardzo bolesne zgrubienie. Dziecko nie jadło, nie spało, przestało chodzić. W nocy leżała na Babce Karolinie plecami do góry. W dzień bez przerwy była noszona na rękach.

Mimo, że w domu w dalszym ciągu nie było pieniędzy i trzeba było zaciągać dalsze długi, Lucię zawieziono do lekarza.

Rokowanie było jednoznaczne: śmierć, lub trwałe kalectwo. Oczywiście lekarz przepisał jakieś leki w zastrzykach i nawet przeszkolił Feliksa, żeby sam mógł je robić.

Gdy przychodziła godzina wykonania zastrzyku Babka Karolina trzymała małą, wszyscy inni uciekali do innej izby, a Feliks zanim zdecydował się na ukłucie, zalewał się łzami.

Wieczorami, gdy już wszyscy spali i w domu panował względny spokój nieprzerwany jękami i szlochem chorego dziecka, Helena klękała wraz z Zosią do modlitwy. Najpierw Zosia modliła się szczerze i żarliwie, potem zaczynała się męczyć, ogarniał ją sen i była zła na mamę, że modlitwy za długo trwają. Jednak mama była bezwzględna dla sprawczyni choroby Luci i trzymała ją w pozycji klęczącej aż do końca pacierzy. Wypadek Luci miał miejsce w jesieni, a choroba trwała całą zimę. Było jeszcze kilka wizyt u lekarza, który wprawdzie wykluczył śmierć, lecz nie wykluczył kalectwa.

Tymczasem pewnego, wiosennego dnia, jak zwykle na płycie kuchennej perkotały ziemniaki dla świń, Helena i Babka Karolina przędły na kołowrotekach, Lucia leżała na łóżku babki w kuchni a Jania czytała jej jakąś bajeczkę, wróciła Zosia ze szkoły. Izba była zalana światłem niskiego słońca, a cały widok rodziny był tak bliski sercu.

W tym momencie Lucia, ucieszona powrotem siostry, naraz przesunęła się na brzeg łóżka, spuściła nogi na podłogę i niepewnie ruszyła w kierunku Zosi. Zachwiała się, o mało nie upadła, na szczęście Jania zdążyła ją podtrzymać.

Jeszcze nie wymyślono słów, które mogłyby opisać to, co się potem działo. Wszystkie kobiety płakały. Helena leżała przed obrazem Matki Boskiej. Jania tańczyła z Lucią w objęciach, a Zosia poszła do drugiej izby, żeby spokojnie się wypłakać.

Od tego dnia Lucia zaczęła się uczyć chodzić a gdy już opanowała tę sztukę, Babka Karolina zawiozła ją do doktora, który nie chciał uwierzyć w to cudowne wyzdrowienie. Późniejsze wizyty potwierdziły, że Lucia jest zdrowa a bóle po jakimś czasie miną.

*

Jak to zwykle w życiu bywa, po nocy następuje dzień, po słońcu- pogoda, a dzieci nie potrafią długo przeżywać jednego zmartwienia. Zosia w wyniku lektury o Indianach, postanowiła przy pomocy Jani, obdarzyć całą rodzinę indiańskimi imionami. Luci nie było przy tym, a kiedy wróciła dowiedziała się, że mama otrzymała imię Słoneczny Promyk, Zosia - Poranna Rosa, Jania - Ciepły Deszczyk, tata - Ryczący Byk, a ona - Lucia - Skórzana Pończocha.

Tego było już za wiele. Lucia uderzyła w płacz i płakała tak długo, aż została przechrzczona na jakiś tam Słowiczy Śpiew. Jednak długo miała do siostry pretensję o taką zniewagę. W tej książce o Indianach występowała biała dziewczyna, młoda i nie wiem dlaczego jej imię - Kate Malone - przypadło Babce Karolinie. Nie mając pojęcia o języku angielskim wymawiano jej imię i nazwisko tak jak się pisze: Kate Malone.

To była zima, w czasie której Janina nie mając pracy, musiała siedzieć w domu i z nudów wymyślały z Zosią różne psikusy.

Jania była z natury wesoła i dowcipna, przy tym nie pozbawiona optymizmu. Bardzo mocno wierzyła, że dostanie pracę. A z imion nadanych rodzinie, na stałe przyjęło się tylko babki Karoliny - Kate Malone, chyba na zasadzie kontrastu: Kate Malone była bardzo młoda, a babka w pojęciu dziewcząt - bardzo stara; i to wszystkich bawiło.

Zosia lubiła zimę. Czym więcej śniegu, tym lepiej, czym większy mróz, tym przyjemniej siedzieć przy rozgrzanym piecu.

Szkoła powszechna, siedmioklasowa, mieściła się w czterech izbach, w czterech oddzielnych domach. Zosia miała swoją klasę w domu stryja Jana, obok swojego domu a więc bardzo blisko. Pozostałe klasy mieściły się w bardziej oddalonych domach i pewnej wiosny, gdy nastąpiła gwałtowna odwilż po bardzo śnieżnej zimie, wieś leżąca w pradolinie rzeki - została podtopiona i Feliks musiał prznosić Zosię przez ulicę „na barana” do szkoły i ze szkoły.

Sąsiad, a właściwie stryj Zygmunt, który miał stodołę po drugiej stronie ulicy przepływał balią (dawne okrągłe koryto do prania) z domu do stodoły.

Zosia była dobrą uczennicą a po latach zrozumiała, że tak było dzięki dobrym nauczycielom. W tak prymitywnych warunkach, prawie bez pomocy naukowych potrafili nauczać dzieci najlepiej jak tylko mogli. Wynik egzaminu do gimnazjum, który zdawała Zosia i jeszcze jeden chłopak, potwierdził pracę i wysiłek wiejskich nauczycieli. Dzieci zdały z najlepszymi wynikami, z całej startującej młodzieży.

Zosia lubiła szkołę, jeśli nie chorowała, nie było mowy o opuszczaniu dni nauki.

Szkoła była siedmioklasowa, a mieściła się w czterech izbach, więc klasy musiały być łączone. Pół godziny lekcyjnej nauczyciel pracował z jedną klasą, a druga klasa miała w tym czasie zajęcia tzw. ciche. Następnie przez pół godziny było na odwrót. Nie stosowano zajęć na drugą zmianę. Ale i tak dzieci nauczyły się wszystkiego, co przewidywał program a jeszcze więcej, bo na każdą uroczystość przygotowywano tzw. komedijki, obchody rocznicowe, jasełka. Nauczyciele i dzieci mieli pełne ręce roboty.

Zosia grała rolę Kopciuszka, Matki Boskiej w jasełkach a nawet śpiewała pieśń Solwegi w jakimś dość zaangażowanym widowisku.

Dorośli mieszkańcy wsi też mieli swój zespół teatralny i przy pomocy nauczycieli wystawiali różne sztuki. Każda premiera gromadziła w remizie strażackiej wszystkich mieszkańców wsi. To było wydarzenie! Zespół wyjeżdżał też gościnnie do innych wsi. Zosia lubiła patrzeć jak cała kawalkada sań z aktorami, rekwizytami i obsługą jedzie przez jej wieś, przy wtórze dzwonek umocowanych przy każdej uprzęży. Tłum dzieciarni odprowadzał sanie aż do końca wsi a potem były tylko dzwonki coraz cichsze, aż zupełnie milkły i dzieci wracały do swych domów.

Zosia była szczególnie dumna ze swego taty. Był on sołtysiem, naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej, śpiewał

w chórze kościelnym i występował w teatrze. Teatr był czynny tylko w okresie zimowym: wiosną i latem nie było na to czasu.

Tak więc życie na wsi kipiało nie tylko pracą, ale także rozrywką kulturalną.

Bliskość Twierdzy Osowiec, gdzie kwaterowało wojsko - Korpus Ochrony Pogranicza - miała też swój wpływ na styl życia mieszkańców wsi. Dziewczyny naśladowały sposób ubierania się i zachowania pań oficerowych i podoficerowych. Nawiazywały się sympatie pomiędzy wojskowymi i cywilami a ponadto Osowiec, to był rynek zbytu na artykuły spożywcze, wytwarzane na wsi.

*

Feliks był najmłodszym dzieckiem Szczepana i Marianny Klimaszewskich. Miał dwóch starszych braci: Jana i Władysława oraz siostrę Olesię, która była najstarsza.

Po wczesnej śmierci Marianny Olesia zajęła się domem i chłopcami. W tamtych czasach na wsi dominowały nazwiska: Klimaszewscy i Bielscy. Żeby ich jakoś rozróżnić i wiedzieć kto jest kto, nadawano przezwiska i przydomki. Synowie Szczepana to byli Szczepaniuki. Szczepan miał przydomek Draj. Jak wiadomo Karolina i Szczepan byli sąsiadami i mieli wspólne podwórko i tak samo nie lubili dzieci, które upodobały sobie to podwórko do zabawy. Karolina walczyła z dziećmi przy pomocy popiołu, a Szczepan miał zwyczaj od czasu do czasu przepędzać dzieci krzykiem:

- Wynoście się stąd! Liczę do trzech i żeby wasza noga tu nie powstała!

I nie wiadomo dlaczego zaczynał liczyć w języku niemieckim.

- Ein, zwei, drei! Dzieci pierzchały jak stado wróbli, lecz gdy tylko dziadek Szczepan zniknął z pola widzenia, wracały na swoje ulubione podwórko. I tak dziadek Szczepan został starym Drajem.

Potem Władysław wyemigrował do Stanów, Olesia wyszła bogato za męża do innej, odległej wsi, Feliks został zięciem Karoliny, a Jan pozostał na ojcowiznie z żoną Janową, której

Zosia bardzo się bała, a wszyscy inni nie lubili jej, bo była bardzo kłótniwa.

Karolina wyszła za mąż za Antoniego Bielskiego, który wkrótce po ślubie wyjechał do Stanów i zabrał do siebie Karolinę. Po ośmiu latach pobytu w Stanach urodziły się im trzy córki i wtedy postanowili wrócić do kraju. W kraju urodziły się następne dwie córki i wtedy Antoni zateśknął za Stanami i wyjechał powtórnie, tym razem już na zawsze. Karolina pozostała sama z córkami. Rozpaczliwie potrzebowała gospodarza, mężczyzny, robotnika.

Nie wiadomo z czyjej inicjatywy doszło do małżeństwa Heleny Bielskiej z Feliksem Klimaszewskim. Pannie młodej brakowało dwóch miesięcy do pełnych szesnastu lat. Na szczęście Feliks był o dziewięć lat starszy, a więc tylko jedno dziecko było w tym małżeństwie. I choć małżeństwo to zostało skojarzone ze względów praktycznych, to okazało się stałym kochającym i szczęśliwym. Feliks był opiekuńczy w stosunku do swojej młodej żony, starał się ją oszczędzać i wyręczać w pracy.

W miarę jak starsze córki Karoliny, urodzone w Stanach osiągały pełnoletność, wyjeżdżały kolejno do kraju swego urodzenia. Na miejscu została Babka Karolina, z córką Heleną i z zięciem Feliksem, z córką Janiną i nowonarodzoną wnuczką Zosią.

Feliks był człowiekiem mądrym, a nawet wykształconym jak na tamte czasy. Ukończył szkołę rosyjską, znał język rosyjski w mowie i piśmie,

*

Przez sześć lat Zosia była jedynaczką, ulubienicą wszystkich. Nawet stryj Jan pod nieobecność swojej żony Janowej, wtykał do Zosinego fartuszka jakiś owoc lub cukierek. Zosia wtedy rozglądała się mimo woli, czy nie ma w pobliżu Janowej. Teraz w jesieni stryj Jan przynosił ze wsi wspaniałe gruszki, którymi obdarowywał Zosię. Pewnego razu Janowa zauważyła to

a potem Zosia słyszała w ich domu straszną awanturę - głównie krzyki i brzydkie słowa Janowej.

Od tej chwili na widok stryja Jana wracającego ze wsi Zosia chowała się w domu lub uciekała do koleżanek.

W tej części wsi ulica była bardzo szeroka. Rosły na niej dwa rzędy topoli i były też przepiękne trawniki pod nimi. Gdy wieczorem Zosia wracała od swojej najlepszej koleżanki Łodzi, która mieszkała „za drogą”, ulica wydawała się nieskończenie szeroka. Koleżanka z progu swego domu krzyczała dla dodania Zosi odwagi:

- Leć, leć - aż do chwili, kiedy rozległ się trzask zamykanych przez Zosię drzwi. Ulica była już wprawdzie poza nią, ale jeszcze długa, zupełnie ciemna sień pozbawiała ją resztek zdrowego rozsądku i wpadała do izby nieprzytomna ze strachu.

W tamtych czasach ulubionym tematem rozmów dorosłych były strachy. Jak się zejdzie kilka osób do sąsiadów „na kominki”, zaraz snują się opowieści prawdziwe i zmyślane, lecz zawsze niesamowite. Zosia z drżeniem, lecz i z upodobaniem słuchała tych bajd a potem sama je przeżywała.

Była święcie przekonana, że w chruście za stodołą mieszka Baba Jaga, która w dzień siedziała cicho, natomiast w nocy wołała:

- Pójdź ! Pójdź !

Wołanie narastało do przeraźliwego krzyku wypełniającego ciszę panującą wokół. Zosia drżała w łóżku i starała się zasnąć, żeby nie słyszeć wołania.

W dzień szła do stodoły i wyglądała przez malutki otwór w ścianie, służący do wietrzenia klepiska. Spoglądała na ten złowrogi chrust i myślała z sercem mdlejącym z trwogi, że gdyby teraz Baba Jaga na nią zawołała, to ona wcale by się nie bała. Nie czekała jednak tak długo i wycofywała się cichutko ze stodoły. Pomiędzy chrustem a stodołą były posadzone ziemniaki.

Zosia chodziła tam z Mamą lub babką Karoliną i z trwożną

ciekawością patrzyła na zwartą masę zielonych olszyn i krzewów. Wyobrażała sobie domek na drzewie, na dachu sowy i jastrzębie, a dookoła jadowite węże. Wewnątrz oczywiście czarny kocur i miotła do latania. Ten niesamowity scenariusz w dzień nie wydawał się taki straszny, lecz przychodziła noc, wołanie powtarzało się niezmiennie:

- Pójdź! Pójdź!

Pewnego razu Feliks powiedział, że był w chruście wyciąć kilka kołków i zauważył, że jest tam dużo dojrzałych malin. Babka Karolina zaraz nałożyła długie buty, wzięła dzbanek i poszła. Poszła sama! Zosia z przerażenia nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Wyobrażała sobie, że Baba Jaga porwała babkę Karolinę i więzi w swoim domku. Potem przyszło jej na myśl, że może babkę pogryzły jadowite żmije. Na dodatek nadeszła burza, rozpętały się grzmoty i błyskawice z potężną ulewą. Zosia rozplakała się ze strachu i zaczęła błagać ojca, żeby poszedł na poszukiwanie zaginionej babki. Ale ona zdążyła przyjść już sama. Zmoknięta, ale zadowolona z pełnym dzbankiem malin.

Zosia uspokoiła się i poszła na ulicę obejrzeć topolę strzaskaną przez piorun. Na początku jesieni Baba Jaga przestała nękać Zosię wołaniem, pojawiły się za to nowe strachy. Zosia spała w łóżku w kuchni, a w pokoju obok Jania odrabiała lekcje przy naftowej lampie. Przez lekko uchylone drzwi wpadała odrobina światła, która jednak nie rozpraszała mroku w kuchni.

Zosia leżała z głową schowaną pod pierzyną a kiedy ostrożnie wyglądała widziała dwa ogromne psy stojące przed łóżkiem, kiwające głowami.

Natychmiast dawała nurka pod pierzynę trzęsąc się ze strachu. Spocona, znowu wyglądała jednym okiem sprawdzając czy jeszcze są. Były. Były tak długo, aż litościwy sen wybawiał Zosię od strachu.

Kiedy odeszły psy pojawił się nowy strach. Pewnego razu przyśnił się Zosi następujący sen: tunel, labirynt, strop podparty lasem stempli i rusztowań i w tym wszystkim tylko

ona i nieboszczyk - dziadek, którego Zosia wcale nie знаła, bo zmarł przed jej urodzeniem. Dziadek nieboszczyk gonił Zosię, usiłując ją złapać, ona rozpaczliwie szuka wyjścia z tego labiryntu i w momencie, kiedy słyszy oddech nieboszczyka, budzi się ze snu spocona i przerażona.

Ten sen powtarzał się co noc z precyzyjną dokładnością przez długi czas. Zosia kładła się do łóżka jak skazaniec idący na szubienicę, i nie przyszło jej do głowy, żeby z tym zmartwieniem zwrócić się do mamy.

Pewnego razu Zosia usłyszała jak Babka Karolina rozmawiała z sąsiadką na temat nieboszczyków. Nastawiła uszu i przysłuchując się rozmowie dowiedziała się, że nieboszczyki śnią się tym, od kogo potrzebują modlitwy. Tego wieczoru Zosia długo modliła się za niedobrego dziadka - nieboszczyka. Znane sobie modlitwy powtarzała po kilka razy i to z całego serca, jak najszczerzej. Pomogło. Dziadek nie przyśnił się więcej Zosi. Dla pewności modliła się jeszcze przez kilka dni, a potem zapomniała o całej sprawie.

Swoją prababkę - zwaną przez wszystkich babką Rafalkową, Zosia zapamiętała jako bardzo pomarszczoną drobniutką staruszkę, zawsze siedzącą na ławeczce przed swoim domem i otoczoną wianuszkiem dzieci, którym opowiadała różne niesamowite historie.

Niektóre bajki bywały z morałami, jak na przykład ta o dziewczynce, która lubiła spać nago.

A więc do tej dziewczyny przez kilka nocy przychodziła mara (zjawa) i mówiła:

- Mięso jest, noża nie ma.

Dziewczyna nie mogła zrozumieć o co chodzi i bardzo się bała. Pewnej nocy położyła się do łóżka w koszuli. Tym razem mara, która się zjawiła jak zwykle, lecz z nożem w ręce, powiedziała:

- Nóż jest, mięsa nie ma.

Dziewczyna zrozumiała, że chodziło o jej nagość i od tej pory spała w koszuli, a mara przestała ją nawiedzać. Na skutek

tej bajki Zosia co wieczór błagała mamę o jak najdłuższą koszulę nocną, co zresztą wcale nie uwalniało jej od strachu.

Kiedy babce Rafałkowej było szczególnie smutno, szła na strych i tam modłać się i płacząc, prosiła swego nieboszczyka męża, aby przyszedł i pocieszył ją. Pewnego razu, gdy szczególnie mocno wzywała męża, dały się słyszeć kroki na schodach prowadzących na strych.

W domu nie było w tym czasie żywej duszy, więc babka Rafałkowa zrozumiała, że na jej wezwanie zjawia się duch męża. W momencie, kiedy to sobie uświadomiła, wystraszyła się spotkania z nieboszczykiem i zaczęła wołać przerażona:

- Antoni już nie trzeba, już nie przychodź, wracaj tam skądś przyszedł.

Kroki umilkły.

Babka Karolina powiedziała, że to nie był żaden Antoni tylko pies.

U Rafałowskich były takie psy, które potrafiły chodzić po drabinie.

Babka Karolina była bardzo odważna: nie bała się żadnych duchów, żadnych czarów, ani nawet złodziei, lecz w tym przypadku Zosia była skłonna wierzyć raczej babce Rafałkowej.

Znowu zamiast spokojnie spać, nasłuchiwała kroków w sieni na drabinie. A nuż jakiś nieboszczyk zechce do niej przyjść ?

Wszyscy wiedzieli, że w lesie na Morgowej Górze straszyl diabeł, który przybierał postać czarnego barana, lecz tylko jeden stryj Zygmunt miał możliwość go spotkać.

A oto co mu się przydarzyło pewnej nocy, gdy wracał do domu z Osowca.

Noc była cicha i bardzo jasna. Właśnie księżyc miał swoją pełnię. Konie szły lekkim klusem, a Zygmunt rozmyślał o jakichś tam swoich sprawach. Wstążka szosy w obramowaniu wierzb, poprzecinana pasmami cienia i światła, widoczna była daleko. Bagna rozłożone po obu stronach szosy, były zalane powodzią światła. Tym groźniej na

tle tej jasności odcinała się ciemna ściana lasu. Wraz ze zbliżaniem się tej ciemnej ściany szosa zaczęła piąć się w górę. Jeszcze po kilku krokach konie przeszły w stępa, bagna zostały w tyle i Zygmunta ogarnął las. Pociemniało. Po kilku minutach wóz osiągnął szczyt Morgowej Góry. Właśnie woźnica wstrząsnął lejcami chcąc poderwać konie w kłus, gdy te szarpnęły wozem, stanęły dęba, a kiedy opadły kopytami na szosę i znowu szarpnęły do przodu, Zygmunt z ogromnym zdziwieniem spostrzegł, że nie mogą ruszyć wozu.

- Wilk, czy zajęć spłoszył konie ? - pomyślał zdziwiony i przestraszony.

Obejrzał się poza siebie na wóz i zmartwił. Na wozie siedział ogromny czarny baran i z jarzącymi oczami wpatrywał się w człowieka. Trwało to kilka sekund, długich jak wieczność. Jednak Zygmunt dzięki babce Rafałkowej był obeznany ze zjawiskami nadprzyrodzonymi i umiał sobie z nimi radzić. W kieszeni zawsze nosił kredę święconą w święto Trzech Króli. Ponadto wiedział, że wszelkie złe moce tracą swoją siłę wraz z wybiciem godziny dwunastej. Zeskoczył więc z wozu, szybko narysował święconą kredą duży krąg wokół koni, a w mniejszym sam stanął. Tak zabezpieczony nie bał się diabła i czekał spokojnie aż minie dwunasta. Nie miał zegarka a jedynym miernikiem czasu mógł być jedynie kogut w najbliższej wsi. Długo biedak czekał. Wiejskie koguty mają czasami twarde sen i budzą się daleko po północy. W końcu jednak Zygmunt zauważył, że na wozie nie ma nieproszonego gościa i już bez przeszkód dotarł do domu.

Babka Karolina i tę historię potraktowała sceptycznie. Powiedziała:

- Zygmunt wioził kradzione rzeczy z Osowca (pierwsza wojna światowa) i pod wpływem strachu miał przywidzenie.

Wiele razy Zosia jeździła drogą przez Morgową Górę i czasami nawet wieczorem, gdy jechali na dworzec kolejowy po Janię, lecz nigdy nie zdarzyło się jej przeżyć niesamowitej

przygody. Miejsce to było tak piękne, że w ogóle nie nadawało się na siedlisko złych mocy.

*

Wiadomo, że chrust był ponury i mieszkała tam Baba Jaga, natomiast w Gaju zawsze świeciło słońce. Wprawdzie latem Gaj był dla dzieci niedostępny, ponieważ było mokro i grząsko, za to cudownie było tam zimą. Z chwilą, gdy opadały ostatnie liście z drzew i krzewów, a potem zamarzała woda, Gaj stawał się przejrzysty i dostępny. Stawało się nagle barwnie i świetliście, jak w kryształowym pałacu. Bo w Gaju zawsze świeciło słońce.

Jego promienie załamywały się w ostrych igiełkach szronu, skrzyły się na cienkiej tafli lodu a dojrzałe żurawiny, które znalazły się pod lodem zamieniały się w drogocenne rubiny. Dopóki śnieg nie przyprószył lodu, widać było niezwykle rośliny zamrożone w przejrzystej wodzie.

W pamięci Zosi zostały tylko same najcudowniejsze zimy, jak choćby ta, którą ona najlepiej pamięta: W Gaju ledwie, ledwie poproszył śnieg. Lekki mróz, a raczej przymrozek. Gaj ożywiły dźwięczne głosy wesołej gromadki dzieci. Na najbliższym krzaku porozwieszały swoje ciepłe okrycia i dalej buszować po czarodziejskich ślizgawkach. Od olchy do olchy, od krzaka do krzaka, od rana aż do zachodu słońka. Słońko tak samo wesoło bawiło się z dziećmi, a gdy szło spać, dzieci bez sprzeciwu wracały do domów. Jedynym dowodem, że paltko Zosi cały dzień wisiało na krzaku zamiast na jej plecach, był uporczywy kaszel w nocy, który babka Karolina musiała leczyć wywarem z malinowych łodyg.

*

Pierwsza wzmianka o nadchodzących Świętach Bożego Narodzenia wyszła z ust Babki Karoliny.

Pewnego razu powiedziała:

- A ja już mam odłożone dziesięć jajek i garnuszek masła na świąteczne pierogi.

Wkrótce Feliks przywiózł z miasteczka worek pszennej mąki. Wszyscy ją oglądali, brali między palce, dziwili się jaka biała i miła.

- Wołyńska - powiedział Feliks z dumą, jakby sam ją wyprodukował.

W warunkach ówczesnych, gdy pola były pocięte w szachownicę, nie uprawiano pszenicy, a tylko żyto na chleb i na mąkę, tak zwaną pytlową.

Z rzadka Helena wysyłała Zosię do sklepu na drugi koniec wsi, po kilogram, a częściej pół kilograma mąki na niedzielną jajecznicę.

A tutaj taka obfitość, worek mąki! Całe pięć kilogramów!

Następnie Jania przywiozła papierowe główki aniołków w arkusikach, a wtedy Babka Karolina przyniosła ze strychu ogromny karton z ozdobami choinkowymi, aby je odnowić i uzupełnić nowymi.

Każdego wieczora rozkładano pudło i zaczynała się najmilsza ze wszystkich na świecie praca.

Kiedy Zosia była jeszcze mała, wolno jej było tylko sklejać papierowe łańcuchy.

Po kilku latach to Lucia była mała i sklejała papierowe łańcuchy, a Zosia wspięła się o szczebel wyżej i kleiła aniołki lub mikołaje, dorabiając do kupionych główek odpowiednie stroje. Jania robiła pajacyki z wydmuszek, języki z kolorowego papieru, koszyczki z cynfolii, w których były prawdziwe orzechy włoskie, a każda nowa zabawka wydawała się piękniejsza od poprzednich.

Jania kupiła świeczki i zimne ognie oraz łańcuchy z błyszczącego szychu.

Przez dwa tygodnie, każdy wieczór był świętem.

W dzień robiono porządki w mieszkaniu i wielkie pranie. I chociaż to były czynności powszednie, to w okresie przedświątecznym stawały się wyjątkowe.

W połowie grudnia chwycił mróz, a potem spadł obfity śnieg. Od razu zrobiło się świątecznie.

Rozpoczął się sezon sportów uprawianych na podwórku Babki Karoliny i jej nieskończona walka z rozwrzeszczaną gromadą małych sportowców.

Feliks wybrał się saniami do lasu i przywiózł dorodną zieloną i wysoką aż do sufitu choinkę, a przewidując sytuację na wszelki wypadek wyciął jeszcze jedno drzewko o wiele mniejsze.

I rzeczywiście, kiedy duża choinka już została ubrana i stała w kącie dużego pokoju pyszniąc się bogactwem ozdób, zazdrosna Zosia zapragnęła mieć choinkę swoją własną, w swoim pokoju. Jej życzenie zostało szybko spełnione. Ojciec przyniósł małą zgrabną choineczkę, którą przedtem ukrył w stodole.

Z oczu Luci polały się obfite łzy. Ona nie jest najgorsza, ona też chce mieć własną choinkę i płakała dotąd, aż Feliks z obciętych gałęzi skonstruował coś w kształcie choinki, czym w końcu uspokoił Lucię.

I tak: w dużym pokoju stała duża choinka Jani, w mniejszym pokoju wisiała choineczka Zosi, a w kuchni wisiała mała choineczka Luci.

- A gdzie moja choinka, mamy i babki - dopytywał się Feliks.

Okazało się, że tylko Jania pozwoliła wszystkim uważać swoją choinkę za własność ogólną.

Na choince oprócz ozdób papierowych wisiały małe czerwone jabłuszka, cukierki i domowe ciasteczka o różnych kształtach.

Te spożywcze ozdoby sprawiły, że choinka, która stała przez cały karnawał, stopniowo chudła, w miarę jak dzieci zaczynały podjadać cukierki i ciastka. Lecz teraz nie przyszłoby nikomu do głowy zerwać z choinki choćby najdrobniejszy smakotytek.

Babka Karolina wygrzebała z kufra kantyczkę, czyli śpiewnik z kolędami, bardzo stary, oprawiony w skórę egzemplarz, który stał się z czasem bezcenną pamiątką rodzinną. Niektóre kolędy i pastorałki były bardzo wesołe,

a nawet śmieszne i dzieci z upodobaniem je śpiewały, powtarzając melodie zasłyszane u Babki Karoliny.

W Wigilię już o świcie Babka Karolina rozczyniała drożdżowe ciasto, które rosło sobie przy ciepłym piecu. W piecu chlebowym paliły się polana tak długo, aż według Babki Karoliny piec osiągnął odpowiednią temperaturę. Wtedy ciasto drożdżowe już wyrośnięte i włożone do blaszek, wjeżdżało na specjalnej drewnianej łopacie do pieca. Kiedy minął określony czas, na tej samej łopacie wyjeżdżały z pieca ogromne, rumiane buły wyrośnięte poza blaszki.

Po całym domu rozchodził się zapach wanilii i świeżego białego pieczywa.

Piekły się jeszcze jakieś mięsiwa, które też apetycznie pachniały, lecz mowy nie było o uskubnięciu choćby kawaleczka.

W Wigilię panował ścisły post.

Na obiad Helena podała tylko kluski z makiem i specjalnie upieczoną postną, chudą bułkę.

Po południu Helena zajmowała się już tylko przygotowaniem wieczerzy wigilijnej, od czasu do czasu prosząc którąś z dziewcząt o pomoc.

Lucia była zajęta liczeniem potraw wigilijnych. Każdy raz wychodziła jej inna liczba i w żaden sposób nie wychodziło dwanaście. Potem wpadła na pomysł, że barszcz z uszkami może być zaliczony jako dwie potrawy, lecz Zosia powiedziała, że to bzdura, więc Lucia w dalszym ciągu kombinowała, co zrobić, żeby było dwanaście potraw.

Aż nagle ją olśniło.

- Mam! - zawołała tryumfalnie. - Chleb jest też potrawą i będzie u nas potrawą dwunastą!

Feliks wrócił ze stodoły po obrządku i przyniósł garść siana, którym poproszył stół. Helena przykryła go białym lnianym obrusem wyszywanym przez Janię i na środku postawiła talerzyk z opłatkami.

Helena z Janią zastawiły stół, a dziewczynki każda w innym oknie wypatrywały pierwszej gwiazdki. Od niej już tylko zależało, kiedy zasiądą do stołu.

Na stole było siedem nakryć i znowu Luci nie pasowało, bo ich rodzina składała się z sześciu osób.

Babka Karolina wytłumaczyła jej, że dodatkowe nakrycie stawia się dla nieoczekiwanego, przypadkowego gościa.

Kiedy wreszcie dziewczynki wypatrzyły upragnioną gwiazdkę, Rodzina zasiadła do stołu i podobnie jak napisał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” - ... potem wszyscy siedli i barszcz z uszkami milcząc żwawo jedli

Po zaspokojeniu pierwszego głodu - po całodziennym poście - jedzenie szło wolniej, smakowano poszczególne potrawy, oceniano ich smak, a Babka Karolina pilnowała, żeby każdy przynajmniej spróbował każdej potrawy.

Obok nakryć dziewczynek, pod obrusem, były ukryte niespodzianki. Najczęściej były to słodycze, zazwyczaj na co dzień niedostępne.

Po skończonej kolacji kobiety szybko zmywały naczynia, lecz ze stołu nie sprzątano pozostałych potraw: wieczór był długi, może jeszcze ktoś się poczuje głodny.

Pośpiewawszy przy choince Jani kolędy z babcinej kantyczki, poszli spać.

Z całej rodziny tylko Helena z Zosią postanowiły iść do kościoła na Pasterkę, odprawianą o godzinie szóstej rano.

O którejs, niewiadomej godzinie, (zegar był akurat zepsuty) mama obudziła Zosię:

- Wstawaj już czas.

Zosia wstała, choć niechętnie. Nie chciało się jej wychodzić z ciepłego łóżka, bo na dworze zima zapanowała na dobre. Śniegu napadało po kolana i mróz był tęgi. Zaraz za progiem dobrał się do nosów i policzków, przeniknął przez odzież i usztywnił stopy.

Wieś spała.

Nigdzie nie było widać światła w oknach, ani słyszeć skrzypienia drzwi.

Helena zaniepokoiła się- jest za wcześnie, czy za późno?

Dotarły do skraju wsi, gdzie były wrota, a za nimi po prawej stronie stał drewniany krzyż, otoczony drewnianym płotkiem.

- Coś się świeci przy krzyżu - powiedziała Zosia.

Zatrzymały się i patrzyły. Wyglądało to tak, jakby w śniegu leżała niewidoczna latarka, od której promieniało wokół światło.

Zarówno Helena jak i Zosia pomyślały o tym samym: w czasie pierwszej wojny światowej pochowano w tym miejscu czterech rosyjskich żołnierzy. To oni straszą!

Wolno, krok za krokiem, tyłem, matka z córką wycofywały się z zagrożonego miejsca, a potem biegiem, wystraszone, dotarły do domu.

Zdążyły się wypać i jeszcze raz pójść na Pasterkę wraz z sąsiadami.

Tego zjawiska ze światłem, nawet babka Karolina nie potrafiła wytłumaczyć.

Oba świąteczne dni były bardzo mroźne, dzieci nie wychodziły z domów i Babka Karolina miała trochę spokoju.

Potem jednak ociepliło się znacznie i zabawa na podwórku rozpoczęła się od nowa.

*

Feliks był emocjonalnie związany ze swoją najstarszą siostrą Olesią, która po śmierci matki, sama wychowywała jego i jego braci.

Olesia jak wiadomo wyszła bogato za mąż i była raczej panią, niż gospodynią wiejską. Urodziła trzy córki i wcześniej owdowiała. Po wyposażeniu córek zubożała, wyszła powtórnie za mąż za małorolnego chłopca i siłą rzeczy stała się zwykłą gospodynią wiejską.

Feliks od czasu do czasu odwiedzał siostrę i któregoś dnia w karnawale, korzystając z przetartych dróg i sprzyjającej pogody, postanowił złożyć jej wizytę.

Paradne sanki przykryto kolorowymi derkami, dziewczynki usadowiły się na tylnym siedzeniu omotane kożuchami, chociaż mrozu nie było.

Helena usiadła obok męża.

Kulig to jest wspaniała rzecz! Wypoczęte konie z miejsca poderwały się do biegu rozpryskując kopytami grudki śniegu. Dziewczynki piszczały trochę ze strachu, że sanie się wywróca, a trochę z radości i podniecenia.

Dzwonek dźwięczał wesoło i droga minęła błyskawicznie.

Ciocia Olesia uradowana przyjazdem gości ścisłała i całowała wszystkich niezliczone razy. Jej mąż witał się statecznie i powściągliwie.

Rozsiedli się wszyscy wygodnie, ciągle nie mogąc się sobą nacieszyć i nagadać. Szczególnie ciocia Olesia miała dużo do opowiadania i o wielu rzeczach i o wielu sprawach chciałyby wiedzieć.

Zaczęło się zmierzchać i Feliks wstał mówiąc, że czas już wracać.

Wtedy ciotka Olesia zerwała się z taboretki wołając, że nigdy w życiu nie wypuści ich bez poczęstunku, że muszą poczekać, a ona piorunem coś przygotowuje.

Zabrała się do robienia pampuchów (rodzaj pączków).

Każdy wie ile czasu potrzeba od chwili rozczynienia drożdży, do usmażonego pączka i dlatego nie ma się co dziwić, że goście wracali do domu o godzinie dwunastej w nocy.

Lucia spała na sankach owinięta w kożuchy, a Zosia trochę się bała wilków, lecz też była zachwycona gwiazdzistą i księżycową nocą. Było tak cudownie, że chciałyby tak jechać wieczność całą.

Kiedy historia z pampuchami powtórzyła się następnym razem, Feliks wpadł na chytry pomysł. Zaraz po przywitaniu podczas następnej wizyty oznajmił:

- Olesia, nie szykuj żadnej gościny, bo my wpadliśmy tylko na godzinkę i musimy zaraz wracać.

Ciotka Olesia z miejsca zabrała się za pampuchy i dzięki temu goście nie musieli wracać do domu o północy.

Podczas czynności związanych z przygotowaniem pampuchów, Olesia nie przestawała gadać. Wspominała trudne czasy dzieciństwa, na przemian wracając do równie trudnej rzeczywistości.

Spośród opowiadanych historii z czasów dzieciństwa, Zosia szczególnie przejęła się tą, w której głównym bohaterem był Feluś - jej tata.

Pewnego razu Feluś coś przeskrobał i dostał od ojca lanie. Uważając, że niesłusznie został ukarany, postanowił iść w świat. Olesia czekała z obiadem, a potem z kolacją, lecz na próżno. Zrobiło się późno, cała wieś spała tylko Olesia siedziała na progu domu, a łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach. W ciszy nocnej słyszała lekkie postukiwanie w psiej budzie, lecz dopiero po dłuższym czasie uświadomiła sobie, że pies Burek śpi obok niej na trawie. Zerwała się, pobiegła do psiej budy i wyciągnęła z niej Felusia, któremu burkowe pchły nie dawały spać. Pchły wyczuwszy obok swego prawowitego gospodarza Burka, przeskoczyły z Felusia na niego. I tak resztę nocy Feluś przespał spokojnie w swoim łóżku.

*

Zosia, już odkąd zaczęła chodzić, zainteresowała się nożyczkami i wszelkiego rodzaju ścinkami krawieckimi. W domu była maszyna do szycia marki „Singer”, którą Babka Karolina przywiozła z Ameryki i szyła na niej na domowy użytek. Potem nauczyła się szyc Jania i na koniec Zosia zaczęła przejawiać wielkie zainteresowanie krawiectwem. W wieku czterech, pięciu lat kroїła lalkom sukienki, a gdy kiedyś Babka Karolina zabrała jej nożyczki i nakrzyczała, Zosia, która miała wizję kreacji dla swojej szmacianej lalki, postanowiła wykroić suknię nożem. Kiedy już rozłożyła gałganek na stole i wzięła do ręki nóż, zorientowała się, że stół może ucierpieć od noża. Co robić? Chwilę zastanowiła się, a potem rozłożyła materiał na swoim brzuchu i przygotowała

się do cięcia. Na szczęścia dla brzucha, nie dla gałganka zjawiała się Babka Karolina i przerwała niebezpieczną robotę.

Babka Karolina miała na strychu ogromny wór pełen ścinków, gałganków i różnych szmatek. Kiedy trzeba było coś załatać, przerobić, poprawić, szła na strych i wyszukiwała odpowiedni kawałek materiału. Największym szczęściem Zosi było towarzyszenie babce, a jeszcze większym, gdy dostał się jej jakiś kolorowy ścinek.

Pewnego razu Helena chcąc załatać robocze spodnie Feliksa, pod nieobecność Babki Karoliny, sama poszła na strych po odpowiedni ścinek.

Zosia poszła także i wyprosiła u mamy ładną, kolorową szmatkę.

Właśnie była w trakcie krojenia nowej sukni dla swojej lalki, kiedy wróciła Karolina. Lewie rzuciła okiem na Zosię, wpadła w ogromną złość, niewspółmierną do popełnionej winy. Krzyczała na Helenę i na Zosię, że się rządzą, że niszczą, biorą co chcą bez pytania, żeby to było ostatni raz.

Zosia się rozplakała, Helena także. Siedziały na łóżku szlochając. Helena pocieszała Zosię, że pójdą w świat, gdzie nikt nie będzie na nie krzyczał.

Potem Zosia zmęczona płaczem zasnęła i już nie wiedziała jak się zakończyła ta awantura.

W świat jednakże nie poszły.

*

Karolina Bielska była osobą wybitną w swoim środowisku i w swojej epoce.

Urodziła się w roku 1880.

Wprawdzie nie umiała czytać ani pisać, lecz bardzo dobrze знаła język rosyjski, umiała rozmówić się w języku angielskim i niemieckim.

Zwiedziła kawał świata: przez osiem lat mieszkała w Ameryce. Przeżyła wielkie biedy jak wszyscy w latach wielkiego kryzysu.

Po powrocie do kraju sama gospodarzyła, tylko z pomocą córek, ponieważ jej mąż Antoni wrócił do Stanów, nie czując się dobrze w roli rolnika.

Córki dorastały i w miarę uzyskiwania pełnoletności, kolejno wyjeżdżały do Ameryki: Emilia, Jadwiga, Zofia.

Pozostały dwie nieletnie, urodzone w Polsce: Helena i Janina.

Karolina zdana na własne siły wyrobiła w sobie samodzielność i zdolność podejmowania decyzji.

Była realistką, nie wierzyła w zabobony. Jeżeli ktoś przychodził do niej po poradę, nie leczyła czarami, lecz dawała mądre, skuteczne sposoby leczenia ziołami.

Po latach, kiedy była już staruszką, wyjeżdżała do Stanów, do córek już na zawsze.

Wtedy też zebrały się sąsiadki z całej wsi, żeby ją pożegnać, a Zosia zdała sobie sprawę, ile dobrego Karolina zrobiła tym ludziom.

- Pani Bielska - mówiła jedna - nigdy nie zapomnę, że moje małżeństwo doszło do skutku tylko dzięki wam, bo przygarnęliście mnie i mego męża pod swój dach, kiedy rodzona matka nas wypędziła.

Innej sąsiadce uratowała dziecko, jeszcze innej pożyczyła pieniądze, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić.

Wymieniano uratowane zwierzęta, wyliczano dobre rady i życzliwość.

Dopiero w czasie tego pożegnalnego wieczora Zosia poznała swoją Babkę Karolinę, z którą przeżyła tyle lat i która ją wychowała.

W dzieciństwie Zosia czuła się bezpiecznie pod jej opieką. Nawet rodzice nie dawali jej takiej całkowitej pewności.

Słuchając wypowiedzi sąsiadek Zosia gorzko płakała, że może była nie dość dobra dla swojej babki. Mimo, że ją kochała, nie umiała tego okazać.

Potem, kiedy dorosła zrozumiała, że powściągliwość w okazywaniu uczuć jest cechą całej ich rodziny.

Mylą się ci, którzy mówią, że rolnicy w okresie zimowym wylegują się całymi dniami nie mając nic do roboty.

Wprost przeciwnie - kobiety całymi dniami przędą, tkają, robią na drutach z uprzedzonej wełny swetry, skarpety, rękawice. Mężczyźni młócą żyto, owies, jęczmień.

Już od świtu w każdej stodole śpiewają cepy. Są to melodie na dwa, trzy lub cztery takty, zależy od tego ilu jest młocarzy.

- Łup - cup, łup - cup, łup - cup - dwa cepy.

Albo:

- Łup - cup - cup, łup - cup - cup - trzy cepy.

Albo:

- Łup - cup - cup - cup, łup - cup - cup - cup - cztery cepy.

Trwa to aż do śniadania. Po śniadaniu, czyli barszczu czerwonym na wędzonym żeberku i kaszy na mleku, chłopci wracają do młócenia. I znowu cepy śpiewają aż do obiadu.

Gromady wróbli towarzyszą młocarzom wyłapując rozpryskiwane cepami ziarno. Myszy coraz to śmigają z sąsiedka na podwórko, gdzie czyhają na nie krwiożercze koty. Od czasu do czasu trafi się szczur, który jednak w walce z wypasionym wiejskim kocurem nie ma szans na zwycięstwo.

Tymczasem trzeba jechać także do młyna, bo mąka na chleb jest potrzebna zawsze, a ziarno na kaszę jęczmienną, gryczaną, jaglaną - też trzeba wymłócić i zemleć. Zawieźć rzepak do olejarni w pobliskim miasteczku i w każdy poniedziałek uczestniczyć w targu lub jarmarku; coś sprzedać, coś kupić.

A wieczorem znów próby chóru kościelnego, zespołu teatralnego.

Stanowczo zimą, nie ma na wsi czasu na nudy i wylegiwanie się.

Dzieci też nie próżnują: starsze chodzą do szkoły, a młodsze zdzierają zelówki na ślizgawkach i łąszki zjeżdżając z górki na siedzeniach.

I wszystkich dorosłych i dzieci, raptem zaskakuje wiosna.

Wieje więc ciepły, południowy wiatr, śnieg osiada i czernieje, a spod jego warstwy wypływają szemrzące strumyczki.

Mija półpoście - dzień, w którym tłucze się garnki, najlepiej o drzwi sąsiada, czekając potem w ukryciu na jego reakcję. Zosia widziała, jak stary dziadek Potocki - sąsiad, zawsze reagował gniewem i przekleństwami, inni obracali to w żart. Babka Karolina powiedziała, że zwyczaj ten pochodzi z bardzo dawnych czasów, kiedy ściśle przestrzegano postu i żeby uniknąć pokusy ugotowania jakiejś zakazanej potrawy, rozbijano garnki.

Nadchodzi Palmowa Niedziela.

Zosia ma obiecanę, że pójdzie do kościoła, więc kręci się podniecona przy mamie, która przygotowuje wiązanekę palmową z gałązek porzeczek. Rozwinięte listki pachną ostro a wonnie, pachną wiosną.

W kościele, jak w gaju na wiosnę: zielono od listków i kolorowo od wstążek. Lecz to jeszcze okres Wielkiego Postu i podczas nabożeństwa ludzie śpiewają przedziwną pieśń: niesłychanie smutną i jakby słodką.

- „Gorzkie żale przybywajcie, serca nasze przenikajcie...”

Zosia pierwszy raz w życiu słyszy tę pieśń i jest przejęta, wzruszona, bliska łez, sama nie wie co się z nią dzieje. Potem mówi do mamy, że będzie chodziła do kościoła w każdą niedzielę, żeby móc słuchać tych przepięknych pieśni. Niestety, mama rozczarowała Zosię, mówiąc, że usłyszy tę pieśń dopiero za rok. Za rok. Jak to daleko!

Tę Palmową Niedzielę Zosia zapamiętała na całe życie, za sprawą „Gorzkich żalów ...”.

I znowu na stole pojawił się worek mąki wołyńskiej, a jajek była taka obfitość, że starczyło do bułek, do malowania w cebulniku, na wybitki i na „włóczewne” dla chrześniaków (włóczewne - dar matki chrzestnej dla chrześniaka w postaci kilku malowanych jajek), (wybitki - zawody, czyje jajko mocniejsze).

W Wielkim Tygodniu w całej wsi trwają generalne porządki. Ubogie wiejskie sprzęty wędrują na podwórko, gdzie poddają się myciu i szorowaniu. Ściany bieli się białą gliną kupioną w miasteczku na targu.

W domu Zosi też dzieje się to samo. Tylko w dużej izbie ściany są wytapetowane i meble trochę wytworniejsze, więc Helena wymiata tylko pajęczyny, ściera kurze i szoruje do białości deski podłogi.

Zaczęły się ferie, więc przyjeżdża Jania ze szkół i bierze czynny udział w pracach porządkowych .

Zosia leży na łóżku wyniesionym na podwórko - ogołoconym z pościeli, i wyobraża sobie patrząc na ruchliwe obłoczki, że żegluje po bezkresnym oceanie świata, samotna, w chybotliwej łodzi.

Na płocie rozpościerają się kraciaste pierzyny.

Jest wiosna!

Z błogostanu wyrwał Zosię głos ojca.

- Ubierz się, pojedziemy na pole siać owies. Będziesz odstraszała wrony.

Oj, jak Zosi nie chciało się jechać na pole. W domu było tyle ciekawych rzeczy. Lecz nie do pomyślenia była odmowa. Zosia ganiała wrony, gawrony i kawki, a one wcale się jej nie bały i wykradły dużą część wysianego ziarna, zanim Feliks zdążył je zabronować.

Dorośli chłopcy budowali wozienicę (huśtawkę) jak co roku na Wielkanoc.

Było takie miejsce w Dalnym Łużku, gdzie stały dwie sosny obok siebie na samym skraju bagna, w dolinie Strugi.

Wysoko w górze umocowali poprzeczny drążek pomiędzy sosnami, do niego umocowali dwa pionowe drągi na dole zakończone ławeczką. Konstrukcja była dość solidna, wytrzymała ciężar nawet dwóch mężczyzn, którzy szybowali prawie aż pod niebo. W jedną stronę szybowali nad bagnem, a w drugą stronę nad twardym, wysokim brzegiem.

Dalny Łużek to był skrawek starego lasu po części wyciętego. Z rzadka rosły tam wysokie sosny i kępy

młodniaków. Teren był nieco wyższy od poziomu bagna w dolinie rzeki Strugi.

Dzieci rzadko chodziły do Dalnego Łążka: zawyczaj wtedy, kiedy była wolna wozienica i mogły z niej korzystać, oczywiście te odważniejsze.

*

W czasach mego dzieciństwa na wsi każda rodzina składała się z kilku pokoleń, a najczęściej byli to : dziadkowie, rodzice i dzieci, a często bywało tak , że w życiu rodziny uczestniczyli też pradziadkowie.

W wiejskiej społeczności babcie stanowiły większość, dziadkowie umierali wcześniej.

W mojej rodzinie najważniejszą osobą była Babka Karolina, która rządziła wraz z zięciem gospodarstwem, natomiast w kuchni panowała niepodzielnie.

W Święta Wielkanocne i na Boże Narodzenie był zwyczaj pieczenia pierogów, czyli wielkich drożdżowych buł. Było to oczywiście zadaniem Babki i wszystkich jej rówieśnic w pozostałych rodzinach.

W domach panowały sprzeczki i kłótnie, bo „ nie ma takiej chatki, gdzie nie byłoby zwadki..

Dzień, który chcę opisać był właśnie takim dniem, w którym panowała nieco napięta atmosfera, spowodowana przygotowaniami do świąt. Po śniadaniu na kuchennym stole pojawiły się wiktuały: mąka pszenna wołyńska, jajka, garnuszek topionego masła, podgrzane mleko, zapachy waniliowe , drożdże.

Wystarczyło tylko umyć ręce, zakasać rękawy i zabierać się za wyrabianie ciasta.

I wtedy to się zaczęło. Babka Karolina wyjrzała oknem i powiedziała : – O, poszedł Felek Rafałowski .

Po niej wyjrzała moja Mama i powiedziała stanowczo:

- To żaden Felek, to Zygmunt Bielski.

Przez chwilę sprzeczały się na ten temat, coraz gwałtowniej dowodząc swych racji. Sprzeczka przeszła w kłótnię na

zupełnie inne tematy i po chwili nie wiadomo już było, od czego się zaczęło.

Babka Karolina zdenerwowana, gwałtownym ruchem zrzuciła fartuch i powiedziała do mojej Mamy: a rób sobie co chcesz, nie obchodzą mnie żadne pierogi.

Szybko zmieniła spódnicę na odświętną, nałożyła swój pluszowy kubrak, a na głowę ciepłą, wełnianą chustkę. Oznajmiła, że wychodzi na cały dzień do kościoła. Była to Wielka Sobota przed Wielkanocą a że był to dopiero koniec marca, było dość chłodno.

Wyjrzałam oknem i zobaczyłam Babkę wchodzącą do sąsiadów Potockich. Po chwili wyszła razem z babką Potocką i poszły do Bielskich. I już są trzy babki idące w stronę kościoła. Potem dowiedziałam się, że dołączyły do nich jeszcze dwie. Okazało się, że u każdej z nich panowała taka sama swarliwa atmosfera.

W kościele, gdzie przy Grobie Chrystusa skwierczały, robione domowym sposobem znicze, miały dużo czasu na modlitwy przeplatane drzemką.

Tymczasem młode gosposie zostawione same sobie, dopiero teraz zdały sprawę, jak ciężkie zadanie je czeka. Zaczęły biegać jedna do drugiej i wymieniać informacje na temat pieczenia bułek.

Moja mama spociła się z emocji – nigdy jeszcze samodzielnie nie piekła świątecznych pierogów.

Jednak zmobilizowała się i stanęła przy stole.

Do kopańki /drewniane naczynie w kształcie wanienki/ wyspała mąkę . A co teraz ?- pomyślała. Jak dodać drożdże? A masło wrzucić w kawałku czy stopione ? I w jakiej kolejności połączyć składniki ?

Na szczęście przypomniała, że drożdże muszą wyrosnąć. Trzeba było poczekać, aż drożdżowy zaczyn zacznie zwiększać swoją objętość.

Okazało się, że wiele czynności znała, chociaż nie brała udziału w gotowaniu. Wynikało to z mimowolnej obserwacji prac kuchennych swojej matki.

I tak krok po kroku powstało ciasto. W międzyczasie Ojciec przyniósł całe naręczce polan i rozpałił w chlebowym piecu. Posprzeczali się trochę o to ile drzewa włożyć do pieca, tak aby bułki dobrze upiekły się a nie popaliły.

Czy to ręce młodej gospodyni sprawiły czy przyczyniło się do tego szczęście, ale bułki pięknie wyrosły i zarumieniły się.

Z pieca powędrowały na łóżko przykryte lnianą białą płachtą. Moja Mama natychmiast przykryła się na plecy wełnianą chustą i pobiegła do sąsiadów.

Nie wierzyła własnemu szczęściu! Wszystkim młodym mężatkom, którym zastrajkowały matki, ciasto udało się.

W tym momencie poczuły się pełnoprawnymi gosposiami w swoich rodzinach.

Po powrocie z kościoła, Babka Karolina rzuciwszy okiem na pięknie wyrośnięte buły powiedziała:

- Widzisz, jak się musi, to wszystko da się zrobić.

I widać było, że nie poczuła się zagrożona w swoim kuchennym królestwie, a nawet była zadowolona z umiejętności swojej córki.

W tym dniu nie było już więcej żadnych kłótni.

*

Na tę Wielkanoc babka Karolina uszyła Zosi nowe paletko w kolorze jasnym z ciemniejszą krateczką. Materiał był wełniany i Zosia z dumą paradowała w nim na razie tylko w kościele, w Palmową Niedzielę.

Marzec był bardzo ciepły, więc babka Karolina zabierała Zosię na nabożeństwa w Wielki Tygodniu. Dzięki temu Zosia mogła zobaczyć jak się święci ogień i wodę, pomagała babce nabierać święconą wodę do buteleczki i odkryła wiele dotychczas nie znanych sobie pieśni.

W pierwszy dzień Świąt, po obfitym śniadaniu, mama pozwoliła Zosi iść do koleżanek, oczywiście w nowym paletku.

Poszła najpierw do Łodzi „za drogę”, a potem przyłączyły się do nich inne dziewczynki, też wystrojone w miarę możliwości w coś nowego.

Jeszcze leżały gdzieś lachy śniegu, jeszcze ziemia była rozmiękła, nie było większych możliwości zabawy. Któraś zaproponowała, żeby obejrzeć wozienicę. Poszły więc do Dalnego Łążku, stanęły obok niej i patrzyli jak starsi chłopcy i dorośli mężczyźni śmigają równo z koronami sosen. Zosię ścisnęło w dołku na sam widok. W pewnym momencie podbiegł do dziewczynek jeden z chłopców, złapał Zosię za rękę, pociągnął w stronę huśtawki i zanim zdążyła zaprotestować, już siedziała na ławeczce.

- Trzymaj się mocno - krzyknął chłopak - i odciągnął drążki do siebie, a potem je puścił.

Rozstaw drążków był za szeroki w stosunku do rozpiętości Zosinych rąk, a drążki były za grube. Zosia nie była w stanie uchwycić ich mocno i za którymś tam wahaniciem wyleciała szerokim łukiem prosto do bagna.

Chłopcy rzucili się na ratunek. Wyciągnęli przerażoną dziewczynkę na brzeg. Na szczęście nic jej się nie stało, lecz paletko w dole ociekało wodą a z tyłu widniała wielka czarna plama z błota.

Rozpacz! Co robić?

Przytomna Lodzia, koleżanka z „zza drogi”, która mieszkała najbliżej, zaprowadziła Zosię do swojej mamy po ratunek.

Kobieta zajęła się szczerze i ze współczuciem garderobą Zosi. Wysuszyła, wyczyściła, uprała pończochy, osuszyła buciki i nic nie powiedziała mamie Zosi.

Sprawa wyszła na światło dzienne po czasie, kiedy pozostały z niej tylko same śmieszne aspekty.

Kiedy rodzice Zosi dowiedzieli się o tym, przypomniała im się jej przygoda z koniem.

Było to w jesieni ubiegłego roku, podczas kopania ziemniaków.

Pewnego razu zdarzyło się, że obie babki - Dorkowa i Baltazowa zachorowały równocześnie i nie było z kim zostawić Zosi, gdy rodzice z Babką Karoliną musieli wyjechać na wykopki na dalekie pole, aż za kolej. Na szczęście było

ciepło i pogodnie, więc postanowiono zabrać Zosię na pole. Przez pierwszą połowę dnia bawiła się spokojnie i nie naprzykrzała się pracującym. Potem zaczęła się nudzić, napierać się do domu, żądać rzeczy niemożliwych do spełnienia i na koniec zażądała, żeby tata posadził ją na konia. Pomimo sprzeciwów Heleny, Feliks spełnił to życzenie. Zaraz się jednak okazało, że koń spętany na przednie nogi, chcąc się paść, musi podskakiwać, co groziło zrzuceniem Zosi. Feliks poszedł na dalsze ustępstwa i zdjął koniowi pęta. Nareszcie chwila wytchnienia. Konie skubiąc rzadką trawę i chwasty znacznie oddaliły się od kąpiących ziemniaki ludzi.

Zarówno Feliks jak i Helena ciągle starali się mieć na oku konia z Zosią na grzbiecie, lecz nie przewidzieli tego co miało nastąpić.

W pewnej chwili rozległ się gwizd lokomotywy i z zakrętu wypadł pociąg. Pole znajdowało się w pobliżu toru kolejowego.

Rumak Zosi spłoszył się i ruszył galopem z pociągiem na wyścigi.

Równocześnie Feliks skoczył biegiem na ukos przez pole i zabiegł koniowi drogę. Zresztą pociąg był już daleko i koń sam się zatrzymał. Zosia leżała na grzbiecie konia, palce miała wczepione w jego grzywę, a kolanami ściśle obejmowała końskie boki.

Znalazłszy się w objęciach taty nawet nie płakała, tylko powiedziała, że chce spać.

To było wszystkim na rękę. Mama umościła postanie z worków i siana, i resztę dnia Zosia przespała.

- Ale zuch dziewczyna! Nie? - mówił z dumą Feliks. - Z każdej przygody wychodzi cało.

- Nie zawsze tak musi być. W obu przypadkach mogło się skończyć tragicznie - odpowiedziała Helena.

*

Wieś dzieliła się na dwie części: od strony gościńca do połowy, to była Wioska, a od połowy do końca, w stronę lasu i bagien - Słabodka (a może Słabotka).

Wioska była gęsto zabudowana wzdłuż wąskiej ulicy, a Słabotka rozłożyła się szeroko, wzdłuż ulicy wysadzonej topolami.

W okresie, kiedy Zosia była jeszcze mała, topole były młode i nadawały się najwyżej do zabawy w komórki do wynajęcia. Po kilku latach wyrosły, rozrosły się i zaczęły górować nad wsią. Wiosną, nabrzmiałe pączki drzew zaczynały pękać i topole okrywały się delikatną świeżą zielenią. Zieleń stopniowo zagęszczała się, tworząc głęboki cień. Pod topolami rozłożyły się wiecznie zielone trawniki rdestu (świńska trawa w ówczesnym języku na wsi).

Na tych trawnikach, w cieniu, chętnie odpoczywali dorośli i bawili się dzieci.

Latem topole chroniły wieś przed piorunami, wystawiając grube konary na ich uderzenia. Rozdarte pnie szybko zablizniały się, obcięte gałęzie odrastały i topole nadal trwały. Po każdej burzy i ulewie w zagłębieniach trawnika tworzyły się miniaturowe jeziora z czystą, ciepłą deszczową wodą.

To dopiero był raj dla dzieciaków! - mogły się taplać dowoli, do chwili, aż woda wsiąkła w ziemię.

Latem liście topoli stawały się metaliczne i zaczynały szumieć. Ten szum wydawał się Zosi jakiś smutny. Leżąc w łóżku wsłuchiwała się weń i z tego smutku ścisnęło ją gdzieś koło serca.

*

Kwiecień plecień wciąż przeplata, trochę zimy, trochę lata.

Tak było i tym razem. Kłębią się chmury, sypie śnieg, a za chwilę promienne, uśmiechnięte słoneczko zaczyna osuszać ziemię.

Rano dzieci ślizgają się na zamarzniętych nocą kałużach, a w dzień moczą buciki w wodzie.

W ogródkach kwitną pierwsze kwiatki.

Wiosna! Zbliża się maj.

Każdego majowego wieczoru, po obrzędku gromadzą się kobiety i dzieci w domu stryja Zygmunta, gdzie w dużej izbie znajduje się ołtarzyk z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przybrany gałęziami czeremchy i innymi kwiatami. Jedna z kobiet czyta litanie do Matki Boskiej, chór sennych, zmęczonych głosów odpowiada: - módl się za nami.

Naftowa lampa i kilka migocących świec nie rozprasza mroku, który czai się po kątach. Mucha tłucze się po szybie za misternie powycinaną firaneczką z bibułki. Za oknem słychać koncertujące żaby.

Lucia jedną ręką trzyma się maminej spódnicy, a drugą trzyma koszyk pełen ciepłutkich, mięciutkich kociąt.

Już od dawna nikt nie kłęczy. Zmęczone kobiety siedzą na podłodze.

Po zakończonych modlitwach śpiewają pieśni do Matki Boskiej i to wyrywa je z sennego nastroju. Lucia jednak pragnie siedzieć tak z kociętami jeszcze bardzo długo i cieszy się, że jutro też tu przyjdzie.

Wracają do domów. Stopy brodzą w zroszonej trawie. Gwar rozmów, śmiechy, odgłos zatrzaskiwanych drzwi, cisza, wieś śpi, tylko żaby nadal koncertują.

Lucia lubiła chodzić na te majowe modlitwy, z powodu kociąt, a Zosia z powodu krzesel. Były u stryja Zygmunta krzesła, które miały siedzenia i oparcia plecione z rafii. Zosia zawsze kłękała tak, żeby można było położyć rękę na chropawym siedzeniu lub oparciu. To jej sprawiało przyjemność i przenosiło w lepszy, bogatszy świat.

Babka Karolina twierdziła, że Zygmunt ukradł te krzesła w Osowcu, w czasie wojny. Lecz dla Zosi to nie było ważne i po trosze zazdrościła Zygmunтови, że je zdobył. U Zosi w dużej izbie stał duży stół i cztery foteliki drewniane, zrobione własnoręcznie przez jej tatę. Nie były bardzo miękkie, lecz prezentowały się nieźle.

*

Tak się złożyło, że wszystkie koleżanki Zosi miały młodsze siostry, którymi musiały się opiekować. Tworzyły razem społeczność jakby dwuwarstwową i nie było wśród nich żadnego chłopca.

Zosia nieraz zadawała sobie pytanie, czy dobrze jest mieć siostrę, czy źle. Było dobrze, gdy Lucia z otwartą buzią słuchała fantastycznych opowieści Zosi, która lubiła mieć tak wdzięczną słuchaczkę. Było natomiast źle, gdy mama zlecała całkowitą opiekę nad młodszą siostrą, na czas swojej nieobecności.

Najczęściej wtedy starsze siostry organizowały zabawę młodszym, a potem wycofywały się dyskretnie i zajmowały się swoimi sprawami. Czasami potrafiły też być okrutne, jak wtedy, gdy wywabiły swoje maluchy do lasu i udając zabawę w chowanego, uciekły od niech. Małe wpadły w panikę narobiły wrzasku nie mogąc znaleźć drogi do domu. Wróciły w końcu do wsi splakane, przerażone.

Bury od rodziców wprawdzie nie było, lecz wyrzuty sumienia prześladowały Zosię całe życie.

Po tym incydencie, przez parę dni Zosia była bardzo dobra dla Luci.

Teraz w maju, dzieci przychodziły do domu tylko spać, nie licząc krótkich posiłków spożywanych na stojąco. Cała wieś należała do nich. Rodzice przestrzegali tylko przed Cyganami: trzeba było zawsze zamykać drzwi na klucz.

Tym razem zgromadziły się wszystkie u Wandy, której rodziców akurat nie było w domu. Zamknęły solidnie drzwi i oddały się całkowicie różnym zabawom: w chowanego, w rozbite garnki, zgaduj zgadulę i inne, coraz to wymyślane przez inną dziewczynkę.

W końcu zmęczone zgromadziły się w jednym miejscu - małe na łóżku, starsze na stołkach i poprosiły Zosię, żeby im coś opowiedziała.

- Opowiem wam o małpie - powiedziała Zosia, chociaż nigdy nie widziała małpy na oczy.

Opisała jak małpa wygląda, jaka jest zła i okrutna, i co może zrobić małym dzieciom. Małuchy siedzące na łóżku, zaczęły się zbliżać w coraz ciasniejszą gromadkę i jedna zapytała drżącym głosem

- A czy małpa może mieszkać na strychu?

- Pewnie, że może - odpowiedziała Zosia i w tym momencie na strychu rozległo się jakieś stukanie i rumor.

- Małpa! - krzyknęły małuchy jednym głosem i z łóżka znalazły się pod łóżkiem. Starsze też zaczęły szukać kryjówek, a wśród nich - wstyd powiedzieć - sama Zosia, która uwierzyła w małpę, wymyśloną przez siebie. Na dodatek ktoś zaczął się dobijać do drzwi wejściowych.

Któżby jak nie Cyganie?

Dziewczynki utaiły nawet oddechy, żeby ich nie było słychać i dopiero po dłuższej chwili poznały głos starszego brata Wandy, który dobijał się do drzwi bezskutecznie.

Dziewczynki jak myszy powyłaziły z mysich nor trochę zawstydzone okazanym tchórzostwem.

Czasami, kiedy rodziców nie było w domu, Wanda zapraszała koleżanki na „obórkę”.

Zabudowania gospodarskie były budowane zwykle w czworobok, a po środku był placik nazywany oborą.

U Feliksa obora była wyłożona kamieniami polnymi, lecz nie mogła się równać z oborą ojca Wandy. Tutaj placik był porośnięty wspinałym zielonym trawnikiem. Wzdłuż budynków biegła wydeptana ścieżka, którą chodziły zwierzęta i ludzie.

Zosia nigdy nie widziała, żeby krowa weszła na trawnik. Miały swoją ścieżkę i z niej korzystały. Wszystko było pochowane w szopach. W jednym miejscu były ułożone kantówki budowlane i na tym drzewie dzieci lubiły się bawić.

Zapraszając koleżanki na Obórkę, Wanda miała tylko jeden warunek. Nie pozostawić po sobie żadnych śladów. Warunek zawsze był spełniony. Zosia uwielbiała obórkę za porządek panujący na niej.

Powiedziała też swojej babce, że bardzo lubi chodzić do innej koleżanki, bo u nich płyta kuchenna jest zawsze wyszorowana do białości i nie ma na niej garnków.

Babka Karolina miała gotową odpowiedź w sprawie wyszorowanej na czysto płyty.

- Oni nie mają co gotować.

Zosia długo zastanawiała, się jak oni wobec tego żyją, ale nic nie mogła wymyślić.

Ulubionym zajęciem dziewczynek było chodzenie do sadków (sadów).

Prawie u każdej z koleżanek rosły jakieś owoce i w miarę jak owoce dojrzewały, matki pozwalały córkom zapraszać koleżanki do sadków. Dziewczynki znały na pamięć, gdzie rośnie wspaniała jabłoń malinówka, u kogo akurat dojrzewają gruszki jałowcówki, wiśnie, a nawet włoskie orzechy. Nigdzie jednak nie było tak smacznych jabłek papierówek jak u Gajewskich na końcu wsi, pod lasem. W małym ogródeczku przed domem rosły dwie jabłonki. Za ciasno im było w ogródku, więc rosły sobie beztrudno poza płotem.

Pewnego razu jechaliśmy z ojcem z łąki na pełnym wozie siana. Feliks zatrzymał konie tak, że znaleźliśmy się wprost pod jabłonią. Mogliśmy nazrywać całe gromady jabłek, zanim by się gospodyni obejrzała. Lecz Feliks tego nie zrobił, tylko zawołał.

- Józia! Jesteś w domu?

Na to wołanie wyszła Józia a Feliks poprosił.

- Dałabyś kilka tych pysznych jabłek?

- A weź sobie i dla tych co w domu też weź po jednym.

- Ale skąpa - pomyślała Zosia, a Józia jakby wyczuwszy jej myśli, dodała

- Albo weź po dwa dla każdego.

Zosia swój przydział zjadła natychmiast. Jabłka rozpływały się w ustach. Ich smak to niebo, wiosna, łagodny wietrzyk, błękitne obłoki, jednym słowem najpiękniejszy smak życia, jakim może żyć tylko dziecko.

Zosia przez następne lata swego życia poszukiwała tego smaku w różnych ogrodach, na straganach, w sklepach, lecz nie znalazła.

Gajewscy nie mieli córki, tylko syna Antosia, dlatego dziewczynki nie miały dostępu do ich jabłek, ale i tak we wsi było tyle drzew owocowych, że do późnej jesieni starczyło dla wszystkich dzieci.

Na polnych miedzach rosły też dzikie grusze, których owoce nadawały się na ulęgałki.

*

Trwały sianokosy i jak co roku Feliks wybrał się z kolegami na ryby nad Biebrzę. Miał swój sprzęt rybacki, tak zwaną brodninę i kłobuk.

Brodnia, to było coś w rodzaju płotu składającego się z trzech kołków i siatki. Do obsługi brodni trzeba było trzech mężczyzn. Każdy z nich trzymał jeden kołek, siatka naciągała się i tworzyła zapórę, w którą wpadały ryby, gdy szły przez rzekę. Od czasu do czasu wyciągali brodninę na brzeg i wyjmowali złowione ryby. Trzeba było wybierać miejsca w rzece nie za płytkie, nie za głębokie, unikać zdradzieckich wirów i piaszczystych łach. Trwało to zwykle cały dzień, a powrót następował późnym popołudniem.

Cała rodzina zbierała się oglądać połów. Dla dzieci była to lekcja pogładowa. Poznawały: szczupaki, okonie, płotki, liny. Dotykały trwożliwie paluszkami, bo niektóre z nich jeszcze się ruszały.

Potem następował podział. Było trzech mężczyzn, lecz ryby rozkładano na cztery gromadki. Okazało się, że brodnia miała swój udział w połowie, który przypadł Feliksowi.

Babka Karolina już zabierała się do skrobania i czyszczenia ryb, bo tylko ona знаła się na tym. Helena nastawiała garnek na zupę rybną, wrzucała tam jakieś jarzyny i przyprawę. Trzeba było te wszystkie ryby ugotować, usmażyć, w przeciwnym razie z braku urządzeń chłodniczych, mogłyby się zepsuć przez noc.

Tego wieczora wszyscy poszli spać bardzo późno, ociążali z przejedzenia.

Może nawet dziewczynkom śnili się Cyganie?

Kołbuk obsługiwało dwoje ludzi, najczęściej Feliks z Heleną lub Janią.

Kiedy po wiosennym wylewie Biebrzy wody cofały się w swoje koryto, w zagłębieniach terenu pozostawała woda i ryby, które nie zdążyły spłynąć do rzeki.

Tworzyły się miniaturowe jeziora - „boże oczka” - jak je nazywała Zosia. W tych jeziorach można było łowić kołbukiem, który był niewielkim trójkątnym koszem. Połów bywał zwykle niewielki, lecz na obiad starczyło.

Zosia uwielbiała Biebrzę, bagna, ptaki i wszystko, co się z Biebrzą wiązało.

Pewnego razu przeżyła prawdziwy dramat.

Ojciec kosił, a ona z mamą grabiły suche siano. Wtem ojciec krzyknął, pochylił się i coś podniósł z ziemi. Zosia podbiegła do ojca i zobaczyła w jego dłoni pięknego ptaka zranionego kosą. Ptak jeszcze żył. Zosia wzięła go w swoje ręce: był to pysznie ubarwiony kogucik batalion. Zosi ły spadały na rannego ptaka, lecz nie wróciły mu życia. Znieruchomiał w jej dłoniach, a jej się zdawało, że cały świat nagle zapadł się w okrutną otchłań.

Tego samego uczucia doznała gdy zobaczyła gniazdo dzikiej kaczki pełne martwych piskląt.

A nenufary?

Dotąd nudziła ojca żeby jej zerwał kilka kwiatów rosnących w jednym z „bożych oczek”, a kiedy spełnił jej prośbę, nenufary natychmiast zwiędły.

Płakała w ukryciu nad ich losem i swoją bezmyślnością.

Nie zawsze jednak było na łąkach smutno.

Wywożąc siano z łąki trzeba było przejechać około kilometra piaszczystą groblą. Piasek był tak sypki, że koła grzęzły po osie, a konie po każdym pięciu krokach musiały odpoczywać. Była tam też i droga bita, lecz biegła przez poligon i był zakaz używania jej.

Pewnego razu Feliks zaryzykował i pojechał przez poligon. Oczywiście jak z pod ziemi wyrosło dwóch żandarmów i zażądali od Feliksa danych personalnych. Ten na początku wymyślił imię, nazwisko i wieś, natomiast zaplątał się przy imionach rodziców. Wyszło, że matka Józefa i ojciec Józef. Helena z Zosią zaśmiewały się siedząc na sianie, zagrzebane w nim po uszy.

Feliks przeprosił, że się pomylił, żandarmi uwierzyli, a oni zaśmiewali się przez całą drogę jadąc do domu.

Sianowanie było skończone. Co było można zwieźć, znajdowało się już w stodole, reszta została na łąkach złożona w stogi. Pozostało jeszcze do przywiezienia najwyższej połowę wozu siana, które było już wyniesione z bagna i leżało na suchym brzegu obok domostwa Feltowiczów.

Rodzina Feltowiczów składała się z rodziców i trzech dorosłych synów.

Feliks opowiadał, że pomimo, iż było w tej rodzinie czterech dorosłych mężczyzn, nie było komu narąbać drzewa. Radzili więc sobie w ten sposób, że przynosili do kuchni kilkumetrowy jeden kłoc suchej olchy, jeden koniec wkładali w palenisko, a drugi opierali na stołku. I tak w miarę spalania się, coraz głębiej posuwali kłoc do paleniska. Czasami był to kłoc tak długi, że zajmował sień. Feltowiczowa nauczyła się przeskakiwać przez przeszkodę chodząc po kuchni i przygotowując śniadanie swoim synkom i „staremu”.

Zosia wyjechała na kilka dni do ciotki Olesi, więc rodzice postanowili zabrać Lucię na łąki po siano. Jej szczęście nie miało granic, gdy się o tym dowiedziała. Wstała najwcześniej od innych, chodziła krok w krok to za mamą, to za Babką Karoliną, przypominając o jedzeniu na drogę, o wodzie. Przygotowywała swoją lalkę szmaciankę, obiecując jej niezwykle atrakcje.

Lucia miała przerysowane wyobrażenie o łąkach i rzece, dzięki fantastycznym opowiadaniom Zosi i spodziewała się nadzwyczajnych cudów.

Tymczasem jechali najpierw przez las, potem przez piaszczyste wzgórki zwane „Węzie Górki”, a potem minęli rozległą bagnistą łąkę zwaną „Łosia Biel”, a po drugiej stronie „Lisie Grądziki”, czyli drobne wysepki na bagnie, a potem zagłębili się w prawdziwą puszcę, w której mogła mieszkać nawet Baba Jaga. Lecz zamiast niej, Lucia zobaczyła stadko sarenek przemykających pomiędzy drzewami.

Wkrótce zajechali na miejsce. Siano leżało porządnie ułożone i Helena zaproponowała Feliksowi, żeby poszedł do Feltowiczów i podziękował za opiekę. Feliks wrócił dusząc się ze śmiechu: omal się nie przewrócił przez kloc, który wystawał tym razem aż za drzwi wejściowe.

Feltowiczowa mieszkająca na takim odludziu, spragniona widoku ludzi wyszła pogadać z przybyłymi.

Podczas gdy Feliks widłami nakładał siano na wóz, a Helena udeptywała, nie przestawali rozmawiać.

Lucia krążyła wokół: to znalazła poziomki wielkości truskawek, to nabierała cały podolek grzybów, z których tylko jeden okazał się być jadalnym. Zaszła aż na brzeg bagna i ujrzała równinę łąk sięgającą hen aż po horyzont.

Cała ta przestrzeń usiana była stogami pękatymi u dołu, a smukłymi u góry. Na niektórych siedziały jakieś duże ptaki.

Lucia patrzyła jak urzeczona. Pierwszy raz zobaczyła taki widok.

Przyszedł Feliks zaniepokojony nieobecnością córki.

- A gdzie rzeka? - zapytała Lucia.

- Rzeka jest daleko - odpowiedział ojciec. - Pokażę ją tobie kiedy indziej .

Siano było już na wozie i można było jechać, lecz by sprawić przyjemność Luci Helena rozłożyła zapasy jedzenia zabrane z domu.

Feltowiczowa przyniosła świeżego maselka i maślanki do popicia. To była prawdziwa uczta.

Kiedy byli już gotowi do powrotu, Helena poprosiła Feliksa żeby jechał wolno przodem i zaczekał koło kapliczki, bo ona z Lucią chcą nazrywać kwiatków.

Przy drodze rosły dziewanny, dzwonki, leśne goździki, lilie i wiele innych nieznanych z nazwy kwiatów i ziół. Helena z Lucią narwały naręcza najpiękniejszych kwiatów i doszedłszy do kapliczki złożyły je pod figurą Matki Boskiej.

Lucia spojrziała pytająco na mamę, a ta powiedziała.

- Dzisiaj jest dwudziesty czwarty czerwca, imieniny naszej Jani. To dla niej te kwiaty i dla Matki Boskiej.

Przy pomocy Feliksa wdrapały się na wóz i ruszyli do domu.

Lucia była zmęczona, więc zaraz zasnęła na rozpostartej derce, a Helena usiadła obok męża, który ją objął i pocałował.

Feliks i Helena byli chyba jedynym małżeństwem we wsi, które tak bardzo się kochało, lecz ich dzieci o tym nie wiedziały, bo nie okazywali tego na zewnątrz, chociaż Zosia wiedziała na ten temat co nieco.

Było to w karnawale, ostatniej zimy.

W domu Zosi odbywała się prywatka członków chóru kościelnego. Była to przeważnie starsza młodzież lub młode małżeństwa oraz pan organista ze swoją piękną żoną.

Do tańca przygrywał gramofon z ogromną trąbą. Po kilku kieliszkach zabawa rozkręciła się na dobre, a Zosia z Lucią brały w niej udział.

Niestety, o północy kazano im iść spać. Babka Karolina położyła je w swoim łóżku w sąsiednim pokoiku.

Lucia zmęczona, zaraz usnęła, lecz Zosi przeszkadzały odgłosy coraz głośniejszej zabawy.

Na dodatek z pokoju zaczęły się wymykać pary i przysiądać na brzegu łóżka, w którym spały dziewczynki. Na tle otwieranych, oświetlonych drzwi Zosia rozpoznawała poszczególne osoby. Siadali na brzegu łóżka, obejmowali się i całowali, coś sobie szeptali do uszu, dziewczyny zwykle chichotały. Do uszu Zosi docierały pojedyncze słowa, których nawet nie rozumiała.

Potem przychodziły następne pary i wszystko odbywało się według tego samego scenariusza.

Zosia już przestawała zwracać uwagę na to co się dzieje, gdy nagle zobaczyła w prostokącie otwartych drzwi swojego tatę z jedną z dziewczyn. Otworzyła szeroko oczy, wystrzyła słuch.

Feliks objął dziewczynę, pocałował ją w policzek, w okolicy ucha i rozpoczął następujący monolog:

- Wiesz, nie ma lepszej i piękniejszej kobiety jak moja żona...

Przez chwilę wynosił pod niebiosa zalety swojej żony, aż dziewczynę to znudziło i pociągnęła Feliksa na salę zabaw. Ona miała nadzieję na usłyszenie czegoś miłego o sobie. Co ją obchodziły inne kobiety.

Zosia wynioskowała z tego, jak ojciec kocha mamę i już uspokojona zasnęła.

*

Chociaż wakacje już się zaczęły, lecz Jania miała przyjechać dopiero za kilka dni.

Tymczasem w domu czekała ich inna niespodzianka: przyjechała pani Halina Mianowska, instruktorka Koła Gospodyń Wiejskich.

Pani Mianowska była prawdziwą damą. Wysoka, szczupła, blondynka, ładna, bardzo komunikatywna, nie zadzierająca nosa, chociaż była narzeczoną samego wojewody białostockiego. Ubierała się elegancko, chociaż bez przesady.

Tego upalnego czerwcowego dnia miała na sobie spódniczkę z cienkiej wełenki, długości do połowy łydki i lekką jedwabną koszulową bluzkę, ściągniętą w talii wąskim paskiem.

To, że była narzeczoną wojewody, stwarzało wokół niej atmosferę romantyzmu i tajemniczości.

W okresie letnim Koło Gospodyń Wiejskich właściwie nie działało: nie było na to czasu, lecz pani Mianowska przyjechała po prostu z wizytą towarzyską, zaprzyjaźniwszy się z Heleną i kilkoma innymi kobietami.

Wieść o jej przyjeździe rozeszła się po wsi i wieczorem zeszło się kilkanaście kobiet na spotkanie z ulubioną instruktorką.

Miała ona zawsze do przekazania jakieś nowinki, czy to z zakresu higieny, żywienia, mody, a nawet polityki. Wobec niej kobiety były śmiałe i swobodne. Pani Mianowska tak umiała pokierować słuchaczkami, że tematyczny wykład stawał się interesującą, nawet zabawną pogawędką.

W pokoju, gdzie znajdowały się kobiety było chłodno, pachniało maciejką z ogródka. Okno było przesłonięte siatką przed komarami i innymi nocnymi skrzydłatymi gośćmi, mogło więc być otwarte przez całą dobę.

Późnym wieczorem kobiety się rozeszły.

Feliks z Heleną odstąpili swój pokój gościowi, a sami postanowili spać w stodole na sianie. W tej sytuacji pani Halina poczuła się nieco skrępowana, lecz Feliks powiedział, że chętnie przypomni młode lata swoje i żony, przy czym uśmiechnął się żartobliwie, co ostatecznie uspokoiło panią Halinę.

Pani Halina Mianowska, narzeczona wojewody nie bała się niczego, z wyjątkiem myszy.

W pokoju, w którym miała spać, sufit był ułożony z desek nie na styk, lecz na zakład, tzn. jedna deska leżała niżej, druga wyżej i tak na zmianę.

Zwykle Babka Karolina bielila sufit białą glinką, lecz glinka nie trzymała się drewna i odpadała całymi płatami, zaśmiecając podłogę.

Po naradzie rodzinnej postanowiono sufit wytapetować. Było to przedsięwzięcie dość ryzykowne, ze względu na nierówność powierzchni wynikającej z układu desek, lecz na zasadzie, że jakoś tam będzie, zabrano się do dzieła.

Feliks z Heleną przywieźli tapetę, a Babka Karolina jako główny wykonawca zabrała się do pracy przy pomocy innych. Tapeta trzymała się tylko na deskach wystających, a pomiędzy deskami i tapetą wiszącą luźno potworzyły się korytarze, które zaraz wzięły w posiadanie myszy.

Domownikom to specjalnie nie przeszkadzało, kiedy w nocy szurały po papierze. Najwyżej ktoś wstawał i postukawszy szczotką na kiju po suficie, znowu kładł się spać. Nie zdarzyło się nigdy, żeby jakaś nieostrożna mysz spadła z sufitu.

Pani Mianowska była uprzedzona o myszach i zapewniona, że z ich strony nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Właśnie zaczęła zasypiać, gdy nagle na suficie zakotłowało się, coś ciemnego, żywego spadło na jej pościel i natychmiast zniknęło.

Pani Mianowska, jak nie przystało na damę, wrzasnęła rozdzierająco i wypadła do drugiego pokoju, gdzie spała Babka Karolina.

Podczas śniadania gospodarzom było głupio, pani Halina była z lekka obrażona, lecz w pewnej chwili uświadomiwszy sobie komizm tej przygody, zaczęła się śmiać, a za nią wszyscy pozostali.

Po śniadaniu Helena z Zosią odprowadziły gościa na przystanek autobusowy.

Pani Halina cieszyła się, że będzie miała co opowiadać narzeczonemu i znajomym.

*

Wieczorem Feliks przyniósł drewnianą dzieżę (rodzaj beczki z klepek), a Helena rozczyniła chleb na zakwasie, który zawsze zostawał na dnie dzieży, po każdym pieczeniu chleba. Wsypała do dzieży mąkę, rozprowadziła ciepłą wodą, potem umieściła naczynie w pobliżu ciepłej płyty kuchennej, przykryła prześcieradłem i kożuchem, i zostawiła na noc do wyrośnięcia.

Rano obudziły Lucię jakieś dziwne plaskania, klepania, klaskania. Podniosła głowę i ujrzała mamę klęczącą przy dzieży i mieszającą ciasto na chleb. Zdążyła pomyśleć:

- Będzie świeży chlebuś - i znowu zasnęła, a chleb dalej rósł sobie w dzieży.

Po śniadaniu Feliks przyniósł dwa naręcza grubych polan, drewnianą łopatę i drewniany skrobak na kiju.

Babka Karolina roznieciła ogień w chlebowym piecu, porobiła z ciasta duże bochenki i ułożyła na ławie posypanej grubą mąką.

Podczas gdy piec się nagrzewał, chleb rósł po raz trzeci. W piecu wyrosnie po raz czwarty i upieczony będzie gotowy do jedzenia. Zanim dostanie się do pieca, trzeba wygarnąć węgle, oczyścić mokrą ścierką na kiju dno pieca i dopiero przy pomocy drewnianej łopaty poukładać bochenki w gorącym wnętrzu.

Pierwszy bochenek miał nakreślony znak krzyża. Pozostało już tylko posprzątać kuchnię i czekać, aż nadejdzie właściwa godzina, kiedy chleb będzie gotowy.

Tą samą drewnianą łopatą Babka Karolina wyjęła upieczone bochenki i położyła na łóżku zaścielonym lnianym obrusem. Chleb musi mieć miękko, żeby się nie odcisnął.

Z tej całej celebry przy pieczeniu chleba najmilszą chwilą była ta, kiedy chleb z łóżka powędrował do specjalnej skrzyni na strychu, a na ciepłą pościel wygrzaną przez chleb, zakopywały się Zosia z Lucią, a czasami i Helena.

Łóżko pachniało chlebem, domowym ciepłem, poczuciem bezpieczeństwa i sytości.

I choćby nie wiem, jaki upał był na dworze, dziewczynki musiały wykorzystać to najcieplejsze w świecie ciepło.

Helena starała się zawsze, żeby do ciepłego chleba było świeże masło. Dlatego na zmianę z Zosią tłukły tłuczkiem śmietaną w maślanicy, żeby dogodzić domownikom. Masło się udało, było więc tak jak trzeba i wszyscy byli zadowoleni.

*

Nareszcie przyjechała Jania.

Zosia doszukała się podobieństwa Jani do pani Mianowskiej. Obie miały podobne figury, tylko Jania była nieco niższa, ubierały się podobnie, tylko Jani brak było cech wielkiej damy, lecz panią była na pewno.

Kiedy usłyszała o przygodzie z myszą, najpierw uśmieła się serdecznie, a potem powiedziała:

- A swoją drogą, jak można bać się takiego małego, miłego zwierzątka?

Tak, lecz Jania studiowała biologię i z przyrodą była „na ty”.

Zosia nieraz podziwiała jak Jania trzyma w dłoniach żabę, czasem nawet ropuchę, jak głaszcze w rękę jaszczurkę, lub owija wokół ręki zaskrońca. Chociaż mimo woli naśladowała Janię we wszystkim, to do zwierząt nie mogła zmienić negatywnego stosunku.

Natomiast roślinami i ptakami interesowała się tak samo jak Jania.

Jania kiedyś obiecywała pokazać Zosi rosiczkę. Zaraz po przyjeździe Zosia przypomniała jej o tym.

Tak więc w kilka dni potem wybrały się obie na wyprawę przyrodniczą.

Zapobiegliwa Babka Karolina włożyła do koszyka butelkę z wodą i coś do jedzenia.

Droga wiodła przez las. Szły boso po rozgrzanym piasku. Duszne powietrze wypełnione zapachem żywicy i gorzkim aromatem jałowców rozleniwiało wędrowniczki tak, że szły coraz wolniej. Zresztą, jak twierdziła Jania, było już niedaleko.

I rzeczywiście las się skończył jakby go odcięto gigantyczną piłą i przed oczami dziewcząt rozłożyły się rozległe łąki i bagna.

Usiadły na gęstym kobiercu leśno-bagiennych ziół i traw, żeby nieco odpocząć i napić się wody.

Zosi nagle przypomniało się opowiadanie sąsiada, który trudnił się kłusownictwem. Dwóch było kłusowników we wsi i pewnego razu umówili się, że się spotkają w tym właśnie miejscu gdzie znajdowały się obecnie Jania z Zosią, i pójdą razem na bagna na polowanie.

Najpierw przyszedł jeden z nich, nie czekając na kolegę, poszedł na bagna. Drugi przyszedł nieco później i widząc towarzysza w znacznej odległości, zawołał.

- Zaczekaj !!!

Ten pierwszy usłyszał, obejrzał się i zaczął uciekać, bo zrozumiał „Uciekaj”. Ten drugi ujrawszy jak ucieka ten pierwszy, również zaczął uciekać myśląc, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Biegli obaj aż do ostatecznej utraty tchu. Gdy sytuacja wyjaśniła się, zaśmiewali się obaj przez całą resztę dnia. Jania z Zosią też się pośmiały, lecz niecierpliwa Zosia zerwała się pierwsza, gotowa szukać rosiczki. Jania przytrzymała ją za rękę.

- Zaczekaj, usiądź w tym miejscu - wskazała miejsce o krok od siebie. - A teraz spójrz uważnie.

Jania zakreśliła ręką krąg pomiędzy nimi.

Zosia nadal nic nie widziała. Dopiero po chwili wyodrębniła z pośród innych, nie znaną sobie dotąd roślinę. Była to niewielka bylina, której listki były pokryte lepkiimi włoskami.

- Poobserwujemy chwilę - powiedziała Jania.

W czasie obserwacji jeden owad usiadł nieopatrznie na listku i natychmiast został otoczony włoskami i już nie zdołał się uwolnić.

- Co ona z nim zrobi? - zapytała bez tchu Zosia.

- Strawi go, bo to jej pożywienie, a części niejadalne wyrzuci.

- O właśnie popatrz tutaj - zawołała Jania.

Zosia zobaczyła, jak włoski na jednym listku rozchylają się i wypada zewnętrzna powłoka owada.

Zosia była zafascynowana.

- Weź jedną roślinę do zielnika - prosiła Janię.

- Nie wolno mi tego robić. Rosiczka jest w Polsce pod ścisłą ochroną i występuje w trzech gatunkach, lecz ja znam tylko ten jeden.

- I proszę cię Zosiu, nikomu tego miejsca nie pokazuj, żeby uchronić tę rzadką roślinę od zniszczenia.

W drodze powrotnej nazbierały gąsek lub jak kto woli - kurek. Małe żółte grzybki zwykle pokazywały się pierwsze przed innymi grzybami i stanowiły jakieś urozmaicenie

w wiejskim jadłospisie. A wieczorem w łóżku Zosia opowiedziała Luci o rosiczcze, odpowiednio dramatyzując temat. Była zadowolona, gdy w miarę opowieści Lucia coraz bardziej głębiej chowała głowę pod pierzynę.

*

W poniedziałki odbywały się w pobliskim miasteczku targi.

Na początku lipca, w poniedziałek, Feliks z Heleną i dwiema córkami wybrali się do miasteczka. Feliks miał do załatwienia swoje sprawy związane z pełnieniem funkcji sołtysa, a Helena wiozła córki do krawcowej, która szyla im sukieneczki. Materiał przysłała siostra Heleny, lecz ta odstąpiła go córkom. Krawcowa ubrała dziewczynki w strojne i zafastrygowane sukienki i obróciła je w stronę lustra. Obie zaniemówiły. Czerwony, wytłaczany jedwab sprawił, że nie poznały samych siebie. Wszystko było dobrze, nie trzeba było przerabiać ani poprawiać i sukienki będą gotowe za tydzień w poniedziałek. Lucia, a po trosze i Zosia, były lekko zawiedzione, że już dzisiaj nie mogą zabrać tych cudów, lecz nie było na to rady. Dopiero jak prowizorycznie zeszyte szwy zostaną przesyte na maszynie, sukienki będą gotowe do noszenia.

Po wizycie u krawcowej, Helena przeszła z dziećmi wzdłuż straganów. Oczywiście wszystko chciały kupić, lecz obyło się tylko na małych pierniczkach. Helena kupiła jeszcze tylko drożdże na niedzielne pampuchy i kilogram cukru, a potem zaszła do biblioteki wymienić książki. Pani z biblioteki poleciła Helenie „Chłopów”, którą to książkę napisał Władysław Reymont, co Zosia wyczytała na okładce i przekazała tę ważną informację Luci. To była ostatnia sprawa i Helena z córkami poszła na miejsce, gdzie miał na nie czekać Feliks. Już był na miejscu i nawet obdarował dziewczynki słodkimi bułeczkami, które kupił w piekarni. Mamie kupił specjalnego dużego rogała, a o Jani i Babce Karolinie też nie zapomniał.

Wyjeżdżali z miasteczka w towarzystwie innych wozów. Trzeba było pokonać dość wysokie wzniesienie, a potem droga wiodła pomiędzy dwoma cmentarzami: katolickim i żydowskim. Zosi zawsze ciarki po skórze chodziły, gdy tędy jechała. Szczególnie cmentarz żydowski napawał ją niepokojem i strachem. Ale wkrótce cmentarze zostały w tyle, a droga jak wstęga rozłożyła się wśród dojrzewających zbóż.

Konie człapały po piaszczystej drodze, gdy nagle na poboczu drogi Zosia spostrzegła coś niezwykłego.

- Tato, tato! Popatrz co to jest - zawołała podniecona.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym przez Zosię kierunku. Ścieżką wydeptaną przez pieszych posuwało się coś, co się składało z dwóch kół, ramy i mężczyzny, który na tym siedział i poruszając nogami posuwał się naprzód, wyprzedzając pieszych.

Feliks roześmiał się:

- To się nazywa rower i jak widzicie służy do jeżdżenia.

- Ma tylko dwa koła, więc dlaczego nie upada? - dziwiła się Zosia.

- Bo zachowuje równowagę - odpowiadał tata.

Chociaż ludzie idący piechotą niechętnie ustępowali z drogi, to rowerzysta był już daleko.

W tej chwili Zosia gorąco zapragnęła mieć rower.

*

Babka Karolina uwijała się pośpiesznie przy płycie kuchennej.

Zajęta na warzywniku ani się spostrzegła jak minęło popołudnie. Zaraz wszyscy wrócą do domu, a ona nie przygotowała obiadu i nawet brakowało jej pomysłu, jaki to ma być obiad.

Rozpaliła pod płytą kuchenną i przyniosła ze strychu mąkę żytnią. Dodając do niej wodę i sól, zagniotła gęste ciasto, z którego ulepiła placki wielkości talerza. Gdy drzewo pod płytą wypaliło się, odgarnęła węgle w głąb, a z brzegu paleniska

pokładła placki. Gdy stwardniały, oparła je o ścianki paleniska, gdzie się przypiekły na rumiano.

- O, są osuchy - ucieszyła się Zosia, która weszła pierwsza do domu.

- Osuchy, osuchy - zaśpiewała Lucia podskakując. Obie były w doskonałych humorach z powodu sukienek.

Chłodne mleko z komórki i świeże osuchy były tego dnia choć skromnym, lecz smakowitym obiadem.

Wkrótce wróciła Jania z jednej ze swoich przyrodniczych wypraw. Przyniosła pęczek ziół, które miała zamiar zidentyfikować ze swoim roślinnym atlasem.

Zosia zaraz po obiedzie pobiegła do koleżanek dzielić się wrażeniami, a Lucia zmęczona zasnęła na babcinym łóżku.

Znalazła koleżanki na obórcie u Węgrowskich. Siedziały pod daszkiem, gdzie było złożone drzewo budowlane, bo zanosilo się na deszcz. Ciemna chmura robiła się coraz większa, już zajmowała połowę nieba. Za późno było żeby biec do domu, a siedzieć tutaj, bez opieki starszych też było straszno.

Pierwsza błyskawica przekreśliła niebo srebrnym mieczem. Zosia zatkała uszy, żeby nie słyszeć grzmotu. Młodsze dziewczynki zaczęły płakać.

- Uciekamy - powiedziała stanowczo Zosia i pomagając zejść maluchom, pobiegły wszystkie do Węgrowskich, bo tam było najbliżej.

Babka Karolina stawiając w oknie gromnicę, powiedziała:

- Ale lejbac (było to określenie intensywności deszczu, wymyślone przez nią).

Jak po każdej burzy, tak i tym razem dwie topole zostały rozłupane przez pioruny, a dzieciarnia miała swoją rozkosz taplania się w ciepłych deszczowych kałużach.

Lato było upalne i pogodne, przeplatane częstymi, intensywnymi, choć krótkimi burzami. Tym razem też burza szybko przeszła i zaświeciło słońce malując na niebie wielobarwną, rosistą tęczę.

- Tęcza pije wodę - mówiły dzieci.

Zbliżały się żniwa i deszcze nie były potrzebne, ale Pan Bóg wszystkim rządzi. Jak on zechce, tak będzie.

Jakby mało było wrażeń w tym dniu, pojawili się Cyganie, którzy naszli wszystkie domostwa jednocześnie.

Babka Karolina była w domu sama, kiedy zjawiły się dwie starsze Cyganki.

- Były bezczelne i napastliwe - opowiadała potem Babka Karolina.

Żądały słoniny, wędzonego mięsa, jajek albo kurę. Nie chciały wyjść z domu, aż Babka Karolina, która nie należała do tchórzliwych, złapała miotłę i przepędziła natrętne baby.

Przy tej okazji przypomniała przygodę Zosi z Cyganką.

Zosia miała trzy latka, kiedy pewnego ranka została w domu sama. Mama powiedziała do niej:

- Posiedź chwileczkę sama, ja tylko skoczę do stodoły i już wracam. - Nie będziesz się bała, prawda?

- Prawda - odpowiedziała Zosia, lecz jej pewność nagle zachwiała się, gdy w drzwiach stanęła najprawdziwsza Cyganka. Stanęła w drzwiach, odcinając Zosi drogę ucieczki.

Zosia chwyciła polano spod płyty kuchennej i zaczęła wdrapywać się na taboretkę stojącą pod oknem, żeby wytluc szybę i uciec przez okno. Opanowało ją tylko jedno pragnienie: uciec.

Helena wróciła w momencie, kiedy Zosia usiłowała machnąć polanem w szybę i zdążyła zapobiec katastrofie.

Podobno Cyganka była o wiele bardziej wystraszona niż Zosia i nie usiłując uciec, bardzo przeproszała Helenę i Zosię, tłumacząc, że nie chciała wystraszyć dziecka. Nawet na przeprosiny chciała bezpłatnie powróżyć, lecz Helena poprosiła ją, żeby sobie poszła.

Po nalocie na wieś tego lipcowego dnia, niejedna gospodyni nie mogła doliczyć się kur lub gęsi, gdy tymczasem Cyganki w swoim taborze miały co włożyć do kotła.

*

Zosia wstała wcześniej, żeby wysłuchać poleceń mamy na czas nieobecności rodziców i Babki Karoliny, którzy wybierali się na pole żąć żyto.

Wyszła za nimi na podwórko i obserwowała, jak ze wszystkich chat wychodzą żniwiarze: kobiety w białych chustkach na głowach, nasuniętych na oczy w ochronie przed słońcem, w jasnych kaftanach i spódnicach: choć spranych, lecz czystych. W jednej ręce sierp, w drugiej dzbanek z wodą. Mężczyźni w grubych lnianych koszulach, z naręczami słomianych pasów przygotowanych do wiązania snopków. Pole było tuż za wsią i Zosia obiecała mamie, że przyjdą z Lucią popatrzeć jak dorośli pracują.

Tymczasem Zosia patrząc na idących żniwiarzy przypomniała sobie zwrotkę wiersza Konopnickiej, który potem prześladował ją obsesyjnie przez cały dzień:

... dobry dzień wam dobrzy ludzie
co o świcie już
z jasnym sierpem wychodzicie
ścinać łany zbóż ...

W jakiś czas potem wyszła z sierpem Jania, aby dołączyć do swoich żniwiarzy.

W miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, coraz obfitszy pot zalewał twarze żniwiarzy. Rozedrgane powietrze stało słupem gorącym nad polami. Żadnego powiewu, żadnego wietrzyka. Słychać tylko nieustające cykanie świerszczy i odgłosy pracy sierpów. Szust, szust, szust. Żniwiarze co chwila prostują się i odkładają zżęte garście zboża za siebie. Mężczyźni wiążą je w snopki i ustawiają w kopy po dziesięć sztuk każda, czyli tzw dziesiątki.

Widok pola zmienia się. Zmniejsza się łan zboża, a coraz to gęściej wyrastają dziesiątki.

W samo południe nie da się już pracować. Żniwiarze schodzą z pola, idą do domów na obiad - zsiadłe mleko lub jajecznicę - i odpoczywają.

Potem znów ten sam odgłos pracy sierpów i pot zalewający twarze. Do wieczora łąn zboża ginie, powiązany w snopki i ustawiony w dziesiątki. Krajobraz ulega zmianie.

Ale to dopiero pierwszy łąn. Będzie ich jeszcze więcej, i więcej pracowitych dni, zanim osiągnie się plon.

Kończąc ostatni zagon, żniwiarze zostawiali kępkę nie zżętego zboża. Kobiety związywały kłosa kawałkiem tasiemki lub po prostu powójką ścielącą się po ziemi. Ze środka wrywały trochę łądyg, formując coś w kształcie altanki, a na nim kładziono kromkę chleba. Dodatkowo przybierano altankę kwiatami. To właśnie był plon, oznajmujący o tym, że ta rodzina zakończyła żniwa - te podstawowe, bo jeszcze były pomniejsze zboża jak: jęczmień, owies, gryka, proso. Te zbierano mimochodem, w miarę ich dojrzewania.

Zwożenie zboża też było uciążliwe zarówno dla ludzi jak i dla koni. Wszyscy patrzyli na niebo czy się zdąży przed deszczem, czy nie wypłynie zza lasu podstępna chmura i nie zmoczy tego, co wyschło.

Ileż to razy, aby uchronić zboże przed zamoczeniem pracowano również w niedzielę? Odwieczna walka o chleb, o życie.

Różnie bywało. Czasami człowiek wygrywał, a czasami przegrywał w tej walce.

Wieś otaczały lasy, w których aż się roiło od grzybów, a sezon grzybowy przypadał akurat w żniwa. Nie można było przepuścić takiej okazji, żeby nie nazbierać kosza grzybów i to samych borowików.

Kobiety - te najzagorzalsze grzybiarki, a wśród nich Helena, wstawały przed świtem i szły do lasu z ogromnymi koszami od ziemniaków. Dochodziły do lasu równo ze świtem i najpierw po omacku, a potem już w bladym świetle dnia zaczynały napełniać kosze borowikami. W ciągu dwóch godzin kosze były pełne i kobiety wracały do domu na czas, aby zjeść śniadanie i wyjść z sierpem w pole.

Zbieranie grzybów to była ogromna przyjemność dla amatorów. Zosia jednak nie lubiła łążenia po lesie

i wypatrywania aż do bólu głowy, co jest kawałkiem kory, a co jest główką borowika. Nie była spostrzegawcza. Natomiast Lucia, gdy podrosła, stała się sławną grzybiarką, a w lesie czuła się jak u siebie w domu.

Grzyby suszono, smażono, marynowano. Suszone, można było korzystnie sprzedać, a czasami zdarzało się, że od razu w lesie trafiał się kupiec, który sam nie miał pojęcia o zbieraniu grzybów, a chciał zaimponować żonie. Byli to głównie wojskowi mieszkańcy Osowca.

Tak czy inaczej, mordercza praca przy żniwach i grzybobranie przy trzech, a najwyżej czterech godzinach snu było zbyt wyczerpujące i Feliks zabronił żonie porannych wypraw do lasu. Tym bardziej, że tak niedawno chorowała ciężko na płuca. Chodziły teraz z Janią tylko podczas sloty, kiedy nie można było pracować w polu.

*

Jeszcze na początku lipca Zosia chodziła z mamą nad strugę bielich płótno utkane tej wiosny.

Helena pomagała Zosi zanieść kilka zwojów, rozciągały je na trawie, polewały wodą ze Strugi i Helena wracała do domu, a Zosia zostawała, żeby systematycznie polewać lnianą tkaninę wodą. To spowoduje szybkie wybielenie szarego płótna. Zosia lubiła tę pracę. Podczas, gdy płótno parowało, ona kładła się na desce przerzuconej przez Strugę i patrzyła w głąb wody, obserwując intensywnie życie tego wodnego środowiska. Zawsze wtedy żałowała, że nie ma z nią Jani, która potrafiłaby zidentyfikować wszystkie żyjątka znajdujące się w wodzie. Zosia знаła pajaka topika, pływaka żółtobrzeżka, pijawki, rozróżniała także gatunki drobnych rybek. Podnosiła się z tej deski tylko wtedy, gdy trzeba było zmoczyć płótno. Czasami kładła się na trawie i obserwowała ruchliwe obłoki. Raz zaobserwowała jak jastrząb zaatakował jakiegoś ptaka i była zła nazywając go w myśli mordercą, lecz przypomniała sobie słowa Jani o prawach natury i że każde stworzenie walczy o przetrwanie i o życie.

Po kilku godzinach przychodziła Helena i pomagała Zosi zwinąć płótno i zanieść je do domu.

Dróżka prowadziła przez bagno, nogi zapadały w błoto, ale one tym się nie przejmowały, bagno nie było głębokie. Było to, to samo bagno, w które Zosia spadła z wozienicy, podczas Świąt Wielkanocnych.

Pewnego dnia zamiast Heleny przysłała po Zosię Jania. Obie leżały wtedy na kładce - głowa przy głowie i Zosia dowiedziała się jeszcze wielu szczegółów o życiu wodnych, drobnych zwierząt.

Teraz kończył się sierpień, kończyły się wakacje. Zdawałoby się, że dzieci dość się wymoczyły w strudze na Młynku, że dość już mają zabawy „w Wandę,co nie chciała Niemca”, lecz to nieprawda. Wszystkie dzieci chciałyby mieć wieczne wakacje.

Będzie też smutno, kiedy Jania wyjedzie. Często grała na skrzypcach i odwiedzali ją różni panowie, jak np. dwaj miejscowi studenci Seminarium Duchownego, muzykant z pobliskiego miasteczka, mechanik z sąsiedniej wsi i wielu innych.

Ten mechanik był przedmiotem żartów i kpin Jani, Zosi i Heleny. Przychodził zwykle wieczorem, po pracy i siadłszy na ławie przy ścianie przez jakiś czas gawędził, a potem opierał głowę o ścianę i zasypiał. Kiedy gospodarze chcieli już iść spać, ktoś delikatnie go budził, on przeproszał, zęgnął się i odchodził. Tego wieczoru, kiedy Jania pakowała się przed wyjazdem, przyszedł także i cały czas chrapał z głową opartą o ścianę. Obie kobiety z Zosią a nawet z Lucią zaśmiewały się w sąsiednim pokoju wymyślając jak w dowcipny sposób obudzić śpiącego kawalera. Lucia zaproponowała, że uszczypnie go w kolano,co wywołało nowy atak śmiechu. W końcu Babka Karolina zlitowała się i obudziła chłopca w kulturalny sposób.

*

Pierwszy dzień nauki w szkole. Dzieci ubrane odświętnie zgromadziły się na placu przed remizą strażacką. Dziewczynki mają granatowe fartuszki i kolorowe wstążki pod kołnierzykami: każda klasa inny kolor wstążki zawiązanej na kokardę. Chłopcy ubrani dowolnie, lecz z pewną starannością.

Krótkie przemówienie kierownika szkoły pana Jana Kowala, a potem nauczyciele prowadzą swoje klasy do pomieszczeń znajdujących się w oddzielnych chatach. Są tylko cztery klasy, a siedem oddziałów, więc niektóre oddziały muszą być łączone.

Zosia właśnie zdała do czwartego oddziału. W jej klasie uczy się też oddział siódmy.

Zosia jest pojętną uczennicą. Na jej świadectwach widnieją same piątki. Nauczyciel połowę godziny lekcyjnej poświęca jednemu oddziałowi, a połowę drugiemu. Zosia chłonie wiedzę nie tylko tę przeznaczoną dla swojego oddziału, lecz także tę trudniejszą, przeznaczoną dla oddziału siódmego.

Zosia jest mocna w rysunkach. Pewnego razu nauczyciel przyniósł kolbę laboratoryjną, którą polecił dzieciom narysować, a sam wyszedł. Zosia zrobiła rysunek w dwie minuty, a potem porobiła rysunki wszystkim chłopcom. Pan postawił chłopcom oceny bardzo dobre, a Zosi dostateczną, dając w ten sposób do zrozumienia, że przejrzał gierkę dzieci.

Innym razem Zosia zrobiła obrazek namalowany farbami wodnymi. Był to wiejski krajobraz: dom, połamany płot, studnia, kilka kur. Taki sobie zwykły obrazek, lecz Zosia wpadła na pomysł, by każdy z namalowanych przedmiotów obwieść cienką obwódką jasnożółtej farby. Dało to niesamowity efekt. Na obrazku pojawiło się jaskrawe słońce. Tym razem pani nauczycielka zachwyciła się:

- Powiesimy chyba ten obrazek w klasie! Pozwolisz?

Zosia zaniemówiła ze szczęścia, a pani zrozumiała to jako odmowę. I tak Zosine arcydzieło nie zostało wystawione na widok publiczny.

W korytarzyku jednej z klas mieścił się szkolny sklepik spółdzielczy „Społem”, który obsługiwała Zosia wraz z koleżanką, podczas przerw między lekcjami.

Izby szkolne były prymitywne, w zimie niedogrzone, często spacerowały w nich kury, a czasami jakieś prosię spragnione wiedzy składało dzieciom wizytę. Dzieciom to nie przeszkadzało.

W swoich domach miały nielepsze warunki.

Nauczyciele byli lubiani, nawet pan Kierownik, który od czasu do czasu zapraszał któregoś chłopca do swego domu na ganek. Na ogół chłopcy nie zdradzali się z celem tych wizyt.

Nauczycieli było czworo, a piąty ksiądz katecheta, z pochodzenia Białorusin. Dzieci uwielbiały księdza. On nigdy nie chodził sam. Zawsze był otoczony wianuszkiem dzieci, które trzymały się jego laski lub po prostu sutanny. Ksiądz wykladał i uczył religii w sposób tak przystępny i dostosowany do środowiska i warunków wiejskich, że nie było takiego tępaka, który by nie zrozumiał, o co chodzi.

Kiedy Zosia zdała do gimnazjum, stwierdziła, że zna historię starożytną dzięki swojemu księdzu katechecie ze szkoły powszechnej.

Lucia już jako pięcioletka знаła wszystkie litery alfabetu, lecz nie umiała czytać. Wtedy Helenie przyszło do głowy, że Zosia jako piątkowa uczennica mogła ją tego nauczyć.

Tak więc, pewnego popołudnia, gdy Zosia wróciła ze szkoły, zastała uprzątnięty mały stolik, na nim rozłożony elementarz i siedzącą przy nim Lucię, czekającą z niecierpliwością na pierwszą lekcję.

Zosia też była podniecona awansem na nauczycielkę. Zjadła naprędce obiad i zasiadła z drugiej strony stolika.

Najpierw przepytowała uczennicę ze znajomości liter, a następnie kazała otworzyć elementarz na pierwszej stronie, wskazała palcem wyraz - mama - i powiedziała:

- Czytaj.

Lucia płynnie przesylabizowała - m-a-m-a- i powiedziała tata.

Zosia powiedziała głosem, który nie wróżył nic dobrego:

- Jeszcze raz czytaj!

- M-a-m-a - baba - przeczytała Lucia z nadzieją w głosie, że tym razem jej się udało.

Zosia zdenerwowała się.

Pacnęła ręką uczennicę po głowie, krzycząc:

- Ty tępoto! To jest mama, rozumiesz? M-a-m-a - to jest mama!

Lucia się rozpląkała i na tym lekcja się skończyła.

Po kilku takich lekcjach Helena zrozumiała, że mogą one uczynić Luci więcej złego niż dobrego i przerwała je.

Tak to zakończyła się kariera Zosi jako nauczycielki, a Lucię nauczyła czytać Jania, prawdziwa przyszła nauczycielka.

Zosia już od trzeciej klasy miała wielbiciela. Nazywał się Edek i był synem właściciela sklepu z sąsiedniej wsi. Ciągłe przynosił Zosi prezenty w postaci lizaka lub kilku landrynek, podwędzonych ze sklepu rodziców. Zosię krępowały te prezenty i zwykle chowała je tak głęboko, że zapominała o ich istnieniu; lecz posiadanie adoratora było przyjemne.

Z latami sympatia przemieniła się w prawdziwą miłość, omal że nie zakończoną małżeństwem. A chociaż do tego nie doszło, to młodzieńcza sympatia przetrwała do końca dni Edka.

*

Cofnijmy się jednak do czasów, kiedy Zosia była jedynaczką i musiała chodzić „na zadanie” czyli pod opiekę babki Dorkowej lub Baltazowej.

Istniała jeszcze trzecia możliwość, lecz z tej rzadko można było korzystać.

Znamy już rodzinę Potockich, mieszkającą obok.

Znamy Józefinę Potocką, lecz prawdziwą przyjaciółką Zosi była Helena Potocka, krawcowa, rówieśnica mamy Zosi. Zosia najbardziej lubiła u niej przebywać. Zwykle siadała cichutko w kąciku i bawiła się w krawcową. Dopasowywała gałganki,

zeszywała je ze sobą, a czasem nawet dostawała nożyczki, żeby coś przykroić.

Mogła też zabierać niepotrzebne skrawki do domu, gdzie miała ich całe pudełko po butach. Tylko, że takich szczęśliwych dni było niewiele, bo Helena krawcowa musiała też pracować w polu. Helena miała wyjść za mąż, lecz dopiero zimą, na razie więc Zosia nie myślała o tym. Zima zdawała się być tak odległa, że Zosia wcale by się nie zdziwiła, gdyby w ogóle nie nadeszła.

*

Z wesela Heleny Potockiej Zosia zapamiętała niewiele.

Siedziała na kolanach panny młodej, na ławie za długim stołem. Była zapuchnięta od płaczu i szarpiąc welon powtarzała głosem rwącym się od łkania:

- Zrzuć tę szmatę, zrzuć tę szmatę ...

Potem była kotłowanina na środku izby weselnej, mężczyźni wyładowywali swoją energię na nosach sąsiadów i na tym skończyły się wspomnienia z wesela najlepszej Zosinej przyjaciółki.

Jakiś obcy mężczyzna, na którego Zosia ani razu nie spojrzała, wywiózł Helenę na zawsze, pozostawiając w smutku pierwszego rozstania, małe dziecko.

*

Feliks miał zwyczaj nadużywać słowa - cholera - nie w formie przekleństwa, a po prostu w potocznej mowie. Mówił np.

- Smaczny barszcz - cholera. Albo: moja córka zdolna jak cholera. Ktoś był głupi jak cholera lub pobożny jak cholera.

Helena wprost chorobliwie nie znosiła przekleństw, grubych i nieprzyzwoitych słów. Nie zwracała natomiast uwagi na sposób wyrażania się Feliksa, jakby wcale nie słyszała tego słowa.

Za to słyszał i zapamiętał je ktoś inny.

Pewnego razu chodziła sobie Zosia po mieszkaniu z packą na muchy i za każdym pacnięciem w ścianę mówiła: - cholera!

Usłyszała to mama. Co było potem, Zosia nie pamięta, ale chyba coś strasznego, bo Zosia nigdy więcej nie wypowiedziała tego słowa. Może tylko czegoś tu nie rozumiała, ale nie śmiała dyskutować z mamą.

Niedługo po tym wydarzeniu przyszedł sąsiad, który z kolei nadużywał słowa - szlag. Np. szlag by go trafił.

Zosia siedziała przysłuchując się rozmowie starszych i jednocześnie kojarząc słowo szlag, z kolorowym szlaczkiem wykańczającym świeżo nałożoną tapetę w pokoju. Ucieszyła się, że będzie mogła operować tak pięknym słowem - szlak - szlaczek.

Odszukała packę i zabrała się za muchy, jak tylko sąsiad wyszedł.

- Szlak by cię trafił - pac! Szlak by cię trafił - pac!

I znowu nastąpiło coś strasznego, czego Zosia nie pamięta. W każdym razie nie bicie, bo tego rodzice nie robili. Po tych dwóch wydarzeniach pozostało w umyśle Zosi poczucie krzywdy i niesprawiedliwości.

Czy dorośli zdają sobie sprawę jak trudno być dzieckiem?

*

Skończyło się lato. Z tęsknym klangorem przepłynęły ostatnie klucze żurawi. Odleciały bociany i inne drobne ptactwo. Babie lato gęsto omotało drzewa i krzewy sprawiając wrażenie szronu podczas mglistych poranków. Kończono ostatnie prace jesienne, przygotowując się do zimy. Kończył się jeszcze jeden rok.

Zosia dostała nową parę butów, które z dumą nosiła do szkoły. Pewnego dnia od wczesnego ranka, wybierając się do szkoły Zosia krzątała się w kuchni płacząc po kryjomu i bezgłośnie lejąc obfite łzy. Helena krzątała się także, bo po śniadaniu wybierała się z mężem do miasteczka na targ.

Zosia płakała, bo mama nałożyła jej nowe, brązowe, sznurowane buciki, a ona musiała iść do szkoły w starych, rozdeptanych pantoflach.

Nie chciała, żeby mama zauważyła łzy, lecz ona je widziała i odgadła ich przyczynę. Nie omieszkła przy tym powiedzieć kilku gorzkich słów, które natychmiast osuszyły łzy Zosi. Z jarmarku rodzice przywieźli białe, słodkie bułeczki, a najważniejsze, że Zosia odzyskała swoje nowe buciki w niezmienionym stanie. Była bardzo zawstydzona swoim porannym zachowaniem i spodziewała się ze strony mamy dalszych wymówek, lecz ona puściła całą sprawę w niepamięć.

Pierwsze buciki Zosi Feliks zamówił u szewca, kiedy skończyła rok i zaczynała chodzić. Były to miniaturki damskich bucików z czarnej skóry, na płaskim obcasie. Długo były przechowywane na strychu domu, razem z butami Heleny. Te miały wysoki obcas, długą sznurowaną cholewkę, obejmującą kostki i łydki. Zosia chodziła na strych często, żeby oglądać obie pary i przymierzyć buty mamy. Były już na Zosię dobre, tyle, że niemodne.

Długo leżały na strychu obie pary bucików, aż wreszcie gdzieś się zawieruszyły, prawdopodobnie podczas przeprowadzki do nowego domu. Ale to będzie znacznie później.

*

Od czasu do czasu przychodziły z pobliskiego miasteczka Goniądza dwie Żydówki handlarki z towarami w koszykach.

Chodziły po wsi oferując do sprzedaży nici, igły, tasiemki, zatrzaski, guziki, agrałki i tym podobną drobnicę.

Jedna była wysoka i gruba, i miała na imię Gielerka, a druga niska, szczupła, nazywała się Sorka.

Często zachodziły do domu Feliksa, żeby zjeść swój więcej niż skromny obiad. Miały zwykle po jednej bułce z żytniej mąki i po jednej kostce cukru oraz własne kubki. Korzystały tylko z wrzątku gospodarzy. Jedna wypijała pół kubka wody ze swoją kostką cukru, a druga, Gielerka napełniała kubek do

pełna, też z jedną kostką cukru. Pojadłszy sobie, szły dalej po wsi ze swoim żebraczym handlem.

Dowcipna Jania określając kiedyś jakiś przedmiot małych rozmiarów przyrównała go do małej Żydówki.

- No wiecie, taka Sorka - powiedziała.

Od tej chwili wszystko, co miało duże rozmiary, było Gielerką, a małe przedmioty - Sorką.

Na przykład, gdy babka Karolina pytała wracających z pola zniwiarzy ile nażęli, odpowiadali: dziesięć Gielerek i jedną Sorkę. Przez długi czas posługiwano się tą śmieszną miarą, a potem żart poszedł w zapomnienie, jak indiańskie imiona nadawane kiedyś członkom rodziny.

Tylko czasami przypominało się komuś, że Kate Malone (Babka Karolina) upiekła cztery duże bochenki chleba i jedną Sorkę.

*

Ze wszystkich członków rodziny, najpobożniejsza była Helena. Teraz w październiku, bez względu na pogodę chodziła do kościoła na październikowe nabożeństwo, każdego dnia. Na dodatek zmuszała Zosię do towarzyszenia sobie. Nabożeństwo odbywało się późnym wieczorem. W domu było tak zacisznie, płonął ogień pod płytą kuchenną, coś bulgotało smakowicie w garnkach i z tego raju trzeba było wychodzić w słotną lub wietrzną noc, aby brnąć kilometr przez polną błotnistą drogę do kościoła. Zosia czuła się wtedy bardzo pokrzywdzona.

Kościół oświetlony kilkoma łożówkami, tajemniczy, a nawet straszny w ciemnych kątach. I monotonne głosy modlących się, zmęczonych kobiet. Zdawało się, że nabożeństwo trwa bez końca.

Szkolny wielbiciel Zosi, który mieszkał w pobliżu kościoła, zwykle czatował przy domu i widząc idącą Zosię, sam też udawał się do kościoła i zajmował takie miejsce, żeby mogła go widzieć. W obecności Edka nabożeństwo nie dłużyło się tak bardzo.

Powrotna droga do domu, do ciepłego pieca i gorącej zupy już nie była tak długa, a im gorsza była pogoda, tym większe szczęście odczuwało się wchodząc w domowe zacisze.

*

Jeszcze podczas wakacji, rodzice Edka kupili mu rower. Chłopiec był szczery i dobroduszny, więc pozwalał kolegom i koleżankom uczyć się jeździć, lecz pierwszeństwo oczywiście miała Zosia. Ona też pierwsza pojęła trudną sztukę utrzymania równowagi na dwóch kołach.

Kiedy Edek biegł obok asekurując ją od upadku, szczególnie krępowała ją rozległa blizna na lewym kolanie, bardzo widoczna podczas jazdy. Dorobiła się jej jakieś dwa lata temu, kiedy to miała zwyczaj wchodzenia do swego przydomowego ogródka nie przez bramkę, a przez płot. Płot był wprawdzie drewniany, lecz obwieszony drutem kolczastym. Wystarczyła chwila nieuwagi podczas przechodzenia, żeby ostry kolec głęboko przeorał kolano.

Jak zwykle Zosia nie poszła do mamy, lecz do koleżanki Łodzi „za drogę”. Jej mama położyła na ranę gałganek natłuszczony smalcem, a kiedy rana przestała krwawić, Zosia poszła do domu. W domu tak sprytnie lawirowała, że nikt nie zauważył skaleczenia. Aż następnego dnia z rana mama odkryła ranę.

Dzieci na wsi były zahartowane i odporne, dlatego też Zosia nie dostała zakażenia ani tężca, a skaleczenie wkrótce się zagoiło, pozostawiając na pamiątkę bliznę. Edkowi to nie przeszkadzało: był tak zauroczony Zosią, że na takie głupstwa nie zwracał uwagi.

Tymczasem, korzystając z ostatnich pogodnych dni, mężczyźni na podwórku u Feliksa tarli drzewo na deski.

Wyglądało to w ten sposób: wciągano kloc drzewa na dwa potężne krzyżaki, wysoko, do dwóch metrów. Następnie dwóch mężczyzn - jeden na dole, a drugi na górze piłowali kloc na równe, dowolnej grubości deski. Długa piła chodziła monotonnie, zdawać by się mogło: przy minimalnym wysiłku

ludzi. Szach, szach, góra, dół, góra, dół. Feliks stał na górze. Nieopodal bawiły się młodsze dzieci. Starsze były w szkole.

W pewnym momencie Feliks zwrócił się do Luci:

- Lucia, podskocz do sklepu, przynieś mi papierosy.

Lucia zbyt zajęta zabawą, a może przestraszona perspektywą dalekiej drogi, bo sklep był aż na samym końcu wioski, odpowiedziała beztrąsko:

- Nie pójdę!

Ojciec nie ponowił prośby i nie wrócił nigdy więcej do tego tematu, i nie przeczuwał nawet, jakie męki wyrzutów sumienia przeżywała Lucia wtedy i przez całe dorosłe życie.

Bezwzględne posłuszeństwo dzieci nie było wymuszane karami, lecz było tak naturalne, jak powietrze, woda, słońko. Było nie do podważenia.

*

Chociaż Lucia miała trudności z czytaniem, to pamięć miała absolutną. Wszystkie wierszyki i piosenki szkolne Zosi, umiała wyrecytować, zaśpiewać. Popisowym wierszem Luci był „Przysięga Tadeusza Kościuszki”. Wiersz się kończył słowami:

- ... a była to chwila i święta i boża,
cała Polska drgnęła od morza do morza.

W wykonaniu Luci, która literkę O wymawiała jak A, brzmiało to tak:

- ... a była to chwila i święta i bazia,
cała Polska dli gnęła od mazia do mazia.

W słowa tego wiersza wkładała tyle zaangażowania i uczucia, że słuchacze często mieli łzy w oczach.

Rodzice lubili się chwalić umiejętnościami i zdolnością córki w związku z czym, musiała stale występować przed publicznością.

Tej jesieni najmłodszy braciszek Zosi i Luci miał już prawie cztery miesiące.

*

Pewnego dnia, gdy Zosia wróciła ze szkoły, w domy zastała tylko mamę, która gdzieś się śpieszyła i zostawiła dziecko pod opieką Zosi. Miała przygotowaną butelkę z kaszką manną i poleciła Zosi nakarmić maleństwo. Stefek zjadł zaledwie połowę i zasnął, więc Zosia korzystając z ciszy i spokoju zabrała się do odrabiania lekcji.

Zaledwie rozłożyła książki, usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołała niezbyt głośno, nie chcąc obudzić braciszka.

Przyszedł znajomy rodziców, z zawodu muzykant, dość częsty gość w ich domu. Przywitał się, zapytał o rodziców: gdzie są, kiedy wrócą, chwilę porozmawiał z Zosią i powiedział:

- No to będę szedł. - Wstał, lecz zamiast do drzwi, skierował się w stronę Zosi. Zanim zorientowała się, o co chodzi, objął ją mocno ramionami i wycisnął na jej ustach długi, bolesny pocałunek, łączący w sobie wszystkie najobrzydliwsze odory świata. Nieświeży oddech, śmierdzący tytoń, pot obrzydliwy, lepka ślina, kłujący zarost i nieuchwytny, a dominujący zapach starości. Zosia zaczęła się dusić, lecz nie mogła uczynić żadnego obronnego ruchu. W pewnym momencie mężczyzna uwolnił dziewczynkę i wypadł z mieszkania. Zosia długo łapała oddech, a potem rozplakała się ze złości.

Wlała do miednicy wody i zaczęła myć twarz, ręce, usta, długo tarła się ręcznikiem, lecz ta obrzydliwa woń ciągle jej towarzyszyła. Myła zęby, tarła usta prawie do krwi, lecz bez skutku. Czowała mdłości, lecz nie mogła wymiotować.

Wyszła na podwórko, ale tam był ten sam męski odór. Zdjęła z siebie wszystką odzież i nałożyła świeżą - bez skutku. Nie wiedziała, co robić, kiedy zobaczyła na stole nóż.

- Obetnę sobie usta - pomyślała zdesperowana.

Na szczęście wróciła mama, która od razu zauważyła czerwone opuchnięte wargi i czerwoną dolną część twarzy córki. Przestraszyła się.

- Zosiu, co się stało? Jesteś chora?

- Tak, źle się czuję - wydukała Zosia i zwinęła się w kłębek na łóżku Babki Karoliny. Tutaj też towarzyszył jej ten obrzydliwy odór, lecz nie miała już gdzie się przed nim schronić. Jedyłą ucieczką był sen.

Zosia nigdy nikomu nie zwierzyła się z tego, co przeżyła. Przez długi czas widok starszego mężczyzny przyprawiał ją o mdłości, a wdech wyłapywał obrzydliwą woń. Ten „starszy” mężczyzna, który dał Zosi odczuć smak pocałunku miał około trzydziestu lat.

Zosia wyrobiła sobie pojęcie pocałunku na podstawie romansów wypożyczanych w bibliotece przez mamę i czytanych potajemnie.

Pocałunek, to było coś pięknego, coś nieziemsko pięknego, co zapowiadało przy tym nieograniczone szczęście. Szczęście, którego Zosia nawet pojąć nie mogła. A tu raptem taka ohyda! W jej głowie powstał całkowity zamęt. Co jest prawdą, a co jest fałszem, zadawała sobie pytanie.

Przez kilka dni chodziła rozkojarzona, lecz stopniowo przeżycie zacierało się w pamięci, chociaż pytanie pozostało bez odpowiedzi. Odpowiedź nadeszła znacznie później, kiedy przyszedł na to właściwy czas.

*

Tymczasem zbliżały się kolejne święta Bożego Narodzenia, które przeszły według starego scenariusza, z tą tylko różnicą, że przy wigilii uczestniczył nowy członek rodziny - Stefek. Najmłodsze dziecko Feliksa i Heleny, wówczas czteromiesięczny.

Z tych świąt Zosia zapamiętała najwyraziściej strajk chóru kościelnego. Najpierw w ich domu często gromadzili się chórzyci i głośno dyskutowali, kłócili się, mówili o czymś, czego Zosia nie rozumiała, często powtarzano słowo - strajk.

Przez ostatnie lata Zosia zawsze chodziła na Pasterkę, uwielbiała słuchać kolędy w wykonaniu chóru i swego taty.

Tym razem - wyczuwała to - szykowało się coś niedobrego.

Jeszcze przed rozpoczęciem nabożeństwa, kiedy to zawsze chór popisywał się solówkami, tym razem trwała cisza. Tylko kilka babinek fałszując, skrzeczało jakąś kolędę.

Na chórze, zajęтым przez śpiewaków trwała cisza. Tylko organista jak w każdą zwykłą niedzielę odpowiadał księdzu.

Zawód Zosi był wprost nieopisany. Czuła się okradziona, oszukana, skrzywdzona. Nigdy nie dowiedziała się, jaki był powód strajku. Lecz jako dorosły człowiek uwierzyła, była prawie pewna, że w czasie trwania tej Pasterki nowonarodzony Jezus z całą pewnością płakał.

Zdarzył się jeszcze jeden drobny incydent, który zakłócił spokój Zosi.

Wieś dzieliła się na następujące klasy społeczne: chłopci bogaci, posiadający dużo ziemi i dużo pracy; chłopci małorolni i średniacy, do których zaliczał się także Feliks.

Istniała też klasa wyrobników, nie posiadających ziemi, najmujących się do pracy u rolników. Było ich zaledwie kilka rodzin a zwano ich na wsi łożniakami.

Do pomocy dla Feliksa przychodził chłopak zaledwie dwa lata starszy od Zosi. Broniek przychodził z własnej woli, pracował za samo wyżywienie, przy tym kochał się w Zosi, lecz nie tak jak chłopak w dziewczynie, lecz jak paż w księżniczce. Jego największym marzeniem było, że, gdy Zosia zostanie panią kapitanową, on będzie jej ordynansem.

W pierwszy dzień Świąt przyszedł sąsiad, dziadek Potocki, kilku innych i Broniek. Babka Karolina zaprosiła ich do pokoju, gdzie stała duża choinka. Na choince między innymi ozdobami, wisiały także imitacje cukierków: długie patyki - około 10 cm - owinięte w barwną bibułkę.

Dziadek Potocki znał tę sztuczkę, a Broniek nie, więc dziadek powiedział:

- Broniek, zaśpiewaj nam kolędę, a dostaniesz najdłuższego cukierka z choinki.

Chłopcu zaświeciły się oczy. Odśpiewał kolędę jak tylko umiał najpiękniej i sięgnął po upatrzonego cukierka. Jego mina w chwili gdy odkrył prawdę wzbudziła powszechny śmiech.

Zosi zrobiło się niedobrze. Wyszła z pokoju i uciekła do koleżanki.

W końcowym efekcie Zosia nigdy nie została kapitanową, a Bronek dorobił się majątku w Stanach Zjednoczonych.

Rok 1935 dobiegł końca.

J A N I A

Późnym chmurnym popołudniem, dnia 7 lutego 1955 roku, wróciliśmy z cmentarza do domu. Znowu odszedł ktoś bliski, najbliższy z najbliższych, kogo kochałam może bardziej niż rodziców: moja ciotka Jania, najmłodsza z pięciu córek Antoniego i Karoliny Bielskich.

Babcia, Mama i brat Stefan poszli do stodoły na wieczorny obrządek, bo na wsi nie ma wolnych dni, ani na okoliczność pogrzebu, ani na inne okoliczności. Trzeba obrządzić i nakarmić zwierzęta, wydoić krowy, przynieść wodę ze studni na użytek domowy i drzewo do pieca.

Nie zapalając lampy naftowej zwinęłam się w kłębek na kanapie i zamknęłam zapuchnięte od płaczu oczy. W głębi serca czułam ulgę, że jej cierpienia, które trwały pół roku, w końcu skończyły się.

Lecz jak przeżyć rozstanie ? Jak żyć ze świadomością, że już nigdy, już nigdy ...

W drugim pokoju siedział syn Jani – Sławek, lecz ja nie byłam w stanie ani go pocieszyć ani z nim rozmawiać.

Lucyna też zaszyła się w jakimś kącie ze swoim bólem.

*

Jania urodziła się w 1913 roku, kiedy Helena, jej siostra miała sześć lat a więc według ówczesnych wiejskich norm, już posiadała kwalifikację na nianię. Wszyscy starsi byli zajęci w polu, przy gospodarstwie, zwierzętach, obróbce lnu i wełny, tkaniu płócien, wełniaków, chodników, dywaników itp.

Koniec pierwszej wojny światowej. Dni płynęły biednie i zgrzebnie. Karolina z córkami pracowały jak mogły, żeby zapewnić sobie chleb powszedni. Antoni, mąż Karoliny mieszkał w Stanach. Przyjechał tylko, aby wziąć ślub z Karoliną i zaraz wyjechał. Po jakimś czasie zabrał też Karolinę. W ciągu ośmiu lat jej pobytu w Stanach urodziły im się trzy córki: Emilia, Zofia i Jadwiga, po czym całą rodziną wrócili do Polski, gdzie urodziły się następne dwie córki: Helena i Janina. Antoni, który był bardziej robotnikiem niż chłopem, postanowił wyjechać do Stanów. Karolina została z dziewczynami sama. Wkrótce i dziewczyn zabrakło, bo kolejno, w miarę uzyskiwania pełnoletności, jako amerykańskie obywatelki, wyjechały do Stanów. Pozostała Karolina z najmłodszymi córkami: Heleną, wówczas szesnastoletnią i Janią dziesięcioletnią.

Potrzeba było mężczyzny, gospodarza i to jak najszybciej, bo ziemia nie lubi, gdy się ją lekceważy.

I tak Helena w wieku niespełna szesnastu lat wyszła za mąż za sąsiada Feliksa: trochę za sprawą swatów a trochę z wzajemnej sympatii, która potem przerodziła się w prawdziwą, rzadko zdarzającą się w życiu – miłość.

Feliks (starszy od Heleny o dziewięć lat) był ojcem dla Jani i kochał ją, jak własne dziecko.

*

Jania siedziała przy małym kwadratowym stoliku stojącym pod oknem, gdzie zwykle odrabiała lekcje. Przed nią leżał rozłożony podręcznik do geografii, a ona usiłowała się nauczyć na pamięć nazw lewych i prawych dopływów rzeki Wisły. Nie mogła jednak się skupić. Niezliczoną ilość razy powtarzała: Soła, Skawa, Raba i dalej ani rusz.

Przeszkadzało jej słońko chyłące się ku zachodowi, przesiewające swoje promienie przez ogromny krzak bzu rosnący pod oknem, pszczoły krążące nad kwiatami, a nade wszystko kwilenie niemowlęcia dochodzące z sąsiedniego pokoju.

Przed kilkoma dniami przyszła na świat kruszyna o wadze niecałe dwa kilogramy, córka Feliksa i Heleny. Na razie dziecko znajdowało się pod opieką mamy, lecz było wiadomo, że nianią będzie Jania. Naturalnie w wolnym od nauki czasie, bo wszyscy – cała rodzina zgodnie uchwalili, że Jania zdobędzie wykształcenie. Czym ma być ? Gdyby była chłopcem, byłaby oczywiście księdzem, lecz dziewczyna mogła być tylko nauczycielką.

Tymczasem przyszła nauczycielka po raz niewiadomo który recytowała swoje – Soła, Skawa, Raba i wreszcie zirytowana zamknęła podręcznik i upchnęła go do płóciennej torby, gdzie znajdowały się pozostałe książki i zeszyty. Poszła zajrzeć do Heleny i niemowlęcia, które miało już imię bardzo na wsi popularne – Zosia.

Niemowlę zdrzemnęło się, a Helena jeszcze dosyć osłabiona, wsparłszy głowę na dłoni, a dłoń na łokciu, wpatrywała się w maleństwo, nieobecny wzrokiem. Sama była dzieckiem – zaledwie skończyła siedemnaście lat.

Ujawszy Janię, przygarnęła ją do siebie i zapytała:

- Pomożesz mi ?

Zamiast zapewnień pomocy, Jania przytuliła się jeszcze bardziej do siostry a ich łzy pomieszały się i razem spłynęły na leżące niżej zawiniątko.

Babka Karolina odwołała Janię do kuchni i poleciła zanieść połoźnicy kolację: miskę zacierki na mleku i na talerzyku tłuczone ziemniaki okraszone słoninką.

- Powiedz Helenie, aby wszystko zjadła, niech nie zapomina, że karmi dziecko – przykazała Babka Karolina surowo.

Nazajutrz Jania obudziła się i pierwsze co wyrecytowała na pamięć, to nie „Ojczy nasz” lecz wszystkie prawe i lewe dopływy Wisły, które znalazły swoje miejsce w mózgu dziewczynki i posłusznie ujawniły się właśnie teraz.

Jania lubiła chodzić do szkoły, chociaż mieściła się ona w wiejskiej chacie, ciemnej, zimnej i zaniedbanej.

Za to nauczyciele byli prawdziwymi pedagogami: wiedzieli czego dzieci uczyć i jak to robić skutecznie.

Helena chodziła do takiej szkoły cztery zimy (latem dzieci musiały pracować na roli wraz z rodzicami) i przez ten czas nauczyła się płynnie czytać i pisać absolutnie bezbłędnie.

Na zbiorowym zdjęciu można było podziwiać jej nauczycielkę, jako prawdziwą damę i dziwić się, że zdecydowała się pracować na wsi.

Janię uczył także elegancki, młody Pan, który zawsze nosił kapelusz, laskę i kamizelkę. Nazywał się Wyskoczył i Feliks mówił, że jest Czechem.

Dość długo pracował na wsi, bo nawet Zosia zapamiętała jego elegancką sylwetkę, gdy przychodził do Feliksa na polityczne pogawędki.

Jania była zdolna i inteligentna, a nauczyciele lubią takich uczniów, widząc, że ich wysiłek nie idzie na marne.

Jak wiadomo, po zakończeniu pierwszej wojny światowej, pomimo uzyskanej niepodległości Polska była biedna, zgrzebna i siermiężna.

Jania, tak samo jak inne dzieci nosiła sukienkę na lato z surowego, nie bielonego płótna lnianego, może nieco ozdobioną kolorową nitką, jeśli była możliwość taką zdobyć.

Mężczyźni nosili koszule i wełniane, także utkane domowym sposobem kapoty. Zimą nosili kożuchy z owczych skór, a na nogach „walonki” – wysokie buty tłoczone z filcu.

Głęboki kryzys ogarnął cały świat i nie można było liczyć na pomoc córek Karoliny, które wyjechały do Stanów, chociaż w pojęciu biednej Polski, Ameryka powinna być krainą dobrobytu i wiecznej szczęśliwości.

Jania po powrocie ze szkoły zaczęła spełniać drobne posługi przy niemowlęciu a z chwilą nastania wakacji, usługi te znacznie wzrosły.

Tego roku 1923 wiosna była bardzo piękna, ciepła i pogodna a lato upalne, lecz często przeplatane krótkotrwałymi, lecz natężonymi burzami.

Jania nie chcąc spędzać czasu w mieszkaniu, gdzie zresztą muchy zatruwały życie, wychodziła na podwórko, siadała na trawniku, który zawsze był pięknie utrzymany, kładła dziecko na podolek swojej płóciennej sukienki i mając wolne ręce mogła brać udział w grze w kamienie. Dziecko spało, lub błękitnymi oczkami wpatrywało się w poruszające się wolno liście drzew, siusiało raz po raz, tak, że sukienka Jani prawie zawsze była wilgotna, do tego stopnia, że wypadła w niej ogromna dziura i trzeba było szyc nową.

W późniejszych latach, gdy już Zosia dorosła, Jania ciągle upominała się o odkupienie zniszczonej sukienki. I chociaż Zosia, prawie od urodzenia umiała obchodzić się z igłą, nitką i nożycami, niejedną sukienkę jej uszyła, lecz ciągle nie była to taka sama sukienka, jak ta z dzieciństwa.

Lato upływało pod znakiem ciężkiej pracy fizycznej całej rodziny.

Zacofane rolnictwo pod zaborem rosyjskim nie zapewniało dostatku rolnikom. Pola pocięte w szachownicę, drobne gospodarstwa rolne nie mogły wyżywić ludzi mieszkających na wsi.

W miastach też nie było pracy.

Wtedy to właśnie trwała ta słynna wędrówka Polaków w poszukiwaniu pracy. Jednak na wsi nie było pracy dla obcych a ściślej mówiąc nie było pieniędzy, aby za tę ewentualną pracę zapłacić.

Dopóki Jania chodziła do szkoły we wsi, nie było żadnych problemów. Wkrótce jednak zabrakło dla niej oddziałów i musiała podjąć naukę w pobliskim Goniądzu, miasteczku oddalonym od Downar o cztery kilometry.

Dziecko musiało pokonać tę odległość codziennie pieszo: cztery kilometry rano i cztery kilometry po południu. W poniedziałki odbywały się targi w Goniądzu, więc była możliwość dojazdu i powrotu ze szkoły wozem konnym Feliksa, lub sąsiada.

Czasem w ciągu tygodnia nadarzała się okazja do podjechania, lecz na ogół trzeba było liczyć na własne nogi, niezależnie od pogody i pory roku.

Na dodatek gdzieś w połowie tej drogi znajdował się zagajnik zwany Osiny, gdzie ciągle zdarzały się jakieś straszne rzeczy, a pomimo tego Jania chodziła każdego dnia, chociaż z duszą na ramieniu, bo trzeba też było przejść pomiędzy dwoma cmentarzami: katolickim i żydowskim.

Wróciwszy ze szkoły, jadła naprędce posiłek, który był obiadem i kolacją i do późna odrabiała lekcje.

W tej sytuacji musiała mieć bardzo wpływowego Anioła, który ją prowadził i strzegł a ludzie musieli być bardzo dobrzy, że nikt jej nigdy nie zrobił żadnej krzywdy.

Wakacje też nie bywały odpoczynkiem. Na razie Jania pełniła obowiązki niani, lecz gdy Zosia podrosła i mogła radzić sobie sama, Jania pracowała na polu wspólnie z siostrą Heleną i Feliksem.

Dziewczynka Jania, przekształciła się tymczasem w ładną, postawną, zgrabną, złotowłosą panienkę Janinę. Tylko, że dla najbliższych zawsze pozostała Janią.

Z tych czasów Zosia zapamiętała jesienno-zimowe wieczory, kiedy wszyscy byli już w łózkach, tylko przy małym kwadratowym stoliku, gdzie ona w dzień odrabiała lekcje, teraz w świetle lampy naftowej widać było profil okolony blond włosami, pracującej do późna w nocy – Jani.

Ważne były wakacje, bo Jania była w domu zawsze i nie było potrzeby za nią tęsknić.

Jednak o wiele ważniejsze były Święta Bożego Narodzenia a ściślej mówiąc przygotowania do nich.

Już na kilka tygodni przed Świętami Jania przynosiła kupione w Goniądzu arkusiki główek aniołków lub mikołajów, rolki kolorowej bibułki, świecek itp. Oglądanie tych cudów było niezwykłą radością i było wiadomo, że już niedługo Babka Karolina przyniesie ze strychu ogromne kartonowe pudło pełne choinkowych ozdób i że Jania przy pomocy Zosi, w wolne wieczory, będą kleiły nowe postacie aniołów,

języków, kogucików i koszyków, w których znajdują się prawdziwe orzechy. Wymienić wszystkie, to wprost niemożliwe. Żadna wydmuszka od jajka nie mogła się zmarnować. Zręczne ręce Jani potrafiły wyczarować z niej śmiesznego pajaca lub kominiarza.

Każdego roku powtarzało się to samo i zawsze była z tego ogromna frajda. Potem było drzewko rozłożyste, pod sam sufit, pachnące lasem, śniegiem i sanną. Jania ubierała choinkę stojąc na taborecie, a Zosia podawała ozdoby i różne, przeróżne cacka własnoręcznie przez nie wykonane.

Potem jeszcze ważnym wydarzeniem była Wigilia, a same Święta nie były już tak ważne. Chyba, że były odpowiednie warunki – a prawie zawsze były – i Feliks zabierał swoje kobiety: Helenę, Janię i Zosię do lasu na saneczki, lub wyjeżdżali w kilkoro sań na kulig.

Święta szybko mijały, przychodził Nowy Rok i Zosia nawet nie przeczuwała, że to jest ROK ROZSTANIA z ukochaną Janią. I dobrze, że nie przeczuwała, bo po co miałyby się martwić na zapas ?

Tymczasem trwała zima bardzo surowa. Jania zamieszkała tymczasowo w Goniądzu, a w domu przyszła na świat następna kobieta, córka Feliksa i Heleny – Lucyna. Swoje imię zawdzięcza literaturze. W tym domu książki zajmowały poczesne miejsce: czytali wszyscy z wyjątkiem Babki Karoliny, która była analfabatką w piśmie, lecz za to w mowie władała doskonale językiem rosyjskim, a mogła rozmówić się w języku niemieckim i angielskim.

A więc surowa zima trwała nieprzerwanie, a Jania w Goniądzu, na stacji przygotowywała się do egzaminów wstępnych do Seminarium Nauczycielskiego w Białymstoku.

To było ważne wydarzenie i ogromny wydatek. W domu nie było pieniędzy, bo tak małe i zacofane gospodarstwo nie dawało żadnego dochodu.

Po długiej i burzliwej naradzie rodzinnej postanowiono sprzedać kawałek ziemi, czyli „zagon”.

Pieniądze były potrzebne na wpisowe, chesne za pierwszy kwartał roku, książki, odpowiednie wyposażenie w ubranie i obuwiu o przepisowym kroju i mnóstwo innych drobiazgów wymienionych przez szkołę w nadesłanych „papierach”.

Jania z Babką Karoliną szyły, kupowały, składały cały ten posąg w walizce, a jednocześnie trzeba było pracować w polu, bo tego rodzaju pracy absolutnie nie można było odłożyć na potem.

*

W domu od samego rana panował ożywiony ruch, a Zosia płakała. Łzy nieprzerwanie ciekły jej po policzkach mocząc płócienną sukienkę.

- Skąd tyle łez? – dziwili się dorośli. A tych łez starczyło na całe przedpołudnie, na całą pięciokilometrową drogę do stacji kolejowej w Osowcu, na całą długość pociągu i na tę samą powrotną drogę do domu.

Zmartwiona Helena położyła zapuchniętą od płaczu córkę do łóżka: przecież ona też rozpoczyna jutro swoje studia – pierwszą klasę Szkoły Podstawowej w Downarach.

Do Białegostoku było tylko pięćdziesiąt kilometrów, lecz w szkole i w bursie (internacie) panował rygor i dyscyplina. Nie wolno było „ot tak sobie,” pojechać w każdą niedzielę do domu. Tylko ważne święta i wakacje upoważniały uczennice do wyjazdów do rodzinnych domów.

Zosia jednak wyobrażała sobie, że Jania wyjechała na koniec świata i już nigdy nie wróci.

Prawdopodobnie z tego żalu i smutku rozstania, zupełnie nie przeżyła zmiany w swoim życiu, jaką było rozpoczęcie nauki w Szkole Powszechnej. Zosia nie miała nigdy żadnych wspomnień związanych ze swoją szkołą w pierwszych dniach, natomiast bardzo dobrze pamięta każdą chwilę, niemal że każdą łzę wylaną w dniu rozstania z Janią.

Pierwsze dni były smutne i bolesne, a potem stopniowo, dziewczynka zajęła się swoimi sprawami, nie zapominając jednak liczyć dni do spotkania.

A czas jak to czas: smutno, czy wesoło – jednakowo szybko płynie.

Dla Zosi płynął jednak bardzo wolno, natomiast dorośli z trwogą spoglądali na kalendarz, starając się odsunąć jak najdalej termin płatności za szkołę Jani.

Siostry Jani mieszkające w Ameryce, wprawdzie obiecały pomoc, lecz im też było ciężko, ledwie wiązały swoje przysłowiowe końce i pomoc nie nadchodziła, za to nadszedł termin płatności za szkołę i drugie ponaglenie.

Była burzliwa wymiana zdań w domu pomiędzy Babką Karoliną, Feliksem i Heleną. Feliks wyskoczył z domu bez kurtki i pomimo przejmującego zimna, krzycząc, że ma dość, że się zabije.

Zosia nie pamięta czy znowu sprzedano „zagon” czy pieniądze pożyczono, w każdym razie i tym razem chesne zostało opłacone.

Najgorsze jednak to, że od tej chwili dziewczynka zaczęła miewać upiorne sny. Śniły się jej księżycowe noce i cień przemykający pod domem sąsiadów Potockich. Ten cień to był Ojciec z kosą, którą chciał się zarząć. Budziła się zlna potem i wyglądała przez okno, czy ten cień jest tam w rzeczywistości. Nic nie widząc wracała do łóżka spokojnie.

Na jakiś czas te straszne sny przestały ją nawiedzać, bo zajęła się odliczaniem dni pozostałych do zimowych ferii świątecznych.

Najpierw były to tygodnie, potem dni i nareszcie nadszedł ten dzień, kiedy do liczenia pozostały już tylko godziny.

Zima była w pełni, więc Feliks nałożył barani kozuch, drugi wziął dla Jani i późnym wieczorem pojechał po nią saniami na stację kolejową.

Zosia musiała się położyć, lecz nie spała. Liczyła do stu, do dwustu a nawet do tysiąca, lecz wkrótce znudziło ją to zajęcie, więc zaczęła wspominać różne przyjemne chwile spędzone z ukochaną Janią (nigdy nie nazywała jej ciocią). Czekanie zdawało się nie mieć końca, stawało się nie do wytrzymania, lecz w jakimś momencie, gdy sen zaczął kleić oczy dziecka,

rozległo się skrzypnięcie drzwi wejściowych i otrzepywanie butów ze śniegu.

Wtedy serce zaczynało głośniejsze bić, sen ulatywał natychmiast i Zosia już wisiała na zmarzniętym obsypanym świeżym śniegiem kozuchu Jani.

W środku nocy nie było wielu rozmów. Pośpiesznie zjedzony przez gościa ciepły posiłek i wszyscy wrócili pod wygrzane pierzyny.

Pomimo wrażeń, całą rodzinę zmorzył spóźniony sen.

*

Na wsi życie koncentrowało się zwykle w obszernej kuchni. Tutaj gotowano posiłki, tutaj spożywano je. Tutaj pracowano i przyjmowano odwiedziny sąsiadów.

Sz szczególnie zimą i jesienią, gdy w kuchni było najcieplej, gromadziła się tutaj cała rodzina a czasami nawet sąsiadki, które przychodziły z kołowrotkami prząść len.

Pomieszczenie obok kuchni, nieduży pokój nazwany alkierzem, zajmowała Babka Karolina, no i największe pomieszczenie, reprezentacyjne, tak zwana „duża izba”, służyła także do celów praktycznych.

Pod ścianą stało łóżko, w którym spali Feliks i Helena, obok na eleganckiej kanapie, którą Babka Karolina przywiozła z Ameryki, spała Jania, gdy była w Domu.

W dużej izbie stał duży stół i cztery foteliki, które zrobił Feliks (z zamięłowania stolarz), szafa na ubrania, okrągły mały stolik w rogu pokoju, na którym stała gliniana figurka Matki Boskiej, dwie podstawki pod kwiaty, na których panoszyły się asparagusy i etażerka załadowana do oporu książkami.

Pomimo tylu sprzętów pokój wydawał się duży i przestronny.

*

Jania przysunęła stół do cieplej ściany kafłowej ogrzewanej od płyty kuchennej, rozłożyła swoje książki i zabrała się do odrabiania zadanych na ferie lekcji.

Korzystając z nieobecności rodziców, którzy poszli gdzieś na wieczorynkę, Zosia położyła się w ich łóżku, żeby być bliżej Jani i bliżej choinki połyskującej w świetle naftowej lampy stojącej na stole.

Lampa oświetlała tylko niewielki krąg stołu, akurat tyle ile było potrzeba Jani do pracy.

Zadaniem było opracowanie wiersza Mickiewicza pod tytułem „Powrót Taty” a więc nauczyć się go na pamięć i napisać rozprawkę na ten temat. Jania pracowała nad tym już od kilku wieczorów i Zosia dawno nauczyła się całego wiersza na pamięć, słuchając jej.

Dzisiaj nareszcie Jania zaczęła przepisywać swoim pięknym, okrągłym pismem, zakończony brudnopis na czysto.

Zosia uważała, że tylko osoba o nieskazitelnym charakterze, pięknym wyglądzie i mądrości może tak pięknie pisać. Była dumna, że tą piękną, nieskazitelną osobą jest jej Jania, jej niedościgły wzór.

Jania wstała z fotela i przechadzając się po pokoju nie wiadomo już który raz, zaczęła recytować wiersz. Gdy w którymś miejscu potknęła się, Zosia jej podpowiedziała.

- Jak to ty umiesz ten wiersz na pamięć ? – zapytała zdumiona.

- Pewnie – odpowiedziała skromnie dziewczynka.

- No to wyskakuj z łóżka – zawołała.

Postawiła dziewczynkę na stole i powiedziała:

- Mów !

Zosia z początku nieśmiało, a potem z uczuciem i dobrą dykcją wyrecytowała cały wiersz, bez zajknięcia.

*

Nazajutrz, w drugi dzień świąt przyjechali członkowie chóru kościelnego w kilkoro sań i zabrali Janię i Feliksa, który także należał do chóru – na kulig. Helena została w domu, bo Babka Karolina orzekła, że dla niej to zbyt ryzykowna wyprawa, a Feliks to potwierdził.

Zosia wprawdzie nie wiedziała dlaczego ta wyprawa ma być dla Mamy niebezpieczna, lecz zaraz skojarzyła to z wyglądem i jej zniekształconą figurą. Nieraz zastanawiała się dlaczego Jania jest taka „cienka”, a jej Mama – gruba. Przecież wcale tak dużo nie je. Ale najczęściej nie myślała o tym. Mama to po prostu Mama i nie ma znaczenia jak wygląda.

Zosia, która już płynnie czytała, zajęła się swoją książką, a Helena zaczęła czytać rozprawkę Jani na temat wiersza „Powrót Taty”.

Kulig wrócił, gdy było już zupełnie ciemno. Rozbawione, rozśpiewane towarzystwo – ośniewane od czapek po buty, lecz szczęśliwe po prostu tym, że żyją i że świat jest taki piękny.

Wieczorem odwiedził Janię dalszy sąsiad, który uczył się w seminarium duchownym. Przyszedł wraz z kolegą, który u niego spędzał święta.

Zosia bawiła się w kuchni wraz z koleżankami. U sąsiadów Potockich, którzy mieszkali obok, była także panienka, która uczyła się w szkole dla dobrze urodzonych pań w Grodnie. Jej imię Józefina i nazwisko Potocka, jakby automatycznie stawiało ją w wyższej klasie społecznej. Pomimo, że była rówieśnicą Jani i bliską sąsiadką, nie łączyła ich przyjaźń. To raczej Zosia przyjaźniła się z Józefiną i jej starszymi siostrami, często u nich przebywając, pomimo różnicy wieku.

Wykształcenie Józefiny finansował jej brat przebywający w Ameryce i jedynie tego zazdrościła im rodzina Babki Karoliny.

Zosia pochowała wszystkie kalendarze, żeby jej nie przypominały o wyjeździe Jani. Nie chciała w ogóle o tym myśleć. Wydawało jej się, że każda godzina jest tak długa, a dzień ma tyle godzin i tak wiele w ciągu dnia może się zdarzyć.

Bała się nie tylko rozstania, lecz także tej dramatycznej rozmowy towarzyszącej każdemu wyjazdowi a dotyczącej pieniędzy.

Lecz tym razem, o dziwo, nie było takiej rozmowy, widocznie jakimś sposobem Feliks zdobył potrzebną sumę.

Może zarobił ? Miał ostatnio dużo zleceń stolarki – głównie ławki szkolne, bo szkoła we wsi rozwijała się.

Było czworo nauczycieli – dwie pary małżeńskie – a szkoła mieściła się w czterech chatach wiejskich, o zakresie nauczania siedem oddziałów.

Po feriach zimowych Zosia chętnie poszła do szkoły pocieszając się tym, że Wielkanoc nie tak daleko, tylko za trzy miesiące.

Tymczasem te trzy miesiące okazały się prawdziwą udręką ze względu na bardzo niskie temperatury. Jania pisała, że siedzą na lekcjach w płaszczach i rękawiczkach a po powrocie do bursy od razu włożą pod pierzynę.

Zosi szkołę zamknięto aż do odwołania. W takich warunkach przyszło na świat dziecko: druga córka Feliksa i Heleny.

*

Podobno w życiu nigdy nie może być tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

Po trzech latach nauki Jani, ciągłej szarpaniny w celu zdobycia pieniędzy na chesne, najpierw zachorowała Lucia, młodsza siostrzenica Jani a potem zachorowała na płuca Helena. W tamtych czasach gruźlica, to był wyrok śmierci. W obu przypadkach, potrzebne były pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Całe wakacje Jania pracowała ciężko z Feliksem przy sianokosach, żniwach i wszystkich innych pracach gospodarskich. Nawet Zosia, z natury silna pomagała a jej głównym zajęciem było opiekowanie się Lucią.

Na szczęścia i wbrew opinii lekarzy, wyzdrowiały obie: córka i matka.

Sprawy finansowe też jakby się nieco poprawiły, przypuszczalnie dzięki rodzinie z Ameryki i nareszcie Jania otrzymała dyplom ukończenia Seminarium Nauczycielskiego, ze specjalnością biologia i bez perspektywy otrzymania pracy w najbliższym roku szkolnym.

Jeździła po okolicznych szkołach szukając pracy na własną rękę, lecz bezskutecznie. Wszystkie etaty były szczerze obsadzone i każdy warował w obronie swojej pracy, jak pies w progu swego domu.

Z każdej takiej wyprawy wracała smutna i zdenerwowana, lecz wrodzony optymizm brał górę i okazywało się, że nawet z najkrótszej wyprawy wynosiła moc wrażeń, drobnych przygód, znajomości, o czym opowiadała nam z właściwym sobie humorem.

Życie towarzyskie na wsi wtedy kwitło. Było dużo młodzieży wykształconej, miejscowa młodzież ukończyła siódmą klasę szkoły podstawowej (na bardzo dobrym poziomie) i przychodzili też żołnierze KOP-u (Korpusu Ochrony Pogranicza) z niedalekiej Twierdzy Osowiec, do tutejszych panien.

Ochotnicza Straż Pożarna, której naczelnikował Feliks, organizowała zabawy taneczne, działał teatr amatorski.

Wyglądało na to, że po zakończeniu pierwszej Wojny Światowej, naród chciał odreagować wszystkie jej okrucieństwa.

Światowy wielki kryzys też się zaczął nieznacznie cofać, chociaż ogromne rzesze robotników nadal wędrowały w poszukiwaniu pracy.

Wszyscy się martwili tym, że Jania nie może dostać pracy, ponieważ postanowione było, że gdy Zosia ukończy szkołę powszechną i pójdzie do szkoły średniej, ona pomoże sfinansować jej naukę. Zresztą po tak długich latach trudów i wyrzeczeń ze strony całej rodziny, Jania czuła się zobowiązana do okazania wdzięczności. Jednak najważniejszym aspektem była chęć usamodzielnienia się.

Tymczasem nadal siedziała na garnuszku matki i szwagra Feliksa, co ją do pewnego stopnia upokarzało.

A co do szwagra Feliksa, to należy stwierdzić, że nigdy nie dał odczuć szwagierce tego, że jest mu ciężarem, chociaż poświęcił niemały splachetek ziemi swojej i Babki Karoliny, na jej wykształcenie.

*

Jania, siedząc przymusowo w domu, stała się główną szwaczką rodziny.

Głównym źródłem dochodu przeznaczanego na drobne wydatki była sprzedaż jaj, nabiału a w jesieni – grzybów. Za uzyskane pieniądze Helena i Jania kupowały płótna, kretony, flanele, aby wyposażyć Janię, a na zapas także Zosię.

W dużej izbie całymi dniami stała rozłożona maszyna do szycia, którą przywiozła z Ameryki Babka Karolina. Jania szyła, Zosia jej pomagała.

Z całej rodziny najszczęśliwszą osobą była Zosia, bo mogła mieć swoją Janię w każdej chwili i tylko dla siebie.

Po powrocie ze szkoły, to Jania podawała siostrzenicy obiad, to ona najbardziej interesowała się problemami szkolnymi dziewczynki.

Pewnego dnia Jania postawiła przed Zosią ogromną miskę grochówki i powiedziała:

- Jedz a resztę zostaw dla mnie, bo też nie jadłam jeszcze obiadu.

Grochówka była smaczna jak rzadko się zdarza i zgłodniała dziewczynka jadła i jadła i nie umiała określić ile to jest „ta reszta”. Zupy ubywało, Zosia ciągle nie była syta i nagle ukazało się dno miski. Jania zajrzała, zobaczyła to nieszczęsne dno i bez słowa wyszła do sąsiedniej izby.

Świat zdążył w tym czasie radykalnie zmienić swoje oblicze, Jania dawno spoczywa na cmentarzu, Zosia się postarzała, lecz zawsze na wspomnienie tej scenki oblewa się ciemnym rumieńcem wstydu i żalu, że tego nie da się już odrobić.

Jania udzielała się czynnie w kółku dramatycznym prowadzonym przez miejscową nauczycielkę. Wystawienie tej sztuki (komedyjki, jak potocznie mówiono) było wielkim wydarzeniem. Cała wieś gromadziła się w remizie strażackiej, gdzie była sala widowiskowa, scena, kurtyna i kulisy.

Repertuar był dość ambitny, bo Zosia zapamiętała np. pieśń Griega, wykonywaną przez Janię i pieśń Moniuszki,

wykonywaną przez prządki siedzące z kołowrotkami na scenie, z jej udziałem.

Wyjeżdżano z występami gościnnie do innych wsi.

Pomimo wszystko karnawał był wesoły - a nawet można powiedzieć - huczny.

W domu Feliksa zagościła dodatkowa radość. Pewnego dnia nadeszło zawiadomienie z inspektoratu szkolnego w Białymstoku, że Pani Janina Bielska otrzymuje angaż na młodszą nauczycielkę we wsi Osownica, gdzieś koło Pińska, nad Prypecią, na samym końcu świata, gdzie nawet diabeł nie dociera, żeby mówić „dobranoc”. Radość miesza się z niepokojem i niepewnością. W ruch idą wszelkie mapy znajdujące się w domu. Oczywiście na żadnej z nich nie ma takiej miejscowości, lecz na podstawie pisma urzędowego można mniej więcej określić jej położenie. Dwadzieścia kilometrów od Pińska i od stacji kolejowej. Dwadzieścia kilometrów, które trzeba będzie przebywać chłopskim wózkiem zaprzężonym w jedną chabetę.

Etat w szkole Pani Janina Bielska obejmuje dnia 1 września 1936 roku.

POLESIA CZAR

Na sztywnych nogach zeskoczyła ze stopnia wagonu na peron. Konduktor podał jej walizki pozostawił własnemu losowi. Drżała ze zmęczenia, chłodu i niewyspania. Rozejrzała się wokół. Wszystko okrywała mleczna lepka mgła. Kilku podróżnych, którzy wysiedli razem z nią, już dawno rozplynęło się we mgle. Nie wiedziała, w której stronie jest miasto i nie wiedziała co ma ze sobą zrobić. Zauważyła biegnących od strony budynku stacyjnego dwóch Żydków już z daleka oferujących swoje usługi, lecz zignorowała ich, mając nadzieję, że depesza doszła i kierownik szkoły wyśle po nią jakąś możliwą podwodę. I rzeczywiście, za Żydkami ukazał się mężczyzna, którego określiła mianem tubylca i zapytał po białorusku:

- Panienska nauczycielka ? Do Pana Kierownika Kossowskiego ? To Pan Kierownik kazał, żeby panienska wypila gorącą herbatę w bufecie, bo droga przed nami daleka.

Posłusznie weszła za swoim przewodnikiem do maleńkiej salki, gdzie się mieścił bufet.

Powiedział coś do bufetowej i zaraz przed nim zjawiała się szklanka wódki, a przed Janią szklanka mętnego płynu, który miał być herbatą i miał tylko jedną dodatnią cechę, że był gorący.

Wózek był wyścielony sianem, a za siedzenie miał worek też wypchany sianem.

Jania zsunęła się z siedzenia, na które położyła głowę, okryła się derką, którą wygrzebała w sianie i zdążywszy tylko pomyśleć jak dawno temu żegnała na dworcu w Osowcu Helenę i Feliksa – chyba przed wiekami – zasnęła.

Nie czuła jak wózek podskakuje na belkach ułożonych na mokradłach, jak z mazołem obracają się koła w sypkim piasku.

Powoli mgły opadły, ukazało się słońce i zaczęło ogrzewać śpiącą podróżną.

Był koniec sierpnia a więc właściwie jeszcze trwało lato i słońce miało jeszcze dość energii, żeby obudzić śpiącą.

Jechali właśnie piaszczystym stepem z rzadka porośłym karłowatymi jałowcami. Woźnica szedł obok wózka, żeby ulżyć koniowi. Jania też zeskoczyła na ziemię chcąc rozprostować nogi. W dali widniała zwarta ciemna ściana lasu.

- Daleko jeszcze ? – zapytała.

- Dojedziemy do tego lasu, tam dam koniowi jeść, a potem już niedaleko.

W przyszłości Jania miała się przekonać nie raz, co znaczy na Polesiu pojęcie „niedaleko”.

Zatrzymali się w cieniu pierwszych sosen. Koń dostał swój obrok, a Jania poczuwszy głód przypomniała o kanapkach przygotowanych w domu. Widząc, że jej woźnica nie ma zapasu żywności, podzieliła się swoimi kanapkami. Wziął, ociągając się i bez niepotrzebnej uniżoności, podziękował.

- Jak masz na imię ? – zapytała Jania.

- Wasyl, Wasylko – odpowiedział.

Ze względu na późną porę, w szkole nie zastali nikogo. Wasylko postanowił zawieźć nauczycielkę na kwaterę, która znajdowała się prawie na końcu wsi.

Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy dotarli na miejsce.

Gospodyni, wesola, ogromna Baba, w średnim wieku, zajęła się panią nauczycielką, nakarmiła, przyniosła wiadro wody i blaszaną zardzewiałą miskę do mycia i roztrzepując solidne poduchy na łóżku, poradziła lokatorce odpoczynek.

Jania miała ochotę odłożyć pościel gospodyni na bok, a zaścielić swoje prześcieradła i koce, lecz nie śmiała urazić gospodyni, którą w myśli nazywała Horpyną.

Pierwszy sen został przerwany jakimiś dziwnymi odgłosami, jakby plaśnięciami na podłodze. Wstała z łóżka, zapaliła lampę naftową i rozejrzała się wokół.

No tak, to żabie stado urządziło sobie w jej kwaterze dzikie harce, nie pozwalając zasnąć. Dobrze, że przydarzyło się to bioołożce. Wyłapała wszystkie żaby, wyrzuciła je za drzwi

i nastąpił spokój. Te, które zostały, zaszyły się w mysie dziury i zachowywały się spokojnie.

Nazajutrz, Jania dostała na śniadanie szklankę mleka i chleb z miodem i nie zajmując się swoimi rzeczami, poszła zameldować się w szkole.

Tam praca już wrzała. Rodzice sprząтали, myli, szorowali, ścierali nagromadzony podczas wakacji kurz. Wszędzie słychać było białoruski język i Jania przez chwilę zwątpiła w to, czy da radę porozumieć się z mieszkańcami i czy zdoła nauczyć polskiego języka białoruskie dzieci.

Odszukała pokój nauczycielski, gdzie zastała Kierownika szkoły i dwoje nauczycieli – stanowiących parę małżeńską.

Po wzajemnej prezentacji wszyscy wrócili do przerwane go tematu, to jest rozkładu zajęć na najbliższy okres.

Janina Bielska była bardzo dobrze przygotowana do swego zawodu, co się okazało w czasie jej dalszej pracy.

Zarówno Osownicę jak też i inne okoliczne wsie, zamieszkiwali wyłącznie Białorusini. Takie urzędy jak szkoła, poczta, nadleśnictwo i inne, były obsadzone polską inteligencją nie cieszącą się sympatią Białorusinów. Ci ostatni chętniej spoglądali w kierunku Białorusi, niż Polski.

Janina urządziła się w swojej nowej kwaterze. Pozabijała kawałkami desek wszystkie dziury w podłodze, uszczelniła progi, tak, że żaby nie miały już do niej wstępu. Przy pomocy Horpyny wyszorowała wszystkie sprzęty znajdujące się w izbie, oddała jej pościel, a łóżko zasała swoją. Niezbyt elegancki stół nakryła serwetą haftowaną własnoręcznie w czasie oczekiwania na pracę, przyniosła bukiet polnych jesiennych kwiatów i jeszcze tego dnia przyjęła wizytę swoich kolegów nauczycieli.

Kierownik szkoły – Bolesław Kossowski był typowym mieszczuchem i chociaż pracował tutaj już cały rok szkolny, nie mógł pogodzić się z warunkami panującymi w tym bagienno-puszczańskim zakątku Polski. Z ciemnotą, brudem i zacofaniem.

Janina wyszła z chaty wczesnym rankiem, lecz zamiast w stronę szkoły udała się w przeciwnym kierunku, tam gdzie pomiędzy rzadko rosnącymi olchami, prześwitywało lustro wody. Udało się jej dojść nad sam brzeg rzeki czy też tylko zalewu, lub dopływu Prypeci. Obiecała sobie, że dopóki trwa pogoda, ona musi zwiedzić jak najwięcej okolic wsi Osownicy. Interesowało ją wszystko: zwierzęta, rośliny, ludzie i ich bytowanie na tej ziemi.

Przypomniała sobie słowa Gustawa Morcinka, który w jednej ze swoich książek powiedział, że Pieniny są dlatego takie piękne, bo Bóg stworzywszy je, uśmiechnął się, w przeciwieństwie do stworzenia Polesia. Wtedy na pewno był smutny i roztargniony. Dlatego panował tu chaos i jakby brak planu w układzie terenu i zgrupowaniu roślin.

Obok bagnistej łąki porośniętej karłowatą brzozą, strzelała w niebo połać wysokiego sosnowego lasu. Dalej rozciągały się łąki a za nimi piaszczyste pagórki porośnięte najczęściej karłowatymi jałowcami.

Po drugiej stronie zbiornika wodnego pały się krowy, a obok, na miejscu nieco wyższym – stado owiec.

Nikt nie pilnował zwierząt – pały się same. Widać było tylko jak dokuczają im owady, bo ogony były w ciągłym ruchu.

Janina wycofała się znad rzeki i poszła przez wieś, w stronę szkoły.

W pokoju nauczycielskim zastała tylko Kierownika. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, o ciemnoblonde włosach, przystojny, o miłym uśmiechu.

Podniósł się na powitanie nauczycielki, ogarnął wzrokiem jej zgrabną lecz mocną sylwetkę, gruby warkocz przerzucony przez ramię na pierś.

Była to decydująca chwila w ich życiu. Oboje już wiedzieli, że są dla siebie stworzeni i że na pewno będą razem.

Tymczasem powitali się oficjalnie i podjęli temat pracy w szkole.

Wszystko już było gotowe, a rok szkolny miał się rozpocząć nazajutrz.

Kierownik zaproponował koleżance spacer, a potem uroczysty obiad z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, u Państwa Marii i Jana Kowalskich – nauczycieli.

Szli wolno przez wieś ciągnącą się na przestrzeni co najmniej jednego kilometra. Gospodarstwa były pobudowane dość daleko od siebie, a w innych miejscach skupiały się ciasno jedno obok drugiego, w zależności od ukształtowania terenu.

Wieś wyglądała na wyludnioną, lecz okazało się, że mieszkańcy udali się na dalekie, zarzeczne pola lub łąki do pracy: spóźnione żniwa lub sianokosy – drugi zbiór.

Po drodze Kierownik pokazał towarzyszące gdzie jest poczta, gdzie posterunek policji, gdzie mieszka sołtys i pop. Środek wsi wyznaczała cerkiew na lekkim wzniesieniu. Kościoła we wsi nie było. Dzięki długotrwałej suszy ulica była sucha, lecz podczas słoty, błoto sięgało kostek i trzeba było mieć solidne buty, żeby przejść. Janina takich butów nie miała.

*

Ten uroczysty obiad, zakropiony obficie nalewką Marii, zbliżył do siebie całe grono nauczycielskie.

Jania została Janką, Bolesław – Sławem, Jan – Jankiem, a Maria – Marysią. Od tego dnia wszyscy posługiwali się wyłącznie ustalonymi przez siebie imionami.

*

Zetknięcie się języków polskiego i białoruskiego, stworzyło nowy twór, coś pośredniego, żargon dość niebezpieczny dla obu języków, ponieważ je zniekształcał i zaśmiecał słowami, które szczególnie Polacy brali nieraz za formę prawidłową.

Z tego powodu Janka pilnie studiowała język białoruski, co przychodziło jej łatwiej niż pozostałym nauczycielom, którzy pochodzili z Polski zachodniej. Janka była już „osłuchana” z tym językiem przebywając na studiach w Białymstoku, gdzie mniejszość narodowa białoruska stanowiła pokaźną grupę.

Ale i tak zdarzały się ciągle zabawne historyjki, jak choćby ta, która zdarzyła się Jance na lekcji z „pierwszakami”, zaraz pierwszego dnia nauki.

W klasie była cisza, dzieci pilnie słuchały pani Nauczycielki, gdy nagle któreś dziecko dostało czkawki. Ponieważ czkawka stała się uporczywa, zaczęło to irytować Nauczycielkę.

- Dzieci, kto ma czkawkę ? – zapytała. Odpowiedziała jej cisza, przerywana czkawką.

- Dzieci, kto ma czkawkę ? – zapytała Pani o pół tonu głośniej.

Wtedy wszystkie dzieci nie rozumiejąc tego słowa, rozłożyły ręce na ławkach, pokazując że nic w nich nie mają.

Albo historia z jaszczurką. W jednej ze starszych klas Pani zapytała dzieci:

- Kto widział jaszczurkę niech podniesie rękę.

Nie podniosła się żadna ręka.

- To niemożliwe, żeby u was nie było jaszczurek – powiedziała Pani i zaczęła gorączkowo szukać w podręczniku biologii wizerunku zwierzątka. Akurat jaszczurki w nim nie było, więc chwyciła kredę i usiłowała jak najdokładniej narysować ją na tablicy.

Wreszcie dzieci pojęły o co chodzi i wszystkie ręce uniosły się do góry. Śmiejąc się zaproponowały, że mogą jaszczurkę pokazać także Pani.

Tuż za szkołą, gdzie zaczynały się wspomniane przedtem piaszczyste pagórki, na wygrzanim we wrześniowym słońku piasku, harcowały beztrąsko jaszczurki. Pani zabroniła dzieciom czynić im krzywdę, zapewniając że są pożyteczne i stanowią część przyrody zarówno ważną jak drzewa, czy domowe zwierzęta.

*

Jania, wracając ze szkoły szła wolno, ciesząc oczy widokiem stubarwej jesieni. Drzewa i krzewy pozamieniały swoje zielone sukienki na barwne, w odcieniach brązu, złota,

czerwieni. Jak drużny na weselach, które chcąc się przypodobać swoim kawalerom, coraz to zmieniają sukienki.

- Złota polska jesień, a właściwie złota poleska jesień – pomyślała Janka.

Obraz rodzinnej wsi nagle pojawił się przed jej oczami i serce ścisnęła tak dojmująca tęsknota za domem i rodziną, że obfite łzy popłynęły po policzkach. Idąc, płakała bezgłośnie i nie wstydziła się tych łez. Dopiero przed wejściem do chaty otarła oczy i chwilę zaczęła żeby się uspokoić.

Horpyna czekała już z gorącym kapuśniakiem, zaprawionym grzybami. Nad kuchenną płytą wisiały wianki suszących się grzybów, które pachniały na całą chatę.

Tego dnia Janina dostała pierwszą pensję.

Zapłaciła Horpynie za mieszkanie i wyżywienie i kupiła od niej dwa lniane, haftowane ręczniki z cieniutkiego płótna, które przeznaczyła na prezent dla swojej siostry Heleny.

Zrobiła listę drobnych zakupów osobistych, które miał załatwić Bolesław przy najbliższej okazji wyprawy do Pińska na konferencję.

Wypełniła przekaz pocztowy na niewielką sumę przeznaczoną dla Feliksa na spłatę długów.

Pozostała jej do dyspozycji niewielka suma, ale też nie było gdzie i na co wydawać pieniędzy na wsi.

Postanowiła napisać bardzo długi list do domu: do wszystkich razem, i do każdego z osobna: do Heleny, Luci, Zosi.

W miarę pisania poprawiało się jej samopoczucie i z właściwą sobie umiejętnością obserwacji, opisywała ludzi i zdarzenia w sposób satyryczny.

Wieczorem przyszedł Bolesław i zabrał ją na kolację do Marysi. Miał być też Leśniczy z żoną, których jeszcze dotąd nie miała okazji poznać.

Ulica była całkiem ciemna, lecz nie pusta. Słychać było śmiechy, nawoływania, gdzieś ktoś grał na harmonii skoczną melodię. W gałęziach drzew szeleścił wiatr, od strony zalewu

niosły się delikatne, ciche dźwięki, jakby ktoś poruszał wodne struny.

Tego wieczoru Janka zaprzyjaźniła się z Panią Leśniczyną oraz poznała piosenkę o Nostalgii Polesia.

- „Polesia czar, to dzikie knieje, moczary
Polesia czar, smętny to wichrów jęk
Gdy w mroczną noc, z bagien wstają opary
Serce me drży, dziwny ogarnia lęk
I słyszę jak w głębi wód, jakaś skarga się miota,
Serca prostota wierzy w Polesia cud,
Wierzy w Polesia czar.” / - /

Pani Leśniczyzna śpiewała pięknym, czystym głosem, a Sław grał na skrzypcach. Potem śpiewali wszyscy razem i wieczór upłynął w miłej atmosferze.

Pan Leśniczy powiedział o Jance – łania z warkoczem.

*

Jednakże poza tymi urokami romantycznymi, Polesie miało swoje uroki wręcz odrażające.

Pewnego dnia Janka ścieląc swoje metalowe łóżko zauważyła na białej pościeli krwawe drobne plamki. Po powrocie ze szkoły umyła dokładnie łóżko ługiem (popiół drzewny rozpuszczony w wodzie, używany także do prania), obejrzała wszystkie szczeliny i nic nie znalazłszy, uspokoiła się, nawlokła czystą pościel i poszła spać.

Rano powtórzyło się to samo i wtedy przeraziła się. To pluskwy !

W pracy zwierzyła się Marysi, prosząc o radę, ponieważ nie mogła zrozumieć gdzie te paskudne insekty mogą się kryć.

- Dokładnie obejrzyj ściany – poradziła koleżanka – ostukaj je, jeśli odpadnie płat glinki, znajdziesz rozwiązanie zagadki.

Tego popołudnia Janka nie miała czasu, wróciła późno do domu, zastosowała więc inną metodę obrony przed wrogiem. Zebrała cztery duże miski, w każdą wstawiła jedną nogę łóżka i napełniła naczynia wodą. Łóżko odstawiła od ściany. Sen

uleciał gdzieś na poleskie bagna i zalewy, leżała z szeroko otwartymi oczami wpatrując się w okienko.

W tej absolutnej ciszy usłyszała lekkie pacnięcie, jakby coś bardzo lekkiego upadło na pościel. Cała zamieniła się w słuch, a tymczasem rozległo się drugie i trzecie pacnięcie. Cicho wstała, zapaliła lampę i to co ujrzała, wprawiło ją najpierw w zdumienie, złość a na końcu w śmiech.

Pluskwy, nie mogąc dostać się do łóżka wpław, wlażyły na sufit, nieomylnie ustalając miejsce, spadały na łóżko.

Gdy potem opowiadała całe to zdarzenie w pokoju nauczycielskim ktoś stwierdził, że pluskwy przerosły ją inteligencją, co skwitowano wybuchem śmiechu. Przez całe dwa dni Jania z pomocą Horpyny walczyły z wrogiem, omalże nie rozwalając przy okazji całej chałupy, lecz na razie zniszczyły wroga doszczętnie.

Kolorowa jesień trwała krótko. Zaraz po niej nastąpiły słoty, wichury, ulewne deszcze.

Tęsknota doskwierała coraz bardziej, coraz częściej jawiły się obrazy szczęśliwego rodzinnego domu. Rozpalona płyta kuchenna, na płycie apetycznie pachnie zupa, pukanie do drzwi, wizyty koleżanek lub sąsiadów. Jania zaczęła liczyć dni do ferii zimowych.

A co będzie kiedy śnieg zasypie drogi i nie będzie można dojechać do stacji kolejowej? – martwiła się.

Bolesław też wyjeżdżał do rodziny mieszkającej w Poznaniu i pocieszał Jankę, że jakoś to będzie, że pokonają tę drogę nawet pieszo, brnąc przez śnieg. Wyjechali tym samym pociągiem i w tym samym dniu.

Marysia i Janek zostawali na miejscu, mając zamiar spędzić Święta z przyjaciółmi.

Do Świąt było jednak jeszcze trochę czasu, który starano się zapęłnić spotkaniami, lub dodatkowymi zajęciami w szkole. Janka zaczęła organizować kółko dramatyczne – w szkole, a Sław usiłował pracować z młodzieżą pozaszkolną. Kilku chłopców miało harmonie lub bałabajki i na tej bazie miała powstać kapela ludowa.

*

I znowu Zosia leżąc w łóżku liczyła do tysiąca, a Feliksa z Janią ciągle nie było.

- Chyba pociąg się spóźnił – powiedziała Helena siedząca przy piecu, budząc się z drzemki.

- A może wilki? – przestraszyła się Zosia.

- O wilkach nikt nie słyszał, ale za to śniegu jest dużo i dlatego muszą jechać wolno.

Lucia leżąc w łóżku obok Zosi przebudziła się także i na pół przytomna zapytała:

- Przyjechali?

Nie czekając na odpowiedź znowu zasnęła.

Helena dorzuciła parę polan pod płytę i rozjaśniła lampę naftową. Izbę ożywiła nadzieja i rzeczywiście dał się słyszeć znajomy skrzyp drzwi i obijanie butów ze śniegu.

Ściąganie ośnieżonych kozuchów, butów, grzanie zmarzniętych stóp przed paleniskiem, zamieszanie, bezładne powitania.

Wyszła ze swego pokoju Babka Karolina z pytaniem:

- No i jak ci tam?

- Nie wiem, czy starczy ferii, żeby o wszystkim opowiedzieć – zaśmiała się Jania. – Ale ogólnie rzecz biorąc jest nieźle.

Wiadomo, było nieźle, bo była zakochana w Bolesławie, którego znaleźmy już z listów a Feliks poznał osobiście, gdy odbierał Janię z pociągu. Bolesław jechał tym samym pociągiem do Poznania.

Święta Bożego Narodzenia przeszły zgodnie z ustalonym scenariuszem obowiązującym od lat, z tą różnicą, że pod choinką leżały prezenty kupione przez Janię dla wszystkich członków rodziny.

Helena dostała ludowe poleskie ręczniki, Babka Karolina – wełnianą chustkę na głowę, Feliks – zagorzały palacz – papierosnicę, Zosia – różowy, wełniany, „dorosły” sweterek, Lucia – książkę z obrazkami a Helena zadbała o to, aby dla

Jani też znalazło się coś pod choinką. Była to nocna koszulka ozdobiona koronką.

*

Nadszedł rok 1937, ważny szczególnie dla Zosi, która w czerwcu miała zdawać egzamin do gimnazjum, a we wrześniu wyjechać z domu i rozpocząć życie poza opiekuńczymi skrzydłami rodziców. Wprawdzie szkoła nie była daleko – tylko 25 kilometrów do Grajewa, lecz to już nie to, co w domu.

Na razie jednak trwała piękna zima, korzystano więc z jej uroków w miarę możliwości i chęci.

Już sama obecność Jani w domu była szczęściem a jej pełne humoru opowiadania przyciągały nawet sąsiadów na wieczornice.

Jania śpiewała pieśń o Polesiu i zaraziła nas wszystkich nostalgią, z której sama już nigdy nie zdołała się wyleczyć.

W tamtych latach wszystko było jakieś zdecydowane i jasne.

Kiedy w kalendarzu była zima, to wiadomo było na pewno, że w przyrodzie też będzie zima. Będzie dużo śniegu, mróz, odwilże, zamiecie, zawieje i wszystkie inne zjawiska przypisane tej porze roku.

Wiosna – najpierw słoneczne dni i ogromne sople lodu zwisające ze strzech, potem cichutki szmer strumyków wody z topniejącego śniegu, a na koniec połowa wsi leżąca nieco niżej, gdzie mieszkali Klimaszewscy i Karolina Bielska z Janią swoją córką, zostawała podtapiana tak, że można było pływać łódką. Tylko że łódek nie było, więc często pływano w baliach używanych do prania. Potem kumkanie żab, kwilenie czajek, zapach czeremchy i jaśminu, i nieustająca radość życia.

Jania twierdziła, że u nich na Polesiu jest tak samo, jednak serce ciągnęło ją do domu i wydawało jej się, że jednak w domu jest piękniej.

Tego roku nie przyjechała na Święta Wielkanocne, z powodu roztopów uniemożliwiających przyjazd. Tęskniła za rodziną a rodzina za nią.

Będąc na miejscu miała okazję przyjrzeć się z bliska obrządkom świątecznym odbywającym się w cerkwi, o czym szeroko opisywała w listach z obszernym podkładem humoru.

Lato przeszło niepostrzeżenie, nadeszła jesień a z nią pożegnania. Najpierw wyjechała Jania do swojej szkoły na Polesiu w Osownicy a zaraz potem Rodzice odwieźli Zosię do gimnazjum w Grajewie.

W domu zostali Feliks i Helena z młodszymi dziećmi – Lucią i Stefkiem oraz Babka Karolina.

I tak niewielka ciasna chata stała się nagle pusta i za duża na potrzeby uszczuplonej rodziny. Tylko listy krążyły pomiędzy Downarami, Osownicą i Grajewem.

Tak samo niepostrzeżenie nadeszły nowe Święta i nowy rok 1938.

W tym roku odbył się ślub Janiny Bielskiej z Bolesławem Kossowskim. Nikt z rodziny Jani nie był na ślubie, bo gospodarstwa w żaden sposób nie można było zostawić bez opieki nawet na jeden dzień i ona to doskonale wiedziała i nie miała za złe.

W tym roku młoda para spędziła wakacje w Poznaniu u rodziny Bolesława.

Do domu w Downarach przyjechali tylko na kilka dni, żeby poznać rodzinę Jani.

Zosia w tym czasie była już zakochana, nie przejęła się więc zbytnio tym, że jej najukochańsza ciocia należy teraz do kogoś innego, chociaż w głębi serca jeszcze odczuwała cień zazdrości.

Jania była szczęśliwa, wesoła i z radością wyjeżdżała budować swój własny Dom.

Wakacje roku 1939. Zosia miała za sobą dwie klasy gimnazjum, wyrosła na piękną pannę i chłopcy coraz częściej oglądali się za nią.

Jania była w ciąży i spędzała wakacje w domu rodzinnym, ponieważ Bolesław został powołany do rezerwy. Mówiono o wojnie z Niemcami, lecz tak naprawdę nikt w nią nie wierzył, bo nie chciał wierzyć.

W ostatnich dniach sierpnia Jania z Bolesławem wyjechali do swojej szkoły na Polesiu.

*

W ciągu ostatnich dwu lat, w całym województwie białostockim przeprowadzano komasację gruntów chłopskich. Dotychczas ziemia była podzielona na tak wąskie paski, że nie mieścił się na nim jeden pokos. Inżynierowie geometrzy musieli wszystkie te zagony pomierzyć, obliczyć powierzchnię należącą do poszczególnych właścicieli, następnie wytyczyć każdemu jeden areal ziemi. Rolnicy mieli prawo wybierać sobie miejsce, gdzie chcieli mieć swoją kolonię.

Feliks wybrał miejsce na tak zwanej Ostrówkowej Górze. Było to lekkie wzniesienie terenu w pobliżu wsi, w samym środku tego terenu. Wokół, w promieniu pół kilometra leżały wsie: Downary, Kramówka Duża, Kramówka Mała i Owieczki. Od strony północnej biegła szosa ze wschodu na zachód, a od strony południowej granicę posiadłości wytyczała rzeczka Gołda, a popularnie zwana Strugą. Pomędzy Strugą i polem rozciągały się łąki o obszarze 4 hektarów. Grunty orne też miały taką samą powierzchnię.

Na wiosnę 1939 roku Feliks zbudował dom na Ostrówkowej Górze i usiłował go wykończyć, żeby na zimę przeprowadzić się do nowej chaty. Udało mu się wykończyć tylko kuchnię, wprawdzie obszerną, bo na wsi całe życie skupiało się w tym pomieszczeniu oraz mały pokój przy kuchni.

ROK 1939

W ostatnich dniach sierpnia Feliks z Zosią każdego wieczora jeździli do Twierdzy Osowiec do znajomych KOP-istów, żeby dowiedzieć się jaka sytuacja panuje w polityce. W dalszym ciągu nikt w wojnę nie wierzył. Nie wierzono w wojnę jeszcze 1 września, kiedy na niebie pojawiły się pierwsze niemieckie myśliwce i ostrzelały szosę, na której ukazały się tłumy uciekinierów podążających z zachodu ze strefy przygranicznej na wschód, w nadziei, że tam wojny nie będzie.

Korpus Ochrony Pogranicza opuścił Twierdzę Osowiec nie podejmując się obrony, a Niemcy nie musieli jej zdobywać: obszedłszy kołem, zajęli ją od czoła.

Dowództwo Ochrony Pogranicza wycofując się otworzyło swoje wszystkie magazyny, polecając okolicznym chłopom wywieźć co się da, żeby nie zostawić Niemcom. Wywożono więc paszę dla koni (owies), suchary, konserwy, kawę prasowaną, a nawet sprzęty: stoły, krzesła itp.

Cała powierzchnia szosy od Osowca co najmniej na przestrzeni czterech kilometrów była zasypana wymienionymi produktami, które wywożono w pośpiechu.

Tam Zosia pierwszy raz zobaczyła Niemców, którzy rowerami nadjechali łomżyńską szosą. Właściwie to było już drugie spotkanie z nimi. Pierwszy raz gdy jechała z Ojcem do Osowca po nowiny, leśną drogą a była już szarówka, spotkali się z dwoma mężczyznami jadącymi także rowerami. Mężczyźni na widok jadących zwolnili i wyciągając przed siebie prawe ręce powiedzieli:

- Hejl Hitler !

Spostrzegłszy omyłkę nacisnęli na pedały i uciekli w jedną stronę, a Feliks z Zosią, w drugą stronę.

Tak więc Niemcy zajęli Twierdzę, przez kilka dni patrzyli przez palce jak Polacy wywożą z niej co się da, potem rozstrzelali kilka osób pod zarzutem kradzieży i zamknęli wstęp na teren Osowca. Ich obecność była prawie

niezauważalna. Nie kręcili się po wsiach, nie usiłowali organizować administracji, właściwie trwało bezkrólewie.

Rolnicy uspokojeni zabrali się do kopania ziemniaków, orki i jesiennych siewów.

Taka niepewność była nieznośna. Nie było radia, więc nie było wieści ze świata. Niemcy na coś czekali. Na co ?

A co się dzieje u Jani ? We wrześniu miała rodzić. Czy nie jej nie grozi ? Czy poród odbył się szczęśliwie ? – zadawano sobie bez końca takie pytania.

*

Na Polesiu 1 września 1939 roku dało się zauważyć poruszenie wśród ludności, część dzieci nie przyszła do szkoły. Tubylcy przestali się kłaniać Polakom i patrzyli na nich wyzywająco i z góry.

Jania spodziewając się każdego dnia rozwiązania, siedziała w szczelnie zaciemnionej izbie, a Bolesław gdzieś przepadał na całe dni. Przynosił z tych wypraw różne nowiny. A to, że wojsko sowieckie stoi wzdłuż granicy z Polską czekając na rozkazy, to znowu, że Białorusini budują na skraju wsi bramę powitalną i różne inne nowinki.

O tym, że zastrzelono Leśniczego i jego żonę oraz właściciela gospodarstwa – dawnego legionistę nie wspomniał, żeby nie przerażać żony.

Sam nie był pewny, czy uda im się ująć cało z tego piekła.

19 września z rana, Jania poczuła ból. Gospodyni sprowadziła „szeptunkę” czyli znachorkę.

Wojsko sowieckie przekroczyło granicę polską. We wsi rozpoczęła się strzelanina. Krzyk rodzącej zagłuszały strzały rozlegające się tuż pod oknami. Pijani mężczyźni bluźnili i wykrzykiwali – Śmierć Polakom !

Bolesława nie było i nie wiadomo co było mocniejsze: strach o niego, czy ból.

Poród przedłużał się. Jania zamykała oczy, żeby nie widzieć brudnej „szeptunki”, dotykającej jej i jej nowo narodzonego synka. Gospodyni pomogła ogarnąć nieco

położnicę, gdy przyszedł Bolesław. Była możliwość wyjechania w tej chwili, lecz popatrzawszy na dziecko i wyczerpaną długim porodem matkę, nie wspomniał o tym.

Przez następne dni trwały we wsi rozruchy i rozrachunki. Ciągłe przychodzili jacyś politycy (oficerowie polityczni), wypytywali sąsiadów, działaczy komunistycznych miejscowych, lecz widocznie śmierć nie była jeszcze pisana tej rodzinie. Jeszcze nie teraz.

Po dwóch tygodniach od porodu udało się im wsiąść do pociągu, i przyjechać do domu na kolonii w Downarach.

*

Wrzesień tego pamiętnego roku 1939 był bardzo ciepły, wręcz upalny, lecz teraz kończył się miesiąc i nastaly śloty i chłody.

Pewnego takiego słotnego dnia, Feliks z całą rodziną kończył właśnie kopać ziemniaki na polu przed domem, gdy zauważyli na drodze wózek zaprzężony w jednego konia, wyładowany rzeczami i nieznajomymi ludźmi. Kiedy wózek skręcił w ich prywatną drogę, wszyscy podnieśli z zaciekawieniem głowy, aby poznać przybyszów.

Pierwsza Babka Karolina rzuciwszy motykę pobiegła z krzykiem – Jania !!! Teraz wszyscy poznali się a uściskom i łzom nie było końca. Wynajęty woźnica zajechał na podwórko i zaczął wyładowywać bagaże. Jania z Bolesławem najpierw zdjęli blaszaną wanienkę wymoszczoną kocami, w której znajdowało się niemowlę. Ukołysane ruchem wozu spało sobie w najlepsze. Odstawiono wanienkę do małego pokoiku obok kuchni, żeby niemowlę miało spokój. Zaczęły się opowiadania chaotyczne, bezładne.

Babka Karolina zatroszczyła się o jedzenie. Jania nakarmiła dziecko, które obudziło się w międzyczasie. Na płycie już parowała gorąca woda w kotle, więc wszyscy domownicy wyszli, żeby dokończyć kopanie ziemniaków, a przybysze po wielu dniach obchodząc się bez wody, nareszcie mogli zmyć z siebie brud i zmęczenie.

Umieszczono ich w tym małym pokoiku, a reszta rodziny musiała pomieścić się w kuchni.

*

Teraz najważniejszym problemem stało się wykończenie drugiego pokoju, żeby rozładować ciasnotę i żeby nikt nie musiał spać na podłodze. Feliks z Bolesławem zabrali się do tego ostro. Najgorsze było to, że w sklepach nie można było nic kupić. Wszystko, każdą śrubkę, każdy gwóźdź trzeba „załatwiać”.

Nastał czas handlu wymiennego, jak przed wiekami.

Feliks miał już wcześniej zgromadzony materiał podstawowy jak deski, legary, kafle na piece, cegły itp. Teraz chodziło o różnego rodzaju zawiasy, śruby i gwoździe.

Obaj mężczyźni pokonali wszystkie trudności i do zimy pokój był gotowy. Pokój zajęli Kossowscy.

Tymczasem, któregoś dnia niemieckie wojsko opuściło Twierdzą wycofując się na wschód. Manewr ten na pewno miał na celu wyrównanie granicy między Niemcami i ZSRR.

Pojawili się Sowietci w spiczastych czapkach i z miejsca zajęli się organizacją nowych porządków.

W Downarach powstał Sielsowiet – coś w rodzaju gminy. Otwarto nową szkołę, która została wybudowana i oddana do użytku przed samą wojną. Bolesława Kossowskiego zatrudniono jako kierownika szkoły, przysłano także dwie nauczycielki, Białorusinki.

Jania na razie pozostała w domu jako matka wychowująca niemowlę.

W szkole językiem wykładowym był nadal polski, a język białoruski był wykładany jako oddzielny przedmiot. Oczywiście zmieniła się ideologia nauczania i polscy nauczyciele chcąc przetrwać, musieli tej ideologii nauczać.

Niezależnie od tego, z chwilą ukazania się w Polsce pierwszych spiczastych czapek sowieckich „bajców”, zaczęło się organizować podziemie.

Bolesław Kossowski został komendantem, a jego podwładni to byli wojskowi, ukrywający się na wsi i młodzi chłopcy z różnych wsi.

Nie pamiętam, czy były organizowane jakieś akcje sabotażowe lub napady na sowieckie urzędy, chociaż sama przenosiłam prawdziwe granaty.

Kiedyś przeżyłam makabryczną przygodę.

Właśnie niosłam pełną teczkę granatów ze wsi do nas na kolonię, gdzie miał ją odebrać ktoś inny, gdy zauważyłam, że jadą za mną dwaj „bajcy” na rowerach. Teczka była ciężka, aż się wyginałam pod jej ciężarem, lecz widząc niebezpieczeństwo zaczęłam kręcić biodrami i wymachiwać teczką niby piórkami.

- Eto nie ta – powiedział jeden z „bajców” i pojechali dalej.

Waga teczki podwoiła się i ledwie dowlokłam się do domu.

Tylko jedna Jania mnie pochwaliła, że w krytycznej sytuacji nie straciłam zimnej krwi. Mogłam przecież rzucić teczkę i uciekać na oślep przez pola. A w ogóle to miałam za złe Jani, że pozwala mężowi na tak niebezpieczną a mało skuteczną działalność. Niedaleka przyszłość pokazała, że miałam rację.

W myśl zasady, że aby wroga zwalczyć, trzeba go najpierw poznać, zapisałam się na kurs języka rosyjskiego, organizowany w naszej wiejskiej szkole wieczorami.

Nie wiem jakim cudem przeżyliśmy okupację, kiedy sklepy, tak zwane kooperatywy były puste. Organizowaliśmy wyprawy do Białegostoku, gdzie przy odrobinie szczęścia można było dostać kilogram lub dwa cukru a czasem po całodziennym staniu w kolejce, nie dostawało się nic i z pustymi rękami wracało do domu.

Pamiętam, że tylko raz w ciągu okupacji sowieckiej udało mi się kupić kupon perkalu (kretonu), co było szczególnie cennym nabytkiem, jako że byłam w wieku dorastania i wszystkie moje ubiory stały się za małe i za ciasne. Częściowo ratowała mnie Jania. podarowała mi pierwsze

dorośle buty i pożyczala swoje bluzki na spotkania z koleżankami i kolegami.

Domowym sposobem wyprawiano skóry i szewcy szyli z nich buty. Stare łachy nicowano: na szczęście dawne materiały były solidne, tkane z czystej wełny i mogły długo służyć właścicielowi.

Wyrosłam ze swego granatowego płaszcza gimnazjalnego i znowu poratowała mnie Jania, dając swój stary płaszcz do przenicowania. Część ubrań dawno wyrzuconych na strych, wróciła teraz do łask. Łaty naszywane na kolanach i łokciach nikogo nie dziwiły.

Na wiosnę 1940 roku Sowieci zaczęli budować lotnisko pomiędzy torami kolejowymi biegnącymi ze wschodu na zachód, a miasteczkiem Goniądzem, jakieś trzy kilometry w prostej linii od naszego domu.

U nas mieszkał jeden z inżynierów zatrudnionych przy budowie lotniska. Wyrażał się niepocholebnie o władzy radzieckiej i ciągle nam powtarzał, żebyśmy nie słuchali „politruków” agitujących za tą władzą.

Nasz inżynier był starszym człowiekiem i nienawidził komunistów, nawet nie kryjąc się z tym.

Cały nasz dom był już wykończony i jako tako umeblowany a więc nadawał się do zakwaterowania przymusowego lokatora.

Zimą i lato 1940 roku przeżyliśmy względnie spokojnie, wojsko nam się nie naprzykrzało, a podziemie działało, ku niezadowoleniu kobiet: żon i matek.

Na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, Bolesław Kossowski otrzymał pismo urzędowe z Białegostoku, wzywające do stawienia się pod wskazany adres, na kurs kierowników szkół.

Kurs – normalna sprawa, lecz nikomu z nas nie podobało się to „zaproszenie”, lecz nie było żadnego innego wyjścia: obecność była obowiązkowa.

Pełni najgorszych przeczuć pożegnaliśmy się i Feliks zawiózł Bolesława na stację kolejową.

To było ostatnie pożegnanie, od tego momentu nikt z nas nigdy więcej Bolesława nie widział.

Tak się złożyło, że w dniu wyjazdu Ojca, jego synek Sławek zrobił samodzielnie kilka kroczków. Za kilka dni miał ukończyć roczek.

Tak więc szczęśliwe małżeństwo Jani z Bolesławem trwało zaledwie dwa lata, a człowiek przepadł jak igła w oceanie i małżeństwo przestało istnieć.

Po dwóch tygodniach nieobecności męża i braku jakichkolwiek wiadomości o nim, Jania rozpoczęła poszukiwania.

Przygotowała paczkę z żywnością i pojechała do Białegostoku do więzienia. Ktoś jej poradził, że jeżeli paczkę przyjmą, to znaczy, że ten człowiek znajduje się w tym więzieniu.

Jania stała cały dzień w kolejce a kiedy stanęła pod okienkiem, dowiedziała się, że jej męża tutaj nie ma.

Pierwsze rozczarowanie.

Wróciła do domu smutna, lecz nie załamana.

Podczas jej nieobecności Sławkiem zajmowały się wszystkie pozostałe kobiety. Ponieważ my, dzieci Heleny – zwracaliśmy się do niej pieszczotliwie – Mamusia, Sławek też tak mówił. Do swojej mamy mówił – Mama. Tak więc zamiast ojca, miał mamę i mamusię.

Był dzieckiem bardzo znerwicowanym, na co niewątpliwie miały wpływ warunki w jakich przyszedł na świat. Często płakał: nie płaczem dziecka, a histeryka, szczególnie wtedy, gdy mama musiała wyjść lub wyjechać z domu.

Następnym razem Jania wybrała się do Mińska. To była dłuższa wyprawa i zajęła jej trzy dni. W dzień stała pod więzieniem, w nocy drzemała na dworcu i tym razem na próżno.

Zaliczyła jeszcze więzienia: w Wołkowysku, Słonimie i Baranowiczach. Wszystko na próżno.

Na tych poszukiwaniach zesza zima a na wiosnę rozpoczęły się dalsze aresztowania. Wyłapano wszystkich

mężczyzn należących do tajnej organizacji. Najpierw podejrzenie padło na Bolesława, lecz wkrótce wydało się kto zasypał wszystkich „winnych”.

Blady strach padł na mieszkańców okolicznych wsi, bo wiadomo było, że Sowieci nie zostawią w spokoju rodzin tych mężczyzn, którzy zostali aresztowani.

20 czerwca 1941 roku. we wczesnych godzinach rannych ujrzeliśmy tabor konnych furmanek załadowanych ludźmi i ich dobytkiem, ciągnących na stację kolejową w Mońkach, gdzie czekał na nich specjalny pociąg. Na jednym z wozów poznałam swoją koleżankę z gimnazjum w granatowym płaszczu i czerwonej chustce w zielone kwiaty. Po przeszło pół wieku, widzę ją zresztą do dzisiaj i chociaż wydobyła się z tego piekła dokąd ją zawieźli, ten widok prześladowuje mnie wprost obsesyjnie.

Dostaliśmy cynk z Sielsowietu, że mamy się szykować do wyjazdu w dzień 22 czerwca.

Nasz lokator inżynier budowniczy bardzo nam współczuł, lecz z żalem zapewniał, że nic nie może zrobić.

Można było zabrać tylko określoną ilość rzeczy, więc kobiety przekładały dziesiątki razy te same rzeczy i przedmioty, i coraz to odrzucały coś, co uważały za zbędne.

Feliksowi udało się sprzedać jedną krowę: reszta inwentarza pozostawała na łasce okupanta.

Dorośli tej nocy być może wcale nie spali, oczekując spełnienia swego losu, bo długo słyszałam głosy na podwórku, jednak w końcu zasnęłam i spałam tak twardo, że nie obudziło mnie nawet dudnienie samolotów i wybuchy bomb. Dopiero Mama obudziła mnie i kazała ubierać się czym prędzej. Myślałam, że już wyjeżdżamy, lecz nigdzie nie było widać koni i wozu.

Wszyscy wraz z inżynierem patrzyli w górę na samoloty i sprzeczali się:

- Wojna.

- Nie to manewry – utrzymywał inżynier.

- To dlaczego bombardują lotnisko ? – powątpiewał ktoś inny.

W tej chwili podjechał wózek, który co rano zawoził inżyniera do pracy. Inżynier wskoczył, pomachał nam ręką i więcej go nie widzieliśmy.

22 czerwca 1941 roku Niemcy bez zapowiedzi zaatakowali Związek Radziecki. Zaskoczone było nie tylko wojsko, lecz także wyższe dowództwo radzieckie. Działanie przez zaskoczenie sprawiło, że Sowieci uciekali w popłochu rzucając po drodze nie tylko broń, lecz i umundurowanie. Niemcy deptali im po piętach.

Teraz to myśleliśmy już tylko, żeby wyjść cało z tej zawieruchy. Niestety, nie wszystkim to się udało. Naszym najbliższym sąsiadom zbombardowano dom, gospodarz zginął, a jego żona została ciężko ranna.

Były też i śmieszne aspekty tej całej zawieruchy.

Sowieci pozbywali się zbędnego balastu uciekając na oślep i Feliks wypatrzył na gościńcu (bita wiejska droga) od dłuższego już czasu leżącą beczkę. Beczka, to paliwo. Paliwo to bardzo łakoma rzecz w gospodarstwie. Od samego rana kombinował, jakby tę beczkę ściągnąć. W tej sytuacji rodzinnej, kiedy Feliks nie miał syna w odpowiednim wieku, do takich akcji nadawałam się tylko ja. Wzięłam sierp i poszłam. Beczkę trzeba było przetoczyć po płaskiej drodze gościńca kilkadziesiąt metrów a potem skierować ją na polną drogę lekko schodzącą w dół, gdzie powinna potoczyć się sama po pochyłości.

- Tylko pamiętaj – przykazywał Feliks. – Dobrze obserwuj drogę i pchaj tylko wtedy, gdy nikogo na niej nie będzie. Gdy kogoś zauważysz, idź sobie spokojnie z sierpem w ręce.

Tylko dwa razy musiałam udawać żniwiarkę, zanim przetoczyłam beczkę na polną drogę. Dalej potoczyła się sama, a Feliks schowany w zbożu, czasem wyskakiwał, żeby nadać jej właściwy kierunek.

- Hura ! Zdobyliśmy paliwo ! – krzyknęłam wchodząc na podwórko.

Lecz zamiast radości, zobaczyłam łzy w oczach Mamy i wymówkę:

- Żeby dla beczki paliwa narażać życie dziecka !

To było pod adresem Feliksa.

Ale paliwo to też część życia – pomyślałam.

Nareszcie odwrót wojsk sowieckich zakończył się, a Niemców jeszcze nie było widać. Powstała luka niesamowita, bo nie wiadomo było, co teraz nastąpi i co nas czeka.

Chłopi z ociąganiem wychodzili na pola, żeby zebrać to co pozostało po przejściu sowieckich pancernych jednostek. Oni nie szukali dróg, lecz parli na przełaj przez pola. Zdobyczą wojenną chłopów były porzucone w zbożu szynele (płaszczce), które potem przerabiano na kurtki o kroju cywilnym.

Najgorsze były noce. Było tak cicho, że głowa pękała od tej ciszy. Ustanowiliśmy nocne warty. Każdy z nas czuwał po dwie godziny w nocy, żeby nie dać się zaskoczyć temu czemuś przerażającemu, czego baliśmy się.

Jak na złość, w czasie swoich godzin czuwania byłam tak śpiąca, że mogłam spać chodząc. Ale w nocy nic się nie wydarzyło. To w dzień przyjechali Niemcy, poinstruowali przez tłumacza o naszych obowiązkach, kontyngentach, czego nam nie wolno, że obowiązuje godzina policyjna, zaciemnienie okien, że młodzież będą wysyłać na roboty do Niemiec i jeszcze mnóstwo innych powinności. I ani słowa o naszych przywilejach.

Mieliśmy więc nareszcie władzę. Skończył się okres bezkrólewia.

Zbliżała się zima, pośpiesznie zbierano z pół resztki plonów i zasiewano zboża ozime.

Jak wspomniałam, dom nasz stał na niewielkim wzniesieniu terenu i wszystkie drogi wokół widać było jak na dłoni.

Do nauczycielki pani Janiny Kossowskiej zaczęły przychodzić dzieci ze wsi, te które chciały kontynuować naukę. Dobry widok na drogi zapewniał bezpieczeństwo. Kiedy komendant policji wyjeżdżał ze swojego posterunku

w Goniądzu, w obchód po wsiach będących pod jego administracją, już z daleka był widoczny i dzieci miały dość czasu, aby uciec na pole i zająć się zabawą, a nauczycielka mogła schować książki i zeszyty.

Praca z dziećmi była dla Jani wielkim dobrodziejstwem. Nie chodziło oczywiście o kilka jaj lub osetkę masła jako zapłatę za naukę, lecz o odwrócenie uwagi od spraw bolesnych. O mężu nie miała żadnych wiadomości i nie wiedziała czy jest wdową, czy jeszcze mężatką.

Pomimo okupacji, niewoli, młodzież prowadziła ożywione życie towarzyskie i często odbywały się też spotkania w moim domu. Jania nie miała nic przeciw temu i nigdy nie okazywała swego bólu i nie przybierała nieszczęśliwych min.

Kiedy żandarmi zabrali mnie z drogi i zanotowali jako jedną z uczestniczek transportu do Niemiec, to właśnie Jania pierwsza złapała gęś pod pachę i pobiegła do Goniądza na piechotę do komendanta, aby mnie wybronić od wywiezienia. Wprawdzie jej się nie udało, lecz liczy się intencja, a ja i tak uciekłam z transportu.

Potem pracowałam w Twierdzy Osowiec a w domu było spokojnie, bo każdy starał się nie wchodzić Niemcom w drogę.

Rok 1944. Coraz wyraźniejsze stawały się odgłosy charakterystyczne dla wszystkich frontów. Tylko, że teraz Niemcy byli w odwrocie, chociaż ten odwrót nazywali wyrównaniem a więc skróceniem linii frontu.

Front dotarł do linii Biebrzy i wtedy Niemcy wycofując się zabili Feliksa. Ścisłej mówiąc zrobił to Ukraińiec a byli oni większymi swołoczami niż hitlerowcy.

To była klęska nie do przeżycia. Ukochany Mąż, ukochany Ojciec i głowa rodziny, leżał sobie spokojnie w ogródku pod domem. Przy aktywnym froncie nie było mowy by pochować go na cmentarzu.

We wrześniu 1944 roku zarządzono ewakuację w kierunku wschodnim.

W tym czasie na terenach wyzwolonych organizowało się już prawie normalne życie. Lucyna wyjechała do Białegostoku

do Liceum Pedagogicznego, a my przebywaliśmy we wsi Koziniec w okolicy Knyszyna, na ewakuacji.

W styczniu 1945 roku wróciliśmy do domu. Babka Karolina, która nie dała się ruszyć z miejsca, dopilnowała domu i dzięki temu mieliśmy gdzie wrócić. Zamieszkali też u nas sąsiedzi, którym dom rozebrano, na budowę ziemianek.

Trzeba było zaczynać wszystko od początku, a nasi mężczyźni byli w wieku: Sławek – 6 lat, a Stefek – 9 lat.

Jania zgłosiła się od razu do miejscowej szkoły, a Babka Karolina, Mama i ja zajęliśmy się gospodarstwem.

Szkoła to zdewastowany budynek, powybijane szyby i częściowo spalone ławki, odrapane ściany, zakopcone sufity. Taka szkoła to jedna wielka rozpacz.

Znalazł się jednak energiczny kierownik, który przy pomocy chętnych nauczycieli, nie załamawszy rąk zabrał się do pracy. Szkoła musiała być gotowa na przyjęcie dzieci we wrześniu 1945 roku.

Kierownik co kilka dni jeździł do Białegostoku do Kuratorium, żeby załatwić jakieś podręczniki, zeszyty. Walczył dosłownie o każdy ołówek, kredę lub gumkę do ścierania.

Dzieci przynosiły z domów wszystko, co było papierowe, Rodzice brali udział w remoncie i odnawianiu szkoły i cieszyli się na widok rezultatów swojej pracy.

W tym okresie działała organizacja charytatywna Stanów Zjednoczonych, tak zwana UNRA, która organizowała dostawy do Polski odzieży i żywności. Dzięki temu przy braku pieniędzy, kierownictwa płaciły swoim pracownikom żywnością pochodzącą z darów organizacji.

Wkrótce też odezwały się siostry Heleny i Janiny, które mieszkaly w Stanach. Na nasz adres zaczęły przychodzić ogromne paczki z ubraniami. Mogliśmy zaspokoić własne potrzeby, nadwyżki sprzedać i za uzyskane pieniądze opłacić ludzi wynajętych do ciężkich prac polowych.

Za naszą okupacyjną nędzę i biedę, chodziłyśmy teraz elegancko ubrane. Jania chodziła do szkoły jak prawdziwa pani

Nauczycielka, Lucyna zadawała szyku w Białymstoku w szkole, a my pozostałe kobiety szykownie ubrane szłyśmy w niedzielę do kościoła.

Zgodnie z planem szkoła w Downarach zaczęła funkcjonować we wrześniu 1945 roku a Jania zadomowiła się w niej na dobre.

W tym czasie trwała wielka wędrówka ludów. Wracali robotnicy z przymusowych robót w Niemczech i tych było wielu. Mniej ludzi wracało ze wschodu.

Jako, że mieszkaliśmy blisko szosy, zachodzili do nas na wypoczynek, na noc i na posiłek. Dzieliliśmy się z nimi ostatnim kawałkiem chleba, widząc jak są zmęczeni, zdrożeni i głodni.

Pewnego razu a nie było mnie wtedy w domu, zaszedł do nas podróżny wracający ze wschodu. Babka Karolina postawiła przed nim chleb i mleko. Gość jadł w milczeniu, rozglądał się po izbie, a potem zapytał Helenę:

- Czy Pani jest Janiną, żoną Bolesława ?

Ogólna konsternacja. Babka Karolina zachowała się przytomnie: wysłała po Janię Stefka i Sławka, którzy byli gdzieś na łące za domem.

Podróżny wstał na ich widok i z trudem powiedział:

- Mam wiadomości o Pani mężu, Bolesławie Kossowskim.

Jania zbladła i prędko usiadła na podstawionym stołku. Chwilę mocowała się ze słabością a potem odważnie powiedziała:

- Proszę mówić o wszystkim, co Pan wie.

- Dostałem się do więzienia w Mińsku już w sierpniu 1940 roku. Cella była przeznaczona dla dziesięciu więźniów i na początku liczba ta nie była przekraczana. Od września nagle zaczęli przybywać nowi lokatorzy i nagle okazało się, że jest nas około dwudziestu. Mówię „około” bo liczba ta ciągle się zmieniała: ktoś odchodził, ktoś przychodził i tak zawsze panował ruch. Pewnego dnia zabrano jego sąsiada z pryczy a ponieważ kazano mu zabrać rzeczy, wiedzieliśmy, że nie wróci. Właśnie wtedy przyprowadzono nowego więźnia, który

wydał mi się sympatyczny. Dałem znak żeby się zbliżył i zajął wolne miejsce. Wyglądało na to, że był już po przesłuchaniu, lecz nie tracił nadziei, że będzie dobrze, bo niczego mu nie udowodnili. Starał się też podtrzymać ducha w pozostałych więźniach.

Jeszcze kilka razy chodził na przesłuchania, a potem dali mu spokój, jakby zapomnieli o nim. W celi było zimno a Bolesław nie miał ciepłego ubrania, więc zaczął chorować. Opowiadał mi o swojej rodzinie, o życiu którego nie zdążył posmakować. Raz snuł plany jak to będzie, gdy spotka się ze swoją żoną i synkiem, a zaraz potem ogarniało go zwątpienie i rozpaczał, że już ich nigdy nie zobaczy.

Pewnego dnia na wiosnę odczytano mu wyrok śmierci. Był już tak chory, że przyjął to spokojnie. Zobowiązał mnie do spotkania z Państwem a na dowód wiarygodności, dał mi tę chusteczkę i prosił, żebym oddał ją żonie. To mówiąc wyjął z kieszeni mocno sfatygowaną, lecz z wyraźnym monogramem wyszytym ręką żony.

Ze ściśniętą bólem twarzą, Jania poprosiła:

- Proszę mówić dalej.

- Dalej to już można się domyślać. Mogły być dwa zakończenia tego scenariusza. Po ogłoszeniu wyroku śmierci zabrali Bolesława do pojedynczej celi, gdzie wykonali wyrok.

Drugie zakończenie mogło być takie: gdy Niemcy w roku 1941 napadli na Związek Radziecki, postanowiono ewakuować więźniów z Mińska w głąb Rosji. Wyruszyła piesza kolumna szkieletów ledwie trzymających się na nogach, a kto upadł, zostawał dobity strzałem w tył głowy lub w czoło, w zależności od tego w jakiej pozycji upadł.

Jeśli Bolesław Kossowski znajdował się w tej kolumnie, na pewno nie wytrzymał trudów marszu. W każdym razie od chwili gdy zabrali Bolesława do celi śmierci, straciłem z nim kontakt.

Ta historia była tyle razy opowiadana w naszym domu, że nauczyłam się jej na pamięć. To pierwsze zakończenie wydawało się bardziej prawdopodobne, lecz wyobraźnia

podsunęła mi to drugie zakończenie. Widzę wyraźnie jak leży sponiewierany człowiek w pyle drogi. Otwarte szeroko oczy utkwione w błękicie nieba. W oczach zdziwienie i pytanie: Dlaczego ?

Wielu ludzi po wojnie odnalazło groby swoich bliskich a co z Bolesławem ?

Długie milczenie ktoś z obecnych przerwał pytaniem:

- A jak Panu udało się przeżyć ?

- Długo by o tym opowiadać. W każdym razie Niemcy ostrzelali kolumnę więźniów, w której ja także byłem. Dużo ludzi wówczas zginęło, a reszta ratowała się ucieczką. Niektórym się udało a wśród nich znalazłem się także ja.

Były więzień jeszcze długo opowiadał o życiu w więzieniu, a Jania była ciekawa każdego najdrobniejszego szczegółu dotyczącego życia jej męża. Nie wyobrażała go sobie martwego i całe życie marzyła o tym, że wróci.

Moja siostra Lucyna już uczyła się w Liceum Pedagogicznym w Białymstoku a moja Mama zdecydowała się na to, abym ja również uzupełniła swoje zaledwie rozpoczęte wykształcenie.

Uważała, że razem z Babką Karoliną dadzą sobie radę w gospodarstwie.

Jania uczyła w miejscowej szkole, gdzie również uczyli się jej syn Sławek i syn Heleny Stefan.

Obie młode wdowy – Helena i Jania nawet nie myślały o powtórny zamążpójściu. Zresztą stan cywilny Jani był w dalszym ciągu niewyjaśniony.

*

Minęło dziesięć lat. W tak długim czasie wszystko może się zdarzyć. Ja wyszłam za mąż i urodziłam dwoje dzieci – Bożenkę i Marka, a w roku 1950 przeprowadziliśmy się z Białegostoku do Augustowa.

Lucyna skończyła swoje Liceum pedagogiczne i zamieszkała w Łodzi.

Stefan skończył szkołę zawodową i pozostał na gospodarstwie razem z Mamą i Babką Karoliną.

Sławek kończył szkołę średnią w Goniądzu, w przyszłym roku czekała go matura.

Jania cały czas pracowała w szkole w Downarach a w ostatnim roku przeniosła się do Moniek.

Rozrzuciło nas trochę po kraju, lecz każde święto, każdy dzień wolny od pracy, każdy urlop, spędziliśmy w domu rodzinnym w Downarach. Moja córka Bożena cały czas uważa dom w Downarach za swój dom rodzinny, mimo, że nie urodziła się tam. Przyjeżdżaliśmy tam nie tylko na wczasy, lecz pomagaliśmy przy gospodarstwie, na ile kogo było stać.

Moim obowiązkiem było szycie. Gdy tylko przyjeżdżałam, dzieci zabierała Jania, opiekując się nimi lepiej ode mnie, a mnie zasadzano do maszyny do szycia. Pamiętam jaka byłam wtedy wydajna: w ciągu jednego dnia uszyłam dla Jani sukienkę, dla Babki Karoliny – kaftan i jeszcze jakiś fartuch na dodatek.

Zdarzały się też takie sytuacje: Mama wbiegała do mieszkania i woła:

- Dzieci ! Burza idzie ! Kto żyw, niech biegnie wiązać: na przykład owies.

Wtedy rzucaliśmy swoje zajęcia i biegliśmy ratować zboże.

Pewnego razu podczas takiej imprezy zgubiłam swoją ślubną obrączkę. Przeszukaliśmy dokładnie całe pole, lecz nie znalazła się. Oczywiście wylałam morze łez, bo to była zła wróżba.

Jednak obrączka znalazła się, dopiero w przyszłym roku.

Babka Karolina wrywała w ogrodzie warzywnym chwasty i zauważyła leżącą na jakimś korzonku obrączkę. Była lekko wyszczerbiona, więc na tej podstawie przeszledziliśmy jej drogę z odległego pola, na warzywnik.

Podczas wiązania w pęczki owsa (lub innego zboża) obrączka pozostała w snopie, potem dostała się do młockarni, gdzie wyszczerbiła się w trybach. Ze słomą trafiła do chlewa jako

ściółka, a potem wraz z nawozem dostała się do ogrodu warzywnego.

Ulżyło mi. Myślałam, że skoro się znalazła, złe wróżby nie będą miały mocy. Myliłam się.

Zaczęło się na Wielkanoc w 1954 roku. Wróciliśmy całą rodziną do domu z Rezurekcji. Przygotowaliśmy śniadanie, a Jani nie było. Gdzie ona się zawieruszyła ? Wszyscy byli głodni, czekaliśmy tylko na nią. Zaczęliśmy wyglądać przez okna i Helena, która miała sokoli wzrok, rozpoznała daleko na drodze w skurczonej postawie wlokącej się kobiety – Janię.

Mężczyźni pobiegli na pomoc. Prawie przyniesiono na rękach chorą, czy ranną? Gdy doszła do siebie, opowiedziała co się stało. Zagadała się nieco przy kościele ze znajomą, a kiedy wracała, na drodze było już prawie pusto. Nagle zjawiły się za nią konie i potrafiły ją tak, że upadła a jedna płoza przejechała jej po plecach. Woźnica nie zatrzymał się i pojechał dalej.

- Co za potwór, co za cham ! – Powiedz, kto to był ? – pytano. Ale Jania go nie zapamiętała.

Przeleżała całe ferie świąteczne, a potem z lekkim siniakiem na plecach poszła do pracy, a właściwie pojechała, bo pracowała wtedy w Mońkach.

Tego samego roku w lipcu utonął ojciec mojego męża Józef Andruszkiewicz (mój mąż też miał na imię Józef). Tragedia miała miejsce w Augustowie, na jeziorze Rospuda.

Sławek był u nas wtedy z wizytą i Jania była bardzo niespokojna o niego. Przeczuywała jakieś nieszczęście. Wysłałam go wcześniej do domu, żeby nie musiał uczestniczyć w ogólnej rozpacz.

W sierpniu dostałam od Mamy list – Jania jest chora: nowotwór na wątrobie z rozległymi przerzutami. Kilka miesięcy życia.

Wtedy przeklęłam wszystkich listonoszy i wszystkie środki lokomocji, które takie wieści rozwożą i roznoszą. Byłam w stanie stanąć do walki z całym światem, byle ją ocalić

Chciałam natychmiast jechać do niej, a jednocześnie bałam się tego spotkania. Pojechałam na początku września. Rodzinę zobaczyłam na polu przy kopaniu ziemniaków, a Jania siedziała w kuchni i coś cerowała. Przywitałam się, lecz obie byłyśmy tak skrępowane, że rozmowa nie kleiła się.

Patrzyłam z bólem jak pełna dotychczas figura Jani jakby zwiotczała i skurczyła się a na jej pięknej twarzy pokładły się cienie, które stały ciepły i pogodny wyraz będący odbiciem jej charakteru.

Wrócił Sławek ze szkoły, przyszedli również kopacze, rozpoczęła się zwykła przedwieczorna krzątania, w której Jania także uczestniczyła.

Dopiero późnym wieczorem przyszedł atak bólu. Chora jęczała jakimś nieludzkim głosem, a środki przeciwbólowe nie działały. Kiedy wreszcie chora zasnęła, mogłam porozmawiać z Mamą i ustalić dalszy plan postępowania.

Mój mąż, który chorował na płuca, miał skierowanie do sanatorium na trzy miesiące: grudzień, styczeń i luty. W tym czasie gdy go nie będzie, ja zabiorę dzieci i przyjadę na dłużej, na ile będzie potrzeba, aby pielęgnować chorą. Nie pracowałam, więc mogłam spokojnie wyjechać z domu.

Tak się też stało. Ale kiedy przyjechałam w grudniu, Jania była już bardzo chora. Prawie nie wstawała z łóżka i nękały ją coraz częstsze bóle. Miała też za sobą miesięczny pobyt w szpitalu w Białymstoku, który jej bardziej zaszkodził, pozbawiając obecności bliskich.

Odciażyłam moją Mamę od pracy, ale nie przy chorej, która tolerowała przy sobie tylko swoją siostrę Helenę. Ta musiała być przy niej na każde zawołanie zarówno w dzień jak i w nocy.

Pielęgniarka z miejscowego Ośrodka Zdrowia przychodziła raz dziennie robić zastrzyki z morfiny i wtedy przez kilka godzin chora odpoczywała od bólu a my razem z nią. Rozmawiałyśmy wtedy o różnych sprawach przeszłych i bieżących, i wtedy już zauważyłam, że niektóre problemy

zostały jakby skasowane w jej mózgu, jakby ich w ogóle nie było. O innych sprawach rozmawiała normalnie.

Na Boże Narodzenie przygotowaliśmy z Mamą i Lucyną, która przyjechała na ferie, jak zwykle wieczerzę wigilijną.

Jania wstała z łóżka, ubrała się i usiadła przy stole, ale nie zdążywszy nawet podzielić się opłatkiem, zwinęła się w kłębek w swoim kąciku na ławie przy piecu i w ten sposób dotrzymała nam towarzystwa. Potem nastąpiły bóle, które trwały całą noc.

W tym samym pokoju gdzie leżała Jania stała kozetka, na której siedziała lub leżała osoba dyżurująca.

Pewnego razu siedzieliśmy tam z Lucyną i nagle zachciało mi się śpiewać. Zaczęłam niepewnie jakąś piosenkę, moja siostra dołączyła swój głos lecz z obawą patrzyliśmy na Janię, jak na to zareaguje. Miała zamknięte oczy a kiedy skończyliśmy, poprosiła o jeszcze.

Śpiewaliśmy wtedy długo: piosenki smutne i wesołe a ona ciągle prosiła o jeszcze.

Od początku stycznia chora przestała jeść, piła tylko odrobinę wody.

Z tej pięknej, dorodnej kobiety pozostał tylko szkielet okryty skórą. Gdyby nie serce mocne jak dzwon, dawno by już nie żyła – powiedział lekarz.

Sławek przygotowywał się do matury, lecz ona o tym nie wiedziała.

W końcu Mama zadecydowała, że czas uszyć ostatnią kreację ziemską, a kto to miał zrobić jeśli nie rodzinna szwaczka ?

Jania, chociaż prawie nie kontaktowała, usłyszawszy stukot maszyny do szycia rozzłościła się, że już chcemy jej się pozbyć, że już szyjemy jej sukienkę na śmierć.

Musiałam skłamać, że szyję fartuch kuchenny, na dowód czego przyniosłam kawałek kolorowego płótna.

Jak głęboko i mocno tkwi w człowieku chęć i przywiązanie do życia !

W ostatnich tygodniach życia, chora chciała mieć przy sobie tylko siostrę Helenę i tylko jej posługi przyjmowała.

Przy tym Helena musiała zawsze stać przy łóżku chorej, nie wolno jej było usiąść. Z tego powodu miała tak spuchnięte nogi, że ledwie mogła chodzić. Nigdy nie słyszałam, żeby chociaż raz okazała zniecierpliwienie. Jeśli moja Mama miała jakiś grzechy, nawet ciężkie, to wierzę, że tylko za cierpliwość i poświęcenie się dla siostry Pan Bóg jej odpuścił.

Tymczasem ja szylam sukienkę. Nie wiem, czemu kolor materiału był taki nędzny: zgaszony granat.

- Jania, powinnam cię była ubrać w atłasy i tiule ! Byłaś piękna, dobra i tyle wycierpiałaś ! Zasłużyłaś na to, żeby odejść w stroju królewskim, a nie w nędznej sukieneczynie. Przepraszam cię za to.

Tymczasem dni upływały, a w chorej ciągle tliło się życie. Mogłam obserwować jak stopniowo zamierają komórki mózgu a z nimi razem resztki świadomości.

Dnia 7 lutego 1955 roku z trudem zaczerpnęła ostatni haust powietrza i życie z niej uleciało.

Sławkowi, który całe życie nie miał Ojca tylko Mamę i Mamusię, została teraz tylko Mamusia.

Karolina straciła najmłodszą ze swoich pięciu córek.

Janina odeszła w wieku 41 lat.

W roku 1956 zmarł mój mąż Józef Andruszkiewicz w wieku 33 lat.

Zgubiona obrączka dokonała swego.

*

W kilka dni po pogrzebie wróciłam do domu w Augustowie. Odebrałam dzieci od Babci Andruszkiewiczowej z Suwałk, gdzie były na przechowaniu na czas ostatnich dni Jani. Mąż jeszcze nie wrócił z sanatorium, więc tę noc spędziłam sama z dziećmi.

Na środku pokoju stały złączone dwa drewniane łóżka, które przed laty zrobił mój Ojciec a ja dostałam je w posagu.

Na jednym łóżku położyłam dzieci, a na drugim ułożyłam się sama.

Zaledwie zasnęłam, natychmiast znalazłam się u swojej Mamy w Downarach.

Jesteśmy w tak zwanej czarnej sieni, gdzie przygotowuje się pokarm dla zwierząt i jest tam pełno garnków, wiader, różnych naczyń. Ja, kucając, obieram ziemniaki i mówię do Mamy:

- Dobrze, że Jania zmarła, że skończyły się jej cierpienia.

Mówiąc te słowa spostrzegłam, że ona stoi obok w tym śmiertelnym stroju i słyszy moje słowa. Zrobiło mi się wstyd, lecz w tym momencie ona pada w sam środek tych wszystkich naczyń, rozlega się ogłuszający brzęk i w tym brzęku rozlega się rozdzierający krzyk mojej sześćioletniej córki Bożenki.

- Ciociu nie ! Ciociu nie !

Przytuliłam ją do siebie, uspokoiłam, uspiłam. Sama byłam tak przerażona, że z głową pod kołdrą przeleżałam do rana, modląc się i płacząc na przemian. Z rana poszłam do swojej serdecznej sąsiadki. Popatrzyła na mnie i zapytała:

- Czemu tak źle wyglądasz ? I co tam było u was w nocy ?

- Dlaczego pytasz ?

- Dlatego, że w nocy przyszła do mnie kobieta w granatowej sukni i białym szalu, bardzo chuda, schorowana i powiedziała: - Idź do Zosi, bo ona bardzo się boi.

Sąsiadka obudziła męża, lecz ten zbagatelizował jej słowa, mówiąc:

- Śpij, nie wymyślaj.

Sąsiadka nie знаła Jani, a ja jeszcze nie miałam okazji opowiedzieć jej o pogrzebie. Skąd więc mogła tak dokładnie opisać kobietę, którą przyśniła ?

I co chciałaś mi przekazać, Janiu ?

ZIELONE ŚWIĄTKI 1938r.

We wsi panowała cisza spowodowana czerwcowym upałem. Mieszkańcy odpoczywali drzemiąc w domach lub sadach, a niektórzy siedzieli na ławeczkach przed domami leniwie pogwarzając.

Było wczesne popołudnie Zielonych Świąt.

W domu Feliksa też odpoczywano. Babka Karolina spała sobie w najlepsze w swoim alkierzu, a w dużym pokoju siedziały wokół stołu trzy kobiety, każda z książką w ręku. Na łóżku spał czteroletni chłopczyk Stefek.

Wtem ciszę przerwało skrzypnięcie drzwi wejściowych i następnie pukanie do pokoju.

- Proszę – powiedziała głośno Helena i spojrzała zaciekawiona na drzwi.

Zosia była tak zaczytana, że nie odwróciła głowy, obojętna na to kto przyszedł.

W progu stał przystojny podoficer w mundurze KOP-u, zasalutował i zapytał:

- Czy zastałem pana Feliksa ?

- Męża nie ma, lecz proszę wejść i zaczekać, powinien zaraz przyjść – powiedziała Helena.

- Jestem Jan Zaorski, może pan Feliks opowiadał jak się poznaliśmy.

- Tak, znamy pana z opowiadania. A to jest moja siostra Janina i córka Zosia a ten w łóżku śpiący, to nasz synek, Stefan.

Jan rozejrzał się po pokoju.

- Jeszcze powinna być tutaj jedna panienska – powiedział – Lucia. Pan Feliks opowiedział mi o całej państwu rodzinie.

- Ach Lucia! Buszuje gdzieś po wsi z koleżankami.

Jan usiadł w wolnym foteliku przy stole i rozejrzał się po pokoju: przyjrzał się też dyskretnie kobietom. Obie siostry: Helena i Janina były jeszcze bardzo młode a Zosia mogła uchodzić za ich siostrę. Był to jeszcze podłotek, ale kształty

wskazywały już na kobietę. Włosy miała splecione w warkoczyki, a z lewej strony wpięty biały kwiat bagna. Gorzki, chociaż przyjemny zapach bagna czuć było w całym pokoju.

Pokój był umeblowany w najprostsze sprzęty wykonane własnoręcznie przez Feliksa, który był z zamiłowania stolarzem, a z zawodu rolnikiem.

A więc duży stół i cztery foteliki, łóżko, szafa do ubrań, etażerka zapchana książkami i dwa stojaki na kwiaty, na których stały wyrosnięte asparagusy. Była jeszcze kanapa i mały okrągły stolik, lecz na pierwszy rzut oka widać było, że nie wyszły one z ręki wiejskiego stolarza.

Istotnie, przywiozła je Babka Karolina z Ameryki, gdy ostatni raz wracała do kraju. Te dwa meble dodawały pokojowi charakteru wyższej pozycji społecznej w wiejskim środowisku. Na oknach bawełniane firaneczki, a jedno z nich było na oścież otwarte i zabezpieczone siatką przed muchami i komarami.

Zapach kwiatu bagna w Zosinych włosach mieszał się z zapachem kwiatów rosnących w ogródku za oknem.

- Przyniosę coś do picia – powiedziała Jania i wyszła.

Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwało głośne ziewnięcie budzącego się dziecka.

Helena zajęła się małym, a Jan zwrócił się do Zosi:

- Dlaczego pani nic nie mówi ?

- Jaka tam znowu pani – wtrąciła Helena – Przecież to jeszcze dziecko. Proszę mówić do niej po imieniu.

- Ale czy ona nie będzie miała nic przeciwko temu ?

- Nie, proszę bardzo – odpowiedziała zaczerwieniona aż po białka oczu dziewczyna.

Jania przyniosła schłodzone piwo domowej roboty.

Jan wypił ze smakiem, podziękował i zaczął się żegnać.

- Mam służbę – tłumaczył zawiedzionym kobietom. – Jeśli uda mi się znaleźć zastępstwo, przyjadę jeszcze raz.

- Znajdzie pan męża w remizie strażackiej, bo właśnie straż pożarna organizuje wielką zabawę świąteczną.

Przed oknami mignął rower i już gościa nie było.

Zosi zrobiło się jakoś smutno: podobał się jej chłopak, chociaż wydał się za stary. Miał przeszło dwadzieścia lat.

Wkrótce wrócił Feliks, pomógł kobietom przy wieczornym obrządku i wrócił do remizy strażackiej pilnować porządku z racji naczelnikostwa. Zabrał również córkę, chociaż Helena była temu przeciwna.

- Przecież będzie pod moją opieką – uspokoił ją Feliks. – Zresztą ty też możesz przyjść popatrzeć jak młodzież się bawi. (Jakby Helena nie należała do młodzieży).

Zosia od razu wpadła w wir rozkręconej zabawy. Ciągłe zmieniała partnerów a że tańczyła dobrze, wyszkolona przez sąsiadkę Józefinę Potocką – absolwentkę szkoły dla Dobrze Ułożonych Panien, była rozrywana przez tancerzy.

W pewnej chwili spostrzegła Jana: stał i rozmawiał z jej Ojcem, lecz patrzył tylko na nią. W kolejnym okrążeniu sali, prawie otarła się o niego a ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

Od tej chwili tańczyła już tylko dla Jana, a on widząc jak się przegina w tańcu, przechyla głowę wdzięcznie na boki, wiedział o tym. Pierwszy raz w życiu pożałował, że sam nie tańczy.

Ona o tym nie wiedziała i czekała cały czas, że poprosi ją do tańca.

Tymczasem orkiestra zrobiła sobie dłuższy odpoczynek i całe towarzystwo, głównie rodzaju męskiego ruszyło do bufetu.

Jan odnalazł Zosię trzymając w jednej ręce dwie butelki oranżady, a w drugiej dwie szklanki.

- Miał pan wspaniały pomysł – ucieszyła się. – Jestem bardzo spragniona.

- Nie dziwię się, taniec to chyba ciężka praca ? – powiedział Jan.

- A pan nie tańczy ? – zapytała.

- Niestety – odpowiedział. – Nie miałem sposobności nauczyć się.

- Ja miałam wyśmienitą nauczycielkę – pochwaliła się dziewczyna.

Pili wolno: schłodzona oranżada smakowała wyśmienicie. Potem Jan powiedział:

- Poszukamy pana Feliksa. Pożegniam się, bo muszę wracać do jednostki.

- Już ? – zasmuciła się Zosia.

- Tak, muszę przejąć służbę od kolegi.

Gdy się żegnali z Janem, powiedziała, że też pójdzie już do domu. Zabawa bez Jana była jak kwiat bez koloru i zapachu.

W nocy śnili się jej różni mężczyźni a każdy miał twarz i uśmiech Jana.

Jan też myślał o Zosi. Nie mógł ocenić czy jest ładna, lecz wiedział na pewno, że ma w sobie to coś, co przyciąga mężczyzn. Jej uśmiech nie pozwolił mu zasnąć a potem szukał go u wszystkich napotkanych kobiet. Ale to był wyjątkowy i niepowtarzalny uśmiech. Uśmiech tej jednej wybranej dziewczyny.

Nazajutrz Feliks zawiózł córkę na dworzec kolejowy w Osowcu. Do wakacji było jeszcze dwa tygodnie i trzeba było wracać do szkoły.

Ojcu towarzyszył Stefek, dumny, że może trzymać lejce, a tym samym kierować zaprzęgiem.

Na peronie Zosia ciągle rozglądała się wokół, mając cichą nadzieję, że ujrzy Jana. I nie zawiodła się. W ostatniej chwili przed odejściem pociągu zjawił się zadyszany: tak się śpieszył, żeby zdążyć się pożegnać. Krótkie pożegnanie, uśmiech dziewczyny, która dzisiaj wydała mu się taka śliczna.

- Do zobaczenia za dwa tygodnie – krzyknęła przez okno pociągu i zaraz na zakręcie straciła z oczu dworzec kolejowy i wszystkich, którzy znajdowali się na nim

- Czy mogę państwa odwiedzić kiedyś ? – zapytał Jan.

Proszę bardzo, najlepiej w niedzielę, wtedy jest czas wolny od pracy – odpowiedział Feliks.

WAKACJE

Zosia pierwszy raz w życiu nie zwierzyła się koleżankom z klasy ze swoich świątecznych przeżyć. Czuliła, że to nie jest temat do głupich żarcików a jeszcze bardziej bała się wulgarnych półsłówek i znaczących uśmiechów koleżanek bardziej uświadomionych.

Jeśli chodziło o tematy seksualne i sprawy damsko-męskie, jej wiedza na ten temat równała się zeru. W jej rodzinnym domu nie było zwyczaju okazywania uczuć, chociaż wszyscy kochali się, jak w przykładowej rodzinie. Przy dzieciach nie dopuszczano tematów tabu, nawet tych najniewinniejszych.

Pewnego dnia Zosia przyłapała się na tym, że każdemu napotkanemu wojskowemu zaglądała w twarz, mając nadzieję, że to jest Jan.

Ostatnie dni nauki w gimnazjum były wykorzystywane na wycieczki w plener, wspólne oglądanie filmów, imprezy taneczne itp., ponieważ oceny były już wystawione i podane do wiadomości uczniom.

Zosia napisała wiersz do gazetki szkolnej, który zaczynał się słowami:

- „Gdy zboża szumią bujnymi kłosa poprzetykane chabrów błękitem ...”

Pani profesor oceniła wiersz jako bardzo dobry. W ogóle Zosia była najlepszą polonistką w klasie, za to z matematyki miała tylko trójkę.

Obiecywała sobie solennie w przyszłym roku szkolnym „wziąć się za matematykę”, żeby nie psuć dobrego świadectwa szkolnego.

Mieszkała na stacji z koleżanką, Irką Orłowską. Obie dziewczynki przypadły sobie do gustu i ich przyjaźń przetrwała do tragicznej śmierci Irki.

Zosia już wtedy napisała romans, w którym główną bohaterką była Irka, a bohaterem szkolny dentysta – Żyd.

Powieść kończyła się tragicznie śmiercią Irki, która jednak płakała tak długo, aż Zosia musiała zmienić zakończenie powieści.

Na nic się jednak zdała zmiana zakończenia, skoro Irka naprawdę umarła.

Na razie jednak zapowiadały się beztrudne wakacje.

Na dworcu w Osowcu Zosia spotkała się z Janią i jej mężem Bolesławem, którzy tym samym pociągiem wyjeżdżali do Poznania do jego Rodziny. Oczywiście, zjawił się też Jan, żeby pożegnać odjeżdżających i przywitać się z Zosią.

Witając się szepnął jej do ucha:

- Jesteś coraz ładniejsza Zosiu.

Odpowiedzią był rozległy rumieniec na twarzy dziewczynki.

*

Wracali do domu milcząc. Zrobiło się jakoś smutno po wyjeździe Jani. Przy tym Zosia miała jeszcze nad czym rozmyślać. Jan powiedział: „Jesteś coraz ładniejsza”. Tymczasem ona była święcie przekonana, że jest brzydka, niezgrabna, a przy tym napiętnowana mianem „dziewczyny z wioski”, które to piętno bardzo jej ciążyło.

Słowa Jana nie wydały się jej szczerze, lecz jaki cel miałby aby kłamać? Gdy oglądała swoje dość nieliczne zresztą zdjęcia, na których zawsze miała głowę przechyloną na lewo, czuła się wprost jak upośledzona. Nie dostrzegала w tym geście wdzięku, a wręcz kalectwo.

Pewnego razu idąc gościńcem napotkała kałużę, którą musiała przeskoczyć, bo nie dało się jej obejść. Obok stało kilku wojskowych i jeden powiedział: - Klasyczny skok. To też dało jej dużo do myślenia: czy rzeczywiście skok był klasyczny, czy to była drwina? Zosia przychyliła się raczej do tej drugiej wersji i czuła się upokorzona. Z natury była nieśmiała i niekomunikatywna. Nigdy do nieznanym osobie nie odezwała się pierwsza. Swobodnie czuła się tylko w domu

i w szkole, gdzie przez rok zdążyła zaadaptować się, no i oczywiście w swojej wsi.

Wobec Jana też czuła skrępowanie, co jednak nie przeszkadzało jej tęsknić i pragnąć jego obecności.

W domu długo przeglądała się w lusterku pragnąc znaleźć potwierdzenie jego słów, lecz nie znalazła.

Usłyszawszy głosy dzieci na ulicy, wyszła z domu i przyłączyła się do koleżanek grających w klasy.

Nazajutrz Feliks wybrał się na łąki nad Biebrzą kosić trawę, a kobiety zajmowały się domowymi sprawami. Helena zaproponowała córce, aby pojechała do biblioteki wojskowej w Osowcu wymienić książki. Zosia zgodziła się z ochotą. W ten sposób byłaby bliżej Jana.

Helena czytywała romanse, Lucia książki o Indianach, a Zosia spodziewała się znaleźć coś ciekawego dla siebie. W zasadzie biblioteka wojskowa służyła tylko dla wojska, lecz bibliotekarka chętnie obsługiwała rodzinę Zosi, twierdząc, że ratują jej statystykę wypożyczeń.

Tym razem dziewczyna szybko wybrała książki Mamie i Siostrze, natomiast sama nie mogła się zdecydować. Księgozbiór był spory, lecz ona większość książek знаła. Długo zastanawiała się nad „Krzyżowcami” Kossak-Szczuckiej, w końcu zdecydowała się wypożyczyć dwa tomy z ośmiu tworzących całość.

- Jak mi się spodoba, przyjadę po resztę – powiedziała.

Obładowana książkami, już na schodach zaczęła czytać, nie uważając i nie patrząc przed siebie, gdy raptem wpadła na kogoś, książki rozsypały się, z niektórych nawet powypadały kartki. Podniosła głowę – przed nią stał Jan równie zaskoczony jak ona.

Zaczęli razem zbierać książki, dopasowywać kartki, potem Jan pomógł umieścić je na bagażniku roweru.

- Posiedźmy chwilę – poprosił Jan, wskazując na stojącą pod ścianą ławeczkę.

W tym samym budynku gdzie mieściła się biblioteka, była również sala kinowa. Akurat żołnierze szli do kina i Jan poprosił Zosię, żeby także obejrzała film razem z nim.

- Nie mogę – odpowiedziała. – Nie uprzedziłam Mamy, że będę dłużej, więc będzie się martwiła, że coś mi się stało. Chętnie jednak skorzystam z zaproszenia innym razem, nawet jutro. Oczywiście jeśli Mama pozwoli.

- Czy mam przyjechać po ciebie? – zapytał.

- Nie, przyjadę sama i spotkamy się przed kinem.

Posiedzieli jeszcze kilka minut a potem Jan odprowadził dziewczynkę ścieżką nad fosą napełnioną wodą, aż do przejazdu na torach, pożegnał się i wrócił do swoich zajęć.

Nazajutrz Feliks znowu pojechał na łąki wcześniej rano i Helena sama musiała zdecydować, czy pozwolić córce na „randkę” z Janem. Bo niestety, była to randka a na to było stanowczo za wcześnie. Dwa miesiące temu Zosia skończyła piętnaście lat. Zabronić też nie mogła. Prosta, wiejska kobieta instynktownie wyczuwała, że ich wzajemne, rodzinne stosunki powinny opierać się na zaufaniu.

Gdy tylko Feliks wrócił do domu z sianokosów, Helena podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami. Po dłuższej rozmowie ustalili, że Feliks porozmawia z Janem przy najbliższej sposobności.

Sposobność ta nadarzyła się jeszcze tego samego dnia, gdy Jan odprowadził Zosię po zakończeniu filmu, do domu.

Gdy Jan odjeżdżał, Feliks odprowadził go przez podwórko do drogi i chociaż z oporem, rozpoczął rozmowę na temat poruszony przez Helenę.

- Mam nadzieję, że pan rozumie sytuację, że nasza córka jest jeszcze prawie dzieckiem a poza tym chcemy, żeby się uczyła. Chcemy mieć do pana całkowite zaufanie, że pan jej w tym nie przeszkodzi.

- Możecie państwo na mnie całkowicie polegać - odpowiedział Jan. – Nigdy nie przyszło mi do głowy skrzywdzić w jakikolwiek sposób to dziecko.

*

Gdy Zosia zajechała przed budynek kina, właśnie wygaszano światła w sali i rzucono na ekran czołówkę i napisy. Rozejrzała się po sali. Było kilkanaście osób, lecz wśród nich Jana nie było. Wszedł po kilku minutach i oswojona z półmrokiem od razu go poznała. Natomiast on oślepiony ostrym światłem słonecznym dnia, nie od razu dostrzegł dziewczynę. Usiadł dwa rzędy przed nią i pomimo kręcenia głową na wszystkie strony, nie mógł jej wypatrzeć. Zosię to bawiło, lecz po chwili pożałowała Jana, wstała i przesiadła się koło niego. Ucieszył się.

- Myślałem, że już cię nie będzie – powiedział.

Wziął ją za rękę a ona dyskretnie rozejrzała się, czy nikt tego nie widzi. Całkowicie pochłonięta treścią filmu, nie zwracała uwagi, że Jan częściej patrzy na nią niż na ekran. Film kończył się namiętnym pocałunkiem bohaterów a Zosia przypomniała sobie pocałunek wyciśnięty na jej wargach przed laty, przez znieawidzonego mężczyznę i nie wiedziała w dalszym ciągu, co o tym myśleć. Jakie uczucia są prawdziwe: czy te z ekranu, czy te, których ona doznała.

*

Wracali po skończonym filmie, późnym popołudniem, rower obok roweru, rozmawiając o wszystkim i o niczym, jak to najczęściej bywa. Zosia z jednej strony była dumna, że znajduje się w towarzystwie takiego przystojnego chłopca, a z drugiej strony wstydziła się: żadna z jej rówieśnic nie miała kawalera, jak mówiło się na wsi. Dlatego unikała towarzystwa Jana poza domem. Na szczęście szosa była pusta. O tej porze dnia, nie było ryzyka spotkania kogoś znajomego. Pod górą Morgową zeszli z rowerów i wolno idąc upajali się swoją obecnością i pięknem letniego popołudnia.

Zosia opowiedziała Janowi jedną z przygód stryja Zygmunta, tę z diabłem zamienionym w czarnego barana. Uśmieli się przy tym, szczególnie Jan, który jeszcze tej historii nie znał.

Osiągnąwszy szczyt Morgowej góry, już mieli wsiadać na rowery, kiedy dziewczyna zatrzymała się i już poważnie powiedziała:

- A czy pan wie, że ja też przeżyłam na tej drodze niesamowitą przygodę ?

- Czyżby ? – zapytał rozbawiony. – Opowiedz mi.

- Opowiadałam panu o mojej przyjaciółce Irce Orłowskiej, która mieszka około dziesięciu kilometrów za Osowcem. Pewnego razu wracałam od niej – to było w czasie zeszłorocznych wakacji. Właśnie przejechałam most na Biebrzy a dalej po obu stronach szosy jak pan wie, rośnie „młodniak”, to jest kilkuletni las sosnowy, taki mniej więcej do pasa wysokiemu mężczyźnie. W pewnej chwili z lasu po prawej stronie wyszedł żołnierz, przeszedł a raczej przepłynął przez szosę, wszedł do lasu po lewej stronie szosy i zniknął. Po prostu rozpląnął się w powietrzu. Nie mógł się ukryć, bo las był za niski. Czy to nie zagadkowa historia ? – głos dziewczyny zawisł na chwilę w powietrzu a potem Jan powiedział:

- Przywidziało ci się.

- Na pewno – zgodziła się – tylko to wszystko działo się tak realnie, tak ostro, jak rysunek zrobiony grubą kreską.

Jakiś czas jechali milcząc, a potem Jan zapytał:

- Nie przestraszyłaś się ?

- Nie, dopiero po dłuższym czasie uświadomiłam sobie, że powinnam się przestraszyć, ale nie raz jeszcze jeździłam tamtą drogą i nic podejrzanego nie udało mi się zauważyć.

- A teraz nie zamierzasz odwiedzić koleżanki ?

- Tak, mamy zamiar odwiedzać się i chyba ona pierwsza do mnie przyjedzie w najbliższą niedzielę. Irka to jest naprawdę śliczna dziewczyna, bardzo chcę, aby pan ją poznał.

- Zosiu, dlaczego właściwie ja mówię do ciebie po imieniu, a ty do mnie – pan ?

Tym razem milczenie trwało bardzo długo. Tak długo, że zdążyli dojechać do wsi a odpowiedź nie nastąpiła. Kiedy stawali rowery pod ścianą domu, Jan przypomniał:

- Jesteś mi winna odpowiedź.

Nad tą odpowiedzią Zosia głowiła się przez następne kilka dni, lecz Jan nie wiadomo z jakiego powodu nie przyjeżdżał. Minęła niedziela i kilka dni następnego tygodnia a Jana nie było.

Helena zaintrygowana tym faktem zagadnęła córkę:

- Pokłóciliście się ? Dlaczego Jan nie przyjeżdża ?

- Nie wiem, nie pokłóciliśmy się.

Wtedy Helenie przyszło na myśl, że może Feliks powiedział coś takiego, czym Jana obraził.

Jednak niepotrzebnie wyszukiwali przyczyny nieobecności. Po trzech dniach Jan przyjechał późnym wieczorem, kiedy zgodnie ze zwyczajem, cała rodzina rozsiadła się po pracy na schodach zbudowanych z dużych, płaskich kamieni.

Stefek już od dawna był z Janem na ty, więc od razu zapytał:

- Byłeś na wojnie ?

Wszyscy się roześmieli a Feliks zapytał:

- Dlaczego na wojnie ?

- Bo nie było go u nas – odpowiedział logicznie Stefek.

- Wprawdzie na wojnie nie byłem, lecz miałem służbę na granicy – odpowiedział Jan niezupełnie zgodnie z prawdą.

Po rozmowie z Feliksem długo zastanawiał się nad sytuacją, która się wydarzyła; rozważał nawet możliwość przerwania znajomości z rodziną Feliksa, lecz nie mógł się na to zdobyć. Nie mając własnej rodziny (oprócz siostry na Śląsku) pragnął czuć się chociaż częścią cudzej.

Odpoczywał w atmosferze spokoju i harmonii, jaka panowała w tej rodzinie.

Nie znając jeszcze Zosi bywał częstym gościem u Klimaszewskich a sąsiedzi nie wiedząc, co o tym myśleć, zaczęli szeptać, że Jan przychodzi do Heleny. Potem, widząc go w towarzystwie jej córki, zmienili zdanie, przynajmniej częściowo.

Zosia siedziała milcząca i Jan pomyślał, że się gniewa.

- Dlaczego jesteś bez humoru ? – zapytał.

- Jest cierpiąca, pokaleczyła nogi ostrym rżyskiem na łąkach. To bardzo boli – powiedziała Helena.

- Tak, dzisiaj pracowaliśmy przy sianie – potwierdził Feliks.

Jan dotknął nogi dziewczyny w okolicy kostki i stwierdził, że jest gorąca i chropowata, pozacinana ostrym rżyskiem.

- To jest stan zapalny, czy nie dojdzie do zakażenia ?

- My, wieśniacy jesteśmy odporni, zresztą Babcia przygotowuje już opatrunek.

Przeszli wszyscy do oświetlonej lampą naftową kuchni.

Babka Karolina obłożyła zaczerwienione miejsca liśćmi podbiału, potem zręcznie zabandażowała paskiem płótna odciętym od starego prześcieradła.

- A teraz do łóżka – zakomenderowała.

- Jutro poszukam w naszej wojskowej aptece jakiejś odpowiedniej maści – zaofiarował się Jan.

- To dobrze, bo jutro my kobiety mamy wolny dzień; gdyby pan coś znalazł, to bardzo proszę przywieźć.

Feliks i Jan posiedzieli na schodach rozmawiając a potem cały dom pogrążył się we śnie ciężkim, po ciężkiej pracy i o wiele za krótkim, dzięki wczesnie wstającemu słońcu.

Dziewczynki – Zosia i Lucia, miały na strychu pokoik o ścianach z nieheblowanych desek; zwykle przepierzenie, nawet bez drzwi. Otwór drzwiowy był zawieszony starym kilimkiem. Podobny kilimek leżał na podłodze.

Poza szerokim tapczanem mieścił się tam tylko mały stoliczek i dwa pniaki brzoźowe służące za siedzisko. Ściany były tak ozdobione plakatami i makatkami, że nie było widać nieheblowanych desek i całość sprawiała całkiem przyjemne wrażenie.

Obie dziewczynki spały na jednym tapczanie. Zosia nie zapraszała do tego „apartamentu”, jak go nazywała, swoich gości, natomiast Lucia większość czasu spędzała tam z koleżankami.

*

W ubiegłym roku geometrycy zakończyli komasację gruntów okolicznych wsi i teraz rolnicy zamiast długich i chudych zagonów, otrzymali ziemię, każdy w jednym kawałku.

Kolonia Feliksa na Ostrówkowej Górcie była położona w bardzo korzystnym miejscu, w punkcie centralnym pomiędzy pięcioma wsiami. Grunty orne położone były na lekkim wzniesieniu, które obniżało się ku dolinie rzeki Gołdy, czyli po prostu – Strugi. W tej dolinie leżały łąka i pastwisko.

Tego lata Feliks zaplanował budowę budynków gospodarczych, a na przyszły rok budowę domu.

Z miejsca, gdzie miał stanąć dom rozciągał się dookoła piękny widok na okoliczne wsie, tonące w zieleni sadów i innych drzew użytkowych i ozdobnych.

Nie trzeba już było ganiać po dalekich polach i łąkach, żeby wracać z namiastką zbiorów. Ziemia uprawiona w całości zapowiadała w tym roku wspaniałe plony.

Feliks pierwszy raz zasiał pszenicę i nie mógł dość nacieszyć się zapowiadającym się urodzajem.

Teraz życie rodziny toczyło się pomiędzy gospodarstwem we wsi i gospodarstwem na kolonii.

Bydło pasło się na nowej łące, a w nocy chroniło się w niewykończonych jeszcze chlewach. Krowy, nie zmęczone drogą na odległe pastwiska, dawały dużo mleka. Konie pasły się w pobliżu i były zawsze pod ręką.

Po trudnych, nieraz głodnych latach, nareszcie zapowiadał się dostatek.

W tamtych czasach gospodarstwa musiały być samowystarczalne a więc trzeba było zasiać pszenicę na białe pieczywo, żyto na chleb, jęczmień, proso, grykę – na kaszę, len na płótno, konopie na powrozy, warzywa na zapasy zimowe, ziemniaki itd.

W równym stopniu należało się troszczyć o zwierzęta, żeby miały co jeść przez całą zimę.

Cała ta praca musiała być wykonana ludzkimi rękami. Był to czas, gdy jeszcze używano sierpów a kosy do cięcia zboża były nowością.

Aby podolać całej tej ciężkiej pracy, nawet dzieci miały swoje obowiązki a dorośli nie liczyli się z czasem i siłami.

Tymczasem jedna praca gonila drugą, a odpoczynek, upragniony odpoczynek, czekał w niedzielę lub święta no i oczywiście w czasie słyoty, lub nawet krótkiej ulewy. Wtedy pojawiały się książki, bo w tej rodzinie prawie wszyscy czytali, z wyjątkiem Babki Karoliny, która umiała czytać tylko książkę do nabożeństwa i Feliksa, który był zbyt zapracowany nawet w czasie deszczu, kiedy to majstrował w swoim warsztacie stolarskim.

Na placu przeznaczonym pod budowę domu były zgromadzone materiały budowlane, była też już wykopana studnia. Często Rodzina spędzała całe dni na kolonii, każdy przy swojej pracy.

Jan, jadąc rowerem z Osowca już z gościńca mógł widzieć, czy jest ktoś na kolonii. Jeśli zauważył czyjąś obecność, zawracał najpierw tutaj.

Tym razem zauważył kolorową, siedzącą na stosie belek figurkę i skręcił w boczną drogę. Zbliżywszy się, poznał Zosię.

Ta, jak zwykle zaczytana, w ostatniej chwili usłyszała brzęczenie roweru i podniosła nieobecne oczy.

- Gdzie byłaś ? – zażartował Jan.

- Bardzo daleko, na rozpróżonej słońcem pustyni, gdzie nie było nic do picia – odpowiedziała, podchwytyjąc żart.

- Widzę, że uwielbiasz pustynie, skoro możesz siedzieć w pełnym słońcu.

- W każdym razie nie przeszkadza mi upał – powiedziała dziewczyna zamykając książkę i schodząc ze stosu belek. – Chodźmy do stodoły, tam są napoje.

Na zimnym klepisku stały dzieżki (dzbanki) z mlekiem zsiadłym, słodkim i śmietaną. Był również kompot. Na tacy, odwrócone dnami do góry, stały czyste gliniane kubki.

- Wybieram zsiadłe mleko – powiedział Jan.

Mleko było wspaniałe, zimne, pachnące łąką i ziołami. Jan wypił dwa kubki.

- Musi być gorąco w mundurze – powiedziała Zosia ze współczuciem – czy nie możesz zdjąć go tutaj, gdzie nikt nie widzi ?

- Niestety, nie mogę – odpowiedział.

Po długich targach Zosia zgodziła się zwracać do Jana po imieniu, lecz dotąd jeszcze czuła skrępowanie i starała się tak kierować rozmową, żeby nie używać imienia Jan.

- Zosiu – zapytał kiedyś Jan – czy moje imię jest bardzo brzydkie ?

- Dlaczego tak myślisz ?

- Bo nigdy nie zwracasz się do mnie po imieniu. Za karę powiesz teraz pięć razy – Janku.

- Janku, Janku, Janku, Janku, Janku.

- Jak to pięknie brzmi w twoim wykonaniu – zachwycił się. – proszę, rób to częściej.

- Postaram się – obiecała.

- A gdzie reszta rodziny ? – zapytał Jan.

- Rodzice i dzieci są na łące, może pójdziemy do nich ?

- Chętnie – odpowiedział – a może trzeba zanieść im coś do picia ?

- Weźmiemy kompot – powiedziała.

Szli najpierw miedzą pomiędzy łąnem żyta i pszenicy, a potem skrajem rowu melioracyjnego. Z daleka było widać pracujących: Feliks kosił, a Helena rozbijała grabiami grube pokosy trawy, żeby szybciej wyschła. Lucia i Stefek bawili się nad Strugą w miejscu gdzie była przerzucona kładka na drugi brzeg.

- Co za sielski obrazek – powiedział Jan a Zosia mu przytaknęła, nie wspominając o tym, ile trzeba wylać potu, żeby stworzyć iluzję sielskości.

- Odpoczniemy sobie – powiedział Feliks witając się z Janem i wszyscy umościli się na kocu, na którym bawiły się dzieci.

Stefek położył się na kładkę i obserwował życie wodnych żyjątek, co chwilę wzywając kogoś ze starszych, żeby wspólnie z nim obejrzał ciekawy okaz. Tym starszym najczęściej był Jan, aż Feliks musiał zwrócić uwagę synkowi.

Odpoczynek trwał krótko, bo gospodarz chciał skończyć koszenie zaplanowanej na dzisiaj działki. Teraz Zosia wzięła się za rozrzucanie pokosów, a Helena odpoczywała w towarzystwie Jana i dzieci.

*

Wracali potem całą gromadką do wsi, do starego domu na kolację, którą przyrządziła jak zwykle Babka Karolina.

Jan chciał się pożegnać na skrzyżowaniu dróg, lecz został zaproszony na kolację przez Helenę, przy czym Zosia zwróciła się do niego z prośbą:

- Janku, a może wymienilibyś moje książki w bibliotece ?

- Chętnie – odpowiedział – tylko zapisz mi tytuły.

- Nie ma potrzeby – odpowiedziała. – Zwrócisz te dwie książki i poprosisz o dalszy ciąg, to znaczy o wszystkie pozostałe tomy „Krzyżowców”.

- Książka okazała się ciekawa ? – zapytał.

- Nie mogę się od niej oderwać. To najlepsza książka historyczna ze wszystkich jakie znam – odpowiedziała.

Kolacja składała się ze świeżego twarożku obficie polanego śmietaną i oprószonego szczypiorkiem, klusek na mleku i ziemniaków okraszonych słoninką i cebulą.

Zanim Jan odjechał, posiedzieli całą rodziną na schodach a zawsze tak się składało, że Jan siedział obok Zosi.

Helena bacznie obserwowała tę parę, lecz nie zauważyła żadnej poufałości i chęci zbliżenia się do siebie. Uspokajała ją myśl, że Zosia to naprawdę jeszcze dziecko, a Jan jest porządnym młodym człowiekiem.

W najbliższą niedzielę przyjechała Irka Orłowska i wreszcie Jan miał okazję poznać to śliczne dziewczę, lecz chyba przez przekorę powiedział, że mu się nie podoba, bo jest kokietką i rozpuszczoną pannicą.

Zosia poczuła się obrażona, zwłaszcza, jeśli chodziło o określenie „rozpuszczona pannica”. Ona wcale tak nie myślała o Irce. Raczej darzyła ją współczuciem z powodu niedawnej śmierci ojca i tym, że jej mama ciężko pracuje, żeby wychować i wykształcić czworo dzieci.

Przez jakiś czas boczyła się na Jana, aż ten odwołał swoją opinię – zbyt pochopną – jak się wyraził i stwierdził, że Irka jest w porządku.

Most na Biebrzy dzielił drogę z Downar do Białaszewa - gdzie mieszkała Irka - na połowę i odprowadzając się po każdej wizycie, dziewczynki żegnały się na tym moście.

Jeśli pora była wczesna, schodziły nad rzekę, moczyły nogi w wodzie i śpiewały modne przeboje, jak np. „Och jak przyjemnie kołysać się wśród fal ...” lub „Gdybym miał skarby świata całego ...”

Tym razem Zosia odprowadzała Irkę w towarzystwie Jana i we troje stali na moście. Zosia zamyślona patrzyła z wysoka na rwący nurt wody, drobne fale załamujące ostatnie promienie zachodzącego słońca i powiedziała cicho:

- Niczego na świecie nie kocham tak bardzo jak tej rzeki. A kiedy umrę, chcę, żeby moja dusza szybowiała nad łąkami, brodziła w wysokiej trawie, tuliła się do wyniosłych stogów i w nieskończoność przesiadywała nad rzeką.

- Muszę jechać, bo wkrótce zrobi się ciemno – powiedziała Irka i nostalgiczny nastrój rozplątał się.

- Rzeczywiście zrobiło się późno – będę musiał odprowadzić cię do domu.

- Przecież mówiłeś, że masz służbę, a ja dam sobie radę sama, przecież wiesz. I tak jesteś spóźniony, a ja bardzo nie lubię spóźnialskich.

Pomachała mu ręką i zanim się zorientował, była już daleko.

*

Wakacje były wprawdzie odpoczynkiem od nauki, lecz nie od ciężkiej pracy. Mimo to były najpiękniejszymi wakacjami

w życiu Zosi. Powodem była pierwsza miłość, z czego ona sama nie zdawała sobie sprawy. Uczucie było jeszcze tak dalekie, tak głęboko ukryte na dnie nierozwiniętego pączka topoli, że można było raczej domyślać się go niż wyczuć.

Świat był piękny, praca była lekka, ludzie przyjaźni i wszystko było łatwe. Tylko czas był bezlitosny. Już minął lipiec, połowa wakacji. Jak tutaj będzie, kiedy ja wyjadę? – rozmyślała Zosia. Najczęściej chodziła do Borku w każdej wolnej chwili i tam oddawała się marzeniom i rozmyślaniam. Nie wyobrażała sobie przyszłości: wydawało się jej, że tak jak jest – jest dobrze i niech tak zostanie na zawsze.

Jan pod pretekstem, że chce obejrzyć pokłute i poranione ręce Zosi, brał je w swoje ręce, oglądał, uzalał się nad nimi i to była jedyna pieszczota na jaką sobie pozwalał.

*

Zgodnie z umową, następnej niedzieli Zosia wybrała się do Irki Orłowskiej z wizytą. Umówiła się z Janem, że późnym popołudniem przyjedzie po nią na miejsce tj. do Białaszewa i Irka nie będzie musiała odprowadzać Zosi do domu.

Irka nałożyła nową sukienkę z czerwonej żorzęty z plisowaną spódniczką i Zosia poczuła się przy niej trochę jak kopciuszek, lecz tylko przez chwilę, bo uczucie zazdrości było jej obce.

Poszły do pięknego zabytkowego kościółka na nabożeństwo, potem spotkały się z kolegą z gimnazjum, synem dziedzica, kilka razy przeszły się ulicą i to były wszystkie atrakcje, które mogła oferować wieś.

Pani Orłowska przygotowała uroczysty obiad, na który zaprosiła nauczycieli, tj. miejscową inteligencję. Jeden z nauczycieli wyraźnie adorował Irkę. Jeśli Jan wydawał się Zosi – wprawdzie nie stary – lecz bardzo dorosły, to wielbiciel Irki wydał się jej wręcz dziadkiem. Miał ponad trzydzieści lat. Z miejsca poczuła do niego antypatię i jak się miało okazać w niedalekiej przyszłości, całkowicie uzasadnioną.

W czasie przyjęcia przyjechał Jan. Musiał oczywiście usiąść za stołem, lecz na krótko, wymawiając się służbą. Zosia porównała obu mężczyzn, stawiając na pierwszym miejscu oczywiście Jana, który był taki przystojny i tak sztywnie wyglądał w mundurze Korpusu Ochrony Pogranicza.

Polnymi drogami dotarli do szosy a potem zatrzymali się jak zwykle na moście. Milczeli wpatrując się w ruchliwy nurt rzeki.

- Wizyta się nie udała ? – zapytał Jan.

- Udała się , oczywiście, lecz jest mi tak jakoś smutno, a nawet nie można powiedzieć, że smutno, tylko tak jakoś byle jak – odparła.

- No to jedziemy, ścigajmy się! – zawołał Jan i wskoczył na siodełko roweru.

- Meta – przejazd kolejowy – ustaliła Zosia.

Nie mogła doścignąć Jana i pomyślała o Babce Karolinie, która w dzieciństwie pomagała jej wygrywać wyścigi z ojcem, kiedy biegli z podwórka do łóżka. Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Na przejeździe były opuszczone szlabany i tak musieli dłuższą chwilę czekać.

Nazajutrz rozpoczęły się żniwa. W pełnym słońcu, przy bezwietrznej pogodzie i tropikalnej temperaturze, żniwiarze nie przerywali pracy od rana do obiadu, kiedy to pozwalano sobie na dwie godziny odpoczynku i znowu zabierano się do pracy.

Feliks szedł z kosą stawiając mocne kroki i z rozmachem ścinał pokos twardej suchej słomy pszenicy. Za nim Helena zbierała skoszone zboże i naręcza ciężkie od kłosów odkładała na bok. Zosia wiązała te naręcza pasami ze słomy, przygotowanymi wcześniej, w snopy. Dochodzili do końca łąnu i wracali aby te same czynności rozpocząć na nowo. W drodze powrotnej znosili snopy w miejsca przeznaczone do stawiania ich w dziesiątki. Po każdym ściętym pokosie pili zachłannie wodę, która natychmiast zostawała wypacana. Pracowano wytrwale, bo trzeba było w czas zebrać zboże i nie

liczył się trud i wysiłek, i niejednen żniwiarz dziwił się ile człowiek może wytrzymać.

Wiązanie snopów było szczególnie ciężką pracą, a zwłaszcza dla dziewczyny i Zosię oprócz normalnego zmęczenia bolały mięśnie ramion i barków.

I chociaż po pracy zimna woda zmywała zmęczenie, to ból mięśni nie ustępował.

Odpoczywali w cieniu jabłoni, jedynego drzewa, które Feliks przeniósł z ogrodu we wsi na kolonię. Drzewo nie zaaklimatyzowało się najlepiej, nie wydawało owoców, lecz przynajmniej dawało cień.

Nie wiadomo czemu czas wypoczynku południowego Zosia z Lucią i Jania, kiedy była w domu, poświęcały poezji.

Ulubionym wierszem Zosi był „Maraton” Ujejskiego a ponieważ to był długi utwór, recytowała go fragmentami. Treść wiersza była raczej tragiczna, lecz ona recytowała go tak, że słuchacze boki zrywali ze śmiechu.

Zwyczaj ten przetrwał przez następnych kilka lat, gdy już mieszkali w nowym domu na kolonii. Jania popisywała się „Powrotem taty” Mickiewicza, również w wersji satyrycznej, a Lucia zaskakiwała słuchaczy znajomością niezliczonej ilości poważnej poezji.

Tymczasem tydzień się kończył i żniwa dobiegały końca.

Jan przyjeżdżał codziennie na kolonię lub do domu na wsi, jeśli było późno. Nieraz bawił tylko pół godziny, a czasami wizyta trwała dłużej, jeśli nie wyczuwał zbyt dużego zmęczenia gospodarzy.

Dyskutowali z Feliksem na tematy polityczne a ponieważ to nie interesowało dziewcząt, wychodziły przed dom na ławeczkę, gdzie zbierały się koleżanki starsze i młodsze, organizując dziecinne zabawy jak np. w chowanego.

Potem, gdy Jan się zegnał, Zosia była zazwyczaj zasapana, spocona i rozbawiona. Pośpiesznie podawała mu rękę i tak lawirowała, żeby tylko nie pocałował jej w obecności koleżanek.

Którejś niedzieli Jan wybrał się z całą rodziną Klimaszewskich do kościoła na nieszpory. W kościele był również wielbiciel Zosi od trzeciej klasy szkoły powszechnej – Edek Zieliński. Dziewczyna, aby pokazać, że nic ją nie łączy z „Tym wojskowym”, wymknęła się z kościoła i wróciła do domu z koleżankami inną drogą. Jan się obraził i tego dnia wyjechał nie pożegnawszy się z nią.

Helena naburczała na córkę i poleciła przeprosić go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

I znowu nieobecność Jana trwała kilka długich i pustych dni. Na próżno wypatrywała sobie oczy spoglądając co chwilę, czy nie jedzie znajomy rower w stronę kolonii.

Dni dłużyły się niesamowicie i Zosi zdawało się, że minął już tydzień lub nawet dwa, od tej nieszczęsnej niedzieli, gdy nagle niespodziewanie zjawił się po trzech dniach. Właśnie kończyli kosić owies za stodołą – jak zwykle we trójkę – rodzice i Zosia. Młodsze dzieci bawiły się na łące, obok.

Jan przywitał się z Feliksem i Heleną, i podszedł do Zosi, która podając mu rękę wybąkała:

- Przepraszam.

Feliks pierwszy usiadł na związanym snopku owsa zarządzając odpoczynek. Zosia z Janem usiedli niby przypadkiem na jednym snopku.

Mężczyźni zapalili, a zapach tytoniu, zapach skóry, z której była sporządzona koalicyjka i pas, a także zapach zdrowego męskiego potu, uderzył dziewczynę z taką siłą, że pochyliła głowę żeby nikt nie zauważył drgania nozdrzy chłonącą tę podniecającą męską woń, której dotąd nie знаła.

*

Minęły dwa lata. O Janie słuch zaginął. Pochłonęła go zawierucha wojenna.

Feliks kosił owies w tym samym miejscu i w tym samym miejscu zarządził odpoczynek. Zosia usiadła na snopku, tym razem sama i nagle poczuła, jak potężną falą uderzył w jej nozdrza tamten zapach mężczyzny sprzed dwóch lat. Zapach

skóry, papierosów i zdrowego, męskiego potu. Zapach mężczyzny, którego straciła.

*

Lecz to dopiero miało nadejść. W tej chwili wszyscy ochoczo zabrali się do pracy, żeby szybciej skończyć. Główne zniwa były wprawdzie dawno zakończone, lecz pomniejsze zboża, jak owies, jęczmień i inne, zbierane były w miarę dojrzewania i była to już bardziej zabawa niż praca.

Pod wieczór Zosia musiała iść po płótno, które bielilo się nad Strugą. Poszli razem z Janem. Nad rowem melioracyjnym prowadziła sucha ścieżka a więc „oficerkom” Jana nic nie groziło. Dziewczyna szła boso, z wprawą omijając drobne przeszkody w postaci ostów lub korzeni. Cienka, perkalowa sukienka owijała się podniecająco wokół ud a kiedy odwracała się do Jana, jego wzrok spoczywał na prowokacyjnie sterczących brodawkach jej piersi.

Doszli do Strugi: dziewczyna zręcznie zrolowała dwie sztuki płótna rozciągniętego na trawie do wybielenia przez słońce a potem zaproponowała odpoczynek na kładce. Przeszła na drugą stronę Strugi i usiadła po jednej stronie a Jan usiadł naprzeciw niej.

Zbliżał się cudowny wieczór pachnący wodą, trawą, ziołami, liśćmi porzeczki i olchy.

- Jak tu pięknie – westchnął Jan – a w myśli dodał – a ja mogę tylko wdychać.

Przez chwilę oboje milczeli urzeczeni pięknem otaczającej ich przyrody, lecz gdy słońce zapadło za ciemną ścianą lasu, Zosia podniosła się mówiąc:

- Musimy już wracać.

Zrobiła krok w przód, lecz zamiast na deskę, stąpiła obok i znalazła się w wodzie, zanurzona do pasa.

Jan skoczył i pomógł dziewczynie wypelzać na brzeg.

Cienki materiał sukienki oblepił całe ciało i wszystkie jego tajemnice nagle zostały ujawnione. Zosia poczuła się jak naga,

co ją przejęło wstydem i upokorzeniem. Przez chwilę trwała konsternacja, a potem Jan powiedział:

- Mam pomysł.

Wziął sztukę płótna i zaczął owijać dziewczynę jak mumię a ona obracała się w kółko bliska łez, lecz gdy ujrzała wesołe błyski w źrenicach Jana, wybuchnęła śmiechem i oboje śmiali się całą drogę na kolonię i jeszcze długo po tym, wraz z całą rodziną.

Potem Zosia zaczęła się zastanawiać jak to się stało i doszła do wniosku, że dostała zawrotu głowy, bo kiedy weszła na kładkę, wydało się jej, że ta skręca w lewo, więc ona też skręciła w lewo i znalazła się w wodzie.

Gdy już dziewczynki znalazły się na strychu w swoim pokoiku, po serii pytań zadanych przez Lucię, gdy wreszcie nastała cisza, Zosia znalazła się myślami nad Strugą wraz z Janem. Odczuwała każde jego dotknięcie z dziwnie błogim, a nieznanym jej dotąd uczuciem. Serce zwiększyło swój zwykły rytm i długo trwało, zanim dziewczyna uspokoiła się i zasnęła.

W tym okresie lata zaczęły swoje szepty topole, rosnące po obu stronach ulicy. Ich liście stawały się metaliczne i wieczorami, kiedy wieś milkła, one zaczynały mówić. Szelest, jaki wydawały metaliczne liście był zawsze smutny, kojarzył się z końcem wakacji, pożegnaniem, wyjazdem.

Wyjeżdżała Jania na dalekie Polesie, gdzie otrzymała pracę nauczycielki, wyjeżdżała Zosia do szkoły.

Wieczorem siedziała z Janem na ławeczce przed domem, pod rozłożystym wiązem. Oboje milczeli: Jan obiecał rodzicom Zosi, że nie odwiedzi jej w szkole, więc następne spotkanie miało się odbyć dopiero na Boże Narodzenie.

- Nie smućmy się – przerwał milczenie Jan – jeszcze mamy kilkanaście dni, więc cieszymy się z każdej należącej do nas godziny.

- Janku – wyszeptała dziewczyna.

- Słucham ?

- Nic, po prostu powiedziałam twoje imię. Jutro odwiozę książki do biblioteki, więc się zobaczymy.

Uzgodnili godzinę spotkania.

- Podczas mojej nieobecności, ty Janku zajmij się dostarczaniem książek mojej Mamie i Luci.

- Możesz być spokojna, uczynię to z wielką przyjemnością.

Jan miał przemożną chęć pocałować Zosię, lecz wiedział, że nie wolno mu tego robić.

*

Kolonia zajmowała nieznaczące wzniesienie terenu zwane Ostrówkową Górką. Zosia jechała na kolonię rowerem i nagle stwierdziła, że krajobraz zupełnie się zmienił. Jej ukochane pola zielone spłwioły: gdzieniegdzie poprzecinane były pasami świeżo zaoranej ziemi. Jeszcze w niektórych miejscach stały dziesiątki ostatnich zbóż, na bezbarwnym rżysku. Przydrożne chwasty zeschły i wyrudziały. Piasek na drodze rozarty żelaznymi obręczami kół, zamienił się w popiół. Spragniona widoku zieleni postawiła rower koło studni i poszła na łąkę. W zagrodzie spokojnie pasły się krowy.

W jednym miejscu łąki wybijało źródelko, więc Feliks zakopał tutaj dwa studzienne kręgi i powstała studnia, która służyła zwierzętom.

Obok studni stało koryto, które dziewczyna napelniła wodą aż się przelewało. Podczas gdy zwierzęta piły, poszła nad Strugę, splukała całe ciało chłodną wodą a potem długo siedziała na kładce nie myśląc o niczym konkretnym, czując się po prostu częścią otaczającej ją przyrody: trawą, kwiatem, ptakiem. Druga trawa, lub jak ją tutaj nazywano „otawa”, odbijała się od płowych pól ciemną zielenią. Falowała w lekkim powiewie wiatru, mieniąc się raz głębią zieleni, to znów jasnym kolorem, w zależności od tego jak słońce coraz to zasłaniały małe kłębiaste chmurki.

Położyła się i obserwowała różne drobne gatunki traw, rosnących tuż przy ziemi. Znała tylko trawkę o nazwie „drzączka”, bo ta jak osika, bez przerwy poruszała swoimi

drobnymi kłoskami. O pozostałe trawy postanowiła zapytać Janię, która studiowała biologię, lecz to dopiero w przyszłym roku, bo teraz Jania ze swoim mężem Bolesławem, z Poznania pojechali wprost na Polesie, nad Prypeć, gdzie mieli oboje uczyć w szkole. Nie było więc pożegnania, tylko listy kursowały, w których Jania dopytywała się o każdy szczegół życia swojej rodziny. Ona przebywając w domu, tęskniła za Bolesławem, a będąc na Polesiu, tęskniła za domem. Wieczna nostalgia.

Feliks przyszedł na pastwisko, zabrał konie i przy stodole zaprzął je do pługa. Zosia napełniła powtórnie koryto wodą i poszła wolno w stronę stodoły. Po drodze zaszła na warzywnik, gdzie na polecenie Mamy zebrała kilka późnych ogórków, szczypierek i sałatę na kolację.

Mleko z udojów, Feliks dostarczał do domu na wsi, wozem.

Koniec sierpnia był nadal upalny i suchy.

- Naprawdę żal, że wakacje się kończą – pomyślała smutno Zosia, lecz zaraz humor poprawił się jej na widok zbliżającego się rowerzysty w wojskowym mundurze.

Jan przywitał się z Zosią, a potem poszedł na pole do Feliksa i zaraz wrócił, nie chcąc zabierać czasu oraczowi.

Zanim wszyscy wykonali swoje codzienne obowiązki, zrobiło się późno i kolację jedli przy lampie naftowej.

Do twarożku suto polanego śmietaną, który jadł Stefek, wpadła mucha i malec wyciągnawszy ją palcami z topieli, z całą powagą zapytał:

- Mamusiu, czy ją oblizać, czy wyrzucić razem ze śmietaną ?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko Zosiaomalże się nie spaliła ze wstydu i gdyby mogła to by udusiła pędraka.

Potem, gdy tradycyjnie siedzieli na schodach była milcząca, nie przestając się boczyć na dowcipnego braciszka.

Odprowadziła Jana przez podwórko do ulicy i żegnając się powiedziała:

- Dobrych snów, Janku.

- Nawzajem, Zosiu.

Wróciwszy do domu, dała upust swojej złości, mówiąc do ucha bratu:

- Ty mały karaluchu, jeszcze raz mi to zrobisz, to cię rozdepczę.

„Karaluch” oczywiście pobiegł na skargę do Mamy i byłaby z tego awantura, lecz Feliks odesłał skłócone towarzystwo do łóżek.

*

Kilka ostatnich dni wakacji minęły szybko na przygotowaniu do wyjazdu. Zosia przeżywała mieszane uczucia: żal minionych wakacji, radość ze spotkania z koleżankami, niepokój – jak to będzie ze szkołą a zwłaszcza z kulejącą matematyką a najważniejsze, czy potrafi żyć bez Janka, który będzie tak daleko. Pierwsze spotkanie z nim zapowiadało się aż na Boże Narodzenie i dziewczyna wyobrażała sobie, że to jest czas nie do przebycia.

Tymczasem sprawy szkoły tak ją pochłonęły, że tylko czasami zdarzało się jej zająrzeć w oczy przechodzącemu mężczyźnie w mundurze.

Mieszkały teraz na stacji we trzy: Zosia, Irka Orłowska i Czesia Szafranko.

Dzień był wypełniony zajęciami szkolnymi i poza szkolnymi, trochę flirtem z kolegami – głównie ze starszych klas, nie było więc czasu na tęsknotę. Wieczorami, gdy kładły się już do łóżek, Zosia opowiadała wymyśloną przez siebie powieść w odcinkach. Powieść ta musiała być zajmująca, bo dziewczynki nigdy nie miały dosyć. Czasami autorka zasypiała, o one jeszcze czekały na dalszy ciąg.

Kiedyś pani Profesor od matematyki zapytała Zosię kim chciała by być w przyszłości, gdy dorośnie i skończy szkołę. Odpowiedziała bez wahania:

- Pisarką.

Pani profesor pokiwała głową i powiedziała:

- To pięknie, tylko zastanów się z czego będziesz żyła.

Po tej rozmowie Zosia długo rozmyślała i przyznała rację Profesorce, oraz rodzicom, którzy wymarzyli dla Zosi zawód lekarza.

Jak zwykle w tym wieku młody człowiek myśli, że ma bardzo dużo czasu przed sobą i zdąży jeszcze pomyśleć i zastanowić się nad swoją przyszłością. Tymczasem czas mija szybciej niż by się zdawało.

W pierwszych dniach grudnia zaczęła się prawdziwa zima. Spadł obfity śnieg, potem przyszedł kilkunastostopniowy mróz i znowu śnieg, i jeszcze większy mróz.

Szkoła była źle ogrzana i Rada Pedagogiczna postanowiła zwolnić młodzież na tydzień przed feriami świątecznymi.

Wychowawczynie zdając sobie sprawę, że nie wszyscy będą mieli okazję zawiadomić rodziców o wcześniejszym powrocie dzieci do domów, w trosce o ich bezpieczeństwo, omówiła szczegółowo jak mają się ubrać na tę podróż. Rozmowę przeprowadziła oddzielnie z chłopcami i oddzielnie z dziewczynkami.

- Każda musi założyć dwie pary pończoch – mówiła – ciepłe majtki, a jeżeli któraś z was nie ma ciepłych, to dwie pary zwykłych, sweter pod płaszcz, szalik na uszy i na nos i ciepłe czapki na głowę. Szkolne berety zapakujcie do walizek, na wypadek gdy mróz zelżeje.

Zosia zastosowała się do tych wszystkich rad i wyjechała autobusem, a nie pociągiem jak dotychczas podróżowała.

Przystanek autobusowy znajdował się koło kościoła i było stąd bliżej do domu, niż z przystanku kolejowego.

Przyjechała na miejsce tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Zaczęła brnąć ledwie przeddeptaną ścieżką noga za nogą, a mróz szczypał za nos pomimo szalika omotującego głowę. Gdzieś w połowie drogi zobaczyła zwierzę wybiegające z lasu i przecinające jej drogę lecąc gdzieś w stronę pobliskich wsi. Mógł to być pies, lecz równie dobrze mógł być też wilk. Zosia nigdy przedtem nie widziała wilka, więc nie miała porównania i wcale nie przestraszyła się. Z trudem dobrnęła do domu.

Miała przemarznięte nogi i ręce i mokrą od potu bieliznę. Brnięcie przez głęboki śnieg było uciążliwe.

Było już zupełnie ciemno, gdy nareszcie stanęła na kamiennych schodach swojego domu. W dalszym ciągu – jak za czasów dzieciństwa bała się tej długiej ciemnej sieni i gdy wreszcie udało się jej namacać klamkę z całej siły pchnęła drzwi wejściowe do kuchni.

Wewnątrz była cała rodzina a wszyscy byli przez moment tak zaskoczeni, że nikt się nie odezwał. Dopiero po kilku sekundach posypały się bezładne pytania, zdejmowanie ze zmarzniętej dziewczyny odzieży, wynajdywanie najcieplejszego miejsca przy piecu. Po zdjęciu bucików stopy zaczęły „odchodzić” co sprawiało nieznośny ból. To samo było z dłońmi.

Najprzycieńsza okazała się jak zwykle Babka Karolina, która przyniosła zimną wodę w cebrzyku i kazała Zosi włożyć do tej kąpieli stopy i ręce. Pomogło.

Już po chwili uśmiech radości zagościł na twarzy dziewczyny i mogła sensownie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Dziewczyno, czy ty wiesz, że jest ponad dwadzieścia stopni mrozu ? – zapytał ojciec. – Mogłaś sobie coś odmrozić.

I tak zresztą się stało. Odmroziła sobie kawałek nosa po prawej stronie. Ranka nie goiła się przez długie miesiące, aż wreszcie letnie słońko dało sobie z nią radę.

- Kiedy przyjedzie Jania ? – zainteresowała się.

- Nie wiadomo czy w ogóle przyjedzie, czy zdoła wygrzebać się z tych zwałów śniegu, a może przy tym być mróz taki jak dzisiaj albo i większy. Do stacji kolei ma przecież trzydzieści kilometrów, które musi przejechać saniami.

- A ja nie chcę, żeby były święta bez Jani – powiedziała Lucia głosem nabrzmiałym łzami.

- Miejmy nadzieję, że jej się powiedzie – powiedziała Helena stawiając przed córką talerz dymiących klusek na mleku – może mróz zelżeje.

Pod płytą palił się bez przerwy ogień i było ciepło i przytulnie.

Zosia bardzo chciała dowiedzieć się czegoś o Janku, lecz nikt tego tematu nie poruszył, a ona wstydziła się zapytać.

Dopiero kiedy leżały w łóżku: ona i Lucia przytulone do siebie żeby się ogrzać, szepnęła do ucha siostry:

- Czy Jan często was odwiedzał ?

- Bardzo często – odpowiedziała Lucia.

- I Rodzice zaprosili go na wigilię – dodała.

Potem Zosia musiała opowiadać siostrze o szkole i wymieniała mnóstwo przedmiotów, chcąc wiedzieć jak brzmią ich nazwy w języku niemieckim. Zosia nie na wszystkie pytania umiała odpowiedzieć, lecz zmyślać umiała na poczekaniu. Na przykład na pytanie siostry jak mówi się po niemiecku na kubek, odpowiedziała bez wahania:

- Das Kubas.

Nazajutrz Babka Karolina przyniosła pudło z ozdobami choinkowymi. Śniegu ciągle przybywało, tak, że nie było wielkiej nadziei na przyjazd Jani i jej męża. W tej sytuacji cała praca przy naprawie uszkodzonych ozdób i wykonaniu nowych, przypadła Zosi i Luci.

Z zapalem zabrały się do pracy. na babcinym łóżku poukładały wszystkie aniołki, mikołaje, gwiazdki i inne, nie wymagające naprawy. Pozostałe rozłożyły na stoliku, naradzając się co zrobić nowego, a co wyrzucić.

Stefek akurat obudził się po poobiedniej drzemce i zaniemówił widząc te wszystkie cuda. Potem podszedł do łóżka i po kolei zaczął oglądać poszczególne ozdoby. Zanim dziewczynki się spostrzegły wszystkie „obejrzane” przez chłopca aniołki, krasnoludki z wydmuszek, tancerki i inne, nadawały się do wyrzucenia.

Zrobiła się awantura, Lucia płakała, Zosia krzyczała wypychając brata za drzwi. Malec zaczął się opierać i wrzeszczeć w niebogłosy.

Tym razem mama potraktowała go na tyle surowo, że odtąd gdy przechodził obok rozłożonych zabawek zakładał obie ręce do tyłu żeby uniknąć pokusy „oglądania” rączkami.

Jeszcze tego samego dnia nadszedł list od Janki. Podawała dokładną datę swego przyjazdu, ponieważ Bolesław musiał pojechać do Poznania. Jego ojciec ciężko chory mógł w każdej chwili umrzeć. Bolesław chciał zaoszczędzić swojej żonie tej szczególnie ciężkiej atmosfery choroby, smutku i śmierci.

Od tego momentu zaczęło się oczekiwanie: liczenie godzin, dni, wieczorów, ranków. Naczelny temat – przyjazd Jani. Nawet wspomnienie Jana jakby nieco zbladło.

- Nie wie, że jestem w domu, bo na pewno przyjechałby – myślała dziewczyna, jednocześnie zadając sobie pytanie – czym miałby przyjechać? Rowerem nie przyjedzie w żadnym wypadku, sań nie ma, pozostały tylko narty. Lecz nart też na pewno nie ma.

- Na pewno tata coś poradzi – pocieszała się – jeśli przywiezie Janię to może zgodzi się przywieźć Jana.

Minął dzień a śniegu ciągle dosypywało. Do studni, do stodoły, do sąsiadów, wiodły głęboko przekopane dróżki, które każdego dnia trzeba było oczyszczać.

Feliks zawczasu wyciął choinkę. Leżała w stodole i czekała na swój czas.

Przewidywano taką samą powódź jak przed kilku laty, kiedy to Feliks w wysokich butach nosił Zosię na barana do szkoły przez ulicę, a stryj Zygmunt pływał z domu do stodoły w bali.

Dzięki zmiennym humorom wiatru w niektórych miejscach potworzyły się zasy dwumetrowe, a w innych prześwitywała czarna ziemia. Podobno szosa biegnąca przez nizinne bagna była całkiem łysa, natomiast w lesie z powodu zasp – nieprzejezdna.

Wszyscy się martwili jak to będzie z przywiezieniem Jani z dworca. Szczególnie dziewczynki długo szeptały leżąc w łóżku i wymyślając różne sposoby na ułatwienie podróży.

Ten oczekiwany dzień w końcu nadszedł.

Pociąg przyjeżdżał o północy, a w domu trwały przygotowania już od rana, w atmosferze podniecenia i niecierpliwości.

Feliks wyjechał o dwie godziny wcześniej przed przyjściem pociągu. Na szczęście mróz był niewielki, więc konie okryte derkami mogły spokojnie stać na postoju, a Feliks mając trochę czasu odwiedził Jana w jego mieszkaniu.

Jan powiedział, że da sobie radę z przyjazdem na wigilię, żeby o niego się nie martwić, bo zresztą od czego jest żołnierzem. Poczęstował gościa gorącą herbatą i odprowadził na dworzec kolejowy.

Pociąg wszakże spóźnił się o całą godzinę, co było zrozumiałe zważywszy warunki: zasy śnieżne i mróz.

W domu wszyscy podrzemywali w ubraniach w oczekiwaniu na przyjezdnych. Tylko dziewczynkom kazano rozebrać się i spać. Lucia po dłuższej serii pytań, na które tym razem jej siostra miała więcej prawidłowych odpowiedzi a zwłaszcza z języka niemieckiego, wkrótce zaczęła posapywać, a do Zosi sen nie przychodził.

Myślała o różnych przyjemnych rzeczach, liczyła do stu, potem do tysiąca, a nareszcie do pięciu tysięcy, a podróży ciągle nie było. Zaczęła więc się martwić, przypomniała sobie wilka, którego spotkała kilka dni temu, więc pomyślała, że dobrze byłoby się pomodlić i w trakcie modlitwy zapadła w krótki sen.

Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi i przytłumione głosy, natychmiast obudziła się i wyskoczyła z łóżka. Zanim Jania zdążyła się rozebrać z namarzniętych kożuchów, już wisiała na jej szyi w radosnym powitaniu.

*

W nocy Feliks budził się kilka razy, nasłuchując cichego, delikatnego pogwizdywania wiatru na dworze i cichego kołatania do drzwi i okien.

- Idzie zamieć – myślał zatroskany. - Znowu odkopywanie, przekopywanie. Naprawdę, dosyć już tego śniegu. Nie ma mowy, żeby Jan przekopał się przez te kolosalne zasy.

Gdy się obudził kolejny raz, stwierdził że jest późno, a mimo to w pokoju panuje ciemność. Zapalił lampę i zbliżył się do okna. No tak, okna były zasypane śniegiem. Drzwi znajdujące się po tej samej stronie domu też na pewno są zasypane. Szybko ubrał się ciepło i przez kuchenne okno wydostał się z domu. Odkopał drzwi i wszystkich zmobilizował do pracy. Trzeba było odkopać studnię i zająć się zwierzętami.

Zabudowania gospodarcze zbudowane w czworobok nie dopuściły śniegu do wnętrza, więc swobodnie można było zająć się karmieniem i udojem.

Jania z dziewczynkami oczyszczały główne ścieżki i odkopywały okna.

Zosia była ponura.

- W tej sytuacji Jan na pewno nie przyjedzie – myślała. – A tak dawno go nie widziałam, tyle zmarnowanych dni.

Ze złością wbiła łopatę w śnieg i poszła do domu mruczając pod nosem co myśli o tym śniegu.

Studnia należała do kilku gospodarzy i wszyscy musieli przekopywać własne ścieżki do niej.

U Klimaszewskich właściwie było już wszystko gotowe na święta. Choinka ubrana, wyrośnięte, kopiaсте drożdżowe ciasto złożyło się na półce w kuchni, pęta wędzonej kiełbasy i innych smakowitości ze świeżo ubitego wieprza rozwieszono w komórce. Mama nawet upiekła tort z fasoli, czego nauczyła ją pani instruktorka Koła Gospodyń.

Pozostało tylko przygotować kolację wigilijną, czym zajęła się oczywiście Helena, od czasu do czasu wzywając kogoś do pomocy.

Po kilkugodzinnej przerwie, zamieć znowu rozszalała się tak, że świata nie było widać poprzez kołujący bezładnie śnieg.

Przyszedł sąsiad Potocki, żeby pogadać i popsioczyć na pogodę.

Ktoś jeszcze przyszedł, bo rozległo się tupanie w sieni, jakiś niezidentyfikowany brzęk i wreszcie pukanie do kuchennych drzwi. Próg przekroczył człowiek, nie człowiek, bałwan, nie bałwan ...

Wszyscy obecni po chwili zaskoczenia rzucili się do pomocy przy rozbieraniu i otrzepywaniu ze śniegu przybyłego mężczyzny, obmacywaniu rąk i uszu czy nie odmrożone.

Ze śniegu wyłonił się Jan, nawet niezbyt zmarznięty, o czym świadczył uśmiech na twarzy i słowa:

- A jednak dobrnąłem.

- Ale w jaki sposób? – zapytał ktoś.

- Połowę drogi na rowerze, a drugą połowę rower jechał na mnie – odpowiedział Jan z humorem.

Wtedy sąsiad Potocki pokiwał głową i powiedział:

- Nie ma złej drogi do swojej niebogi.

W tym momencie Zosia tylko zaczerwieńnięta się, lecz w późniejszych latach nieraz przypominała te słowa i analizując je wierzyła, że przyjazd Jana w takich warunkach świadczył niezbitcie o jego miłości do niej. Bo na to, że ona go kochała nie trzeba było dowodów.

Starła się ukryć radość jaka ją rozpieęła, lecz dociekliwa Lucia nie dała się nabrać i coraz przygadywała, na razie z cicha i do ucha:

- Nareszcie masz swego kawalera. Ale się cieszysz, aż ci nos poczerwieniał.

Zosia w przewidywaniu większej ilości docinków ze strony siostry, obiecała jej dać szczególnie upragnioną rzecz i w ten sposób przynajmniej na razie uzyskała spokój.

Tymczasem zapanował świąteczny nastrój.

Stół nakryto w kuchni, bo tutaj było najcieplej. Ogień bez przerwy płonął pod płytą i wiatr nie wywiewał ciepła przez szpary w oknach. Lniany, wyszywany kolorowymi nićmi obrus wybrzuszał się w niektórych miejscach od nadmiaru położonego pod nim siana, a może czegoś innego?

Podzielili się opłatkiem, złożyli sobie życzenia.

Jan chciał pocałować Zosię w usta, lecz ona mimo że też tego chciała, w ostatniej chwili odwróciła głowę, a usta Jana wylądowały w okolicy jej ucha. Zażenowana opuściła głowę, a bezlitosna mała siostra obdarzyła ją kuksańcem i dwuznacznym uśmiechem.

„Potem wszyscy siedli i barszcz z uszkami, milcząc żwawo jedli”.

Te słowa Mickiewicza akurat pasowały do okoliczności. Dwanaście potraw a wszystkich należało przynajmniej spróbować.

Jan czuł się członkiem tej wspaniałej, życzliwej i mądrej rodziny. Śpiewał ze wszystkimi kolędy, zaśmiewał się z dowcipów i psot Stefka, potem pomagał kobietom sprzątać ze stołu, podjadał resztki z półmisek i oglądał prezenty jakie dostały dzieci.

Tym razem Zosię zaliczono także do dzieci. Dostała piękny sweterek od Jani i paczkę od mamy, której zawartości nikomu nie chciała pokazać, a już zwłaszcza Janowi. Lucia podejrziała co tam się kryje tajemniczego i zaczęła szantażować Zosię, że powie wszystkim o biustonozu. Zosia wołała raczej umrzeć, aby tylko Jan nie dowiedział się o jej tajemnicy. W ten sposób młodsza siostra zepsuła Zosi resztę wieczoru, zagrożeniem wydania jej tajemnicy. Resztę wieczora spędzono w dużym pokoju przy choince. Jania zapaliła świece z stearyny, które wszakże zagrażały pożarem, ponieważ wszystkie ozdoby były sporządzone z bibułki, na gałązkach świerka leżała wata i oplatał je łatwopalny szych.

Tym razem Lucia dostała od Mikołaja pudełko prawdziwych bombek i była bardzo dumna z tego, że to właśnie one najbardziej błyszczą w blasku świeczek, na choince.

Na szczęście odbyło się bez interwencji straży pożarnej, może dlatego, że wśród obecnych znajdował się sam Pan Naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej, jak żartował Jan.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie na amerykańskiej kanapie, na fotelikach. Bawiono się wyśmienicie: były występy solowe,

duety, śpiewy chóralne, a wszystkim dyrygował Feliks – śpiewak chóru kościelnego.

Zosia musiała wykonać swoją ulubioną solówkę: „Gdy śliczna panna syna kołysała ... Refren – li, li, laj – śpiewali wszyscy ściszoneymi głosami, jakby naprawdę usypiano dzieciątko.

Jan był zachwycony. Wstał ze swojego fotela, podszedł do Zosi i ucałowawszy ją powiedział:

- Jesteś cudowna – i usiadł obok niej.

- Ta kolęda rzeczywiście dobrze jej wychodzi – powiedział Feliks ukrywając dumę.

Zegar wybił godzinę jedenastą i Jan poderwał się mówiąc:

- Na mnie już czas. Rano mam służbę i nie ma mowy, ani żadnego wytłumaczenia żebym się spóźnił.

Feliks ofiarował się podwieźć Jana do szosy przez najgłębsze zasy a dalej będzie musiał radzić sobie sam.

W tej chwili wszyscy zorientowali się, że za oknami panuje cisza, zamieć uspokoiła się. Nie wiadomo tylko na jak długo.

Jan nie umiał znaleźć dość słów żeby wyrazić swoją wdzięczność za udział w wigilii i całym świątecznym wieczorze. Został oczywiście zaproszony na następne dni świąteczne.

Lucia żegnając się z Janem zdążyła mu szepnąć do ucha:

- Biustonosz.

A on jej odpowiedział też szeptem:

- Zdrajczyńni.

Zosia nie mogła zasnąć aż do chwili, kiedy Tata wrócił, podwiózłszy Jana. Podśluchiwała rodziców:

- Zamieć ustała, lecz zrobiło się mroźno: kto wie, czy do rana na śniegu nie utworzy się skorupa, umożliwiającą chodzenie po jej powierzchni.

Zdawało się Zosi, że tylko zamknęła oczy, a tu już ktoś ją szarpie za ramię i szepcze do ucha:

- Już czas, wstawaj, idziemy na pasterkę.

Oddalaby wszystkie pasterki świata za godzinę snu, lecz poczucie obowiązku a także chęć uczestniczenia w czymś

nadzwyczaj pięknym i rzadkim, wzięły górę nad sennością. Momentalnie ubrała się, przemyła oczy zimną wodą i w ostatniej chwili dołączyła do wychodzących Rodziców i Jani. Babka Karolina i dzieci zostały w domu.

Mróz od razu zaatakował nosy, więc każdy naciągnął na twarz szalik, kołnierz futrzany, lub po prostu ręką w rękawiczce zasłonił nos.

Krok za krokiem dobrnęli do kościoła prawie w ostatniej chwili. Feliks poszedł od razu na chór, a kobiety znalazły sobie boczną ławeczkę. Kościół nie był ogrzewany i mróz nie wypuszczał z zimnych kleszczy zwłaszcza nóg. Na nic zdało się ruszanie palcami, przytupywanie. Zrobiło się trochę cieplej, kiedy kościół został nabit wiernymi do ostatniego cala powierzchni i kiedy zaczęto śpiewać.

Słuchając śpiewanych przez chór kolęd, Zosia czuła ciarki na plecach. Było to niezwykle przeżycie i dziękowała Bogu, że nie została w domu. Szczególnie ostatnia kolęda „W dzień Bożego narodzenia, radość wszelkiego stworzenia. Ptaszki w górę podlatują Jezusowi wyśpiewują”. Wykonywano ją po mistrzowsku, z sercem, z entuzjazmem, z uczuciem. Można jej było słuchać w nieskończoność i jeszcze byłoby za mało.

Wiatr wprawdzie uspokoił się, lecz mróz wzmagął się z każdą godziną. Można było rzeczywiście chodzić po powierzchni śniegu, tak był zamrznięty i twardy.

Przez całe oba dni świąteczne u Klimaszewskich było gwarno i wesoło. Ciągłe przychodzili sąsiedzi, członkowie chóru, dzieci do Luci, koleżanki do Zosi. Ze stołu nie sprzątano półmisków ze świątecznym jadem i piwa domowej roboty.

Jan odbył służbę pierwszego dnia świąt, a drugi dzień cały spędził u Klimaszewskich. Zosia była wniebowzięta. Miała swego Janka w domu: nieważne, że z Feliksem i kilkoma sąsiadami dyskutowali akurat o wojnie – będzie czy nie będzie i kiedy. Ona słyszała jego głos i to jej wystarczało do szczęścia. Nawet koleżanki Luci nie przeszkadzały jej bawiąc się w pokoiku Babci, przy małej choince (własność osobista Luci).

Późnym popołudniem wszyscy goście wychodzili, bo to był czas tak zwanego obrządku, czyli karmienia i obrządzania zwierząt domowych.

W tym czasie Jan zostawał z Zosią sam, nie licząc bawiących się w sąsiednim pokoju dzieci. Siadali obok siebie na kanapie blisko, lecz nie za blisko. Trzymali się za ręce, milczeli, lub rozmawiali o sprawach mało ważnych, takich, których by nawet nie potrafili powtórzyć. Ważne jednak było to, że znajdowali się blisko siebie, odczuwali ciepło i zapach swoich ciał.

Nigdy nie zostało wypowiedziane słowo „kocham”. Zosia nawet nie była pewna co to słowo oznacza, a Jan uważał, że za wcześnie na to, by jej o tym powiedzieć.

Po latach, Zosia bardzo często analizowała swoją pierwszą nieświadomą miłość i wielu spraw nie mogła do końca zrozumieć. Jak na przykład dorosły mężczyzna mógł zakochać się w podlotku i czy zdawał sobie sprawę, ile lat musiałby na nią czekać, gdyby miał poważne zamiary? Czy byłby w stanie czekać?

Wtedy wszystko było proste. Było dwoje młodych ludzi lubiących przebywać ze sobą: był opiekuńczy mężczyzna i dziewczyna, która tej opieki wymagała.

Były przepiękne pola, gdzie pomiędzy łąkami zbóż spacerowali miedzami. Były wspaniałe szlaki rowerowe i urocze łączki zachęcające do odpoczynku. Był mrok sali kinowej i uściski rąk, powodujące uczucie błogiej nieważkości. Była atmosfera kochającej i kochanej rodziny. I to miało trwać wiecznie. Nawet rozłąka – gdy Zosia wyjeżdżała do szkoły – nie była czymś bolesnym a zwyczajną dziewczęcą tęsknotą, objawiająca się w snach widokiem ukochanego.

A może Jan inaczej to przeżywał i jego plany były skryzalizowane i pogląd na ich miłość zupełnie inny?

Niestety – życie potoczyło się tak, że nigdy tego nie dowiedziała się.

Tak jak było teraz, było dobrze i niech zawsze tak będzie.

*

Bolesław pochował ojca w Poznaniu i wracając zjechał po Janię. Wyjechali nieco wcześniej, mając na uwadze złe warunki atmosferyczne i chcąc być na czas w swojej szkole na Polesiu.

*

Czas pomiędzy Bożym Narodzeniem a Wielkanocą nie zapisał się w pamięci Zosi niczym szczególnym. Życie w społeczności szkolnej tak samo jak w każdej innej miało swoje problemy, radości i smutki, a nawet tragedie. Wieczna walka o dobre stopnie przy minimalnym wkładzie pracy, walka o wolne od nauki dni, zawiązywanie i zrywanie przyjaźni i sympatii, wszystko to działo się jakby w tle.

Na pierwszym planie był Jan, o istnieniu którego wiedziały tylko wtajemniczone koleżanki.

W tym czasie gimnazjalistki śpiewały żartobliwą piosenkę:

- „Oczka błyszczą, czapka z daszkiem, przystrojona fatalaszkiem,

róż na buzi w ręku teczka, oto jest pensjonareczka.

A gdy przyjdą letnie ranki, to urocze pensjonarki
siądą sobie gdzieś w ogrodzie, by pogadać o pogodzie.

Wtedy sztubak siłą pary maszeruje na wagary
traci forszę na podarki dla uroczej pensjonarki.

A gdy przyjdą egzaminy łapie dwóje na tuziny

pije gorycz z pełnej czarki, a któż winien ? Pensjonarki!”

/ – /

Tej goryczy wypijano rzeczywiści pełne czarki, a potem był czas dorastania i p o z n a w a n i a.

Pomimo pełni przeżywanych problemów i udziału w życiu społeczności szkolnej okres ten pozostawał we wspomnieniach dziewczyny jako wielka, pusta dziura.

Pisała mnóstwo listów do domu i do Jani, w ten sposób uczestnicząc w życiu Rodziny. Janowi zawsze załączała pozdrowienia, mimo to Helena dawała mu do czytania całe

listy. Jan odpowiadał na pozdrowienia w listach Heleny, nieraz dopisując całe strony.

Wprawdzie zima dała się we znaki wszystkim, lecz wiosna okazała się równie skuteczna.

Na Wielkanoc nie było ani śladu śniegu, ziemia przeschła, drogi stały się przejezdne. Zosia przyjechała na ferie świąteczne w lekkim granatowym płaszczyku. obowiązkowym strojem gimnazjalistki był płaszcz granatowy, ocieplany na zimę, taki sam płaszcz lżejszy na wiosnę, mundurek granatowy składający się z plisowanej spódniczki i bluzki wyrzuconej na spódniczkę, a na co dzień do szkoły, fartuszek z białym kołnierzykiem i bezwarunkowo włosy splecione w dwa kucyki. Wszystkie te części odzieży według jednego wzoru uszyte, miały niebieskie wypustki. Licealiści nosili czerwone wypustki.

Jeżdżąc rowerami dziewczynki wyrzucały spódniczki poza siodelko co chroniło je przed pognieceniem i dodawało wdzięku całej dziewczęcej sylwetce.

W pierwszy dzień Wielkanocy, Zosia jechała z Janem połą drogą do kościoła na Nieszpory. Miała na sobie właśnie ten letni granatowy płaszcz, a na nogach letnie pantofelki tak zwane rzymki. W pewnej chwili koło roweru obsunęło się z ubitej dróżki w piasek, rower przewrócił się a Jan nie zdążywszy zahamować, najechał na dziewczynę przednim kołem. Pomógł jej wstać otrzepał z piasku i zaczęli oglądać uszkodzenia. Z tyłu, poniżej pasa w samym centralnym punkcie płaszcza było rozdarcie w kształcie trójkąta o bokach co najmniej czterech centymetrów. Jeden rzemyk w pantofelku był rozerwany, but ledwie się trzymał na nodze.

Jan spiął rzemyk agrafką i pojechali dalej.

- Nie martw się, ja to załatwię.

Dziewczyna poszła do kościoła, a Jan z płaszczem do krawcowej. Jeszcze zanim Nieszpory się skończyły, Jan przyniósł zreperowany płaszcz. Krawcowa okazała się prawdziwą artystką. Rozdarcie zeszyła w taki sposób, że było

prawie niewidoczne. Ale i tak Zosia starała się zawsze stać twarzą do Mamy, żeby opóźnić jak najdłużej odkrycie prawdy.

Przy kościele stał stragan z resztkami figurek glinianych do wygrania na loterii. Jakby na pocieszenie, wszystkie losy, które wyciągnęła Zosia, były pełne i wygrała tyle psów, kotów z nawet figurkę Matki Boskiej, że Jan musiał wypożyczyć kosz, żeby to zawieźć do domu. Były to jedyne wygrane fanty w całym życiu Zosi.

Wracali teraz uważnie, żeby uniknąć ponownego wypadku i oszczędzić figurki.

Na drugi dzień Jan miał służbę, więc Zosia, Lucia i cały tłum ich koleżanek postanowiły wybrać się nad Strugę, tam gdzie przed kilkoma laty bawiły się w „Wandę co nie chciała Niemca”.

Tego dnia było wyjątkowo ciepło, piasek nagrany zachęcał do plażowania. Dziewczynki leżały na wznak, obserwowały drobne obłoczki zmieniające kształty, układające się w różne fantazyjne figury, z których wróżyły sobie przyszłość. Potem spacerowały po młodym lesie, zbierały sasanki, sprawdzały czy będzie urodzaj na orzechy, przedzierając się przez gęste krzaki leszczyń.

Wybrały dłuższą drogę do domu, chociaż maluchy narzekały na zmęczenie. Jednak Zosia obiecała pokazać coś bardzo, bardzo ciekawego, co dodało im sił do dalszej wędrówki.

Tą ciekawostką była roślina – rosiczka. Najpierw musiały wszystkie uroczyście przyrzec, że nikomu nie powiedzą o tej roślinie, która znajduje się pod ochroną i jeśli nie będziemy jej chronić, to zniknie z naszych bagien.

Te wszystkie wiadomości przekazała Zosi Jania, bioolożka.

Roślinki rosły na linii lasu, na skraju bagna. Dzieci pokładły się na murawę, każda grupa wzięła pod obserwację jedną roślinkę. Niektórym udało się zaobserwować jak roślina oplata mackami żywego owada, którego znęcił zapewne słodki nektar. Inne widziały jak roślina rozchyła macki i wyrzuca suchego owada. Były zdumione, bo nigdy nie zwróciły uwagi

na tę na pozór niewidoczną roślinkę. Jeszcze raz przyrzekły uroczyście zachować tajemnicę.

Wszyscy byli zmęczeni wracając przez las do domu, więc kiedy napotkały w lesie łąkę złotego gorącego piasku, rozłożyły się na nim, a Lucia westchnęła:

- Chciałabym, aby mój dom stał na tym piasku.

Zanim doszły do domu jeszcze zatrzymały się w Borku, również na piaszczystej górze, gdzie mieszkały jaszczurki zwinki.

Te śliczne miniaturowe zwierzątka budziły podziw swoją zręcznością i sympatię swoim wyglądem.

Dopiero porykiwanie pojonego we wsi bydła uświadomiło dziewczynkom jak jest późno. Już bez zatrzymywania się rozeszły się do swoich domów.

Jan siedział na schodach sam, bo wszyscy byli zajęci w stodole jak zawsze na wsi o tej porze dnia.

- Gdzie byłaś ? – zapytał.

- Byłam na pięknej wycieczce – odpowiedziała Zosia i zaczęła opowiadać swoje obserwacje i odczucia.

- Cały dzień tęskniłem z Tobą – przerwał Jan, gładząc rękę dziewczyny.

- Ja też cały dzień myślałam o Tobie – odpowiedziała, przypominając obserwowane obłoczki, układające się w różne scenki z udziałem Jana.

- Dawno przyjechałeś ? – zapytała.

- Około dwóch godzin temu – odpowiedział.

Chwilę milczeli, a potem ona powiedziała:

- W moim zbiorze złotych myśli, jest taka jedna, która pasuje do okoliczności „Pasma życia ludzkiego jest naznaczone ciemnymi plamami niewykorzystanych możliwości”.

- Tak, uciekły nam dwie godziny życia. Godziny, które mogliśmy spędzić razem.

- A co teraz będziemy robili ? – zastanowiła się Zosia. – Już wiem! – zawołała. Przygotuję kolację, pomożesz mi Janku ?

- Naturalnie, tylko mów, co mam robić.

- Przyniesz ze studni wodę i rozpal ogień pod płytą. Potrafisz to zrobić ?

Zosia zdjęła ze stołu czerwoną pluszową serwetę, a rozłożyła biały obrus, rozstawiła talerze i sztucce, położyła na półmisek wędlinę, kiełbasę, galaretkę, ser biały, twarożek, ryż gotowany na sypko polany śmietaną z cukrem i nakroiła kopiasty talerz bułki drożdżowej i kilka gotowanych i ukraszonych w cebulniku jaj. Przygotowała szklanki do herbaty i pozostało już tylko czekać, kiedy rodzina wróci z pracy.

- Proszę, jaką piękną niespodziankę sprawiła nam nasza młodzież – powiedział Feliks, otwierając drzwi do chaty. Świąteczna kolacja, w świątecznym wydaniu.

Mycie rąk i zmiana odzieży odbyły się szybko i wszyscy znaleźli się za stołem. Dziewczynki szczególnie po całodziennym spacerze były wygłodzone i trzeba je było od czasu do czasu przywoływać do porządku i poprawnego zachowania się przy stole.

W wesołej atmosferze kolacja przeciągnęła się do późna, a dzieci jeszcze zakończyły ten dzień zabawą na podwórku.

Na zakończenie Feliks powiedział, że ma bardzo dobrą wiadomość do zakomunikowania: pojutrze rozpoczyna się budowa domu na kolonii. Właśnie ustalił z brygadą ciesielską, że od świtu rozpoczną pracę.

Wszyscy się ucieszyli, zaczęli mówić jeden przez drugiego nie słuchając innych. Tylko Zosia siedziała milcząco i z całej siły powstrzymując łzy. Nie wyobrażała sobie życia w innym domu niż ten. Tyle pięknych chwil spędziła tutaj poczynając od urodzenia, do obecnej, pierwszej miłości do mężczyzny.

Pierwszy Jan zauważył nastrój dziewczyny i podszedł do niej, żeby porozmawiać, lecz ona nie mogąc opanować łez zerwała się od stołu i wybiegła na podwórko.

- Pójdę jej poszukać – powiedział Jan.

- Nie trzeba, niech się wypłacze w samotności – powiedział Feliks.

Tym razem Jan odjechał bez pożegnania.

DOM NA OSTRÓWKOWEJ GÓRCIE

Ostatniego dnia wiosennych ferii przyjechał Jan i przywiózł ze sobą broń myśliwską, tak zwany flower. Zebrało się na podwórku kilku bliższych sąsiadów, którzy próbowali strzelać do celu i nikomu nie udawało się trafić, nawet Feliks spudłował. Wszyscy zgodnie orzekli, że z bronią jest coś nie w porządku.

- Jeszcze ty Zosiu spróbuj – powiedział Jan, podając dziewczynie flower i udzielając jej kilku rad.

Na dachu stodoły rozsiadło się kilka wróbli. Zosia wybrała cel, namierzyła dokładnie i pociągnęła za spust. Ku zdumieniu obecnych wróbel podskoczył i spadł z dachu jak kulka. Dziewczyna była oszołomiona: ona nie chciała zabić ptaszka, to był przypadek. Na widok zakrwawionego wróbelka, łzy pociekły po policzkach i odwróciła się żeby nikt nie zauważył.

Pomimo tych łez, w dziewczynie obudziła się, można by rzec, żyłka myśliwska. We wsi było dużo wron, gawronów i kawek, które czyniły dużo szkód i należało je tępić. Zosia postanowiła wybrać się na polowanie. Jan powierzył jej broń i poszła sama wzdłuż rzędu stodoł, gdzie było najwięcej ptaków. Zaraz za pierwszym strzałem zabiła wronę, która jednak spadła w takie miejsce, że nie można jej było znaleźć i oczywiście nikt w to nie uwierzył.

Żeby udowodnić prawdomówność swoich słów, dotąd szperała pomiędzy stodołami, aż w jakiejś dziurze znalazła martwą wronę.

Teraz to poczuła się prawdziwym myśliwym i postanowiła wystrzelać wszystkie ptaki – szkodniki, lecz te okazały się sprytniejsze od myśliwego, bo gdy tylko zbliżała się do upatrzonego stada, natychmiast odlatywały. Nie udało się nic więcej ustrzelić i na tym skończyła się kariera myśliwska Zosi. Jeszcze wybrała się z Janem do pobliskiego Dalnego Łużku – przetrzebionego sosnowego boru, lecz tam też ptaki okazały się czujne, jakby się zmówiły.

Późnym wieczorem Jan się pożegnał, a nazajutrz wyjechała jego ukochana.

W domu nie było czasu na smutki i tęsknoty z powodu nawału pracy. Poza zwykłymi sezonowymi, wiosennymi pracami, trzeba było gotować posiłki majstrom i robotnikom, wozić je ze wsi na Kolonię. Feliks w wolnych chwilach pomagał przy budowie, dowoził brakujące materiały.

Jan widząc jak są wszyscy zajęci, zaglądał rzadko na Kolonię i bawił krótko, żeby nie zabierać czasu zapracowanym ludziom.

Z dnia na dzień dom rósł, a Ostrówkowa Górka zamieniała się w ludzkie siedlisko.

Helena nie miała czasu na pisanie listów, dlatego też skorzystała z okazji i gdy Jan jechał do miasta, gdzie uczyła się córka, poprosiła, żeby spotkał się z nią i wszystko opowiedział.

Tak to doszło do spotkania młodych na terenie szkoły. Spotkanie, którego rodzice Zosi chcieli dotąd uniknąć.

Jan zaszedł na stację i poprosił dziewczynę, żeby z nim wyszła, bo ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Przestraszyła się, że coś się stało, lecz Jan ją uspokoił.

Dowiedziała się zatem, że ściany domu są wybudowane po dach, że teraz brygada zajmuje się budową krokwi dachowych, że inna brygada zajmuje się wyrobem dachówek, a jeszcze inna wykonuje okna i drzwi. Na razie w planie jest wykończenie kuchni i jednego pokoju, a gdy się przeprowadzą, stopniowo Feliks zajmie się wykańczaniem dalszych pomieszczeń.

Wszyscy czują się dobrze, są pełni zapału i nadziei. Oczywiście w dalszym ciągu mieszkają na wsi, tylko Feliks i Helena czasami nocę spędzają w stodole na sianie, żeby móc wcześniej wstać do pracy.

Zosia chłonęła każde słowo, zadawała mnóstwo pytań, a Jan cierpliwie i wyczerpująco odpowiadał.

Dopiero po jakimś czasie zauważyła, że jest poważny, jakby daleki i zgaszony.

- Stało się coś Janku ? – zapytała z niepokojem.

- Nic takiego, jestem zmęczony i niewyspany – odpowiedział pełen niepokoju, którego chciał oszczędzić dziewczynie.

*

- Żono, możesz zapisać w bardzo ważnej kronice rok 1939, bo to jest rok kiedy wybudowaliśmy swój własny dom.

Dom nie miał jeszcze dachu i okien, lecz był już domem, nadzieją na własny wygodny ką. Zebrali się wszyscy: poza stałymi mieszkańcami przyjechali: Jania z Bolesławem, Zosia i Jan.

Nikt nie przeczuwał jeszcze, że tego roku nie trzeba będzie zapisywać w kronikach, ponieważ zapisze się on krwawymi literami, w każdym polskim sercu.

Na razie jednak rozpoczynały się wakacje, jak zwykle długie i przyjemne.

Po kilku dniach wyjechał Bolesław do swojej jednostki jako oficer rezerwy.

Jania chodziła smutna i ociężała, i nawet nie trzymały się jej żarty, do których była skłonna. Spodziewała się dziecka a każda kobieta chciałaby mieć w tym okresie koło siebie męża.

Jan był częstym gościem. Rozmawiali na różne, nawet śmieszne tematy, jednak coraz częściej pojawiało się słowo – wojna. Nikt w nią nie wierzył, lecz jej cień niepostrzeżenie mącił spokojne życie.

W pierwszych dniach czerwca Jan zaprosił Zosię i jej Rodziców do Osowca na obchody Dnia Morza.

Zosia dostała od kuzynki ładną sukienkę z kwiciastej żorzęty, rozkloszowaną w dole. Rozczesała wieczne kucyki, a skręcone włosy utworzyły wesołą aureolę wokół jej twarzy.

Jan, który czekał na gości w umówionym miejscu był zachwycony i dziewczyna zarejestrowała kątem oka, pełen aprobaty uśmiech jednej ze starszych pań, której Jan się uklonił.

Weszli wszyscy na statek i żeglowali po Biebrzy, po jej ukochanej Biebrzy.

Chłonęła widok przeczesywanych wiatrem traw, kępy drzew tworzących suche grądy, gdzie nieraz odpoczywała wraz z innymi po ciężkiej pracy sianokosów. Poczowała czyjeś ramię na swoich plecach: to Jan, który w tłumie nie mógł odnaleźć dziewczyny.

- Jak tu pięknie – szepnęła, mimo woli tuląc się do jego ramienia.

Potem były sztuczne ognie, tańce na pokładzie i dopiero późną nocą Jan odprowadził gości do domu.

*

Wakacje, które miały być bardzo długie, nagle znalazły się na półmetku. Dni ciekły jeden za drugim w takim tempie, jak paciorki różańca u niedbalej dewotki. Wzmozona praca w polu i przy budowie, pochłaniała całe dnie, a tylko wieczorami można było posiedzieć na ławeczce przed domem, na kamiennych schodkach przed wejściem do kuchni, lub przy nowym domu na Kolonii na stosach belek i desek.

W tym czasie topole już zaczynały szumieć swoimi metalicznymi liśćmi, lecz tylko Zosia słyszała w tym szumie zapowiedź rozstania i smutku.

Czasami Jan zabierał Feliksa i Zosię do Osowca, żeby posłuchali radia i mogli wyciągnąć własne wnioski z zastyszanych wiadomości.

A wiadomości były aż nadto optymistyczne. To, że nie oddamy nawet guzika od sukni i inne podobne bzdury, nawet w Zosi nie znającej się na polityce, budziły niesmak. Wyliczanie ile to posiadamy czołgów, a ile samolotów budziło również wątpliwości. Zwracanie się do Jana o potwierdzenie lub zaprzeczenie było bezcelowe, ponieważ ten zasłaniał się tajemnicą wojskową.

Pewnego razu, po kilkudniowej nieobecności Jana, Feliks z Zosią sami wybrali się do Twierdzy, aby zasięgnąć

wiadomości. Feliks miał tam wielu znajomych, których zawsze można było spotkać w kasynie.

Za bramą twierdzy Feliks wybrał krótszą drogę przez las. Po zachodzie słońca, w lesie, było już mroczno. Z tego mroku w oddali wyłoniło się dwóch rowerzystów, którzy w miarę zbliżania się do Feliksa i jego córki, zaczęli zwalniać, a na kilka kroków przed nimi wyrzucili do przodu ręce w hitlerowskim pozdrowieniu „Heil Hitler”.

Nie otrzymawszy odpowiedzi zrozumieli, pomyłkę i nacisnąwszy pedały pojechali w swoją stronę.

Feliks z córką też nie marudzili. Wkrótce znaleźli się w kasynie podoficerskim i Feliks zwrócił się z prośbą o skontaktowanie go z dyżurnym oficerem.

Zosia dostała butelkę lemoniady i miejsce przy stoliku, gdzie zaraz przysiedli się znajomi, skorzy do flirtów, a Feliks ponad godzinę rozmawiał z oficerem, po kilka razy powtarzając niektóre szczegóły zdarzenia.

Niewątpliwie w Twierdzy Osowiec znajdowali się niemieccy szpiedzy i w razie wojny nie będą musieli jej zdobywać szturmem, okrążą wokół.

Tak zresztą faktycznie było, bo dziewczyna widziała to na własne oczy, jak pierwsi Niemcy nadjechali szosą od strony Wizny i zajęli Twierdzę od tej strony, gdzie według wszelkich prawideł mieli się znajdować obrońcy.

Ale do tego zostało nam jeszcze kilkanaście dni a to może być bardzo długo – albo też bardzo krótko. Jak komu wypada.

Z tej wyprawy do Twierdzy Feliks z Zosią wrócili bardzo podekscytowani. Długo snuli różne domysły, a ich poczucie bezpieczeństwa zostało zburzone, pomimo w dalszym ciągu prowadzonej optymistycznej propagandy w rodzaju tej słynnej sukni i jej guzików.

Nareszcie przyjechał Jan, który był na inspekcji w kilku miastach i opowiadanie Feliksa i Zosi rozpoczęło się na nowo.

Dziewczyna była dumna, że znalazła się w samym środku tak ważnych wydarzeń i że jej zdanie traktowano poważnie.

*

Najpilniejszą ze wszystkich pilnych prac okazało się położenie dachówki na dachu domu, ponieważ zanosilo się na zmianę pogody. Trzeba było zabezpieczyć dom przed deszczem.

Feliks zorganizował pracę perfekcyjnie: sam usiadł na dachu, Zosia zajęła miejsce na drabinie, poniżej stała Helena, a potem w dowolnej odległości jedno od drugiego, cała rodzina. Podawali dachówki z rąk do rąk, a Feliks układał je na dachu. Nawet dzieci włączyły się do pracy i przez jakiś czas o choczko pomagały w pracy.

W południe przyjechał Jan. Powiedział:

- Z zegarkiem w rękę mam tylko trzy godziny czasu, więc bierzmy się żywo do pracy.

Przy jego pomocy praca nabrała rozmachu i kiedy odjeżdżał, jedna strona dachu była w połowie przykryta.

Zjedli pośpiesznie obiad przygotowany już poprzedniego dnia i znowu zabrali się do pracy. Przyszło do pomocy jeszcze dwóch sąsiadów, którzy mieli jakieś zobowiązania w stosunku do Feliksa.

Na drugi dzień przyszli inni sąsiedzi i nareszcie wczesnym popołudniem dom został nakryty w całości.

W następnej kolejności zabrano się za żniwa. Podawanie dachówek na drabinie to bułka z masłem w porównaniu z podbieraniem za kosą naręczny ciężkich od kłosów zbóż, lub wiązanie ich w snopki.

Zosia twarz miała spaloną przez słońce, ręce pokłute suchą słomą, a nogi pod kostkami poranione przez rżysko. Mimo to była pogodna, bo każdego wieczora przyjeżdżał Janek a w jego obecności nie dawały się we znaki żadne bóle.

W niedzielę, chcąc z ukochaną spędzić cały dzień, zaproponował wspólny wyjazd do Irki Orłowskiej. Rodzice mieli tyle zaufania do obojga młodych, że się zgodzili.

- Wiesz, to po prostu cud, że mam dzisiaj cały wolny dzień i musimy go przeżyć jak najpiękniej – mówił Jan.

A może lepiej przeżyć dzień niekoniecznie najpiękniej, lecz tak, żeby jak najdłużej go zapamiętać ?

A więc najpierw zepsuł się rower Jana, lecz na szczęście miało to miejsce w Osowcu, więc Jan po prostu wymienił na inny. Gdy już minęli most na Biebrzy, nie wiadomo skąd ogromna chmura zakryła słońce i rozpętała się burza, jakiej od dawna nie było.

Zawrócili i pedałując ile sił w nogach zdążyli dopaść mostu i schronić się pod nim.

Zosia drżała nie tyle z zimna, co ze strachu. Jan zdjął mundur i okrył nim dziewczynę. Znajomy zapach sprawił, że zamknęła oczy i ukryła twarz w ramieniu Jana.

- Nie bój się, nic nam tu nie grozi – uspokajał dziewczynę Jan.

Burza szybko odeszła, lecz deszcz nie przestawał padać.

- Ładnie zorganizowałem ci dzień – powiedział.

- Bardzo ładnie, bo tego przeżycia tak łatwo nie zapomnimy – odpowiedziała.

- Czy wobec tego opłaca się jechać do Irki ? – powątpiewał Jan.

- Co zatem będziemy robili ? – zapytała.

- Zawiozę cię w takie miejsce, że umrzesz z zachwytu – odpowiedział.

- Dobrze, zgadzam się, lecz nie chcę umierać z zachwytu – zastrzegła.

Zjechali z szosy i pojechali wąską ścieżką wzdłuż Kanału Rudzkiego. Jan jechał pierwszy i w pewnej chwili dał znak ręką, że się zatrzymuje.

Znaleźli się nad szerokim rozlewiskiem, które w tym miejscu tworzył kanał. Rybacka łódka, uwiązana do palika, kołysała się lekko na spokojnej wodzie.

- Czy szanowna pani życzy sobie popływać po jeziorze tą piękną królewską łodzią ? – zapytał Jan z głębokim ukłonem.

- Szanowna pani jest zachwycona perspektywą przejażdżki ze względu na piękno przyrody, elegancję łodzi, jak też

rycerskie manieri przewoźnika – odpowiedziała Zosia, w równie żartobliwym tonie.

W rzeczywistości jednak łódka była dość obskórna, a sukienka Zosi zbyt elegancka na taką przejażdżkę.

Jan zdjął mundur, przykrył nim ławeczkę i „szanowna pani” mogła bezpiecznie usiąść.

Jan zdjął buty, podwinął nogawki spodni i rękawy białej koszuli i ujął w dłonie wiosła. Wiosłował wolno wśród gęstej roślinności porastającej zalewiska i kanał.

Zosia usiadła na samym brzegu łodzi i zanurzyła bose stopy w cieplej wodzie.

Nenufary już przekwitły, lecz zamiast nich, na powierzchni stały żółte grążele jak dzbanuszki ustawione na stole.

Jan popatrzył z troską na gołą głowę dziewczyny:

- Możesz dostać udaru – powiedział.

Pomyślał chwilę, potem wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, na każdym rogu zawiązał supełek i powstała w ten sposób czapczkę włożył dziewczynie na głowę.

- Zapewne wyglądam jak pajac ? – zapytała.

- Nie przejmuj się, dla mnie i tak jesteś najpiękniejsza na świecie.

Błądzili po zalewiskach, gubili się w zaroślach trzciny i tataraków, aż dziewczyna zaniepokoiła się:

- Jak trafimy na miejsce gdzie zostawiliśmy rowery ?

- Widzisz tę kopułę ? – zapytał Jan. – To jest schron i to mój znak orientacyjny w terenie bagien. Możesz być spokojna, na pewno nie zginiemy. Jeszcze tylko pokażę ci siedlisko łabędzi i będziemy wracać, bo przecież jesteśmy bardzo głodni.

Na szerokim rozlewisku królowało stado łabędzi. Jedne były białe, a inne szare.

- Na przyszłe lato też będą białe gdy dorosną – wyjaśnił Jan.

Łabędzie nie były płochliwe, podpływały do łódki a jeden stary samiec nastroszywszy skrzydła, chciał wypędzić intruzów ze swego terytorium. Dziewczyna była zachwycona i niezmiernie wdzięczna Janowi za ten wspaniały dzień.

- Zamiast siedzieć przy stole i patrzeć na narzeczonego Irki, którego tak nie lubię, sto razy wolę spędzać czas na łonie przyrody – powiedziała.

Obiad zjedli w kasynie i dopiero potem zjawili się w domu. Solidarnie postanowili nie kłamać i opowiedzieć całą prawdę o tym jak spędzili dzień.

*

Jania i Bolesław przygotowywali się do wyjazdu na Polesie do swojej szkoły. Babka Karolina i Helena z wielką troską i niepokojem myślały o tym wyjeździe. Rozpoczął się dziewiąty miesiąc ciąży Jani, atmosfera polityczna stawała się coraz bardziej napięta.

- Dziecko, jak ty tam sobie poradzisz na tej zacofanej wsi, dwadzieścia kilometrów od najbliższego miasta Pińska ? A gdy się okaże, że potrzebny będzie doktor ?

Dyskutowano o tym przy każdej sposobności, lecz obowiązek był ważniejszy od względów osobistych.

Zosia, mając dość tych dramatycznych tematów wychodziła do ogródka, siedziała na ławeczce ukrytej w krzaku bzu i pozwalała płynąć łzom, a szum topoli potęgował jej żal.

Pewnego razu odnalazł ją tam Jan. Dziewczyna była tak splakana, że nie mogła mówić. Jan ocierał jej oczy, nos, przytulał do siebie, lecz te objawy troski jeszcze potęgowały żal. Dopiero gdy ułożono dziewczynę do łóżka i zostawiono samą, uspokoiła się w końcu.

W tym czasie Feliks z Heleną i młodszymi dziećmi mieszkali już na kolonii, a Babka Karolina z Zosią już po wyjeździe Jani i Bolesława, zostały jeszcze w starym domu we wsi. Zosia była tak przywiązana do swego starego domu, że za nic nie chciała przeprowadzać się do nowego. Zresztą był jeszcze nie wykończony i nie zapewniał podstawowych wygód.

Z Polesia przysłała wiadomość, od Jani, że zajęchali szczęśliwie i już zabrali się do pracy, chociaż miejscowa ludność – Białorusini – okazywali im jawną niechęć.

Jan miał teraz bardzo mało czasu, więc prawie każdego wieczora Feliks z córką jeździli do niego do Osowca. Przez te wszystkie dni Zosia czuła, że serce jej jakoś dziwnie się skurczyło w oczekiwaniu czegoś strasznego. Nie potrafiła uśmiechać się tak promiennie jak dotąd. Gdy siedząc w swoim kąciku w kasynie i popijając sok słuchała gwaru wielu głosów, słyszała tylko głos Janka i w przeczuciu nieszczęścia odczuwała ten znany a nieznośny ucisk w sercu.

1 września 1939 roku – wybuchła wojna.

Korpus Ochrony Pogranicza opuszczał Twierdzę Osowiec. Dowództwo poleciło otworzyć wszystkie znajdujące się w Twierdzy magazyny i udostępnić ich zawartość miejscowej ludności z okolicznych wsi, aby nie dostały się w ręce Niemców.

Przez kilka dni nieprzerwanym ciągiem jechały chłopskie wozy wywożąc z magazynów owies – czyli paszę dla koni, suszone suchary, tabliczki kawy zbożowej z cukrem, konserwy, części uprzęży i inne.

Szosa była zasypana okruchami tych artykułów przynajmniej centymetrową warstwą, ale magazyny oczyszczono całkowicie.

Feliks też przywiózł naładowany wóz, lecz powtórnie nie zaryzykował jazdy, ponieważ Niemcy już zaczęli ostrzeliwać szosę z samolotów.

Zosia chodziła jak błędna. Od kilku dni nie widziała Jana a wiedziała, że wojsko opuściło Twierdzę Osowiec.

Dlaczego nie przyszedł się pożegnać ? Noce spędzała w starym domu czekając, że pomimo wszystko przyjdzie, bo jeśli nie, to ona tego nie zniesie, nie przeżyje.

Całymi nocami okno było otwarte na oścież z powodu upału i żeby ułatwić Janowi dostęp do pokoju.

Tymczasem Jan nie pojawiał się, a szum topoli stale narastał, rozsadzał głowę, stawał się nie do wytrzymania.

OFIARY WOJNY

- O Janie (Feliksie) Zaorskim zaginął wszelki ślad. Przez wiele nocy Zosia nasłuchiwała kroków za oknem, lecz na próżno.
- 19 września 1939 roku urodził się Janusz Władysław syn Janiny i Bolesława Kossowskich. Cudem udało im się uciec z Polesia do domu w Downarach.
- W jesieni 1940 roku Bolesław Kossowski podstępnie został zwabiony do więzienia i odtąd wszelki słuch o nim zaginął.
- 31 lipca 1944 roku zginął Feliks Klimaszewski zastrzelony przez Ukraińca, na własnym podwórku.

ZAKOŃCZENIE

Topole potężnie rozrośnięte górowały nad wsią. Otaczały ją swoją dobrotliwą opieką. Latem chroniły przed piorunami, przyjmując na siebie ich uderzenia. Rozdarte pnie szybko zablizniały się, gałęzie odrastały i topole nadal trwały.

Ludzie czuli się bezpiecznie pod zielonym baldachimem drzew. Topole ocieniały ulicę i gęsty zielony trawnik ścielący się po obu jej stronach. Tawnika tego nikt nie pielęgnował, lecz aksamit zieleni był tak chłodny i miękki, że o każdej porze dnia wabił dorosłych do wypoczynku, a dzieci do zabawy.

Po każdej burzy i ulewie, w zagłębieniach trawnika tworzyły się czyste, miniaturowe jeziora z ogrzaną wodą – raj dla dziecięcych bosych nóg. Wiosną nabrzmiałe pączki drzew zaczynały pękać i topole okrywały się czerwonymi wisiorkami, a potem delikatną, świeżą zielenią lepkich pachnących listeczków. Wolno zagęszczała się zieleń. Delikatne wiosenne promienie słoneczne przenikały przez koronkę świeżych liści. Potem liście dorastały tworząc głęboki cień, stawały się metaliczne, ich barwa nabierała intensywności i wtedy zaczynały mówić.

Ich mowa szeptana tajemniczo, przytłumiona w dzień odgłosami życia i rytmem codziennej pracy, wznosiła się w nocy.

Przez otwarte okna wchodziła do izby, rosła, potężniała, budziła niepokój, przecucie czegoś co się kończy, co mija, czyjeś odejście, pożegnanie.

Tej nocy w szum liści wplótł się tupot kopyt, szczęk uprząży, niespokojne głosy mężczyzn – mobilizacja koni – wojna.

Jutro mobilizacja mężczyzn zdolnych do służby wojskowej.
Wojna

Korpus Ochrony Pogranicza opuszczał Osowiec.

Jan przyjechał w nocy pożegnać swoją dziewczynę. Była w domu sama, bo reszta rodziny przeniosła się do nowego domu na kolonię.

Poprzez szum topoli rozróżniała szelest krzaków za oknem, odgłos kroków.

- Janku, czy to ty ? – upewniła się, zanim otworzyła drzwi.

Wziął ją w ramiona. Siedzą spleceni uściskiem, a ich usta nareszcie odnajdują się i łączą w długim namiętym pocałunku – pierwszym i zarazem ostatnim.

Jan zapewnia o swojej miłości, o tym, że wróci i że ona będzie jego żoną, że musi wierzyć i być mu wierna.

Dziewczyna drży od nadmiaru uczuć i nieznanych dotąd doznań.

Dziewczyna ciągle drży. Czy zdaje sobie sprawę, że nigdy już nie zobaczy swego ukochanego ? Czy rozumie mowę topoli, które mówią, że chłopak nie wróci ?

Przez wiele wieczorów i nocy dziewczyna będzie nasłuchiwać szmerów w ogrodzie za oknem, lecz nie usłyszy szelestu krzaków ani odgłosu znajomych kroków, ani swego imienia wypowiedzianego głośnym szeptem.

*

Tafla księżycowego światła na podłodze przewędrowała przez cały pokój i znikła.

Stało się zupełnie ciemno.

Odszedł chłopak, a topole szumią, szepczą, użalają się nad losem samotnej dziewczyny, oplakują chłopca, który nie wróci i oplakują niespełnioną miłość.

ŚWIĘTA URSZULA

Wędruje polami Tęsknota,
mgłą okrywa zziębnięte ramiona,
bose stopy rani o ścierniska,
pod wierzbami staje zamyślona.

Były kiedyś słoneczne ranki,
dni dzwonione głosem skowronka,
aż tu naraz puste gniazda ptasie
i Tęsknota polami się błąka.

Na miedzach Tęsknota mgły ściele,
cały świat otula szalem cienia,
na zbolące serce kładzie dłonie
i obdarza mocą zapomnienia.

Z.P.

TRUDNA MŁODOŚĆ 1941 – 1945

UCIECZKA

A więc stało się! Wpadłam! Siedzę teraz na posterunku żandarmerii niemieckiej w małym miasteczku, w towarzystwie kilkudziesięciu takich samych pechowców z sąsiednich wsi. Nie znam nikogo z nich.

Jutro podwiozą nas do obozu przejściowego w Białymstoku, a potem transportem na roboty do Niemiec.

A przecież jeszcze kilka godzin temu byłam w domu, bezpieczna nie przeczuwając niczego złego, pod opieką rodziców. Wojna była daleko. Niemcy nie dokuczali zbyt i chociaż jadło się najczęściej chleb bez omasty, to sama młodość czyniła mnie i moich rówieśników szczęśliwymi.

Byłam szczęśliwa aż do chwili gdy przyszli do mojego domu i powiedzieli:

Oblekaj się!

Właśnie szorowałam podłogę w kuchni, a ponieważ było gorąco, pomimo tego, że wydarzenie miało miejsce we wrześnie, byłam do połowy rozebrana.

Wtedy to właśnie usłyszałam turkot zajeżdżającej na podwórze bryczki i zaraz weszli do domu żandarmi.

Komendant, wysoki potężny chłop powiedział z mazurska:

- Oblakaj się!

Rzuciłam brudną ścierkę do wiadra z wodą, wytarłam ręce, otarłam pot z czoła i bez słowa wyszłam do pokoju aby się ubrać. W tym czasie moja mama zemdlła, Babcia zaczęła lamentować a Ojciec usiłował przekonać żandarmów, że jestem w gospodarstwie niezbędnie potrzebna. Żandarmi jednak nie dali się przekonać, a ja już stałam „obleczona w com tam miała”, z walizką w jednej ręce i z ciepłym płaszczu, który przytomnie zabrałam – w drugiej.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, za grubą, szklaną ścianą. Mój wyjazd był czymś tak nierealnym i nieprawdziwym, czymś na niby, że nawet nie pożegnałam się porządnie z rodziną, a już siedziałam na wysokiej żandarmskiej bryczce, a z jej wysokości moi bliscy wydawali się dalecy i obcy.

Nasz nowy dom, w którym zamieszkaliśmy we wrześniu 1939 roku wydał mi się też obcy, chociaż wybudował go mój własny Ojciec, z pomocą nas wszystkich zdolnych do pracy.

Wszystko zaczęło się kilka tygodni wcześniej. Pewnego dnia odprowadzałam swoją koleżankę do sąsiedniej wsi, kiedy dopędziła nas na drodze bryczka komendanta żandarmerii. Okazało się, że w dniu powszednim nie wolno spacerować, lecz trzeba pracować. Koleżanka wykpiła się spuchniętym kolaniem, a mnie pan komendant postanowił wysłać tam, gdzie będę bardziej wykorzystana.

Podczas jazdy żandarmi coś do mnie mówili, jakby się usprawiedliwiali, że z powodu braku rąk do pracy w Rzeszy, moje ręce są tam niezbędne, lecz ja milczałam odrętwiała.

Jechaliśmy gościńcem, w którym w pewnym miejscu przecinała szosa. Kiedy koła bryczki zaturkotały na twardej nawierzchni szosy, mimowolnie spojrzałam w lewo i ujrzałam w dali sylwetkę mężczyzny na rowerze. Poznałam go. To był mój chłopak, który wracał z pracy do domu. Zaraz zje obiad, wyelegantuje się swoim zwyczajem i krokiem statecznym przemierzy jak co dzień te kilkaset metrów dzielących nasze domy. Wyobraziłam jego minę, kiedy dzisiaj dowie się co się ze mną stało i mimo woli uśmiechnęłam się. Nikły uśmiech nie uszedł uwadze żandarmów: widocznie uznali, że uwierzyłam w konieczność swego wyjazdu a nawet cieszę się, że będę pracować dla dobra Rzeszy.

Małe miasteczko było blisko, szybko minęła podróż i oto znalazłam się przed posterunkiem żandarmerii. Weszłam, a raczej zostałam wprowadzona do małego pomieszczenia, które było zatłoczone młodzieżą. Chłopcy i dziewczęta porozkładali się na podłodze na swoich tobołkach, jedli zapasy

zabrane na drogę, gwarzyli spokojnie i wesoło. Wyglądało to raczej na piknik, niż na „brankę”.

W pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów poza niewielkim stołem i dwoma taboretami. Na jednym taborecie siedział znajomy chłopak, którego zwerbowano do policji niemieckiej porządkowej. Ucieszyłam się mimo wszystko. Był jedynym człowiekiem w tym towarzystwie, którego znałam, więc usiadłam na drugim taborecie i przegadaliśmy całą noc.

Na drugi dzień z rana załadowano nas na konne furmanki i zawieziono na dworzec kolejowy. Do Białegostoku było niedaleko. Po godzinie jazdy pociągiem i krótkim marszu, przekroczyłam wraz z innymi bramę obozu przejściowego.

To straszne uczucie, gdy się za człowiekiem zatraskują drzwi, zwłaszcza gdy ten człowiek ma zaledwie siedemnaście lat, a drzwi zatraskuje okrutny wróg.

Zanim rozłokowano nas w barakach, trzeba było przejść przez łaźnię i oddać odzież do dezynfekcji. Wszak Niemcy poza wieloma innymi zaletami słyną z zamięłowania do czystości i porządku.

To było upokarzające: kilkadziesiąt nagich dziewcząt usiłujących osłonić swoją nagość rękami lub włosami, w obecności robotników – mężczyzn, usiłujących naprawić nieczynne prysznice. Byłyśmy nieświadome piękności naszych młodych ciał, a powinnyśmy pysnić się nimi. Wspomnienie to dzisiaj wywołuje uśmiech pobłażania, a wtedy byłam jedną z tych upokorzonych dziewcząt, nienawykłych do demonstrowania swojej nagości.

W baraku dla dziewcząt dostała mi się ostatnia prycza w nieskończenie długim dwuszeregu.

Czułam się zupełnie zagubiona w świecie, za drutami, a nawet w tym długim baraku z dwoma szeregami prycz. To szczęście, że dzień był ciepły i słoneczny. W świetle słonecznym całe wydarzenie wydało mi się mniej tragiczne i byłam pewna, że się skończy szczęśliwie. Miałam szerokie grono przyjaciół i znajomych, a także miałam swojego chłopca.

Pierwszy dotarł do mnie jeszcze tego samego dnia jeden z mojej paczki, mieszkający w Białymstoku, Waldek. Był to typ miejskiego cwaniaczka, lecz bardzo sympatycznego cwaniaczka. Dla niego nie było rzeczy niemożliwych do załatwienia. Pracował na kolei i często wpadał do naszego domu a także włączał się w życie towarzyskie mojej paczki.

Sobie tylko wiadomym sposobem dostał się do obozu. Byłam szczęśliwa. To jeszcze nie był ratunek, lecz przynajmniej była próba, która dawała nadzieję. W ostateczności postanowiliśmy, że Waldek w oznaczonym miejscu przetnie druty, a ja wyjdę przez dziurę w siatce.

Krótki wrześniowy dzień był najdłuższym dniem w moim życiu. Nie mogłam doczekać się nocy. Położyłam się na pryczy w płaszczu, z walizką pod głową i czekałam aż wszyscy zasną i zupełnie ściemnieje.

W obozie nie paliły się żadne światła. Panowała ciemność absolutna. Wreszcie odważyłam się zejść z pryczy. Przeszłam przez cały długi barak i stanęłam w drzwiach, które były otwarte. Przestraszyłam się ciemności, strzałów i krzyków rozlegających się gdzieś w głębi obozu a w końcu straciłam orientację gdzie mam iść, gdzie jest ta dziura w siatce. Wróciłam na swoją pryczę. Pierwszy plan ucieczki nie udał się.

Nazajutrz już od samego rana zjawił się Waldek; powiedział, że wczoraj nie chciał ryzykować, bo też słyszał strzały, jęki i krzyki na terenie obozu. Zalecił, żebym cierpliwie czekała i była w pogotowiu.

Przez dwie godziny obserwowałam jak kręci się przy bramie, rozmawia ze strażnikami, częstuje ich papierosami, lecz nic nie może wskórać. Na dodatek zmienili się strażnicy i z nowymi musiał Waldek zaczynać od nowa. Nowi strażnicy okazali się bardziej ludzcy. Po jakimś czasie Waldek podszedł do mnie z przepustką zezwalającą mi wyjść z obozu na dwie godziny w celu odwiedzin krewnych.

Nie wolno było zabierać ze sobą bagażu, lecz moja walizeczka była tak mała, że mogła ująć za damską podręczną torebkę.

- Tylko zachowuj się spokojnie i swobodnie przy bramie i nie przyśpieszaj kroku za bramą – pouczył mnie Waldek.

Ten dzień był również ciepły i słoneczny lecz był przy tym najjaśniejszym dniem w moim życiu. Byłam na wolności! Na razie nie myślałam jaka ta wolność będzie. Byłam wolna!

Szliśmy lewą stroną słonecznej ulicy, a po drugiej stronie w dali ujrzałam znajomą sylwetkę. To mój chłopak, wierny rycerz, śpieszył mi na ratunek. Spóźnił się i chyba był z tego powodu zawiedziony, jednak nie dał tego odczuć i szczerze podziękował Waldkowi.

TUŁACZKA

Rozpoczęło się moje tułacze życie na wolności. Do domu nie mogłam wrócić, musiałam się ukrywać.

Waldek mieszkał z matką w małym domeczku na peryferiach miasta. Domek zbudowali rodzice Waldka własnoręcznie, przy czym w trakcie budowy zginął ojciec, przywalony krzywo postawionym kominem. Matka z chłopcami – Waldek miał starszego brata – jakoś wykończyli chałupkę i zamieszkali w niej. Pierwszą moją tułaczą przystanią był właśnie ten domek. Waldek przyprowadził mnie tam, przedstawił matce i tam zostałam.

Już pierwszego dnia zostałam w tym domu sama, a właściwie z kurą, która też tam mieszkała. Rozejrzałam się po mieszkaniu: trzy malutkie pokoiki i kuchenka były dosłownie przytłoczone masywnymi, rozłożystymi rzeźbionymi meblami gdańskimi. Dla mieszkańców zostało niewiele miejsca. Pomyślałam, że takie meble świadczą o dawnej zamożności mieszkańców.

Waldek poszedł do pracy na kolei, jego matka natomiast pojechała do więzienia, gdzie przebywał jej starszy syn. Usiłowała dostarczyć mu paczkę z żywnością i bielizną, lecz Niemcy uparcie jej odmawiali, a ona uparcie każdego dnia stała pod więzieniem w nadziei, że zmienią zdanie.

Z nudów pościierałam kurze z misternie rzeźbionych mebli, wytrzeptałam chodniczki a potem zaczęłam zaglądać do szaf i kredensów w nadziei, że znajdę jakąś książkę, jakiś papier czy ołówek. Nic z tych rzeczy: szafy były puste, a nawet odzieży było w nich niewiele.

Dzień włókł się w nieskończoność, a ja przywykła do pracy i ruchu nie mogłam go przeczekać. Wreszcie przyszła gospodyni. Miałam na płycie gorącą czarną kawę zbożową, a ona przyniosła chleb. To była nasza kolacja.

Krzążając się po kuchni gospodyni rozmawiała ze swoją kurką, która chodziła za nią krok w krok.

Jak minął dzień kurko? – pytała gospodyni.

Ko, ko, ko – odpowiadała kurka przechylając łeppek na jedną stronę i patrząc jednym okiem na swoją rozmówczynię.

Nie jesteś głodna?

Ko, ko, ko – odpowiadała kurka, co mogło równie dobrze oznaczać tak, jak i nie.

Ta rozmowa trwała aż do chwili, gdy kurka poszła spać.

Potem wracał Waldek z pracy, czasami coś przywoził do jedzenia od moich rodziców, lub z czarnego rynku i bywał tak zmęczony, że natychmiast kładł się spać. Wg tego scenariusza miały upłynąć następne dni. Nie miałam do kogo ust otworzyć: nawet kura nie chciała ze mną rozmawiać.

Czułam, że nie wytrzymam dłużej bezczynności i wyizolowania.

W wyniku rozmowy z Waldkiem, przeprowadziłam się do jego sióstr mieszkających w centrum Białegostoku. Jednak czułam, że jestem dla nich ciężarem. One same nie miały co jeść, a jeszcze musiały dzielić się ze mną.

Mój ojciec wymyślił dla mnie kolejną kryjówkę na wsi za Białymstokiem. Od Waldka otrzymałam informację, gdzie i kiedy mam się zgłosić, skąd będę odebrana i dowieziona pod umówiony adres.

Waldek jeszcze wcześniej prosił mnie, żebym zabrała przy okazji pistolet i doręczyła komu trzeba. Z młodzieńczą

beztroską obiecałam, że załatwię sprawę. Przed samym moim wyjazdem Waldek rozmyślił się i powiedział

Nie chcę cię narażać, może znajdę inną okazję.

Szłam ulicami Białegostoku, gdy nagle po przeciwnej stronie jednej z ulic zobaczyłam oficera niemieckiego, który ujrzawszy mnie, ruszył przez jezdnię wprost na mnie. Zdębiałam, lecz nie straciłam zimnej krwi. Wskazał na walizkę więc zrozumiałam, że chce żebym ją otworzyła.

Ręką w skórzanej rękawiczce pogrzebał w dziewczęcych fatałaszczkach, potem zrobił nieokreślony ruch tą samą ręką i milcząc poszedł sobie. Drżącymi rękami zamykałam walizkę, a zamek stawiał niezrozumiały opór. W głowie huczało: pistolet! Boże, co by było gdybym go miała w walizce! Ilu ludzi mogło ucierpieć, gdyby wydusili ze mnie nazwiska: i moja rodzina ... Potem jeszcze pomyślałam, dlaczego nie zażądał ode mnie dokumentu, którego zresztą i tak nie miałam. Po prostu nie przyszedł jeszcze mój czas i dzięki Bogu. Niemiec miał z lewej strony rozległy rumień na twarzy: tak ciemny, że prawie fioletowy. Kiedy grzebał w mojej walizce patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana. Aż się zawstydziałam swojej niezdrowej ciekawości. Patrzyłam jak odchodzi, aż zginął w perspektywie ulicy.

Dwóch mężczyzn już na mnie czekało. Pojechaliśmy konnym wozem, a droga okazała się daleka. Po drodze oni posilali się pachnącym wędzonką mięsem i chlebem, a mój żołądek ścisnął się z głodu i burczał rozszalony, lecz mężczyźni z niewiadomych mi przyczyn, nie poczęstowali mnie.

Zajechaliśmy na miejsce bardzo późno w nocy. Wszyscy już spali. Byłam wdzięczna gospodyni, że poczęstowała mnie mlekiem i chlebem, zanim wskazała mi miejsce do spania.

Noc była jasna, księżycowa. Przez nie zasłonięte okna widziałam drzewa, a na nich liście wielkości końskiej głowy. Staralam się dociec co to za drzewa, lecz przeszkadzał mi w tym Niemiec z ciemnym rumieniem na twarzy i pistolet w walizce.

Rano poznałam rodzinę moich obecnych gospodarzy. Byli to rodzice, trzech dorosłych synów i brat ojca, czyli stryj.

Trwały wykopki, więc od razu poszłam z gospodarzami na pole. Po kilku dniach prace zakończono, a ja zaczęłam zajmować się pracami porządkowymi w domu. Wieczory były bardzo wesołe. Przychodzili chłopcy ze wsi ciekawi panny „ze świata”. Raz nawet poszłam na wiejską zabawę pod warunkiem, że chłopcy przyprowadzą mnie do domu w całości, jak zaznaczyła gospodyni. Wieś nazywała się Czarnystoczek. Nie byłam tam długo. Myślę, że gospodyni bała się, że za dużo chłopców krąży wokół mnie i nie chciała brać na siebie odpowiedzialności. Te olbrzymie liście na drzewach, to były indyki, które w ten sposób spędzały noc.

BROŃCIA

Następnym etapem mojej tułaczki była wieś Koziniec, gdzie mieszkali nasi krewni. Z pobytu u nich zapamiętałam tylko umierającego dziadka i okropny ból zęba. Pamiętam jak biegałam po brzozowym lesie, drapałam korę paznokciami, gryzłam gałązki, żeby ból zwalczyć bólem. Było w domu kilka tabletek przeciwbólowych, które mi już nie pomagały. Byłam bliska obłądu, gdy po tygodniu dotarła do mnie wiadomość, że mam wracać do domu. Wiadomość była tak radosna, że nagle ból zęba nagle ustąpił. Miałam czekać na Waldka, który przesznuje mnie do domu.

Najpierw pojechaliśmy do Białegostoku gdzie usunięto mi obolały ząb i gdy tylko poczułam się lepiej, wybraliśmy się nareszcie do domu.

Podróż pociągiem była na tyle skomplikowana, że aby dostać bilet, trzeba było mieć „auswejs”. Ja natomiast nie miałam żadnego dokumentu tożsamości.

Waldek poradził sobie i z tym problemem. Pociąg osobowy miał doczepione wagony towarowe. Waldek jako pracownik kolei poruszał się po tym terenie swobodnie i korzystając

z odpowiedniej chwili, zapakował mnie do pustego wagonu towarowego. Wagon był absolutnie pusty, bez żadnego uchwytu w ścianie, bez dziury, w którą można by włożyć rękę aby się przytrzymać. Gdy tylko pociąg ruszył a lokomotywa szarpnęła wagony, siłą bezwładności przeleciałam przez cały wagon i znalazłam się pod przeciwległą ścianą. Podczas hamowania leciałam z powrotem i tak bez przerwy, ponieważ nie był to pociąg pośpieszny.

Była zima, na zewnątrz panował mróz, a ja od biegania byłam cała spocona.

Waldek jechał w wagonie osobowym i czekał, aż przejdą kontrolerzy. Kiedy tylko nadeszła właściwa chwila i pociąg przystanął na najbliższym przystanku wyskoczył, błyskawicznie wyciągnął mnie z wagonu towarowego i wprowadził do osobowego. Myślę, że nawet nikt nie zauważył tej operacji. Spokojnie dojechaliśmy do przystanku położonego najbliżej mojego domu.

Mój dom, w którym nie było mnie tak długo – wieki całe. Jakże stęskniłam się za nim i za moimi bliskimi! Jak dobrze być w domu.

Ustaliliśmy zasady konspiracji. Dom stał na niewielkim wzniesieniu skąd były widoczne wszystkie drogi i zawsze w czas można było zauważyć żandarmską bryczkę. Miałam schowek na strychu, a w obliczu poważnego niebezpieczeństwa biegłam do sąsiadów. Na szczęście na kontrolę przyjeżdżał inny żandarm, nie sam komendant, a ten zadowalał się zwykle butelką samogonu. Wszyscy domownicy nauczyli się nieustannie obserwować drogi biegnące wokół naszego gospodarstwa, dzięki czemu ani razu nie dałam się zaskoczyć.

Ukrywałam się też przed sąsiadami, którzy mogli mimo woli wygadać się o mojej ucieczce. W czasie kiedy byłam na Koziańcu u swoich krewnych, taki jeden mały berbeć nazwał mnie Brońcią i nie przyjmował do wiadomości, że mam na imię Zosia. Oczywiście, to nowe imię przyłgnęło do mnie jak łąta do kożucha i stało się moim pseudonimem.

Wyobrażaliśmy sobie, że gdyby żandarm zadał pytanie komuś z moich małych braci gdzie jest Zosia, odpowiedzieliby zdziwieni:

- U nas nie ma Zosi tylko Brońcia.

Brońcia zaś żandarmów nie interesowała.

UNTEROFFIZIER Antek

Właśnie minął rok od mego porwania i ucieczki. Znowu była jesień. Miałam już serdecznie dość strachu i ukrywania się, gdy nagle rozeszła się wieść, że komendant żandarmerii ogłosił amnestię.

Nie wiedzieliśmy co robić: ujawnić się czy nadal żyć w podziemiu? Postanowiłam się ujawnić. Pojechałam do tego samego miasteczka, na ten sam posterunek, gdzie zastałam całą grupę młodzieży, z którą wyjeżdżałam. Wszyscy uciekli, co do jednego. Nie było czasu wypytywać o szczegóły ucieczki, ponieważ każdego z nas zabrano do osobistej obróbki. Zrobiono zdjęcia, wypisano „auswejsy” i mnie skierowano do pracy w miejscowej Twierdzy Osowiec. Trzeba przyznać, że komendant żandarmerii niemieckiej potraktował nas po ludzku.

Moja trasa, którą od dzisiaj będę przemierzała rowerem rano i wieczorem, to kilometr polną drogą, cztery kilometry szosą obok cmentarza i przez las, przejazd przez tory kolejowe, ścieżka nad fosą wypełnioną wodą, dworzec kolejowy, a za nim już brama zamykająca dostęp na teren Twierdzy.

Pokazałam wartownikowi „auswejsy” oraz skierowanie do pracy. Gestem wskazał mi dalszą drogę. Wskoczyłam na rower i wkrótce ujrzałam rozległy dziedziniec otoczony barakami i kopułami schronów zamaskowanych rosnącymi na nich krzewami i drzewami.

Przed jednym z baraków stały dwa szeregi: dziewczęta, a naprzeciwko chłopcy. Pomiędzy dwoma szeregami stał niemiecki oficer, a po jego obu bokach, stali chłopak i dziewczyna.

Szybko postawiłam rower na stojaku obok innych rowerów i dołączyłam do szeregu dziewcząt. Niemiec coś powiedział po niemiecku do towarzyszącej mu dziewczyny, która przetłumaczyła na polski, zwracając się do mnie

- Jesteś nowa, więc nie wiesz, że spóźnienia są karane. Tym razem będzie ci darowane, lecz gdy się to powtórzy, będziesz ukarana. Przyjęłam to do wiadomości z przykrością, nie lubiłam być strofowana.

Dziewczyna tłumaczka zameldowała o stanie liczebnym grupy, zwiększonym o jedną nową robotnicę. Potem Niemiec odwrócił się twarzą do chłopców, odbierając meldunek od tłumacza chłopca. Chłopiec wygłosił najpierw wiązanekę najgorszych przekleństw i obraźliwych epitetów pod adresem Niemca w języku polskim, a potem złożył właściwy meldunek po niemiecku. Byłam zdezorientowana i przerażona tym, co zaraz nastąpi – coś strasznego, jakieś kary i represje, lecz zauważyłam, że dziewczyny kryją uśmiechy zasłaniając twarze dłońmi, więc już spokojnie czekałam na dalszy ciąg.

Dalszy ciąg był zupełnie zwyczajny. Weszliśmy do bardzo długiego baraku, gdzie całą jego długość zajmował stół. Dziewczęta usiadły każda na swoim miejscu a ja na końcu zajęłam wolny stołek. Dwie moje sąsiadki od razu mi się przedstawiły: Irka i Czesia. Od pierwszego dnia do końca, t.j. prawie dwa lata siedziałyśmy obok siebie i zaprzyjaźniłyśmy się serdecznie. Wprowadziły mnie w życie babskiej społeczności, nauczyły jak się zachowywać w stosunku do poszczególnych nadzorców, z kim można pożartować a z kim „Halt das Maul” „morda w kubel”.

Chłopcy przynieśli pełne skrzynie amunicji pomieszczonej i brudnej, wysypali ją na stół, a naszym zadaniem było oczyścić każdą sztukę i posortować wg kalibru oraz zapakować do pustych skrzyń.

Praca nie była ciężka, lecz nudna. Pracowałyśmy od godziny siódmej do siedemnastej z godzinną przerwą na obiad. Obiad, pozał się Boże: „chleb bosi i kawa po ciemku”. Tak ogólnie określaliśmy nasze jedzenie zabierane z domu do

pracy. Rzadko kto miał plasterk słoniny do tego chleba. Trudno uwierzyć w to, żeby ludzie ze wsi nie mieli co jeść, ale trzeba było karmić Niemców na frontach.

Chłopcy pracowali na innym bloku i zajmowali się amunicją cięższego kalibru. Cały ten wojenny chłam przywożono z frontu wschodniego, gdzie też po przesortowaniu był odsyłany.

Tego pierwszego dnia nie miałam czasu się nudzić, bo moje nowe przyjaciółki Czesia i Irka cały czas opowiadały mi o wszystkim, o czym powinnam wiedzieć. A więc Unteroffizier posiadał oczywiście jakieś nazwisko, lecz wszyscy Polacy mówili o nim i do niego po prostu Antek. Podobno był tak tępy, że nie potrafił nauczyć się ani jednego polskiego słowa, co wykorzystywał chłopiec-tłumacz, obdarzając go złośliwymi epitetami, podczas porannej zbiórki. Antek wysłuchiwał tych epitetów z nieprzeniknioną twarzą, rzekomo nic nie rozumiejąc. Był komendantem naszych dwóch bloków amunicyjnych. Oczywiście były jeszcze inne bloki z innego rodzaju chłamed jak: maski gazowe, skóry na buty, buty, koce, artykuły sanitarne, np: podgumowane prześcieradła itp. Antek pełnił dyżury w naszym bloku jak inni nadzorcy. Pamiętam Feldfebla Tylmana (ten miał nazwisko) oraz chłopca z Luksemburga, który w przeciwieństwie do Antka, nauczył się języka polskiego w przeciągu dwóch tygodni i z każdym dniem pogłębiał jego znajomość. Feldfebel Tylman był człowiekiem, którego można było przyłożyć do rany, co oczywiście było wykorzystywane przeciwko niemu. Płatano mu najprzeróżniejsze figle.

Najsroźszy był oczywiście Unteroffizier Antek. Podczas swego dyżuru chodził dookoła stołu, patrzył dziewczętom na ręce i powtarzał:

- Schneller, schneller Mensch.

Lecz i na Antka był sposób, żeby uspokoić jego uwagę i zwolnić tempo pracy a mianowicie śpiew. Z samego rana dziewczęta najpierw opowiadały swoje przeżycia, powtarzały ploteczki, obgadywały koleżanki oraz chłopców a potem

zaczynały śpiewać. W całym tym babskim społeczeństwie można było wyodrębnić dwie grupy etniczne, chociaż linia podziału była dosyć niska. Były to Mazowszanki, które używały mazurskich słów i Podlasiarki, u których występowały rusycyzmy.

Ja należałam do Podlasiarek. My miałyśmy swój repertuar piosenek, a Mazowszanki swój. Czasami zaczynały one, a czasami my.

Były to piosenki głównie o miłości, najczęściej nieszczęśliwej, o śmierci spowodowanej miłością i różne takie sentymentalne głupstwa. zawarte w piosenkach obu grup.

Antek lubił piosenki rosyjskie i to już była domena Podlasiarek. Znałyśmy dużo rosyjskich piosenek a Antek zatracił się w słuchaniu bez reszty.

Prosił nas o nie, a ja myślę, że to była jego osobliwa nostalgia za wschodnim frontem, bo gdzie indziej mógł je słyszeć?

Tak więc wszyscy byli zadowoleni i śpiewający i słuchający a czas do przerwy obiadowej mijał szybko, śpiewając – jakby można powiedzieć.

Chociaż wspomniałam o tych grupach etnicznych, nie znaczy, że żyłyśmy w odosobnieniu lub nieprzyjaźni. Wręcz odwrotnie, stanowiłyśmy jedną zwartą rodzinę sióstr.

W obozie w Osowcu byli również jeńcy wojenni: Włosi, Francuzi i Rosjanie.

Włosi wykorzystując nieuwagę Niemców podkradali się pod ogrodzenie swojego obozu w czasie gdy jechałyśmy do pracy, wystawiali ręce przez oka siatki i prosili:

Pani, kleba.

Przynosiły im ten chleb szczególnie dziewczęta, bo Włosi byli urodziwi i dobrze im było w mundurach strzelców alpejskich. Przychodzili też czasami na blok, gdy zdarzały się awarie prądu. Można było z nimi się dogadać znając kilka łacińskich słów. Ja zdążyłam nawet wymienić adresy z jednym z nich, lecz listy nigdy nie zostały napisane.

Z Francuzami i Rosjanami nie mieliśmy kontaktów.

Wracalam z pracy sama. Wszystkie kolezanki rozjezdzały się w różnych kierunkach, a ja wracalam samotnie. O godzinie siedemnastej jeszcze nie było ciemno, lecz kiedy wjechałam w las, nagle ogarnął mnie mrok i dreszcz strachu uniósł mi włosy na głowie. Jechałam szybko z nadzieją, że strachy nie nadażą za mną. Przemknęłam obok cmentarza udając, że go nie widzę i skręciłam na polną boczną drogę. Tutaj już było lepiej. W oddali widziałam ciemny blok zabudowań swojego gospodarstwa i wkrótce znalazłam się na podwórku. Rzuciłam rower byle jak pod ścianę i nie oglądając się za siebie wpadłam najpierw do ciemnej sieni, a potem do jasnej, ciepłej kuchni.

Wszyscy już na mnie czekali i zarzucili pytaniami, lecz moja Babka ofuknęła niecierpliwych.

- Pozwólcie dziewczynie zjeść obiad, cały dzień była głodna – i postawiła na stole talerz parującego smakowicie kapuśniaku.

Wokół siedzieli Rodzice, ciotka Jania, siostra Lucyna i nawet młodszy bracia patrzyli na mnie z nadzieją, że gdy skończę jeść, to co najmniej pokażę im cyrkowe sztuczki, lub wyciągnę z zanadru wiewiórkę.

Byłam z natury otwarta i zawsze opowiadałam w domu ze szczegółami swoje przygody i przeżycia. Tak było i tym razem. Gdyby nie Babka, która przypominała, że jutro muszę wcześniej wstać, opowiadałabym pewnie całą noc.

- Królestwo za godzinę snu – myślałam czując jak mnie ktoś szarpie za ramię.

Przypomniałam naganę za spóźnienie i wyskoczyłam z łóżka jak oblana kubłem zimnej wody.

Plącząc się naciągnęłam spodnie, ciepłe skarpety, sweter z owczej wełny własnoręcznie zrobiony na drutach, przemyłam zaspane oczy i już na stojąco zjadłam talerz zupy mlecznej. W kieszeni kurtki była kanapka, pozostało już tylko wskoczyć na rower i naciskać na pedały.

Wrzesień był jeszcze ciepły, lecz co będzie zimą? Moje cienkie płócienne spodnie nie ochronią mnie przed mrozem. Te spodnie miały własną osobliwą historię.

Babka Karolina wracając z Ameryki po roku 1900, przywiozła trochę mebli, a między innymi kanapę bardzo elegancką obitą wzorzystym pluszem, na toczonych nogach. Ta kanapa służyła nam około trzydziestu lat, aż wreszcie zmurszała i zaczęła się rozsypywać, stoczona przez korniki.

Nadszedł dzień, kiedy kanapa znalazła się na podwórku na deszczu i słońcu. Stała już dość długo, gdy pod wytartym pluszem odkryłam warstwę grubego płótna w zupełnie dobrym stanie. Ucieszyłam się, od razu wiedząc, że uszyję z tego spodnie. Była okupacja, nic nie można było kupić a dzieci rosły i potrzebowały ubrań. Spodnie, które uszyłam służyły mi przez wszystkie jesienie i zimy okupacji. Do tego krawiec uszył mi półkożuszek z baranich skór, zrobiłam sobie czapkę „pilotkę” i byłam zabezpieczona na zimę.

Na razie było jednak dość ciepło, chociaż wrzesień miał się ku końcowi. Jeździłyśmy w samych swetrach lub kurtkach, z gołymi głowami. Rozplanowałam sobie czas tak, aby się nie śpieszyć, lecz także nie spóźnić się.

Ponieważ zachowywałyśmy się poprawnie, nie było żadnych konfliktów między nami i naszymi nadzorcami. Aż tu nagle pewnego dnia Antek znalazł jakiś powód aby się przyczepić. Musiało to być jakieś głupstwo, bo zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, jakie to było przewinienie. Może nie dość czyste pozostawione stanowisko pracy którejś z dziewcząt – nie wiem.

W każdym razie zostałyśmy skazane na godzinę zamknięcia w bunkrze po zakończeniu pracy. Odsiadywałyśmy tę karę z humorem, na wesoło, lecz gdy wreszcie otworzyły się ciężkie drzwi a za nimi ujrzałyśmy nieprzenikniętą ciemność zagęszczoną deszczem, miny nam zrzedły i jakbyśmy były umówione, żadna nie ruszyła się z miejsca.

- Los! – wołał Niemiec.

- Nein – odpowiadałyśmy jednogłośnie.

Niemiec odszedł, a następnie wrócił z kolegą i obaj zaczęli wykrzykiwać swoje „Los”. Żadna z nas się nie ruszyła. Naprawdę lepiej było spędzić noc w ciemnym bunkrze, gdzie

przynajmniej było sucho, niż brnąć w deszczu i ciemności tyle kilometrów.

Niemców nie było dłuższy czas, a gdy się zjawili, nieśli latarnie i peleryny przeciwdeszczowe i rozmawiali z nami używając słowa „bitte” a nie „los”. Każda grupa dziewcząt idąca w tym samym kierunku dostała latarnię i kilka peleryn. Ja sama dostałam pelerynę i latarnię.

Szłam samotna, łzy mieszały się z deszczem. Chociaż latarnia wskazywała drogę, lecz jednocześnie wskazywała mnie wszystkim strachom, duchom, złym ludziom i złym mocom. Tego dnia nie miałam roweru, który mi zawsze dodawał odwagi. Dotarłam do domu późną nocą przerażona i zmęczona nieludzko. A za kilka godzin znowu pobudka jak co dzień.

Na drugi dzień Antek udawał, że nic się nie stało, a my ukarałyśmy go całodziennym milczeniem. Tego dnia nie było śpiewania. Ze sobą rozmawiałyśmy szeptem, ukrywając rozmowę gdy się zbliżał.

Wiedziałyśmy jednak, że jest mu głupio i miałyśmy swoją niewielką wprawdzie, lecz satysfakcję.

Po kilku dniach incydent poszedł w zapomnienie i znowu zaczęły się śpiewy.

W najbliższą sobotę Antek zwolnił nas z pracy o dwie godziny wcześniej. Myślę, że to była rekompensata za tamten jego „wyczyn”.

Ciągle trwała wojna, ludzie ginęli na frontach i w obozach, lecz my byłyśmy młode i na dodatek nasza młodość przypadła na takie podłe czasy. Myślę, że nie można nam było brać za złe, że czasem potańczyliśmy przy zdartych płytach gramofonowych, lub brzęku gitary. Wszak młodość się musi wyszumieć a innej możliwości, na przykład walki podziemnej nie mieliśmy.

Moje życie towarzyskie toczyło się dwoma równoległymi torami.

Jedna paczka to byli koledzy i koleżanki Irka i Czesia z pracy. Spędzaliśmy razem nieliczne wolne chwile jak np.

przerwa obiadowa w pracy, a czasami jeździłam do nich po pracy, gdzie spędzałam noc, oczywiście za wiedzą rodziców.

Druga paczka, to byli chłopcy z okolicznych wsi i jedna koleżanka, a nawet przyjaciółka, Janka. Chłopców zwykle była cała gromada, a nas tylko dwie. Obie miałyśmy siostry, lecz znacznie młodsze, jeszcze właściwie dzieci. W obu tych paczkach nie było par: były to grupy towarzyskie. Spędzaliśmy wspólnie sobotnie wieczory i niedziele na potańcówkach u mnie, jako że ja jedyna miałam gramofon i trzy płyty, chodziliśmy na wspólne spacer, a zimą organizowaliśmy kuligi.

Mój chłopak pracował w innym mieście i rzadko przyjeżdżał do domu, rzadko też brał udział w naszym życiu towarzyskim. Określenie „mój chłopak” jest nieściśle: to raczej ja byłam jego dziewczyną, jako że kochał się we mnie od trzeciej klasy szkoły podstawowej, aż do swojej śmierci.

W owym czasie wszystkich chłopców traktowałam jednakowo, o co Edek był zazdrosny, może nawet chorobliwie.

Ja przeżyłam swoją pierwszą wielką miłość, nie rozumiejąc nawet tego słowa. Miłość w moim odczuciu, to było niby nieumyślne dotknięcie dłonią dłoni ukochanego, to było wystawanie w oknie i czekanie na jego przyjazd. Wystarczyła sama jego obecność w domu, gdy rozmawiał z rodzicami, a ja zajmowałam się zupełnie czym innym. Miłość, to słoneczna niedziela i kwiatek wpięty we włosy specjalne dla niego. Spojrzenia, uśmiechy, nagle rumieńce na twarzy i pierwszy raz głośno wymówione jego imię. Potem pożegnanie nocą, pierwszy i ostatni pocałunek w usta i jego słowa: - Pamiętaj, że masz być moją żoną. Tymczasem czwarty rok mijał od chwili pożegnania. Nie dopuszczałam myśli, że zginął w wojennej zawierusze i całe życie czekałam na niego, pomimo, że miałam dwóch mężów, wychowałam dzieci i wnuki.

Rana w sercu nie goiła się, lecz stawała się coraz słodsza. Moja wielka miłość: tym większa, że nie spełniona, trwała do końca moich dni. Życie mimo to toczyło się swoją koleją.

Moją ulubioną piosenką śpiewaną w pracy była Ta, której słowa właśnie przytoczę. Była ona jakby odczuciem mojej niespełnionej miłości.

- W tajemnej głębi ducha, gdzie cicha łza
Jesienna zawierucha stęsknioną piosnkę gra.
Dziś między mną a tobą nic prócz minionych burz,
prócz mogił zmarłych tęsknot i wieńców zwiędłych róż.
Może ci szkoda kwiatów rzuconych wiosną w dal?
Żal serca poematów? Mnie tylko ciebie żal.
Płonąca lampka marzeń wygasła już do cna,
Wiatr szumi pieśń jesienną i łka i łka i łka.

Właśnie mi szkoda kwiatów rzuconych wiosną w dal – jak moja miłość rzucona w wir wojennej zawieruchy.

Chłopak z Luksemburga w niemieckim mundurze, zakochał się w Irce Kossakowskiej. Tylko niech komuś nie przyjdzie do głowy, że my Polki puszczałyśmy się z Niemcami, lub oni usiłowali nas gwałcić. Nic z tych rzeczy. Luksemburczyk po prostu adorował Irkę. Pytał mnie na przykład, jaki kolor oczu ma Irka, a jaki kolor włosów. Potem podchodził do niej i mówił:

- Irka, kocham twoje blond oczy i niebieskie włosy.

Wybuch śmiechu całego zgromadzenia wcale go nie peszył. Powtarzał swoje zdanie potąd, aż wychodziło prawidłowo. Nigdy nie widziałam człowieka, który tak szybko uczył się języka a zwłaszcza polskiego.

Szczęściara - żartowałyśmy z Czesią - Zakochał się w niej obcokrajowiec. W jakiś czas potem, podczas pracy, Antek stanął za moimi plecami i długo obserwował ruchy moich rąk, a potem powiedział:

- Sofie, du bist mejne platonische Lieben. – Zaniemówiłam, a potem pomyślałam trzeźwo, że dobrze, że tylko „platonische” i że z tego może mieć korzyści cała grupa. Uśmiechnęłam się więc wdzięcznie i powiedziałam:

- Danke, Herr Unteroffizier.

Pozostałym dziewczynom musiałam wytłumaczyć co znaczy platoniczna miłość, żeby sobie nie pomyślały o mnie

czegoś niestosownego. Zresztą na terenie twierdzy była też karna kompania dziewcząt niemieckich i było wszystkim wiadome do jakich celów były wykorzystywane.

Stykając się z nimi pytałyśmy, dlaczego tak cudacznie ubierają się to znaczy: na spodzie spodnie, potem spódnica i dopiero kurtka. Wytłumaczyły nam, że jak się idzie z chłopakiem w krzaki, to się zdejmuje spodnie, a sukienka zakrywa gołe pośladki. Skromne dziewczyny, nieprawdaż?

Zdawało się, że zawsze będzie ciepło, a tymczasem nieoczekiwanie nadeszła zima z całym arsenałem środków bojowych. Gdy teraz usłyszę w radio czy telewizji, że gdzieś tam została sparaliżowana komunikacja, bo spadło trzy cale śniegu, to pękam ze śmiechu wspominając, jak walczyliśmy z dwumetrowymi zaspami śniegu, bez pomocy odśnieżarek, dmuchaw i jakich tam jeszcze środków odśnieżania obecnie stosowanych.

Szczęściem było, jeśli szosą przejechał jakiś ciężarowy wóz niemiecki. Wtedy można było jechać rowerem wyłobioną koleiną. To się jednak rzadko zdarzało. Cały transport niemiecki wojskowy odbywał się koleją, a transport samochodowy w ogóle nie istniał.

A więc jest wieczór. W miejscu gdzie szosa biegnie przez odkryte bagna, śnieg jest wywiany z drogi i mogę jechać rowerem. W lesie zaczynają się zasy, przez które brnę, wlokąc przy tym rower. Jestem spocona od wysiłku, lecz palce nóg i palce rąk, pomimo rękawiczek mam sztywne. Co jakiś czas przystaję, tupię nogami i rozbijam ręce. Kiedy docieram do polnej drogi, znowu mam odcinki pozbawione śniegu, po których mogę jechać. Dzisiaj, kiedy odtwarzam tę moją drogę, na której jestem jedyną podróżniczką, zastanawiam się, dlaczego wtedy nie bałam się wilków. A przecież mogły mnie schrupać z apetytem w każdej chwili.

Zwykle z pracy wyjeżdżałyśmy całą grupą, jadąc oblodzoną ścieżką nad zamrzniętą fosą i dopiero za przejazdem kolejowym rozjeżdżałyśmy się każda w swoją stronę. Jeśli pracę kończyłyśmy punktualnie, zawsze na

przejeździe kolejowym stał pociąg wracający z frontu wschodniego do Berlina. Skład był tak długi, że nie sposób było go objechać: trzeba było czekać na przejeździe, aż rękaw semafora pozwoli mu ruszyć.

Niemcy wychylali się z okiem, usiłowali z nami rozmawiać, lecz każda rozmowa zaczynała się tym samym zdaniem – „moja kochana pokaż kolana”. I chociaż pociąg był każdego dnia inny i ludzie w nim też inni, to słowa były zawsze te same. Obserwowałyśmy mijający nas skład: sprzęt wojskowy, wagony osobowe, towarowe, pozabijane na glucho. Gdy się zaczęła zima pociągi nie kursowały już tak regularnie i przejazd kolejowy bywał wolny.

Antek też jakby nieco złagodniał. Nie karał za spóźnienia do pracy, ani za nieobecność z powodu choroby. Rozumiał, jak trudno pokonać pięć a w niektórych przypadkach nawet więcej kilometrów, aby dotrzeć do Twierdzy.

Już na początku grudnia chwyciły takie mrozy, jakich ludzie starsi nie pamiętali. Miałam odmrożone palce u nóg, a ręce czerwone i splekane.

Mimo to, każdego ranka dawało się nura w to piekło i jakoś udawało się je pokonać. Gdy już docierałam do ciepłej hali, witały mnie roześmiane twarze koleżanek i współpracownic, które jakby w normalnych warunkach zajmowały swoje stanowiska pracy.

W innej części Twierdzy pracowała moja przyjaciółka Janka Pisanko, która zaliczała się do paczki towarzyskiej domowej. Pracowała ona w innych godzinach i dlatego dotąd nie mogłyśmy jeździć razem. Tymczasem zmieniono im rozkład pracy dostosowując do naszego i – co za ulga – byłyśmy na pustej szosie dwie wędrowniczki. Miałyśmy sobie tyle do powiedzenia: raz pękałyśmy ze śmiechu, to znowu czując się bardzo pokrzywdzone przez los płakałyśmy na cały las, pokonując zaspę śnieżną.

Tymczasem mróz zelżał, a nastąpiły opady śniegu. Wsie poginęły pod śniegiem a że przy tym obowiązywało zaciemnienie, stały się zupełnie niewidoczne. Las podsypyany

od dołu i od góry, przypominał bardziej teren pagórkowaty niż las.

Czysta nieskażona biel, cisza dzwoniąca w uszach i spokój, spokój Czy mogło być coś bardziej pięknego, gdyby nie przymus codziennego oglądania tego piękna? Nam się stale marzył ogień pod płytą kuchenną, parujące garnki na blasze i sen. Długi, długi sen. Lecz gdy przychodziła niedziela i można było spać cały dzień, szkoda było na to życia. Przyjeżdżali chłopcy saniami zabierali mnie, a potem po drodze Jankę i mknęliśmy po śniegu a wypoczętych koni nie trzeba było zachęcać do biegu. Wybieraliśmy boczne wiejskie drogi, ledwie przetarte chłopskimi saniami, a i tak raz natknęliśmy się na Niemców. Wyłonili się saniami z za jakiejś większej zasy, a nasz woźnica stracił głowę i zaczął uciekać. Nasze konie były szybsze i Niemcy widząc, że pościg się nie uda, zaczęli do nas strzelać. Wpadliśmy do wsi, rozbiegliśmy się po chatach a jak chłopcy zdołali ukryć konie i sanie, to już ich tajemnica.

Przez następnych kilka dni temperatura utrzymywała się na granicy odwilży i życie stało się łatwiejsze.

Każdą przerwę obiadową spędzaliśmy wraz z chłopcami na spacerze, po drodze jedząc swoje skromne kanapki. Najwięcej jedzenia przynosiła Czesia Chmielewska, której ojciec był w miasteczku felczerem. Tę informację zostawiam bez komentarzy. Czesia dzieliła się z nami solennie, a nawet przynosiła kanapki przystojnym jeńcom włoskim.

Zresztą kogo obchodziło wtedy jedzenie. Było jak było a my byliśmy młodzi i to rekompensowało wszystkie braki.

Pewnego dnia Czesia z Irka przyszły do pracy bardzo rozbawione. Na moje pytania o przyczynę tak dobrego humoru, wybuchały niepowstrzymanym śmiechem. Z rana dyżur na hali pełnił Antek, a po nim miał być feldfebel Tylman. Dziewczyny w końcu powiedziały wśród chichotów, żebym pilnie obejrzała płaszcz Tylmana. Moja ciekawość została rozgrzana do białości. Nie patrzyłam na ręce, tylko na drzwi wejściowe.

- Tylko obserwuj dyskretnie – zastrzegła Irka.

Nie trzeba było wielkiej uwagi, aby zobaczyć na prawej pole płaszcza i kieszeni wielką ciemną plamę wielkości półmiska.

Spojrzałam pytająco na obie dziewczyny:

- Opowiemy ci w czasie przerwy obiadowej – obiecała Irka.

Niewielki mróz pozwolił nam jeść drugie śniadanie na dworze. Znalazłyśmy zaciszny kącik i obie dziewczyny przerywając sobie wzajemnie i co chwila wybuchając śmiechem, opowiedziały wreszcie co się stało.

Otóż feldfelbel Tylman wprosił się do Czesi w gościnę. Cóż miała robić, zgodziła się, a zresztą Tylman był porządnym człowiekiem i nienawidził Hitlera. Czesia upiekła gęś i jeszcze przygotowała jakieś smakołyki, zaprosiła Irkę i kilku kolegów. Koledzy oczywiście przynieśli samogonkę i zaczęto ucztować. Ponieważ wszyscy jednakowo psioczyli na Hitlera, przy stole panowała zgoda i było coraz weselej. Późną nocą Tylman począł się zbierać do powrotu, lecz na półmisku zostało jeszcze pół apetycznej gęsi. Tylman wstał, nałożył płaszcza, wziął gęś i zaczął wkładać do kieszeni. Ponieważ była za duża, chłopcy usłużnie pokroili ją na drobniejsze porcje i pomogli włożyć do kieszeni.

Gęś musiała być bardzo tłusta, o czym świadczyła plama na płaszczu. Musiała też być ulubioną potrawą Tylmana, bo przecież gdy dostawał paczki od żony, to zawsze nam oddawał, bo to były wyłącznie ciasta. Pośmiałam się wraz z koleżankami, ale pomyślałam, że wszyscy bez wyjątku byliśmy ofiarami wojny. W Twierdzy głodowali wszyscy jednakowo: i panowie, i niewolnicy, a najbardziej jeńcy rosyjscy. Zadawałam sobie nieraz pytanie dlaczego Antek tak bardzo lubi rosyjskie piosenki, a tak nienawidzi Rosjan.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Mnie osobiście najbardziej cieszyła perspektywa dwóch wolnych dni.

We wsi zjawili się jacyś obcy ludzie, opowiadali straszne rzeczy o obozach koncentracyjnych, o losach ludzi będących więźniami i prosili o wysyłanie paczek żywnościowych na

podane adresy. W paczkach mogły być tylko suchary z chleba. Zaraz z pierwszego wypieku Babcia odłożyła najbardziej wyrośnięty bochenek. Po przestygnięciu pokroiła go na kromki, a nam poleciła każdą kromkę posmarować smalcem, który wsiąkł w ciepły chleb. Kromki podsuszone w jeszcze ciepłym piecu chlebowym, stały się sucharami. Paczkę zanesiono na pocztę: czy dotarła do obozu? Kto to może wiedzieć? Chyba tylko sam Bóg. Wysłaliśmy jeszcze kilka takich paczek. Może na sądzie ostatecznym będzie nam to policzone? A może ktoś wysłał paczkę bliskiej nam osobie, a mianowicie mężowi Jani, który przepadł gdzieś na terenie Rosji, aresztowany przez władze sowieckie. Często się przecież zdaża, że dobry uczynek zaowocuje dobrym uczynkiem.

W każdym razie przygotowywaliśmy się do Świąt jak każdego roku. Przyniesiono ze strychu wielkie pudło z ozdobami żeby je odnowić. Ojciec w wielkiej konspiracji przed Niemcami zabił wieprza. Babcia zrobiła kiełbasy, ugotowała galaretę z nówek. Była też biała mąka pszenna zmielona także konspiracyjnie w wiatraku.

W pracy też panowało podniecenie nie tylko wśród nas, lecz także wśród Niemców. Nie wiedziałyśmy czy cieszą się z jakiegoś nowego zwycięstwa, czy to atmosfera zbliżających się Świąt wpłynęła na to. Feldfelbel Tylman wyjechał na urlop, nie było więc źródła wszelkich wiadomości z frontu i polityki.

Antek i tym razem okazał się człowiekiem. W Wigilię o godz. 12⁰⁰ złożył nam życzenia w towarzystwie pozostałych dozorców i pozwolił jechać do domów. Tutaj Jania z Lucią, moją młodszą siostrą kończyły ubierać choinkę, w czym usilnie przeszkadzali dwaj chłopcy: mój ośmioletni brat Stefek i syn Jani – czteroletni Sławek.

Na cały dom rozchodził się zapach wanilii, bo właśnie dopiekały się drożdżowe buły wielkie jak zasy pył śnieżny.

Mama przygotowywała potrawy wigilijne. Musiało ich być dwanaście, lecz bardzo trudno było osiągnąć tę liczbę.

Przebrałam się, wykapałam w balii, w wodzie pracownice naniesionej ze studni przez siebie. Potem nakryłam stół oprószony sianem przyniesiony przez Ojca – białym obrusem. Rodzina składała się z ośmiu osób, lecz nakryć i stolików było dziewięć: jedno dla nieobecnego męża Jani.

Chłopcy teraz zajęli się czymś nowym. Stali w oknie i wypatrywali pierwszej gwiazdki na niebie, aby można było zasiąść do stołu.

Najpierw życzenia wraz z dzieleniem się opłatkiem, usilnie powstrzymywane łzy przez dorosłych i niecierpliwość dzieci. Pod obrusem przy ich nakryciach coś leżało. Trzeba było jak najszybciej to obejrzeć. Skromne słodczyce zostały przyjęte z taką samą radością, jak najdroższe prezenty.

Był jeszcze ktoś, kogo brakowało przy naszym stole wigilijnym, lecz o nim myślałam tylko ja sama, a wspomnienie było zatarte i zamglone.

Tradycyjne śpiewanie kolęd po wigilii wypadło jakoś niemrawo, bez zwykłej werwy i radości. Pasterkę w naszym kościele ksiądz odprawiał o godzinie szóstej rano. Umówiłam się z Janką i chłopcami, że wszyscy spotkamy się w kościele. Janka miała piękny głos, ja też śpiewałam niezłe, miałyśmy więc okazję pośpiewać sobie do woli.

Umówiliśmy się, że po śniadaniu spotykamy się u mnie i wybierzemy się do lasu na narty. Narty, to były zwykłe deski o nieco podniesionych czubkach, lecz jak bardzo ułatwiały poruszanie się po tych ogromnych zwałach śniegu. Chłopcy zrobili je sobie sami, a dla mnie i dla Janki zrobił je wiejski stolarz.

Do wieczora chodziliśmy po lesie, zjeżdżaliśmy z niewielkich pochyłości, przy czym ja padałam najczęściej. Edek wprawdzie przyjechał na Święta, lecz nie miał nart a i tak był za poważny, aby brać udział w takim szaleństwie. Przyjechaliśmy pod dom Janki – ośnieżona banda bałwanów.

Janka poszła zapytać rodziców, czy możemy wejść. Postanowiono nas przyjąć jako kolędników ze śpiewaniem, za co zostaliśmy ugoszczeni. Ponieważ zachciało nam się

potaćczyć, postanowiliśmy przenieść się do mnie, ze względu na gramofon. W domu zastałam Edka i Waldka, mego wybawcę, który już dawno u nas nie był.

Waldek w przeciwieństwie do Edka był wesoły, towarzyski i bezkonfliktowy. Edek z nachmurzoną miną obserwował jak tańczę coraz to z innym chłopakiem. Towarzystwo rozeszło się wcześniej ze względu na godzinę policyjną. Tylko Waldek poprosił o nocleg, ponieważ wcześniej rano musiał się zgłosić do pracy na kolei w Osowcu.

Drugi dzień Świąt był podobny do pierwszego, tylko zamiast nart, jeździliśmy sankami, a potem znowu tańczyliśmy.

Wszystko co dobre – kończy się szybko. Minęły Świąta, a co gorsza skończyła się dobra pogoda i znowu nastały mrozy.

Jeśli Pan Bóg chciał ukarać Niemców, to mu się udało po drodze załatwić i nas biedne, polskie dziewczęta.

Już nawet hali nie można było ogrzać i pracowałyśmy w kurtkach, zgrabiałymi palcami czyszcząc tę nieszczęsną amunicję. Któregoś dnia wizytował nasz oddział jakiś oficer i naśmiał się z tego co robimy.

- Chyba chcecie, aby ten kogo trafi wasz pocisk nie dostał zakażenia, że tak dokładnie oczyszczacie go z rdzy? Wystarczy tak oczyścić, żeby pocisk lekko wchodził do komory naboju. Reszta zanieczyszczeń może zostać. Potem widziałyśmy jak dyskutuje z Antkiem, jak Antek zwiera obcas i wyrzuca rękę w bok i wyższy oficer wsiada do samochodu. Antek jako typowy Niemiec nade wszystko uwielbiał „Ordnug” i nie w smak mu były pouczenia przełożonego, szczególnie na naszych oczach.

Tak samo jak Świąta, równie szybko minął karnawał. Każdą wolną chwilę wykorzystywaliśmy na zebrania towarzyskie, wieczorki taneczne i dyskusje.

Każdy miał jakieś źródło, z którego czerpał wiadomości i byliśmy dobrze zorientowani, że Niemcom nie powodzi się najlepiej na wschodnim froncie.

Mój Ojciec chętnie przyłączał się do tych dyskusji i chociaż nie mieliśmy w domu radia, potrafił wyciągać właściwe wnioski z zachowania się Niemców i ich poczynań.

Tego pamiętnego dnia, a była to środa popielcowa, Antek powiedział mi, że chce dzisiaj złożyć mi wizytę, żeby zobaczyć jak mieszkam.

Tylko tego było mi potrzeba. Partyzanci obcinali dziewczynom włosy za wszelkie kontakty z Niemcami, więc, jak kto zobaczy mnie z Antkiem, to koniec życia, nie pomoże mi nawet to, że z narażeniem życia swojego i całej mojej rodziny wynosiłam z bloku amunicję dla partyzantów.

Cały dzień kombinowałam, jak odwieść Antka od tego pomysłu, lecz bezskutecznie. Zapytałam go w końcu wprost, czy się nie boi partyzantów, lecz odpowiedział mi, że nie, nie boi się.

Szczęściem dzień nie był jeszcze długi i jechaliśmy szarówką, więc może nikt nas nie widział. Zaskoczonej rodzinie przedstawiłam swojego szefa, który zachował się zresztą bez zarzutu. Mego młodszego brata wziął na kolana i opowiedział mu bajkę o czerwonym kapturku w języku niemieckim. Na kolację zjadł tylko kilka plasterków wędzonego boczku, pochwalił mnie, że jestem dobrą pracownicą i wkrótce pożegnał się i odjechał.

Zachodziliśmy w głowę, co za cel miała ta wizyta, lecz nic nie wymyśliliśmy. W każdym razie Antek nic nie zabrał do kieszeni, jak feldfebel Tylman.

Nazajutrz w pracy, wtajemniczone Irka i Czesia, zażądały szczegółów wizyty, i były zawiedzione nie usłyszawszy nic pikantnego.

Dotąd nie wspomniałam, że miałam kontakty z partyzantami AK, którzy przez Jankę zażądali, abym im wynosiła różnego rodzaju amunicję, wiedząc, że pracuję na bloku amunicyjnym. Nie było to trudne, ponieważ nas nie kontrolowano przy budce wartowniczej. Niemniej jednak było to działanie ogromnie niebezpieczne zarówno dla mnie, jak i dla mojej rodziny, gdyby chociaż raz przeprowadzono

wyrywkową kontrolę. Kradzież tak zwanych cywilnych artykułów była tylko kradzieżą, lecz amunicja, to już zbrojne działanie przeciwko Rzeszy i kara śmierci.

Przenosiłam tę amunicję w nogawkach spodni, ściągniętych w kostkach na gumkę. Pewnego dnia miałam ich wyjątkowo dużo: brzęczała przy pedałowaniu, lecz byłam sama na drodze, więc nie przejmowałam się tym. Nagle w głębi szosy, na zjeździe z góry Morgowej, zauważyłam tak bardzo dobrze mi znaną bryczkę żandarmską.

- Nie dobrze - pomyślałam.

Wprawdzie mijając bryczkę mogłam opanować brzęczenie, lecz jeśli komendant każe zejść mi z roweru, to koniec, przepadłam. Błyskawicznie znalazłam rozwiązanie. Zatrzymałam rower, z tylnego koła wyciągnęłam wentyl, zaczekałam aż powietrze zejdzie i zaczęłam na nowo pompować. Gdy bryczka zrównała się ze mną, lekko uniosłam się przy rowerze i powiedziałam uprzejmie:

- Guten Tag, Herr Komendant.

Pojechali, a ja pomyślałam:

- Jeszcze nie dzisiaj; i zaprzestałam na jakiś czas nielegalnych i mało skutecznych praktyk. Usprawiedliwiłam się tym, że niebezpiecznie jest chować amunicję w pryzmie kamieni przy drodze jak dotąd to czyniłam, bo w świetle dziennym mógłby ktoś zobaczyć moje poczynania i zrobić z tego użytek.

Przyjemnie było wracać z pracy w świetle dziennym i nie zerkać bokiem na cmentarz, czy nie ukaże się jakiś straszny duch. Po obfitych opadach śniegu nastąpiły obfite roztopy, czyniąc polne drogi nie do przebycia.

Na polach skorupa stwardniałego brudnego śniegu jeszcze leżała nienaruszona, lecz w ciszy można było usłyszeć szmer niezliczonych strumyków spływających pod śniegiem, torujących sobie drogę w najniższe miejsca w terenie.

Nad Strugą kwiliły czajki szukając odpowiednich miejsc na gniazda. Ich krzyk zawsze mi towarzyszył, gdy zbliżałam się do domu. Chwilę stałam zwykle na podwórku, zanim weszłam

do wnętrza domu. Nogi w byle jakich butach były całkiem przemoczone, lecz nie było warunków aby chorować. Zresztą przeszłam ciężką grypę w zimie i chociaż nie było mnie trzy dni w pracy, Antek łaskawie nie wziął mi tego za złe.

Wiosna pachniała rozmięktłą ziemią, topniejącym śniegiem, świeżym wiatrem, pękającymi pączkami topoli i miała sto innych wspaniałych zapachów, którym było na imię „młodość”.

Jajka malowane w cybulniku na Wielkanoc, tajemnicze nabożeństwa w Wielkim Tygodniu w kościele i radosna Rezurekcja. Znowu dwa dni wolne, które można poświęcić na towarzyskie spotkania.

Pewnej wiosennej soboty Antek zarządził potańcówkę. Skrócił godziny pracy i rozkazał jechać za nim do świetlicy (wszystkie dziewczyny miały rowery).

W świetlicy była młodzież z innych bloków, a także żołnierze niemieccy. Grała orkiestra wojskowa dęta. Niemcy obchodzili chyba jakąś rocznicę lub święcili rzekome zwycięstwo, nie pamiętam.

Usiadłyśmy skromnie na ławeczkach pod ścianami, czekając na partnerów.

Ja zawsze należałam do tych, co to „bo w mazurze taka dusza, jak zagrają to się rusza”. I tym razem moje nogi bez mojej woli zaczęły wybijać pod ławką takt i tylko czekałam na partnera. Kilka par kręciło się już na deskach. Młody wysoki żołnierz niemiecki obchodził dookoła świetlicę, oglądając kolejno dziewczęta. Nagle zatrzymał się naprzeciw mnie, zupełnie nieoczekiwanie złapał za rękę i gwałtownie wyrwał mnie z ławki, aż się znalazłam na środku sali. Wściekłam się. Wyrwałam mu rękę i skierowałam się do wyjścia. Wzięłam rower ze stojaka i podeszłam do bramy, którą ogłupiały wartownik wbrew zakazowi, otworzył i wypuścił mnie. Pojechałam nie oglądając się za siebie.

Pedałowałam, ile sił w nogach, a wściekłość mąciła mi wzrok. Jak on śmiał w ten sposób, mnie, jak przedmiot, jak

niewolnicę. Mógł chociaż najdrobniejszym gestem okazać, że mnie zaprasza. Prostak! Głupi niemiecki prostak!

Już na polnej drodze cała złość ze mnie wykypiała i w głębi serca pożałowałam, że ominęła mnie zabawa dzięki takiemu głupiemu prostakowi.

Gdy potem Antek zapytał mnie dlaczego uciekłam, odpowiedziałam:

- Obraził mnie niemiecki żołnierz.

Antek tylko się uśmiechnął, lecz nic nie odpowiedział.

Dziewczyny myślały, że będę miała z tego powodu przykrości, bo zabawa była przymusowa, lecz myślę, że już wtedy Niemcy zaczęli powoli tracić swoją butę i na niejednym wyczyn swoich pracowników, przymykali oczy.

Wkrótce potem przeżyłam inną potańcówkę, którą nazwaliśmy „krwawą zabawą”.

Zaczęło się zupełnie niewinnie. Po pracy przyjechała do mnie Janka wraz ze swoją młodszą siostrą Juratą. Potem dołączyli chłopcy: Wacek Kalinowski – późniejszy mąż Janki, jego dwóch kolegów i ten nieszczęsny „Kulawy Krawiec” z Białegostoku. Nazywaliśmy go tak, bo rzeczywiście był krawcem i lekko utykał na prawą nogę. Był moim konkurentem.

Siedzieliśmy w pokoiku Jani, mojej cioci, rozmawialiśmy, w czym również uczestniczyli członkowie mojej rodziny. Mężczyźni popijali tak zwaną krzakówkę, zagryzając cebulą i wędzoną słoniną. Okna były zaciemnione, a więc było bezpiecznie. Około północy Jania wyraziła życzenie, że chce się położyć spać ze swoim synkiem, więc przeszliśmy do dużego pokoju, gdzie były trzy okna. przez chwilę trwała dyskusja czy je zaciemnić, lecz doszliśmy do wniosku, że o tej porze nocy nikt nie będzie jeździł po okolicy żeby sprawdzać zaciemnienie.

Jakże myliliśmy się!

Właśnie ktoś nastawił gramofon, a Kulawy Krawiec zademonstrował nam krok modnego tańca - może to był lambe-tok, lub sfinz – nie pamiętam, gdy do drzwi kuchennych

załomotano gwałtownie. Ojciec poszedł otworzyć i w tym momencie ujrzeliśmy gromadę policjantów na czele z moim znajomym ulubionym Komendantem. Chwila zaskoczenia, a potem krzyki, spędzanie wszystkich do kuchni i legitymowanie. Dzieci, w tym także moją siostrę i Juratę, siostrę Janki Komendant odesłał spać.

Mój Ojciec wysunął się naprzód, żeby wszystko wytłumaczyć, ja zajęłam miejsce obok niego. Janka gdzieś zginęła. Potem okazało się, że uciekła drugimi drzwiami i całe zajście przestała we wnęce drzwiowej tak dokładnie rozplaszczona, że stojący obok policjant jej nie zauważył.

Tymczasem wewnątrz rozpoczął się sąd nad resztą towarzystwa.

Mój Ojciec został spoliczkowany, bo za dużo mówił chcąc bronić młodzież. Trzem chłopcom zaaplikowano po dwadzieścia batów, mnie się upiekło, a najgorzej wyszedł na tym Kulawy Krawiec, który nie miał przepustki na wyjazd z Białegostoku do innej miejscowości.

Pan Komendant machnął gumową pałką po głowie kulawego Krawca, na skutek czego po obu stronach twarzy popłynęły mu dwa strumyki krwi. Potem kazał mu się ubrać i policjanci wyprowadzili go z domu. Jeszcze było dużo krzyków, gróźb, tłumaczenia mego Ojca, potem Komendant i większość policjantów wyszli, nas usunięto do sąsiednich pomieszczeń, a w kuchni rozpoczęła się egzekucja.

Chłopcy kolejno kładli swoje pośladki na stołku. Wacek Kalinowski zniósł to mężnie, liczył kolejno wraz ze swoim katem i w odpowiedniej chwili krzyknął: „genug”. Pozostali chłopcy zachowali się nie tak mężnie: jęczeli, krzyczeli, co mnie i Jankę, która już znalazła się w domu, doprowadziło do śmiechu.

Ale tak naprawdę wcale nie było nam do śmiechu. Martwiłyśmy się o Kulawego Krawca i z samego rana Ojciec poszedł do miasteczka, żeby się dowiedzieć czegoś o jego losie. Byliśmy niespokojni i pełni złych przeczuc. Poszłyśmy z Janką do kościoła, żeby się spotkać z chłopakami. Biedni,

prowadzili rowery dla fasonu, lecz nie mogli na nich siedzieć i jechać.

Około południa wrócił Ojciec z dobrymi nowinami.

W nocy z soboty na niedzielę podobno były jakieś zrzuty i Komendant wraz z żołnierzami i policjantami wybrali się na objazd po wsiach w nadziei na ujęcie spadochroniarzy. Zamiast nich, urządzili nam krwawą zabawę, a Kulawego Krawca obwozili po wsiach i mówili, że ujęli spadochroniarza. Potem zawieźli go do aresztu. Rodzina powiadomiona przez mego Ojca jakoś zdołała go wydobyć z aresztu za pomocą łapówki.

I tak w miarę szczęśliwie zakończyła się ta krwawa zabawa, a ja pozbyłam się konkurenta. Więcej do mnie nie przyjeżdżał.

Na bloku gdzie pracowała moja przyjaciółka Janka Pisanko, sortowano maski przeciwgazowe. Ciekawi chłopcy chcąc się dowiedzieć jak jest zbudowana maska, rozłożyli jeden egzemplarz na części i przy okazji znaleźli wewnątrz maleńki kłaczek szarej, owczej wełny. Pomysłowe dziewczęta zaczęły się zastanawiać, ile trzeba takich kłaczków, żeby uprząść nici i zrobić z nich sweter. Z obliczeń wynikało, że na jeden sweter trzeba zniszczyć dwieście masek.

Przapaściste bunkry pochłonęły tysiące rozbitych masek, a wszystkie dziewczyny z bloku paradowały w szarych wełnianych swetrach.

Chłopcy wynosili z bloku skóry na buty. Ciężko było ukryć duże płyty skóry, lecz i na to znalazła się rada. W czasie przerwy obiadowej wyrzucano skóry za siatkę ogrodzeniową, a po pracy zabierano je do domu.

Ja dostałam od Janki podgumowane prześcieradło koloru miodowego (też kradzione), z którego centymetr po centymetrze, przy pomocy nafty zdarłam warstwę gumy, a z pozostałej tkaniny uszyłam sobie wyjściową sukienkę, jedną z niewielu które miałam.

Jak tylko ociepliło się dostatecznie, wszystkie zaczęłyśmy chodzić w drewniakach własnej produkcji. Ponieważ drewno ścierało się na żwirowej nawierzchni szosy, mój Tata podbił

podeszwy blachą, co dawało efekt chodu podkutego konia. Włosy nosiłam półdługie a ponieważ każdego wieczora zakręcałam je na drucziany wałek, zawsze ładnie mi się układały. Włosy myło się w deszczowej wodzie, która skutecznie zastępowała późniejsze wymyślne szampony.

W tych warunkach uchodżyliśmy za dziewczyny ładne i eleganckie, i każda miała swoich adoratorów. Zresztą adoratorzy też byli ubrani różnie. Jeden z nich pochwalił się, że nosi marynarkę uszytą ze stu siedemdziesięciu kawałków. Czy to jednak ważne? Ważne, że się żyje i ma się te „około” dwudziestu lat.

Pewnej czerwcowej soboty feldfelbel Tylman powiedział z tajemniczą miną, że dzisiaj kończymy pracę wcześniej o dwie godziny i mamy z nim jechać, lecz nie powiedział gdzie. Byliśmy zaintrygowane i nie mogłyśmy doczekać się określonej godziny. Szybko i dokładnie posprzątałyśmy swoje stanowiska pracy i byłyśmy gotowe do wyjazdu.

Tylman wskoczył na rower i krzyknął:

- Za mną!

Ruszyliśmy bezładną grupą szosą w stronę rzeki Biebrzy. Minęliśmy most na Biebrzy i pojechaliśmy nad kanał Rudzki, gdzie Tylman skręcił w prawo i pojechał ścieżką nad kanałem. Trawa była tak wysoka, że ledwie było widać nasze głowy, jakby samoczynnie poruszające się w powodzi zieleni.

Nie koszona trawa, zioła i byliny odurzały zapachem i kolorami. Leciutki wietrzyk ledwie poruszał wybujałe kiście trzciny.

Tylman zatrzymał się. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie kanał rozlewał się szeroko, oblewając łagodnie piaszczystą plażę. Oniemiałam z zachwytu. Tego miejsca jeszcze nie znałam.

- Rozbierać się dziewczęta i do wody! – krzyknął nasz przewodnik.

Chwila niezdecydowania – żadna z nas nie miała kostiumu kąpielowego, nawet niektóre nie wiedziały, co to jest i do czego służy, lecz już po chwili kiecki poleciały na trawę,

a dziewczyny w koszulach, majtkach, stanikach znalazły się w wodzie - cudownej, czystej, niemal że źródlanej wodzie, nagrzanej czerwcowej słońcem.

Przez dwie godziny słońce igrało w fontannach rozpryskiwanej wody, rozlegały się piski i krzyki rozbawionych dziewcząt.

Potem, kiedy leżałyśmy na trawie susząc mokrą bielizną, feldfelbel Tylman powiedział do mnie z cicha:

- Niedługo się pożegnamy.

Spojrzałam na niego pytająco, lecz nic więcej nie powiedział.

Długo wygrzewaliśmy się na słońcu, które wolno zniżało się ku zachodowi.

Wracaliśmy gwarną gromadką, która stopniowo zmniejszała się w miarę jak dziewczyny zbaczały na swoje drogi i dróżki. W końcu zostałam sama, minęłam bagna, potem las, a słońko zachodząc grzało mi plecy. Zrównałam się z cmentarzem i nagle, o zgrozo! Na murze cmentarza ujrzałam siedzącego czarnego kota, z jarzącymi się ślepiami (efekt spowodowany zachodzącym słońcem).

- „Kicieńka” – pomyślałam przerażona i nacisnęłam z całej siły pedały (kicieńka – trzeba koniecznie akcentować na pierwszej sylabie).

Jechałam jak tylko mogłam najszybciej, kuląc ramiona ze strachu, że „kicieńka” wskoczy mi na plecy.

Wpadłam do domu blada ze strachu i ledwie zdołałam wyjąkać:

- Widziałam „kicieńkę”!

- Czyś ty dziewczyno na głowę upadła? Jaka znowu „kicieńka”? – zapytała Babcia.

- Pewnie ta o której opowiadała Jania, przypomniała sobie Mama.

Rzeczywiście Jania opowiadała jakiś czas temu zasłyszaną historię, taką pół żartem pół serio, ale raczej z serii niesamowitych.

Mając dar barwnego upiększania opowiadanych zdarzeń czy historii, a nawet dowcipów, sprawiała że słuchacze dawali wiarę w prawdziwość jej słów.

Sprawa z „kicieńką” miała się tak: działo się to podczas pierwszej wojny światowej. Pewnej jasnej, księżycowej nocy jechał oficer rosyjski na koniu i zauważył siedzącego przy drodze kota. Kot wydał mu się zabiedzony a ponieważ oficer był miłośnikiem zwierząt, zeskoczył z konia, wziął kota na ręce i z powrotem wskoczył na siodło. Jednakże w tym momencie koń zaczął niespokojnie tańczyć w miejscu, stawał dęba i nijak nie chciał ruszyć z miejsca. Kot też wiercił się na siodle i oficer chcąc go uspokoić zaczął go gładzić i przemawiać czułym głosem:

- Kicieńka, kicieńka. W pewnej chwili kot odwrócił głowę w stronę oficera i wykrzywiając straszliwie oblicze przedrzeźniał człowieka:

- Kicieńka, kicieńka – powiedział ludzkim głosem. Wtedy oficer zrozumiał, że to diabelska sprawka, zrzucił kota na ziemię, a koń uwolniony od diabła pomknął w dal. Długo jeszcze oficer słyszał diabelski śmiech i szydercze słowa: kicieńka, kicieńka.

Po tym opowiadaniu weszło w zwyczaj, straszenia „kicieńką”. Wieczorem wychodziło się do wygodki za stodołę, lub do studni po wodę, ale jeśli komuś przyszło do głowy krzyknąć przez otwarte okno „kicieńka”, wtedy ja rzucałam wiadro, lub rezygnowałam z załatwiania innych spraw i gnałam do domu na łeb na szyję. Mama litowała się nieraz nade mną lub Lucią i towarzyszyła nam w tych wieczornych wyprawach.

Potem o wszystkim zapomnieliśmy aż do dnia, kiedy „kicieńka” ukazała się mi. Co gorsze, został wznowiony zwyczaj straszenia. Szczególnie Jania, autorka tego opowiadania, bawiła się świetnie naszym kosztem.

Nazajutrz pojechałam do pracy jak zwykle wcześniej rano, zachłystując się rześkim powietrzem żywicznym. gdy już wjechałam na plac apelowy, zauważyłam że coś jest nie tak.

Młodzież snuła się po omacku, tworząc luźne, niespokojne gromadki. Dziewczęta obsiadły kamienie spełniające akcent dekoracyjny, Niemców nie było widać.

- Co się dzieje – zapytałam podchodząc do pierwszej grupy dziewcząt.

One też nie były zorientowane. Po półgodzinnym oczekiwaniu zjawiono się trzech nieznanych nam Niemców, którzy zarządzili zbiórkę w dwuszeregu, jak zwykle, potem przez tłumacza wyjaśnili nam, że nasza praca została zakończona, więcej nie będziemy im potrzebni i możemy jechać do domów.

Rozeszliśmy się w ciszy i w ciszy opuściliśmy Twierdzę Osowiec. Nie była to absolutna cisza. Front zbliżył się do nas na odległość 20 kilometrów i bez przerwy rozlegało się głucho dudnienie dział.

Szło nowe, a jakie ono będzie to przyszłość pokaże.

Od chwili opuszczenia Twierdzy nie wiedzieliśmy, co tam się dzieje, co zrobiono z jeńcami wojennymi i tym całym chłamedem – odpadami wojennymi, które zalegały magazyny. Zresztą było to już nieważne. Z ciekawością i strachem oczekiwaliśmy, kiedy ruszy front i czy wyjdziemy cało z tego piekła.

Ojciec przewidując najgorsze, powynosił z domu niektóre wartościowsze meble i przedmioty codziennego użytku, kryjąc je w zbożu wyrosniętym już i prawie dojrzałym, żeby chociaż cośkolwiek ocalić od ewentualnego pożaru.

Przez pierwsze dni po zwolnieniu z pracy w Osowcu było jakoś dziwnie, czegoś brakowało, dni były za długie, brakowało koleżanek i kolegów, wspólnego śpiewania, flirtów. Poczulałam się nagle na łonie rodziny samotna.

Zaczął się lipiec, a front nie ruszył z miejsca i bez przerwy dudniły działa.

Pewnego dnia odwiedziła mnie koleżanka z pracy Czesia Chmielewska. Musiała przejść aż pięć kilometrów, żeby przyjść do mnie. Czula się mniej więcej jak ja – wybita z toru, wyobcowana. Miała jednak dla mnie nowinę nielada

i wyczułam, że to chęć podzielenia się nią ze mną była głównym powodem odwiedzin. Po wylewnym powitaniu, zapytaniu o zdrowie i wspólnych znajomych, zaczęła:

- Powiedziałabym tobie coś, lecz ty i tak w to nie uwierzysz.

- Dlaczego z góry zakładasz, że nie uwierzę? - zapytałam.

- Bo gdybyś to ty mi powiedziała, ja bym nie uwierzyła.

Byłam coraz bardziej zaintrygowana.

- Mów nareszcie - zawołałam - bo pęknię z ciekawości.

- Był u mnie Antek, chciał się pożegnać.

- Co w tym takiego rewelacyjnego? - zapytałam.

- Rozmawiał ze mną po polsku - powiedziała Czesia i z satysfakcją patrzyła na moją zbaraniałą minę.

- Co? Powtórz to jeszcze raz - zawołałam.

- A nie mówiłam, że nie uwierzysz? - ucieszyła się Czesia i powiedziała.

- Rozmawiał ze mną najczystszą polszczyzną, podziękował za dobrą współpracę i żałował, że się rozstajemy.

W jednej chwili przypomniały mi się te wszystkie obraźliwe epitety, szykany pod adresem nie tylko jego, ale Niemców w ogóle, nieskrępowane rozmowy o sytuacji na frontach, o bliskim końcu Niemiec itd. A on tego słuchał z kamienną twarzą i nie robił z tego żadnego użytku! Złapałam się za głowę.

- Jaki miał w tym cel, jaką motywację - rozważałam.

Obie z Czesią długo rozmawiałyśmy na ten temat, lecz nie doszłyśmy do żadnego uzasadnienia. No i było nam trochę wstyd, jakby na to nie patrzeć, postępowałyśmy nieładnie, nawet wobec Niemca, tym bardziej że przez ostatni rok, naszym blokiem amunicyjnym rządziło kilka dziewcząt, w tym ja, Czesia i Irka, a Antek mianował nas elitą.

Tutaj należy ten rozdział skończyć, bo Antek jeśli nie zginął w czasie odwrotu, to i tak nie spotkamy się z nim na pewno nigdy.

Pomimo groźby zbliżającego się frontu i niepewności jutra, trzeba było myśleć też o chlebie, na wypadek gdybyśmy przeżyli.

Wybrałam się z Mamą na dalekie pole, żeby wyrwać grykę, z której robiło się kaszę gryczaną.

Upał był niesamowity, zapas wody zabranej z domu dawno się skończył, a pragnienie przyprawiało wprost o zawrót głowy.

Niedaleko od naszego pola stała opuszczona chata, więc pomyślałyśmy sobie, że może tam być też studnia.

Mama wzięła butelkę i poszła, a ja nadal wyrywałam łodygi gryki i ustawiałam je w małe namiociki, do wysuszenia. Pomimo skwaru i krańcowego wycieńczenia ani na chwilę nie przerwałam pracy.

Dzisiaj już nikt nie wie jak ludzie na wsi w okresie międzywojennym walczyli o każde ziarnko zboża, na chleb lub kaszę. Jak pilnie patrzyli w niebo czy nie spadnie deszcz w najbardziej nieodpowiednim czasie, czy też z upragnieniem czekali, kiedy spadnie. W zależności od potrzeby. Dzisiaj, chociaż nie był potrzebny dla gryki, to jakże pragnęłam go bardzo dla siebie.

Nareszcie ukazała się Mama, lecz już z daleka, po sposobie trzymania butelki poznałam, że wody nie niesie.

- Nie ma studni? - zapytałam omdlałym głosem.

Jest studnia, lecz pływa w niej nieżywa mysz, więc rozumiesz, w tej sytuacji

Rozumiałam. W milczeniu pracowałyśmy dalej. Po dłuższej chwili powiedziałam:

- A może to nie była mysz, może suchy listek tak się ułożył, że się do niej upodobnił? - powiedziałam z nadzieją.

- Pomyślałam to samo - powiedziała Mama - Pójdę jeszcze raz, sprawdzę.

Tym razem przyniosła wodę i choć sama zapewniała, że napiła się przy studni, ja byłam w takim stanie, że napiłabym się nawet z brudnej kałuży połykając przy okazji kijanki.

Dudnienie frontu było tu nieco przygłuszone, bo oddaliśmy się od niego o dobre pięć kilometrów, lecz gdy po pracy wracaliśmy do domu, stawała się coraz głośniejsze.

Nareszcie napiłam się do syta i w zimnej studziennej wodzie ochłodziłam rozpalone ciało.

FRONT

Armia niemiecka już od początku lipca cofała się ze wschodu, lecz odbywało się to spokojnie w należyтым porządku.

Ordnung ist Ordnung.

Jedyną strategiczną drogą była szosa z Białegostoku przez wąską gardziel mostu na rzece Biebrzy, przez Twierdzę Osowiec i dalej na zachód.

Po obu stronach szosy roztaczały się bagna niziny biebrowskiej, dla wojska nie do przebycia.

Mój dom znajdował się w linii prostej pół kilometra od tej szosy.

W związku z tym, mieliśmy codziennie gości. Zdrożeni, zmęczeni upałem żołnierze niemieccy zbaczali z drogi, żeby ugasić pragnienie, ochłodzić się zimną wodą ze studni, a nawet podrzemać w cieniu drzew.

Wobec nas zachowywali się z dystansem, lecz bez zarzutu. Niczego od nas nie chcieli, nic nie zabierali - bo zresztą nie było czego zabierać. Zboże stało jeszcze na polu.

Pewnego dnia jakoś jednostka gospodarcza zatrzymała się chyba na dłużej, ponieważ zaczęli rozładowywać samochody ciężarowe, rozkładali koce, trzepali je, rozwieszali na płotach, aby wyschły lub się wywietrzyły.

Z samego rana przyszło ze wsi dwóch gospodarzy prosić o zwrot zarekwirowanego konia, który był kulawy, chory i zabiedzony. Oficer, który wyglądał na dowódcę tej jednostki przepędził pententów, a do tego strzelał za nimi.

Słyszałam jak żołnierze rozmawiają po śląsku, więc przechodząc przez podwórko, na widok pracujących żołnierzy, wyraziłam zdziwienie:

- Ależ ogromne koce! - Nie zauważyłam, że w pobliżu stał komendant, który zbliżył się do mnie i powiedział z cicha:

- Jeśli chcesz mieć taki koc, przyjdź wieczorem do stodoły.

Chwilę stałam jak słup soli a potem poszłam do domu i opowiedziałam wszystko rodzicom.

Ojciec zaklął: - Cholera, co teraz robić?

- Wykluczone żebyś tam poszła, lecz co będzie z rodziną jeśli nie pójdziesz?

- Widzieliśmy wszyscy jak strzelał do tych ludzi, którzy przyszli po konia.

Narada wojenna trwała przeszło godzinę i nic nie postanowiono.

Uciec, chować się było łatwo, lecz jak Niemiec na to zareaguje?

- Dlaczego nie siedziałam w domu? - robiłam sobie wyrzuty po niewczasie.

W miarę upływu godzin rodzina popadała w coraz większą rozpacz, a ratunek nie nadchodził. Rodzice chodzili jak struci, ja wyobrażałam nasz dom spalony a siebie i Ojca zabitych. Gdyby to tylko mnie zabił - myślałam - to niech tam!

Minęło południe, popołudnie, słońce zaczęło zniżać się na zachód, gdy Babcia przynaglajaco zawołała wszystkich do okna. Wyrzeliśmy dyskretnie.

Żołnierze uwijali się jak w ukropie. Składali koce, ładowali je na ciężarówki i ustawiali się w szyku do wyjazdu. Mnie na wszelki wypadek schowano na strychu, lecz okazało się to niepotrzebne. Po samochodach tylko kurz osiadł na polnej drodze. A koc i tak mi się dostał. Był schowany w słomie na klepisku. Był tak wielki, że cztery osoby mogły nim się przykryć i długo służył nam w tej biedzie i niedostatku, jaki panował po wojnie. Większość naszej odzieży została rozkradziona.

Wieczorem odbyliśmy drugą rodzinną, wojenną naradę. Postanowiliśmy, że Mama, Jania oraz dzieci: Lucia, Stefek i Sławek udadzą się do wsi Uścianek, położonej w lesie na granicy bagien biebrzańskich. Mieszkali tam nasi krewni, u których mieli się zatrzymać. Zabrali też ze sobą krowy, żeby uchronić je przed Niemcami. Konie już dawno zostały zarekwirowane. Ojciec i ja mieliśmy dołączyć do nich później, w wypadku bezpośredniego zagrożenia, a Babcia powiedziała, że nigdzie się nie ruszy, że będzie pilnowała domu do ostatniej godziny żywota.

W tych dniach kwaterowali w naszym domu niemieccy oficerowie: od pułkownika do ordynansa - łącznie pięciu mężczyzn. Zachowywali się kulturalnie. Przygotowywali sobie posiłki sami, zawsze pytając o pozwolenie, gdy potrzebowali jakichś jarzyn z ogrodu.

Regularna armia już się wycofała a za nią ruszyli podpalacze, złodzieje i mordercy rekrutujący się głównie z Ukraińców. Zabierali ze sobą wszystko: zwierzęta na rzeź, mężczyzn do kopania okopów, cenniejsze przedmioty, a na koniec ubogą wiejską odzież zakopaną i ukrytą przed kradzieżą, a z dużą wprawą odkrywaną przez ukraińskich złodziei. Także mój dołek został odkopany i wszystkie moje osobiste rzeczy zabrane.

Zostałam tylko w letniej sukience, niekompletnej bieliźnie i drewniakach.

Dzień 31 lipca 1944 roku wstał słoneczny i od samego rana upalny.

Oficerowie niemieccy nadal mieszkali u nas, co nas chroniło przed bandami ukraińskimi.

Ojciec na podwórku nalał sobie wody do miednicy i poprosił mnie, żebym umyła mu plecy. Zdziwiłam się trochę, bo tego dnia jeszcze nie pracował, lecz zrobiłam to z wielką przyjemnością. Ojciec przy średnim wzroście był barczysty, muskularny, równomiernie opalony. Przyjemnie było dotykać jędrnego sprężystego ciała czterdziestosiedmioletniego mężczyzny.

Potem powiedział, że idzie do wsi dowiedzieć się, co sąsiedzi zamierzają robić: uciekać, czy przeczekać na miejscu.

Poszedł, a ja zajęłam się obiadem. W tych dniach mieliśmy mnóstwo mięsa, bo jedna z band ukraińskich zabiła nam wszystkie gęsi w ilości 30 sztuk, lecz nie zdążyli ich zabrać. Już mi serdecznie zbrzydła ta gęsiną, ale właśnie Babcia przyniosła oskubaną i wypatroszoną sztukę i musiałam nią się zająć. Stała właśnie przy płycie kuchennej, gdy mój mózg wyłowił z dudnienia dział ciężkiego kalibru, gęstą strzelaninę z broni ręcznej. Z początku nie zwracałam na to uwagi, lecz gdy strzelanina nie milkła odwróciłam się od komina i podeszłam do kuchennego okna. To co zobaczyłam, zmroziło mi krew w żyłach. Ojciec mój szedł w towarzystwie Ukraińca. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie, a lewą zgiętą w łokciu przyciskał do piersi.

- Jest ranny - pomyślałam i błyskawicznie poczułam ulgę, że tylko w rękę.

Wypadłam na podwórko w chwili, gdy Ojciec zaczął się chylić, osunął się na kolana i upadł na bok. Nie było widać krwi, nie wiadomo gdzie była rana.

Babcia już się czołgała u nóg jednego z oficerów powtarzając w kółko: doktora, doktora.

Oficerowie zadziałali. Wkrótce zjawili się dwóch Niemców z opaskami czerwonego krzyża na rękawach, którzy obejrzawszy Ojca powiedzieli:

- Blut nicht gehen - a ja już wiedziałam, że to krwotok wewnętrzny i że to koniec.

Przyjechał samochód ciężarowy przerobiony na karetkę. Położyli Ojca na nosze, oficer powiedział, żebym się ubrała i wzięła coś ciepłego, bo zbliżała się noc, a pewnie będę musiała zostać w szpitalu.

Wszystkie polecenia wydawane w języku niemieckim były dla mnie jasne i zrozumiałe, jakbym słyszała je w języku ojczystym.

Siedziałam przy Ojcu w samochodzie i słuchałam jak coś szeptał, coś usiłował powiedzieć. Z okrucichów słów nareszcie rozumiałam. Martwił się:

- Co powie Mama?

Przez wyboiste drogi poorane czołgami dotarliśmy wreszcie do wsi, gdzie w jednej z chat mieścił się prowizoryczny szpitalik.

Sanitariusze wnieśli nosze do sąsiedniej izby, zamknęli je przede mną i prawie natychmiast otworzyli, mówiąc:

- Er ist tot.

Przywiozłam zmarłego ojca. Ciągle z suchymi oczami pomagałam wnieść go do własnego domu i położyć na podłodze. Łóżka były powynoszone na pole i ukryte w zbożu. Babcia od razu zemdląła, potem odzyskawszy przytomność zaczęła zawodzić.

- Dlaczego nie uciekał do domu? - dziwił się starszy oficer. Tu byłby bezpieczny.

Właśnie, dlaczego? Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z rozmiarów klęski i ogromu nieszczęścia jakie spadło na moją rodzinę.

Nadeszła noc. Leżałam w kuchni na jakichś łachmanach, a obok w małym pokoiku leżał Ojciec. Front ucichł, trwała ogłuszająca cisza, a w tej ciszy wyraźnie słyszałam oddech Ojca. Wstawałam, pochylałam się nad nim, nic - cisza. Gdy tylko kładłam się na swój barłóg - znowu słyszałam oddech. Skradałam się na palcach, żeby go przyłapać na udawaniu. Za każdym razem słyszałam tylko ciszę.

O świcie jeden sąsiad zaczął robić trumnę, drugi poszedł na Uścianek zawiadomić rodzinę, a ja ciągle z suchymi oczami wzięłam łopatę i wyznaczyłam w ogródku pod oknem prostokąt, gdzie miał być wykopany grób. Zaczęłam kopać, lecz po chwili przyszli dwaj oficerowie i powiedzieli, że oni to zrobią.

Poszłam do Ojca. Leżał jak żywy, z zastygłym na twarzy uśmiechem. Kula uderzyła w ramię, przeszła przez płuco od

góry do dołu i wyszła pod łopatką. Na koszuli czerniło się zaledwie kilka kropli zakrzepłej krwi.

W południe przyszła Mama, Jania i dzieci.

Nie podejmuję się pisać o tym, co było potem, „... reszta jest milczeniem”.

W pośpiechu zrobiono trumnę, w pośpiechu zakopano Gospodarza i w pośpiechu ponaglani przez Niemców opuściliśmy dom, w którym jednakże została Babcia. Niemcy proponowali nam, żebyśmy się zabrali z nimi, lecz grzecznie im podziękowałam, a oni nie nalegali. Gromadka wdów i sierot ruszyła w świat na własną rękę, bez przewodnika.

Przed położeniem do trumny, uśmiech na twarzy Ojca zgasł, lecz ja zapamiętałam go jak się uśmiechał, jakby chciał nam powiedzieć, że nareszcie znalazł spokój i ukojenie.

Nie było czasu płakać. Potem nadejdzie ten czas, gdy się odczuje na każdym kroku brak Jego - naszego mądrego Ojca i opiekuna, który dawał nam poczucie absolutnego bezpieczeństwa.

Dobrnęliśmy na Uścianek, lecz tam wcale nie było bezpiecznie. Bandy Ukraińców dotarły i tam w poszukiwaniu młodych ludzi i zwierząt. Nasze krowy były bezpieczne na suchym grądzie pośród bagien. Młodzież też tam się schroniła.

Przez pewien czas jakby się nieco uspokoiło, więc wróciliśmy z bagien do wsi Uścianek. Jednak po południu rozgorzała bitwa - jak nam się zdawało - tuż obok. Szczęk żelaza, gęste strzały z broni ręcznej, wybuchy granatów. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Teraz nie było już gdzie się ukryć.

Wieczorem odgłosy bitwy ucichły, a drogą przez wieś zaczęły ciągnąć niemieckie tabory. Nie było drogi przez bagna na drugą stronę Biebrzy, trzeba było iść równoległe do linii bagien aż do szosy prowadzącej przez Twierdzę Osowiec, jedyne wąskie gardło, którym można było dostać się na drugą stronę. Około północy minęły wieś ostatnie tabory ciągnięte przez konie a raczej chabety i nastąpiła cisza. Niesamowita, złowroga cisza. Cisza, po której nie wiadomo czego się spodziewać.

Na wszelki wypadek starsze kobiety ucharakteryzowały nas, dziewczęta, na kocmołuchy, lub jak kto woli na „Baby Jagi” i kazały nam siedzieć na strychu.

Ta niepewność była nawet gorsza od band ukraińskich. Napięcie powodowane strachem, było nie do wytrzymania. Wyglądałyśmy przez małe okienko, lecz tylko mgła kłębiła się na leśnej drodze, którą przed kilku godzinami przeszły tabory niemieckie.

Mgła zaczęła się rozjaśniać w nastającym świetle i nagle z tej mgły zaczęły się wynurzać jakieś niesamowite, pokraczne postacie.

Ludzie, nie ludzie - tułuby przykryte niekształtymi pelerynami, jedną ręką uzbrojoną w szpikulec, dziobiące przed sobą drogę. Zupełnie nie rozumiałyśmy o co tu chodzi: bać się, czy nie?

Z tej niepewności wyrwał nas głos kobiet, wzywający do zejścia na dół. Zeszłyśmy po drabinie jedna po drugiej a było nas kilka. Idące drogą tułuby zamieniały się w tym czasie w żołnierzy rosyjskich, starszych wiekiem, którzy na nasz widok wybuchnęli głośnym śmiechem. Zanim doprowadziłyśmy się do jakiegoś takiego wyglądu, żołnierze zaprzyjaźnili się z naszymi matkami, obdarowali je prawdziwym szarym mydłem, a Stefek, mój brat dostał „pałatkę”, właśnie taką pelerynę, która była nieprzemakalna. Wyjaśnili też cel tego dla nas niezrozumiałego „dziubania” - szukali min.

Wkrótce zjawilo się więcej wojska a wszyscy byli przyjaźni i bardzo nam współczuli. Potwierdzili też, że za nimi nie ma już Niemców i możemy wracać do domu. Przestrzegli nas jednak przed minami i poradzili abyśmy wracali drogą sprawdzoną przez nich i oznaczoną tabliczkami „min niet”. Była to droga okrężna, daleka, prowadziła przez trzy wsie, lecz w miarę bezpieczna.

Zaraz pierwszą wieś zastaliśmy w ruinie. To tutaj i w najbliższej okolicy, toczyła się bitwa, którą słyszeliśmy będąc na Uścianku.

Porozbijane domy, walający się wszędzie sprzęt wojskowy, broń, wzdęte końskie trupy. Krajobraz po bitwie.

Rosyjskie dowództwo zatrzymało nas i nie pozwoliło dalej iść ze względu na bezpieczeństwo. Najbliższą noc spędziliśmy więc pod gołym niebem, w zrujnowanej wsi, myślami i sercem będąc we własnym domu. Lecz czy mamy jeszcze dom? Czy Babcia żyje? Czy mamy do czego wracać? Chyba tylko do tej mogiły usypanej w ogródku pod oknem domu.

Nazajutrz pozwolono nam wracać. Podobno było już bezpiecznie, teren został rozminowany. Wędrowka zajęła nam kilka godzin, bo dzieci męczyły się i trzeba było często odpoczywać.

Nasz dom stał na lekkim wzniesieniu terenu i dlatego ujrzeliśmy go już z daleka. Mama płakała z radości i z bólu, że nie czeka tam na nią ukochany mężczyzna, opiekun i wyrocznia we wszystkich sprawach. My wtórowaliśmy Mamie; dzieci płakały nie bardzo zdając sobie sprawę z jakiego powodu.

Babcia też wyczekiwała nas z niepokojem i ujrawszy z daleka swoją gromadkę - wyszła nam naprzeciw dołączając swój lament do naszego płaczu.

Mama zaraz upadła na mogiłę, a ja uciekłam w pole, żeby tego nie widzieć.

Zboże było dojrzałe do żniwa, tylko kto go będzie zbierał? Część zboża Ojciec zdążył skosić i ustawić snopy w tak zwane dziesiątki, to jest kopy po dziesięć snopów. Niektóre dziesiątki były spalone, inne porzucane, niewiele było nienaruszonych.

Jak już wspomniałam, na wsi najważniejszy jest chleb. Zjedliśmy obiad z gotowanych ziemniaków i do wieczora zносиłyśmy suche snopy do stodoły, bo zanosило się na deszcz, a w tej chwili tylko chleb się liczył.

Ludzie na wsi są zaradni, bo tego nauczyło ich życie w trudnych, surowych warunkach. Żadna z nas nie umiała używać cepa do młócenia zboża, więc poradziłyśmy sobie inaczej. Ustawiliśmy na klepisku brony do góry zębami

i biorąc duże garście zboża, szastałyśmy o brony, w ten sposób wybijając ziarno z kłosów. Uzyskane ziarno Babcia przedmuchała na wietrze, potem lekko przepaliła w chlebowym piecu i umieściła w nim blaszki do pieczenia chleba napełnione ziarnem żyta. Po kilku godzinach, kiedy przeszło, trzeba było zrobić z niego mąkę.

ŻARNA - kto dzisiaj, lub za parę lat, będzie w stanie wyobrazić sobie żarna i w dodatku odpowie na pytanie do czego służyły?

Sama nie wiem czy będę w stanie je opisać. W każdym razie były to dwa kamienie w kształcie krążków z otworami w środku. Dolny krążek był nieruchomy, a górny trzeba było obracać drewnianym drążkiem. Do otworu wsypywało się ziarno i obracając krążkiem rozcierało się go na mąkę grubą, razową. Z boku była wyżłobiona rynienka, przez którą sypała się zmielona mąka. Była to bardzo ciężka praca. Podczas okupacji, gdy młyny pracowały tylko dla Niemców, żarna na wsi były w ciągłym użytku, tylko że wtedy mieleniem zajmował się Ojciec. Nas było cztery dorosłe kobiety i namęczyłyśmy się dosyć, zanim Babcia oznajmiła, że na jeden wypiek wystarczy.

Podczas gdy ziarno podsychało w piecu chlebowym, zajęliśmy się dzieżą.

DZIEŻA - czy ktoś z Was czytelnicy słyszał takie słowo i wie co ono oznacza? Otóż dzieża, to takie duże naczynie zbudowane z klepek dębowych podobnie jak dawne beczki, tylko o innym kształcie niż beczka. Głębokość około 70 cm i takiej samej średnicy dna, ku górze lekko zwężona.

Sama już dobrze nie pamiętam, być może się mylę co do wymiarów, to było tak dawno. W każdym razie dzieża służyła do rozczyniania i rośnięcia chleba. Nasza dzieża znajdująca się na strychu, niestety była to kupka klepek i dwie zardzewiałe obręcze żelazne. Przyniosłyśmy to wszystko na podwórko i zaczynałyśmy majsterkować, usiłując zrobić z tej naszej kupki tak potrzebne nam naczynie. Niestety nic nie

wychodziło. Mama w takich wypadkach niepowodzeń szła na grób Ojca płakać, a my, reszta siedzieliśmy bezradnie.

Nagle zobaczyłyśmy idącą przez pole grupkę tak zwanych szperaczy, czyli poszukiwaczy min. Pozdrowili nas, zapytali czy mogą napić się wody, pokiwali głowami na widok świeżej mogiły i kobiety płaczącej nad nią. Potem obejrzeni nieszczęsną kupkę klepek i jeden z nich powiedział, żeby te klepki namoczyć na całą noc, a on jutro przyjdzie i złoży to wszystko do kupy. Potem pogadali między sobą i poprosili o nocleg. Moja Babcia znała świetnie język rosyjski i wszystko nam przetłumaczyła. Zgodziła się przenocować żołnierzy w stodole. Znaleźliśmy jakiś stary dziurawy kocioł, dziurę zatkaliśmy szmatą i ugotowaliśmy ziemniaków. Żołnierze okrasili ziemniaki konserwą tak zwaną świńską tuszonką (amerykańska konserwa) i zjedliśmy wspólny wspaniały posiłek

Nazajutrz już o świcie żołnierze złożyli do kupy klepki i zrobiła się z tego dzieża, do której dla pewności nalali jeszcze wody, żeby ją lepiej uszczelnić. Można już było wyobrazić sobie smak chleba, który będzie upieczony pojutrze. Od tego momentu zaczęłam się uczyć języka rosyjskiego. Każde zasłyszane słowo powtarzałam sobie po kilka razy i pytałam bez końca Babcie o jego znaczenie.

Tego dnia odwiedziła nas sąsiadka, żeby nam opowiedzieć jak zginął nasz Ojciec, gdyż działo się to w jej obecności.

Tego pamiętnego dnia, gdy umyłam Ojcu plecy, nie podejrzewając, że przygotowuję go na śmierć - poszedł do sąsiadów dowiedzieć się co słychać.

We wsi w tym czasie rozpoczynał się sądny dzień. Wataha Ukraińców spędzała mężczyzn na łączkę obok wsi, druga wataha spędzała bydło. Ojciec widząc co się dzieje, zaczął uciekać w stronę swego gospodarstwa, lecz nie kierował się w stronę domu, a na pole gdzie stały dziesiątki zboża. Ta kobieta biegła razem z nim i kiedy on się schował w jednym dziesiątku, ona w drugim.

Ukraińiec wytropił Ojca i krzyknął:

- Wychadziej!

Podobno kilka razy tak krzyczał, a Ojciec nie wyszedł. Siedział w kucki tyłem do Ukraińca, który strzelił mu w ramię ukosem, tak że kula wyszła poniżej łopatki. Strzał był śmiertelny. Ale dlaczego mój mądry Ojciec nie wyszedł? Dlaczego nie uciekał do domu? Ta cała strzelanina, którą słyszałam, była skierowana na niego gdy uciekał. Dosięła go kula ukraińskiego bandyty. Przeznaczenie się wypełniło.

WYZWOLENIE

Nazajutrz przyszła ta sama grupa szperaczy. Przenocowali i pożegnali się. Przenosili się do innego rejonu w poszukiwaniu min. Przed odejściem zdążyli naprawić drzwi od stodoły, załatać dziurę w dachu i wstawić szybę w oknie, którą rozbił odłamek pocisku. Podczas naszej nieobecności Babcia też przeżyła kilka tragicznych chwil.

Kiedy płonęło zboże na polu, ogień zagrażał budynkom, lecz Babcia wymodliła u Matki Boskiej, że wiatr zmienił kierunek i budynki ocalały.

A jeszcze wcześniej, kiedy ostatni niemieccy maruderzy wycofywali się, Babcia miała w chlewie pięć dorastających świń, które udało się jej przechować. Ci ostatni Niemcy jakoś je znaleźli, policzyli i poszli jeszcze plądrować dom. W tym czasie Babcia jednego prosiaka zarżnęła, wytoczyła kamień obluzowany w podmurówce ściany, prosiaka wyciągnęła przez dziurę na pole, a potem zatarła ślady krwi na swoim miejscu, usiadła na progu chlewa i zamyśliła się.

- Czy dobrze zrobiłam? A może mnie teraz zabiją?

Podjechali Niemcy ciężarówką, ładują świnie, lecz rachunek im się nie zgadza.

- Gdzie jest piąta świnia? - krzyczą.

- Jaka piąta - dziwi się Babcia – było tylko cztery.

Rozmowę prowadzono w języku niemieckim.

Postawili Babcię pod ścianę, zagrozili pistoletami, lecz ona była tak przekonywująca w swoim twierdzeniu, że Niemcy w końcu uwierzyli i zostawili Babcię w spokoju.

We wsi odległej około pół kilometra walczone na białą broń, a Babcia siedziała bez ruchu w piwnicy swego domu.

Myślę, że gdyby ktoś przyszedł podpalić jej dom, rozerwałaby go na kawałki sama przy tym ginąc, a dom by obroniła.

Opowiadała, jak podmuch pocisku uniósł konia w powietrze a potem koń opadł na cztery kopyta i najspokojniej w świecie zaczął na nowo skubać trawę.

Po odejściu szperaczy, którzy oczyścili teren z min, zjawilo się w naszym obejściu mnóstwo wojska. Oficerowie zajęli dom pozostawiając nam tylko maleńki pokoik, żołnierze rozlokowali się w stodole i zaczęli wokół kopać ziemianki.

Młodzi, przyjaźni chłopcy podawali swoje imiona, wypytywali o nasze przeżycia, widząc że nic nie mamy, obdarowali nas drobiazgami a najcenniejsze było paliwo, a jeszcze cenniejsza była ich pomoc w gospodarstwie.

Jeszcze tego dnia gdy się zjawili, wzięłyśmy z Janią sierpy i poszłyśmy na pole żąć jęczmień. Zaraz przyszedł „bajec” - tak ich będą nazywać - bo to znaczy żołnierz - i zapytał czy mam kosę. Przyniosłam kosę, przyszło też więcej bajców i do obiadu wykosili cały łan jęczmienia.

Więscy chłopcy: aż im ręce swędziały do kosy, robota aż im pachniała. Wykorzystałam to, zaplanowałam swoją strategię.

Jeszcze tego samego dnia poszłam do szopy mleć ziarno w żarnach. Zaledwie zakręciłam drążkiem kilka razy, gdy już się zjawilo mnóstwo pomocników. Przyszedł też oficer, ustawił bajców w kolejce i dał każdemu pięć minut.

Praca została wykonana, a przy tym nikt się nie zmęczył, a ja poznałam kilka nowych słówek rozmawiając z oficerem i zadziwiłam go zakresem swojej wiedzy.

Nazajutrz jednostka, która już dała się poznać jako swoja, wyjechała z samego rana, lecz nie na długo trwała cisza.

Do obiadu znowu było pełno a scenariusz identyczny. Wymiana imion, twierdzenie, że jestem podobna do ich sióstr czy dziewczyn i chętna pomoc przy pracy w polu.

Biedni chłopcy. Jak oni tęsknili do swoich kobiet, do swoich domów, do pracy w polu.

Moja siostra Lucyna siedziała w domu: na wabia milczącą zgodą wybrano mnie. Obracałam się ciągle wśród bajców i tyłu ich poznałam, że normalnie człowiek przez całe życie nie pozna tyłu ludzi.

I gwoli sprawiedliwości stwierdzam i zaświadczam, że żaden z tych chłopców nie złożył mi nawet nieprzystojnej propozycji, nie wspominając o gwałcie.

Moja rodzina typowo babska (najstarszy mężczyzna miał dziewięć lat) była całkowicie bezpieczna wśród tego mrowia mężczyzn.

Moja Babcia potrafiła utrzymać w ryzach nie tylko własną rodzinę, lecz i całą armię radziecką. Wszyscy wiedzieli, że w jej gospodarstwie nie można nawet kołka z płotu wyłamać, nie mówiąc już o belce, które były potrzebne bajcom do budowy ziemianek.

Front się zatrzymał na Biebrzy i nie było na razie nadziei, że ruszy w najbliższym czasie.

Tymczasem jednostki wojskowe zmieniły się co kilka dni nawet co kilka godzin. To nieprawda, że „w czasie wojny milkną muzy” jak mówi łacińskie przysłowie. Bo Wasia śpiewał dla mnie tęskne piosenki, myśląc zapewne o kimś bliskim. To pewien starszy kapitan recytował mi wiersze Puszkina, to wieczorami ktoś wygrywał na harmonii „Rewe taj stogne Dnibr szirokij”. to kieszonkowe śpiewniki, które każdy miał przy sobie, to harmonijny śpiew koniuchów na pobliskiej łące: nieuczony, a tak pięknie brzmiący czterema głosami.

Rozumiałam tęsknotę tych mężczyzn wsłuchując się w zawodzenie harmonii dochodzące w dali w ciepłe sierpniowe wieczory.

Czyż muza nie siedzi przy umierającym żołnierzu i nie podpowiada jego koledze słów poezji o jego bohaterskiej śmierci?

Nie, muzy nigdy nie milczą i wszędzie nam towarzyszą.

Opanowałam już na tyle język rosyjski, żeby rozumieć treść pieśni i poezji.

Pewnego razu kosiłam owies z jednym bajcem od zachodniej strony domu. Przerwaliśmy pracę, ponieważ kucharz zabębnił w kocioł, oznajmiając obiad. Wasia czy też Grisza, wbił trzonkiem kosę w ziemię, ja położyłam obok sierp i poszliśmy razem: on do swojej kuchni polowej, a ja do domu żeby też coś zjeść. Słonko, które już przeszło na stronę zachodnią, zbyt mocno odbijało się w metalowej części kosi, aż mnie to z lekka zaniepokoiło. Najwyżej sto kroków dzieliło nas od miejsca gdzie stała kosa, do mojego domu. Weszłam do kuchni i nagle łomot! Przez otwarte okno podmuch rzucił mnie na ziemię, lecz już w następnej chwili zerwałam się i wybiegłam na podwórko, ponieważ nikogo z mojej rodziny nie było w domu. Wszyscy biegli do rowu strzeleckiego, który zygzakami ciągnął się przez podwórko i opasywał całe obejście.

- Drugi raz rozległo się - Łomot!

Kątem oka dostrzegłam w rowie Mamę, Babcie, Janię i Stefka. Czteroletniego Sławka nie było z nimi. Rozejrzałam się i dostrzegłam go skurczonego przy ścianie domu. Zanim do niego dobiegłam, rozległo się trzecie - Łomot!

Nie było czasu biec do rowu, przykryłam go swoim ciałem, czekając, co nastąpi. Zanim rozległo się czwarte - Łomot!, podbiegł do nas bajec, złapał mnie za rękę, a chłopca chwycił pod pachę i zanim rozległo się piąte - Łomot!, byliśmy już w rowie. Lecz i tak było już po czasie, bo Niemcy wystrzelali całą serię i można było opuścić rów.

Nasze całe zabudowania zostały otoczone wianuszkami lejów po pociskach dalekonośnych dział, przy czym wszystkie były niecelne i tylko jeden bajec został lekko ranny.

Pierwszy pocisk uderzył dokładnie w miejsce, gdzie stała kosa. Jestem przeświadczona do dzisiaj, że ten ostrzał miał coś wspólnego z kosą, która tak ostro świeciła w słońcu.

Całe to zajście obserwowała moja przyjaciółka Janka z sąsiedniej wsi. Gdy słupy dymu i kurzu zasłoniły wszystkie zabudowania, zasłoniła oczy, będąc pewna, że wszystko zostało rozbite i nikt nie ocalał z mojej rodziny. Dopiero kiedy kurz opadł, okazało się, że wszystko stoi na swoim miejscu. Mama nie mogła znieść takiego napięcia, zabrała dzieci i uciekła do wsi bardziej oddalonej od szosy.

Przez kilka dni panował spokój, nie było strzelaniny, natomiast wojsko ciągle się zmieniało.

Pewnej nocy zostałyśmy same z Babcią i było nam trochę niesamowicie, lecz już z samego rana pojawili się nowi lokatorzy. Najpierw wjechał na podwórko wóz terenowy, który przywiózł mówiąc z polska - kwatermistrzów. Zanim oni rozejrzeli się w domu i zabudowaniach gospodarczych, ja zawarłam znajomość z kierowcą.

- Jestem Michaił - przedstawił się.

- Jestem Zofia - zrobiłam to samo.

- Ile masz lat, jaką szkołę skończyłaś, jesteś bardzo ładna i podobna do mojej siostry. Scenariusz bez zmian.

Zabrałam kosę i sierp, i poszłam na pole, a wojsko zajmowało się swoimi sprawami. Potem przyszli chłopcy z Michaiłem i ze śmiechem, i żartami wykosiliśmy znaczną część owsa.

Tak się jakoś złożyło, że zostaliśmy z Michaiłem sami. Usiedliśmy na snopkach.

- Kiedy będę wracał z Berlina i zajadę po ciebie, czy zostaniesz moją żoną? - Mieszkam z matką i siostrą, są bardzo dobre, polubicie się wzajemnie. Ty będziesz chodziła do szkoły, a ja będę pracował.

Podobała mi się ta bajka i weszłam w rolę narzeczonej Michaiła. Podobał mi się także Michaił.

Dzień był długi i miły. Michaił, kiedy tylko nie musiał jeździć, starał się być przy mnie. Łatwo się z nim rozmawiało,

choć nie był zbyt komunikatywny. Wieczorem naszym starym zwyczajem wyszliśmy przed dom. Mama z dziećmi już wróciła z tej rzekomo bezpiecznej wioski i wszyscy obsiedliśmy schody, wszyscy oprócz niej. Mama bowiem miała ławeczkę za domem gdzie spędzała samotnie wieczory modląc się i oplakując męża.

Bajcy po prostu usiedli lub pokładli się na trawniku. Ja siedziałam obok Michaiła na belce, trzymaliśmy się za ręce i słuchaliśmy tęsknej melodii akordeonu, przebijającej się przez gwar podwórka, i było nam dobrze.

Michaił - szlachetny chłopiec, nie posunął się dalej, poza trzymaniem mojej ręki i to było piękne.

Ktoś ziewnął i to był znak do rozejścia się na spoczynek.

Poszłam ze swoimi do naszej małej kłitki, gdzie spaliśmy na gołych siennikach nie rozbierając się. Jeszcze zanim zasnęliśmy dało się słyszeć buczenie ciężkich bombowców i niespokojne głosy bajców, znajdujących się w kuchni.

- Idź zobacz co się stało, czy nie potrzebujemy uciekać? - powiedziała do mnie Mama.

Wysłałam z pokoiku zaniepokojona, lecz powiedziano mi, że nic takiego się nie stało. To tylko samoloty rosyjskie lecą na Berlin.

Wkrótce wszyscy wyszli, pozostał tylko ten starszy kapitan, o którym wspomniałam wcześniej.

- Zostań jeszcze doczka - poprosił. Chciał opowiedzieć mi o swojej rodzinie, a potem zaczęliśmy rozmawiać o poezji. Okazało się, że znam wiele wierszy rosyjskich poetów, które on także zna i lubi.

W pewnej chwili drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł bajec. Mimo ciemności poznałam Michaiła. Złożył kapitanowi meldunek i wyszedł.

- No doczka, na nas też pora spać - powiedział kapitan.

Nazajutrz wysłałam jak zwykle z kosą na pole, przyszli chłopcy, lecz Michaiła nie było.

Gdy jego nieobecność przedłużała się, zapytałam chłopców czy Michaił gdzieś pojechał?

- Nie, leży na podwórku i opala się.

Zrobiło mi się przykro, bo od razu domyśliłam się, że chodzi o kapitana, z którym rozmawiałam w nocy sam na sam.

Chciałam to jakoś Michaiłowi wytłumaczyć, lecz cały dzień nie było okazji, a późnym popołudniem zauważyłam, że wojsko szykuje się do wyjazdu. Łazik stał przed domem, a za kierownicą siedział Michaił.

Wysłałam, żeby powiedzieć mu do widzenia. Odpowiedział obojętnie a jeszcze dodał, że myślał o mnie jak o wyjątkowej dziewczynie a jestem taka sama jak wszystkie.

To była gorzka pigułka, której smak odczuwam do dzisiaj. Nic nie odpowiedziałam. Tak to się skończyło jednodobowe narzeczeństwo, które miało tylko początek i koniec, a brakowało mu środka.

Przy wydatnej pomocy wojska mieliśmy przynajmniej zebrane i zwiezione do stodoły wszystkie zboże. Została nam też jedna krowa i jeden wieprzek, którego Babcia ocaliła od zagłady niemieckiej.

Jeszcze tego samego dnia kiedy odjechał mój narzeczony, zwała się nam na kark cała armia. Od razu zaczęli kopać dodatkowe ziemianki, rowy przeciwlotnicze: wyraźnie szykowali się do dłuższego postoj.

W dalszym ciągu mieliśmy do dyspozycji tylko maleńki pokoik.

Resztę domu zajęli oficerowie. Jeden z nich, kapitan, przystojny blondyn średniego wzrostu, od razu upodobał mnie sobie i jeśli można tak powiedzieć, zaczął za mną chodzić, czatując na okazję sam na sam. Tylko, że to było niemożliwe przy takiej ilości wojska, gdzie nawet w mysiej norze był tłok, i o żadnym sam na sam nie było co marzyć. Dlatego czułam się bezpieczna.

Często ze mną rozmawiał i tak dowiedziałam się, że był ciężko ranny i niedawno wrócił ze szpitala, że ma siostrę podobną do mnie, a gdy powiedziałam, że mam dwadzieścia lat, nazwał mnie staruchą.

Na początku września zaczęliśmy kopać ziemniaki. Była to ciężka praca, bo prócz tego, że trzeba je było wykopywać, to jeszcze nosić do piwnicy koszami. Żołnierze pomagali nam trochę, lecz przez większość dnia byli zajęci i nie mieli czasu. Jeszcze tylko przy żarnach można było liczyć na ich pomoc, ponieważ praca ta ich bawiła.

EWAKUACJA

Gdzieś w połowie września zarządzono ewakuację. Podstawiono ciężarówki, na które załadowaliśmy swój skromny dobytek i wywieziono nas w stronę Białegostoku na odległość 20 kilometrów, do wsi Koziniec, gdzie mieszkali nasi krewni.

W Białymstoku, wyzwolonym spod okupacji niemieckiej już organizowało się życie i moja siostra Lucyna wyjechała do Liceum Pedagogicznego. Zamieszkała w internacie. Na froncie trwała cisza i denerwowaliśmy się, że marnujemy czas, podczas gdy w domu trzeba było kopać ziemniaki.

Najbardziej przeżywała Babcia: spała, rozkradną, zrujną, nie będzie do czego wracać - stale powtarzała, snując się beczynn timer po chacie i podwórku.

Po tygodniu tej udręki, kilka kobiet postanowiło wyruszyć do domów, żeby się przekonać naocznie, co się tam dzieje. Sołtys z rodziną nie byli jeszcze ewakuowani, miałyśmy więc nadzieję (ja także) zatrzymać się u niego. Byłam ubrana (to ważne jak się później okaże) w swoje nieśmiertelne spodnie w kratkę, w których jeździłam do pracy w Osowcu, sweterek wełniany i półkożuszek, bo wieczory były już chłodne. Na nogach miałam skarpety i drewniaki. Do pokonania miałyśmy dwadzieścia kilometrów, dlatego krótki jesienny dzień zaczynał już szarzeć, gdy ukazał się mój dom. Zdziwiona panującą ciszą i brakiem choćby jednego żołnierza, zrozumiałam, że kolejna jednostka opuściła moje obejście i nastąpiło tak zwane bezkrólewie.

- Ale dlaczego wszystkie okna są pootwierane? - pomyślałam zaniepokojona.

- Idźcie dalej - powiedziałam do towarzyszek podróży - a ja zalecę, pozamykam okna i dopędzę was.

Śpieszyłam się, bo raptownie zapadał mrok.

Otworzyłam drzwi od strony kuchni, minęłam się i otworzyłam drzwi do kuchni, i zamarałam. Miałam jeszcze czas aby się cofnąć i uciekać, bo na środku kuchni stał on – kapitan, który tak wytrwale za mną chodził.

Gdyby tam stał Napoleon, albo nawet Hitler, moje zdziwienie nie byłoby mniejsze. Zdrowy rozsądek nakazywał mi szybki odwrót, lecz istniała też moja ambicja. Odejdę, lecz z honorem - takie miałam odczucie, taką potrzebę.

Tymczasem zaczął on.

- Jak widzisz wyjeżdżamy i wszystko zostawiamy w porządku. Powiedz swojej Babuszce, że nic nie zginęło, nic nie zostało zniszczone.

- Chciałam pozamykać okna - przerwałam mu.

Poszłam do jednego pokoju, gdzie były trzy otwarte okna, zamknęłam je, w drugim pokoju zamknęłam dwa okna i w kuchni dwa. Kapitan cały czas za mną chodził. Został jeszcze mały pokoik, w którym gnieździł się całą rodziną przed ewakuacją. W tym pokoiku było okno zamknięte i nie miałam potrzeby do niego wchodzić.

- Ale przynajmniej zajrzyj, czy tam wszystko w porządku - obojętnym głosem powiedział kapitan.

Byłam czujna i miałam napięty każdy nerw, a mimo to dałam się podejść. Kapitan uchylił drzwi aby mi ułatwić wgląd do pokoju i korzystając z tego, że odwróciłam głowę, pchnął mnie do środka.

- Wpadłam - pomyślałam trzeźwo. Ale nie wpadnę w panikę, tylko spokojnie.

Moja sytuacja była taka: jedno drzwi zamknięte na klucz, jedno zamknięte okno, dwie prycze pod przeciwległymi ścianami i komódka pod oknem, równa z parapetem. Wokół żywej duszy. Ojciec! - on mnie uchroni, dodałam sobie otuchy. Jakie

jeszcze miałam szansę? Byłam silna i wysportowana w wyniku ciężkiej fizycznej pracy, a mój przeciwnik - jak sam powiedział - był niedawno ciężko ranny.

Nagle bez żadnej zapowiedzi rzucił się na mnie i powalił na jedną z prycz. Momentalnie znalazłam się na wierzchu i zepchnęłam go na drugą pryczę, aż deski jęknęły. Gdyby ktoś obserwował nas z boku, widziałby tylko kłębowisko ciał przewalających się z pryczy na pryczę. Już wiedziałam, że mój napastnik nie ma żadnych szans, tylko jeszcze nie wiedziałam jak się stąd wydostanę. Musiałby mieć cztery ręce, żeby poradzić sobie ze mną.

On zmęczył się pierwszy. Usiadł na brzegu pryczy i trzymając mnie za ręce ciężko oddychał. Spróbowałam perswazji. Wspomniałam o jego siostrze, o matce, prosiłam żeby mnie wypuścił. Słuchał, jednocześnie odpoczywając i w nieoczekiwanym momencie znowu rzucił się na mnie. Znowu to samo kłębowisko ciał, kotłowanina słomy na pryczach. Tym razem zmęczył się szybciej, a ja jakimś cudem wskoczyłam na komódkę przy oknie. Stał przy mnie, trzymał mnie za ręce i odpoczywał. Jeszcze nie wiedziałam co zrobię dalej, lecz w następnej sekundzie wszystko rozegrało się samo. Puścił jedną z moich rąk, którą błyskawicznie otworzyłam okno, jednocześnie obie nogi przerzuciłam przez parapet i zsunęłam się za okno. Ale jeszcze nie byłam wolna. Napastnik złapał mnie za włosy, które miałam długie do ramion, przechylił moją głowę na parapet tak, że widziałam jego zniekształconą wściekłością twarz, drugą ręką przyłożył mi pistolet do skroni i wysyczał:

- Ubiju.

Nie wiem dlaczego nie przestraszyłam się tej groźby. Czy nie wierzyłam, że może to uczynić, czy też w zapale walki było to nieistotne. W tej chwili zaturkotał konny wóz na drodze. Napastnik puścił moje włosy i cofnął się do pokoju. Tylko niech ktoś nie pomyśli, że od razu rzuciłam się do ucieczki! O nie, najpierw otrzepałam się, poprawiłam odzież na sobie i stwierdziwszy, że mam tylko jeden drewniak na nodze,

zdjęłam go i z pełnym rozmachem rzuciłam przez otwarte okno do środka. Następnie spokojnym krokiem odeszłam. Gdy byłam pewna, że już mnie nie widzi, dalszą drogę do domu sołtysa przebiegłam.

Na mój widok wszyscy obecni zamilkli.

- Co się stało - zapytała przerażona sołtysowa.

Miałam zmierzwione i pełne siana włosy, popękany kożuszek i byłam bosa. Kożuszek był popękany w tylu miejscach, że nie nadawał się do reperacji.

Pokrótkie opowiedziałam swoją przygodę pomijając szczegóły. Wyrwanych z głowy włosów było tyle, że po wyczesaniu można z nich było spleść dziecinny warkoczyk. Mięśnie mnie bolały przez dłuższy czas - gorzej niż po ciężkiej pracy. Przespałam się na gołej ławie a nazajutrz skoro świt ruszyliśmy z powrotem. Sołtys nam poradził, aby wystarać się o przepustki w radzieckim dowództwie, na kopanie ziemniaków.

Po powrocie opowiedziałam swoją przygodę jeszcze bardziej skrótowo, żeby nie martwić Mamy i postanowiłam jechać po okolicznych wsiach szukać dowództwa. Ale jeszcze tego wieczora dzieciaki, których było pełno: miejscowych i ewakuowanych, urządziły wspaniały spektakl.

Wieczorem wywołała mnie na podwórze moja ciocia Jania. Gestem nakazała mi ciszę, kiedy stanęliśmy w progu domu. Ogarnęłam wzrokiem podwórko zalane światłem księżyca. Księżyc jak ogromny bochen ze złota wisiał nad panującym nad okolicą niewielkim wzniesieniem. coraz bardziej obniżał się, jakby miał spaść, co bardzo niepokoiło dzieci, a szczególnie Stefana mego brata.

Dyskutowali gorączkowo:

- Na pewno spadnie - martwił się Stefek.

- Trzeba go podtrzymać - odpowiedział inny.

- Podtrzymać, ale czym?

- Już wiem, drągiem - ucieszył się Stefek.

Gorączkowo zaczęli szukać drąga odpowiedniej długości. Trwało to dość długo, tak, że księżyc schował się za górkę.

- Spadł - zmartwili się wszyscy i gapili się zmartwieni na górkę, trzymając niepotrzebny już drąg. Ciocia Jania jako nauczycielka usiłowała wytłumaczyć dzieciom jak „chodzi” księżyc, lecz wątpię, czy je to pocieszyło.

Dowództwo radzieckie znalazłam gdzieś w trzeciej wsi. Dość poprawnie wyłuszczyłam sprawę, pokazałam na mapie o jaką miejscowość chodzi. Przyznali, że na tym odcinku jest spokojnie i dali mi przepustkę dla pięciu osób na dwa dni. Ubłagaliśmy swego kuzyna, który miał konie, żeby pojechał z nami. Pojechała Babcia, Mama, ja i nasz kuzyn, który miał dwa konie. Babcia zabrała swoje rzeczy i zapowiedziała, że zostanie w domu wbrew wszelkim nakazom i zarządzeniom.

To co zdołaliśmy wykopać przez cały dzień, Mama zabrała ze sobą i pojechali z kuzynem do domu (do jego domu).

Ja zostałam z Babcią, lecz kłopot był w tym, że nasz cały dom był zajęty, nawet ten maleńki pokój, a ponieważ obecnie rządził tam mój prześladowca, mowy nie było, o kąciku dla mnie i dla Babci.

W pobliżu była wieś nie ewakuowana i w niej znalazłyśmy z Babcią nocleg.

Odtąd każdego dnia od rana do wieczora kopałam z Babcią ziemniaki. Pole znajdowało się w dołku, więc mało kto nas tam widział.

Zupę przynosił nam kucharz z kuchni polowej, która stała za stodołą. Noce spędzałyśmy w Małej Kramkówce, za rzeczką Gołą, którą potocznie nazywano Strugą. Wieś ta była oddalona zaledwie pół kilometra od naszego domu.

Ukopanych ziemniaków nie nosiłyśmy do piwnicy, słusznie mniemając, że wojsko je zje. Na polu był wykopany duży dół - nie wiem w jakim celu - lecz nam się przydał. Sypałyśmy tam wykopane ziemniaki, a kiedy był już pełny, przykryłam go słomą przyniesioną ze stodoły, a potem zasypałam ziemią. Pozostałe ziemniaki sypałyśmy do wykopanych przez siebie dołów mniejszych lub większych i także zasypywałyśmy ziemią. Czasami kucharz przysyłał nam swego pomocnika, polecając mu wykopać dół jak największy, wtedy ja nie

musiałam tracić czasu i mogłam wykopać więcej ziemniaków. Żyliśmy zupą przyniesioną przez kucharza, a czasami dostawałyśmy po kromce chleba i resztki „tuszonki” z puszki. Przynosił nam też gotowane lub pieczone nasze ziemniaki.

Na tym kopaniu przeszedł nam październik i na początku listopada bardzo się oziębilo. Gdy wracałyśmy po pracy do wsi na nocleg, na trawie pojawił się szron, który łatwo lgnął do butów.

Babcia miała długie buty z cholewami, przy czym jeden z nich miał normalną skórzaną podeszwę, a drugi miał podeszwę drewnianą. Na tę drewnianą podeszwę nakleilo się śniegu i w czasie przechodzenia kładką (deską) przez Strugę, Babcia poślizgnęła się i wpadła do wody po pas. Długa spódnica jaką nosiła, wydeła się jak balon i można było pękać ze śmiechu na ten widok. Ale nie było nam do śmiechu. Z trudem wyciągnęłam Babcie na brzeg i szybko poszłyśmy do chaty na nocleg. Babcia osuszyła się i nawet kataru nie dostała po tej listopadowej kąpieli.

W tym czasie kilka razy widziałam kapitana, mego prześladowcę, lecz udawał, że mnie nie zna. Ja też odwracałam głowę na jego widok.

Kończyłyśmy już wykopki, kiedy pewnego dnia kucharz przyniósłszy nam zupę, powiedział, że to ostatni obiad, że jeszcze dzisiaj wyjeżdżają.

Czatowałyśmy z Babcią na tę chwilę i gdy ostatni żołnierze wyjechali czym prędzej udałyśmy się do domu. Był niesłychanie zapuszczony, brud można było skrobać łopatą. Wyrzuciłyśmy odrażające prycze, wyszorowałam podłogę w małym pokoiku i kuchni, bo z doświadczenia wiedziałam, że wcześniej czy później dom zajmie następna jednostka.

Przeniosłyśmy Babcie żelazne łóżko z innego pokoju i urządziłyśmy dla niej spanie. Ja miałam do spania „szlaban”, to znaczy podłużna skrzynia z wiekiem. Mebel ten w dzień służył do siedzenia, a w nocy po podniesieniu wieka, do spania. Babcia rozpalila pod płytą, obrała ziemniaki, ugotowała i okrasila je resztką tłuszczu z konserwy. Przyniosłam

z piwnicy miskę kiszonej kapusty i wyszedł z tego pyszny obiad.

Tej nocy spałyśmy same a ponieważ Babcia nie okazywała strachu, mnie też udzielił się jej spokój.

Z rana, zaledwie zdążyłam posprzątać resztę domu, zjawił się łażnik z dwoma kwatermistrzami. Obejrzeni dom i powiedzieli, że zamieszka tu czterech oficerów i ordynans, a my musimy opuścić dom. Babcia wykonała ruch, że prędeż jej kaktus na ręce wyrośnie, a oni tylko się roześmiali.

Zjawiło się wkrótce trzech oficerów, najstarszy rangą - kapitan. Miałam szczęście do kapitanów, lecz ten wydawał się poważny.

Babcia przeprowadziła z nimi rozmowę, w czasie której stwierdzili jej znajomość języka rosyjskiego i zastanowiwszy się, postanowili zatrzymać ją jako tłumacza. Dla mnie nie było odpowiedniej „posady”. Na razie jednak czekaliśmy na przyjazd Mamy, ponieważ postanowiliśmy ekshumować ciało Ojca. Już czwarty miesiąc leżał w ogródku pod oknem i bronił nas od najgorszych nieszczęść. Czułam się dziwnie bezpiecznie w jego obecności, a teraz miał być wywieziony na cmentarz.

Przyjechała Mama z dwoma kuzynami i z odpowiednim pozwoleniem od komendanta do spraw ewakuacji.

Siedziałam w pokoju z twarzą wciśniętą w poduszkę, żeby na to nie patrzeć, bo Mama zażądała otwarcia trumny. Usłyszałam krzyk Mamy i mimowolnie podeszłam do okna. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się przerazić ciemnobrązowej twarzy. Co właściwie Mama spodziewała się zobaczyć w tej trumnie? Od tej chwili zaczęłam się Ojca bać. Gdy wieczorami na podwórku przypominałam tę twarz, przechodziły mnie ciarki. A przecież dotąd zawsze pamiętałam tylko ten pośmiertny uśmiech na jego twarzy.

Zawieźliśmy Ojca na cmentarz w wielkim pośpiechu, bo jak na złość rozpętała się strzelanina - z moździerzy - jak mówili mężczyźni i pociski rozrywały się na cmentarzu, Ledwie uciekliśmy stamtąd.

Tak więc Babcia została w domu, a ja pojechałam na Koziniec, chociaż wiedziałam, że długo tam nie wytrzymam w tej ciasnocie, ciągłych kłótniach o byle co, wrzasku dzieciaków i okazywanej jawnie niechęci gospodarzy.

Nie ma co ukrywać, byliśmy dla nich ciężarem, lecz co mogliśmy zrobić?

Po kilku dniach podjęłam postanowienie: idę do Babci.

Mama nie oponowała.

Sobie tylko znanymi drózkami dotarłam do domu. W strefie przyfrontowej nie wolno było przebywać cywilom, lecz na polnych drózkach nie stawiano posterunków, więc przeszłam bezpiecznie.

Oficerowie, z którymi już się zaprzyjaźniłam postanowili, że będą mnie ukrywać przed komendantem do spraw ewakuacji. Mam być niewidzialna, wychodzić będę mogła tylko wieczorem. Jedną kryjówkę miałam na strychu, a drugą w swoim szlabanku. To było niesamowite uczucie, gdy leżałam zamknięta, a na wierzchu siedzieli mężczyźni. Przy tym należy pamiętać, że mam klaustrofobię.

- Komendant mówił: podobno macie tu dziewczynę?

- Mamy, mamy - śmiał się kapitan i wskazywał na Babcie. Komendant dla porządku sprawdzał wszystkie pomieszczenia i odchodził z niczym.

Miałam kilka książek w języku rosyjskim, więc czas mijał mi szybko; poza tym gotowałam, sprzątałam wszystkie pomieszczenia z pomocą ordynansa, a wieczorami prowadziliśmy długie rozmowy. W tym okresie nie musiałam już korzystać z pomocy tłumaczki, Babci, dostatecznie opanowawszy język rosyjski.

Wszyscy trzech oficerowie byli żonaci i mieli dzieci, i to był ich najulubieńszy temat wieczornych rozmów. Całymi dniami ich nie było: czas spędzali na jakichś swoich wojskowych sprawach.

Nasze zapasy żywności, to jest moje i Babci składały się z ziemniaków, beczki kiszzonej kapusty i fasoli, która cuchnęła benzyną, czy jakimś innym paliwem. Czasami dostawałam

konserwę mięsną lub rybną i wtedy obowiązkowo robiłam kartacze, na które zapraszałam wszystkich mieszkańców domu.

Nasz kapitan miał radio i kiedy nadawano piosenki, otwierał do swojego pokoju szeroko drzwi, żebym mogła słuchać.

Tak to monotonnie upływały dni i niepostrzeżenie zaczęły się zbliżać Święta Bożego Narodzenia.

Byłyśmy pewne z Babcią, że spędzimy je samotnie, tymczasem Mama zrobiła nam niespodziankę i przywiozła do domu całą rodzinę.

Kot, który nie ewakuował się, na widok rodziny oszalał z radości. Skakał od jednego do drugiego, ocierał się, lizał po twarzach, fikał koziółki. Pierwszy i jedyny raz w życiu widziałam takiego kota, który potrafił wyrazić swoje uczucia. Dotąd uważałam to za przywilej psów.

Mama przywiozła naczynia i biały obrus oraz trochę zapasów żywności, a nade wszystko chleb, którego tak nam z Babcią brakowało.

Lucia z Janią nakryły pięknie do stołu i chociaż to była smutna wigilia - pierwsza wigilia bez Ojca, staraliśmy się okazywać pogodne twarze ze względu na zaproszonych gości - naszych lokatorów.

Nie mieliśmy opłatka, lecz podzieliliśmy się chlebem. Wszyscy życzyli szybkiego i szczęśliwego zakończenia wojny.

Prawdziwa zima zaczęła się w tym roku już w pierwszej połowie grudnia. Spadł obfity śnieg i przyszły ostre mrozy. Bez przerwy paliliśmy w piecach, a i tak było w mieszkaniu zimno. Najlepiej mieli ci, którzy mieszkali w ziemiankach. Pod warstwą ziemi i śniegu było im ciepło. Z jednym takim mieszkańcem ziemianki przeprowadziłam bardzo udaną transakcję handlową. Pod nieobecność oficerów przyszedł do nas i powiedział, że za litr samogonki, przyniesie dwudziestolitrowy kanister jakiegoś tam paliwa - już nie pamiętam co to było. Zgodziłam się, chociaż miałam tylko pół litra samogonki. Bajec poszedł po paliwo, a ja dołałam do samogonki wody pół litra. Miałam wyrzuty sumienia, lecz

skoro klient nie zgłaszał się z reklamacją, zaczęłam coś podejrzewać. I rzeczywiście, miałam rację: warstwa paliwa była grubości najwyżej dwudziestu centymetrów, a pod spodem była woda. Ja też nie składałam reklamacji. Nie uprawiałam też więcej handlu.

POWRÓT Z EWAKUACJI

Goście wigilijni odjechali i znowu zrobiło się cicho i monotennie. Jednak w powietrzu wisiał jakiś bliżej nieokreślony niepokój, nasi oficerowie częściej mówili o wojnie niż o rodzinach, pilnie czytali frontową prasę i wiadomo było, że niedługo front ruszy. Niejasne wieści o powstaniu warszawskim były dla mnie niezrozumiałe. Po co powstanie, jeśli Niemcy i tak znalazły się w potrzasku? Ale to była wielka polityka, wówczas mnie nie znana i niezrozumiała.

Pewnego styczniowego dnia, nasi oficerowie pożegnali się i w pośpiechu wyjechali, a Babcia i ja zajęłyśmy się przygotowaniem domu na przyjazd rodziny z ewakuacji. Nie było już słyhać dział i nagle zdało się, że wojna już się skończyła, chociaż do końca było jeszcze daleko i wielu młodych chłopców miało jeszcze polec.

Nasze dwie najbliższe sąsiadki, obie wdowy, zaraz po powrocie z ewakuacji przyszły nas odwiedzić, pogadać o obecnej sytuacji, jak sobie poradzą bez mężczyzn, z małymi dziećmi, bez koni. Mama moja straciła męża niedawno, natomiast jej sąsiadka, pani Gibulska została wdową pod koniec czerwca 1941 roku.

Byłam bezpośrednio związana z całym tym tragicznym wydarzeniem i pani Gibulska poprosiła mnie, żebym opowiedziała dokładnie co się wówczas wydarzyło.

- Opowiedz tylko dokładnie - poprosiła moja Mama, bo mnie także nie było w domu w tym czasie, nie było też Jani, której obecność była mi wówczas tak potrzebna.

Oczywiście Mama, Jania i dzieci uciekły do wsi dalej położonej od głównego traktu, a ja, Ojciec i Babcia zostaliśmy w domu. Większość ludzi ze wsi zrobiła to samo, to znaczy uciekli, lecz państwo Gibulscy zostali w domu.

Z naszego gospodarstwa główny trakt nie był widoczny, chociaż był odległy zaledwie pół kilometra, lecz ciągle, dniem i nocą słychać było turkot wozów, tupot wielu nóg, wybuchy pocisków, dudnienie ciężkich bombowców.

Myśliwce niemieckie patrolowały drogę, ostrzeliwując uciekających, z broni pokładowej.

Radzieckie zenitówki wysyłały w niebo białe obłoczki pocisków, lecz te, wystrzeliwane w pośpiechu były mało skuteczne.

Miałam wówczas siedemnaście lat i interesowała mnie widowiskowa strona tego co się działo.

Nie zetknęłam się jeszcze ze śmiercią, nie kojarzyłam jej jeszcze z wojną.

W nocy podciągnięto pod nasz dom dalekonośne działo. Z zatkanymi uszami i otwartymi ustami obserwowałam jak załoga je obsługuje. Od huku dostałam krwotoku z nosa, ale mimo to obserwowałam czynności żołnierzy radzieckich aż do chwili ich odjazdu.

Z rana przyszedł mój chłopak. Jego rodzina też się ewakuowała, lecz on został oczywiście ze względu na mnie. Zrobiłam śniadanie, potem siedzieliśmy w cieniu. Ojciec przyłączył się do nas, potem próbował coś majsterkować w swoim warsztacie stolarskim. Było gorąco i nudno, czas się dłużył niemiłosiernie. Dopiero około południa zaczęło coś się dziać. Pod dom podciągnięto działko przeciwlotnicze. Ojciec zaniepokoił się, lecz zanim przystąpiono do maskowania, na skutek nowego rozkazu, działko odciągnięto do najbliższej wsi, tam gdzie mieszkali państwo Gibulscy.

Dalsze wypadki nastąpiły po sobie w tempie błyskawicznym. Najpierw dało się słyszeć buczenie ciężkich samolotów, które następnie ukazały się nad wsią w aureoli

obłoczków wystrzeliwanych z radzieckich zenitówek, a z chmury tych obłoczków wyłoniły się cygara bomb.

Przerażliwy gwizd, odgłosy wybuchów i wieś pogrążyła się w obłokach dymu i pyłu.

Staliśmy oniemieli ze zgrozy, kiedy prawie bezpośrednio po wybuchach, wzniósł się w niebo głośny płacz i zawodzenie wielu głosów.

Z tumanów kurzu i dymu wyłoniła się postać kobieca i zaczęła biec z krzykiem w naszą stronę. Chciałam coś powiedzieć, lecz usta miałam zdrętwiałe i nie mogłam poruszyć językiem. Nie mogłam też zrozumieć, o co tej kobiecie chodzi. Już stała obok nas i powtarzała w kółko to samo:

- Zabici, ranni, zabici, ludzie ratujcie! Na Boga ratujcie!

Ciągnęła za ręce to mnie, to mojego Ojca w kółko powtarzała to samo.

Pierwszy oprzytomniał mój Ojciec.

Pójdiesz tam i zajmiesz się rannymi.

Zabrzmiało to tak zwyczajnie, jak by powiedział: idź do sklepu i kup mi papierosy.

Ruszyłam z miejsca jak automat. Słowa: zajmij się rannymi - nic mi nie mówiły, były zupełnie puste, nie kojarzyły się z żadną czynnością. Szłam jednak posłusznie i szybko. Po głowie tłukły mi się nedorzeczne myśli: Zagłoba leczył rany chlebem z pajęczyną, dziewczęta z dworów w czasie Powstań skubały szarpie. Co się właściwie robiło z tymi szarpiami? Do czego one służyły? Nonsens, tam są ranni, trzeba ich opatrzyć. Ale czym?

- Chleb z pajęczyną, chleb z pajęczyną - tłukło mi się po głowie.

O kilka kroków dalej szedł mój chłopak. Widać było, że nie ma najmniejszej ochoty zajmować się rannymi, lecz szedł za mną jak wierny cień.

Bomby spadły w obrębie pierwszych zabudowań, na skraju wsi. Najpierw ujrzałam rozbite działo przeciwlotnicze i ciała żołnierzy radzieckich, ich rozrzucone wokół, leżące w różnych

dziwnych pozach, przysypane częściowo ziemią. Ominęłam lej zięjący przed bramką ogrodzenia i najpierw ujrzałam wewnątrz kuchni. Na razie nie mogłam zrozumieć tego zjawiska, wydawało mi się, że śnię. Lecz to nie był sen. Po prostu ściana domu została wyrwana i kuchnia znalazła się bezpośrednio w ogrodzie. W głębi podwórka leżało ciało gospodarza, a bliżej lamentująca grupa ludzi otaczała coś, czy kogoś ...

Nagle zabrakło mi odwagi. Odwróciłam się z nadzieją, że mój chłopak wesprze mnie w tej rozpaczliwej sytuacji, lecz jego nie było.

- Tchorz - pomyślałam pogardliwie i trochę jakby wbrew własnej woli poszłam naprzód. Przecisnęłam się przez grupę lamentujących ludzi i stanęłam przed ranną kobietą. Leżała z rozrzuconymi nogami. Na jednej z nich, poniżej kolana czerwieniła się rana wielkości dużej dłoni. Rana żyła swoim życiem. Bulgotała w niej czarna krew jak źródło, które wypływa z ziemi w jednym miejscu i zaraz nieopodal ginie.

Zafascynowana, a jednocześnie zrozpaczona, patrzyłam:

- Nie, z taką raną nie poradzę sobie. Nie wiem, nie wiem, jak to zrobić. Trzeba przewiązać, ale gdzie? Poniżej rany, czy powyżej? Zabandażować, ale czym?

Usiłowałam sobie przypomnieć, co wiem na ten temat, lecz w pustej głowie kołatało wciąż to samo: chleb z pajęczyną, szarpie, szarpie ...

Naraz uświadomiłam sobie, że to hałas wytworzony przez lamentujących ludzi nie pozwala mi się skupić. Ogarnął mnie gniew.

- Cisza - krzyknęłam. - Spokój, lepiej mi pomóżcie!

Sama nie wiem skąd się wzięło u mnie tyle energii. Nigdy dotąd nie zachowałam się tak wobec dorosłych ludzi. Może nawet tupnęłam nogą i zaraz przestraszyłam się, że uraziłam ich swoim zachowaniem.

Ale o dziwo, ludzie ucichli, a dwóch mężczyzn zapytało rzeczowo co trzeba zrobić. Tym samym jakby składali dowodzenie w moje ręce. Jeszcze nie wiedziałam co trzeba robić, ale jakby ktoś poza mną, a nie ja sama, powiedział:

- Zróbcie jakieś nosze i zanieście raną do mieszkania, to znaczy do tej części, która ocalała.

Położono raną na kocu, gdy w tym momencie na ulicy zahamowała wojskowa sanitarka. Sanitariusze zabierali w pośpiechu swoich rannych. Pobiegłam i złapałam jednego z nich za rękaw. Zaczęłam gorączkowo tłumaczyć o co chodzi, mieszając słowa polskie i rosyjskie.

Sanitariusz poszedł za mną, popatrzył, pokręcił głową.

- Nie możemy jej zabrać, cofamy się, Niemcy są blisko. Przewiąż nogę powyżej rany, a po dwóch godzinach zdejm opaskę. Nie mamy środków opatrunkowych. Do swidania – i już ich nie było. Nawet zabitych towarzyszy nie pogrzebali.

Ale ja już wszystko wiedziałam. Wszystkie wiadomości na ten temat udzielenia pierwszej pomocy jakie kiedykolwiek zarejestrował mój mózg, mogłam odczytać jak z ekranu. I na serio przejęłam dowodzenie. Przewięzałam nogę i spokojnie powiedziałam do mężczyzn, żeby zanieśli raną do mieszkania. Wyprosiłam wszystkich, którzy usiłowali mi towarzyszyć. Zostawiłam tylko jedną kobietę do pomocy - kuzynkę rannej.

Pod płytą kuchenną dopalały się szczapy. Była pora obiadowa. Poleciałam kuzynce nałożyć węgli do żelazka do prasowania. wrzuciłam do garnka z gotującą się wodą nożyczki. Wyszukałam w szafie kilka lnianych ręczników, potem zaczęłam szukać po całym mieszkaniu samogonki. W tym czasie można ją było znaleźć w każdym domu. Wszystko to robiłam spokojnie, jakby w zwolnionym tempie. Znalazłam butelkę samogonki w kącie za szafą. W dalszej kolejności zabrałam się do mycia rąk, a kuzynce poleciałam sprasować gorącym żelazkiem lniane ręczniki. Ręce myłam długo i dokładnie, bo tak robili lekarze na oglądanych przeze mnie filmach. Pierwszy sprasowany ręcznik pocięłam na kawałki i porobiłam z nich tampony. Samogonkę wylałam na talerz i sprawdziłam, czy zawiera duży procent spirytusu, podpalając zapalką. Płyn od razu zajął się niebieskawym płomieniem. Zdmuchnęłam płomień, następnie usadowiłam się

wygodnie przy rannej. Nożyczkami brałam tampony, moczyłam je w samogonce i obmywałam ciało wokół rany. Poszarpane pasma skóry obmywałam i zakładałam na ranę. Robiłam to bardzo dokładnie. Rany nie dotykałam. Wiedziałam, że moim narzędziom chirurgicznym daleko do doskonałości, ale niestety, niczym innym się dysponowałam. Kiedy główna rana została opatrzona, obmyłam wszystkie mniejsze skaleczenia i zadrapania, których było mnóstwo na obu nogach. Pociętymi w pasy ręcznikami zabandażowałam okaleczone miejsca, nie ruszając w dalszym ciągu głównej rany. Nie wiedziałam ile czasu upłynęło od momentu nałożenia opaski. Nie miałam zegarka, a czas miał inne wymiary tego dnia. Bałam się je zdjąć, żeby krwawe źródelko znowu nie wypłynęło, bałam się też dłużej uciskać żyły. Zaryzykowałam. Patrzyłam przez chwilę, czy nie zacznie bulgotać. Odetchnęłam. Krew została zahamowana.

Chora cały czas jęczała, ale to jakby nie docierało do mojej świadomości. Byłam tak skupiona na czynnościach, które wykonywałam, że na jęki nie zwracałam uwagi.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie jak bardzo cierpi ta kobieta i nie tylko z bólu spowodowanego raną, a bardziej z bólu po stracie męża.

Napoiłam ranną, obmyłam twarz zimną wodą i właściwie to było wszystko co mogłam zrobić. Było bardzo gorąco i poczułam się bardzo zmęczona. Poprosiłam mężczyzn, żeby po południu, jak się ochłodzi, przynieśli ranną do mego domu. Na razie została pod opieką kuzynki, a ja poszłam do domu.

Idąc przypomniałam sobie, że nie umyłam rąk: były zakrwawione aż do łokci. Ślady krwi miałam także na ubraniu. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

Natomiast mój chłopak, który wyszedł mi na spotkanie, omal nie zemdlął na mój widok. Dowiedziałam się potem, że kiedy ujrzał rannych i zabitych żołnierzy, uciekł mój rycerz, zostawiając mnie samą na polu bitwy.

W domu jadłam obiad, wprawdzie bez większego apetytu, ale też i bez obrzydzenia, chociaż za paznokciami miałam jeszcze krew.

- Dalej, to już Pani sama wie. Zabrano panią do szpitala i uratowano nogę - zwróciłam się do pani Gibulskiej.

Chwilę trwała cisza, a potem pani Gibulska wstała, objęła mnie ramionami i wyszłochała:

- To ty mi uratowałaś nogę, a może i życie? Dlaczego nigdy mi tego nie opowiedziałaś.

- Nie było to nic takiego niezwykłego. żeby tym się chwalić - odpowiedziałam zgodnie z tym co czułam, ale w tajemnicy muszę wyznać, że byłam z siebie dumna, dlatego że nie zawiodłam swego Ojca, gdy otrzymałam od niego to lakoniczne polecenie: zajmiesz się rannymi.

W tym samym czasie, kiedy zginął mój Ojciec, został ranny także Wacek Kalinowski, już wtedy oficjalny narzeczony mojej przyjaciółki Janki.

Podobnie jak mój Ojciec, Wacek chował się w dziesiątku zboża, a przypadkowy pocisk trafił go w stopę i wyszedł gdzieś w okolicy kolana.

Zanim zorganizowano transport do szpitala do Białegostoku, przeszło kilka dni, wdało się zakażenie i wystąpiła konieczność amputacji nogi powyżej kolana. Odwiedziliśmy go z Janką w szpitalu. To było straszne nie tylko dla niego, lecz i dla nas. To była naprawdę dobrana para pod względem temperamentu, pogody ducha i optymizmu. Kiedy na zabawie tańczyli polkę lub oberka, wytwarzał się taki wir powietrza, że zawieszona u sufitu lampa naftowa gaśła.

- Janka, co teraz będzie? - zapytałam, gdy wyszliśmy ze szpitala.

- Jestem zdecydowana, wyjdę za niego - odpowiedziała i dotrzymała słowa.

Tymczasem trwała jeszcze zima 1944 roku i największym zmartwieniem było, żeby ją jakoś przetrwać.

Organizowano pomoc sąsiedzka, dzielono się czym kto miał i tak w końcu powiało wiosną. Dzięki temu, że w jesieni

zakopałam ziemniaki w różne dołki, teraz mieliśmy ich pod dostatkiem i mogliśmy dzielić się z sąsiadami w zamian za pomoc i inne usługi.

Moja siostra Lucyna już się uczyła w szkole średniej w Białymstoku, moja ciocia Janina uczyła w miejscowej szkole podstawowej, a ja jako najstarsza i najsilniejsza, musiałam pomagać w gospodarstwie.

Jeszcze zimą, po powrocie z ewakuacji, okazało się, że w domu poza stoma innymi brakami nie ma ani jednej igły. Odzież się sypie, dziura na dziurze, szwy pękają na ubraniach podrastających dzieci, a tu nie ma igły. Nawet maszyna do szycia przywieziona przez Babcię ze Stanów przed laty ocalała, lecz też stała się bezużyteczna z powodu braku nici.

Ojciec często mawiał:

- Myśl logicznie, rozważaj wszelkie możliwości.

Postanowiłam więc wysilić mózg i pomyśleć logicznie.

Dom jest zasiedlony już prawie pięć lat. Cały czas były w domu igły, które gdzieś się gubiły i trzeba było ciągle kupować nowe. Czy nie mogła zaistnieć taka sytuacja, że gdzieś w szczelinie pomiędzy deskami podłogi leży sobie taka zagubiona igła?

Położyłam się na podłodze i systematycznie cal po calu zaczęłam sprawdzać szczeliny pomiędzy deskami, pomagając sobie kawałkiem drutu.

Sprawdziłam jeden pokój - nic. Ale tu się najmniej szyło - pocieszyłam się. W drugim pokoju także nic. Zabrałam się za kuchnię, nie tracąc nadziei. No i opłaciło się logiczne myślenie i cierpliwość. W kuchni znalazłam igłę! W tej chwili miała ona większą wartość niż pięciokaratowy kryształ. W swojej pomysłowości poszłam jeszcze dalej. Wysupływałam nici z kawałków tkanin i tymi niemi szyłam na maszynie. Udało mi się nawet uszyć męską czapkę „maciejówkę”. Gdy się sąsiedzi o tym dowiedzieli, otrzymałam mnóstwo zamówień. Szyłam na tak zwany odrobek, to znaczy za uszycie czapki – pół dnia koszenia trawy, lub orania. W ten sposób praca na roli jakoś nie pozostawała w tyle, nawet przy braku mężczyzn.

Wiosna przysła sucha i pogodna, i ktoś z sąsiadów zasygnalizował, że na torfowisku nad Biebrzą leży suchy torf nakopany w ubiegłych latach i nie zwieziony do domów z powodu działań wojennych.

Pożyczyliśmy od jednego sąsiada konia (zdążył już sobie załatwić), a od drugiego sąsiada chłopca piętnastolatka.

Konik był piękny, młody, rasowy, wdzięcznie szedł w zaprzęgu, chociaż trochę się plątał: widać było, że nie był używany do pracy.

Torf był wysuszony, a więc nie stanowił większego ciężaru. nakładliśmy pełny wóz i ruszyliśmy z powrotem przez suche bagno. Konik choć z oporami, ciągnął dzielnie, aż do chwili, gdy się tylne koło zaryło po oś w bagiennym torfowisku.

Konik zatrzymał się. Pozwoliliśmy mu odpocząć, a potem zaczęliśmy zachęcać do ruszenia. Klepałam go po szyi, gładziłam nozdrza, omal że go nie całowałam w aksamitny sympatyczny pyszczek, a on nic. Tańczy w miejscu, splątał uprzęż. Widać jak jest zdenerwowany: każdy mięsień na nim drży, pot kapie z niego jakby wyskoczył z kąpielni, lecz gdy tylko poczuje za sobą opór, znowu rozpoczyna nerwowy taniec. Usiedliśmy z chłopcem na poboczu.

- Co robić? - otarłam brudną ręką łzy. Mój pomocnik też nie wiedział co robić.

Wokół pustka, nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc. Na dodatek nie wiedzieliśmy, że wokół jest pełno min. A właściwie na szczęście nie wiedzieliśmy, bo to dopiero byłaby groza.

Konik trochę się uspokoił i nagle zupełnie niespodziewanie, bez żadnego wysiłku wyciągnął wóz i ruszył z miejsca. Ledwie go dopędziliśmy i wdrapaliśmy się na wierzch naładowanego wozu.

Koń nie nadawał się do pracy, lecz pod siodło i sąsiedzi go wymienili.

Tuż po zakończeniu wojny w maju 1945 roku, rozpoczęła się wędrówka ludów z zachodu na wschód. Wracali do siebie ludzie wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec.

Ukraińskie rodziny pracujące w niemieckich majątkach wracały porządnymi wozami i dobrze utrzymanymi końmi, tylko że w Polsce te konie poginęły, a wozy i wszelkie inne dobra musieli zostawić, nie mogąc dźwigać tego na plecach. Rolnicy zamiast czekać na przydział koni, sami je zdobywali u znenawidzonych Ukraińców, usprawiedliwiając się, że kradną kradzione. Sama nienawidziłam Ukraińców za to co się stało z moim Ojcem, lecz uważam, że te wozy i konie słusznie im się należały za pracę dla Niemców. Ale wojna rządzi się swoimi prawami i próżno byłoby te prawa zmieniać.

W lipcu rozpoczął się pochód zwycięskich wojsk radzieckich z frontu do domów na wschód. I znowu bez przerwy całe obejście pełne było wojska, jednostki ciągle się wymieniały, lecz ja umiałam już wykorzystać sytuację i jeszcze tym razem wszelkie aktualne polowe prace zostały wykonane przez chętnych chłopców. Byli oni teraz weselsi, harmonie już nie łkały po nocach „rewe taj stogne Dnibr szirokij”, lecz wygrywały dziarskie kozaki, przy których nogi wrywały się do tańca. Wieczorami tańczono na podwórku, a starsi oficerowie, przeglądali swoje wojenne łupy. Tylko, że prawdopodobnie na granicy te łupy im odebrano. Stalin nie lubił bogatszych od siebie.

Pewnego razu zatrzymało się u nas kilku starszych oficerów, którzy nagle zapragnęli uczyć się języka polskiego. Dowiedzieli się, że mieszka tu nauczycielka i przysłali po nią ordynansa. Jania była akurat zajęta i poprosiła mnie, żebym poszła i dowiedziała się konkretnie o co chodzi.

- Jak zwykle ja, zawsze na pierwszy ogień - pomyślałam z niechęcią ale i z dumą.

Weszłam do pokoju, w którym wokół stołu siedziało czterech oficerów; pozdrowiłam grzecznie i wytłumaczyłam, że w tej chwili nauczycielka jest zajęta, lecz prosiła, żeby ją umówić na dowolną dla nich godzinę, wtedy przyjdzie i chętnie rozpocznie naukę języka polskiego. Mówiłam w miarę poprawnie po rosyjsku, więc się zainteresowali skąd go znam. Powiedziałam, że kontaktów z wojskiem, że nawet

czytać i pisać potrafię. Zapewniałam ich, że języki słowiańskie mają tak dużo ze sobą wspólnego że bardzo łatwo jest je opanować. Wywiązała się nader uczona dyskusja, potencjalni uczniowie z respektem zamilkli zadziwieni moją elokwencją.

Do nauki języka nie doszło, bo jeszcze tego samego dnia wyjechali, ale opowiadając Jani o mojej uczonej rozmowie, zaśmiewałyśmy się obie z ich zdziwionych i zaskoczonych min, gdy im opowiadałam o budowie słów, rdzeniach, przyrostkach i przedrostkach, a na koniec powiedziałam w pięciu językach słowo „mama”.

Zdarzyło się, że jeden z żołnierzy widząc u nas maszynę do szycia, poprosił mnie, żeby mu zeszyć rozprutą bluzę. Przyniósł mi za to w formie zapłaty olbrzymią niemiecką flagę czerwono-białą. Wkrótce ilość klientów wzrosła, a proporcjonalnie do tego wzrósł mój stan posiadania. Miałam już nici do szycia, igły, różne części garderoby i pościeli.

Z białej części flagi uszyłam sobie bluzkę, a z czerwonej – po prostu majtki. Wspominam o tym, ponieważ historia miała ciąg dalszy.

Następnego roku, szkoła przygotowywała się do święta 1-Maja i między innymi miała obowiązek wywiesić czerwoną flagę. Zmartwiony kierownik szkoły przyszedł do nas z pytaniem, czy nie mamy kawałka czerwonego materiału. Niestety, nie mieliśmy i nie było nadziei, żeby kupić go w nawet najdalszym sklepie.

Nagle olśniło mnie.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziałam do kierownika.

Pogrzebałam w szafie i znalazłam dawno zapomniane czerwone majtki. Krój ich był tak prosty, że wystarczyło jeden szef rozpruć, dwa krótkie szwy zeszyć i powstał prostokąt. Jeszcze tylko tunel dla kijka i wyśmienita czerwona flaga.

Triumfalnie przyniosłam flagę i wręczyłam kierownikowi szkoły.

Rozpływał się w podziękowaniach, a my z Janią znowu miałyśmy się z czego śmiać.

Skończył się pochód wracających wojsk radzieckich. Jeszcze tej jesieni wyjechałam do Białegostoku, rozpocząć dorosłe, samodzielne życie. W rodzinnym domu bywałam jednak bardzo często, chociaż dzisiaj mi się wydaje, że mogło być częściej, mając na względzie pomoc swojej tak skrzywdzonej przez los Matce. Bo co jest na świecie ważniejsze od Matki?

MALWY

Wysokie malwy, szczupłe w pasie,
obsiadły rzędem moją chatę
i grzeją w słońcu pyszne kwiaty
i cieszą oczy w każdym czasie.

I ja chodziłam jak te malwy:
Beztrosko, szumnie i wesoło
i mnie kochali wszyscy wkoło,
lecz burze pozmieniały barwy.

Zły los pochylił moją głowę,
Urodę moją zmyły deszcze.
I po co dotąd jestem jeszcze,
gdy już przekwitły malwy płowe?

Z.P.

GORZKI MIÓD

Nasze wojenne pokolenie los skrzywdził skracając nam młodość o całe pięć lat.

Na początku wojny byłam dzieckiem, a z chwilą jej zakończenia okazało się nagle, że mam dwadzieścia dwa lata, żadnego wykształcenia i wchodzę w wiek, kiedy dziewczyny myślą o małżeństwie.

Siostra Lucyna, która uczyła się w Białymstoku w Liceum Pedagogicznym, wynalazła dla mnie szkołę o podobnym profilu: seminarium dla wychowawczyń przedszkoli.

Najpierw trzeba było zaliczyć trzymiesięczny kurs przygotowawczy, a potem trzyletnie seminarium, przerobione w przeciągu półtora roku. Zdecydowałam się na tę szkołę. Miałam już wtedy propozycję małżeństwa, lecz nie byłam jeszcze na to gotowa. Wołałam utrzymywać stosunki koleżeńskie ze znajomymi chłopcami.

Może to przez tę moją młodzieńczą, pierwszą miłość, która tliła się gdzieś na samym dnie serca, a może nie spotkałam jeszcze właściwego mężczyzny ?

Aktualnie miałam dwóch poważnych konkurentów. Jeden to kolega prawie od urodzenia, zakochany we mnie swoją pierwszą młodzieńczą miłością, a drugiego poznałam na weselu mojej przyjaciółki Janki.

Ten pierwszy – Edek mieszkał w Pieszku więc odwiedzał mnie niezbyt często, natomiast ten drugi – Witek mieszkał i pracował w Ełku i częściej przyjeżdżał do Białegostoku, no i codziennie pisał listy.

Lucyna mieszkała w internacie, a ja u znajomych – państwa Brajerów, gdzie wydzielono mi kącik do spania w pokoju gospodarzy.

W drugim pokoju stało kilka kozetek, które służyły jako łóżka hotelowe dla osób przyjeżdżających do Białegostoku w sprawach służbowych.

Białystok był w znacznym stopniu zrujnowany podczas wojennych bombardowań, szczególnie w śródmieściu całe ulice leżały w gruzach.

Hotele były rozbite, dostało się też pałacowi Branickich, obok którego stał budynek szkolny zupełnie nienaruszony – uczyliśmy się w nim ja i Lucyna.

Podczas pierwszego dnia zajęć przyjrzałam się koleżankom, były i starsze i młodsze ode mnie, ale wszystkie wydały się sympatyczne.

Tematy zajęć dotyczyły głównie dydaktyki nauczania, wychowania i psychologii dziecka. Ten ostatni temat od razu mi się spodobał. Przecież miałam młodsze rodzeństwo, znałam jego zachowanie, a profesor ubrał je tylko w uczone słowa.

Po zajęciach dostawaliśmy obiady w internacie, który mieścił się w pałacowych stajniach. Kiedy rozpoczniemy już normalną naukę, będziemy tutaj mieszkać.

Wróciwszy po zajęciach na swoją kwaterę, zastałam czterech mężczyzn siedzących przy stole. Mieli rozłożone jakieś swoje konserwy, chleb i oczywiście wódkę. Pan Brajer przedstawił mnie, oni wymienili niewyraźnie swoje nazwiska i oczywiście zostałam zaproszona na posiłek. Wymawiałam się jak mogłam od picia alkoholu, aż gospodyni wyratowała mnie, wręczając codzienny list od Witka. Pozwolono mi odejść od stołu i przeczytać korespondencję. Wkrótce zabrakło wódki więc towarzystwo poszło „w miasto”. W mieszkaniu pozostał jeden starszy pan, który przedstawił się już teraz porządnie. Nazywa się Józef Andruszkiewicz, mieszka obecnie z rodziną w Sejnach, pracuje w milicji jako pracownik cywilny i dostał służbowe przeniesienie do Białegostoku. Przyjechał, żeby obejrzeć mieszkanie, które mu przydzielono. Dziwnym zbiegiem okoliczności mieszkanie znajdowało się o dwie posesje dalej od domu państwa Brajerów. Mieściło się na parterze niewielkiego domu, stojącego przy ulicy Niecałej nr 8. Był to jedyny cały budynek na „niecałej” ulicy. Reszta znajdowała się w rozsypce. Tylko jedna samotna ściana

sterczała wśród tego rumowiska, grożąc w każdej chwili zawaleniem.

Na razie mieszkanie było zajęte, a ponieważ pan Andruszkiewicz dostał już pracę w Białymstoku, musiał chwilowo zamieszkać u moich gospodarzy.

W Sejnach została żona z trzema synami, czwarty syn przebywał także na kursie wprowadzającym, i żeby było śmieszniej – też pedagogicznym, tylko w Suwałkach.

Zaprzyjaźniłam się z panem Józefem, nawet nie podejrzewając, że w niedługim czasie zostanie moim teściem.

Tymczasem ukończyłam kurs wstępny i pojechałam do domu na wakacje.

W domu było nas dużo, mieliśmy mnóstwo pracy, nie było czasu na nudy, chociaż życie towarzyskie prawie nie istniało. Młodzież wyemigrowała do miast. W czasie tych wakacji było nas siedmioro: Babcia, Mama, Jania ze Sławkiem, moje rodzeństwo: Lucyna i Stefan i ja.

Byliśmy młodzi a więc z natury rzeczy weseli i skorzy do żartów, pomimo tragedii, które były w tak nieodległej przeszłości naszym udziałem.

Zgodnie z umową, jeden miesiąc wakacji musiałam poświęcić na pracę z dziećmi na koloniach w mieście, zwanych półkoloniami. Zatrudniono mnie w przedszkolu przy kościele Świętego Rocha, prowadzonym przez zakonnice. Nie potrafię opisać mego przerażenia, kiedy stanęłam twarzą w twarz z liczną grupą nie znanych mi dzieciaków. Byłam przekonana, że nigdy w życiu nie potrafię zapamiętać ich imion, ani nazwisk, nie mówiąc o adresach. Zaraz pierwszego dnia zdarzył mi się przykry incydent. Po zajęciach rodzice odebrali część dzieci, te które mieszkały w pobliżu, poszły same. Została tylko jedna dziewczynka, która знаła tylko swoje imię. Kancelaria była nieczynna, zakonnice już się porozchodziły, zostałam sama z tą Manią czy Hanią.

- Gdzie mieszkasz ? – dopytywałam się.

Dziewczynka wskazywała ręką kierunek, więc szliśmy tam, lecz po chwili przystawała, rozglądała się i wskazywała zupełnie inną ulicę.

Zaczął szarzyć, a ja nie wiedziałam co mam robić. Zabrać dziecko do domu? Niemożliwe, przecież rodzice będą jej szukać. Jednak szczęście mi dopisało. Spotkałam kobietę, która znała dziewczynkę, była sąsiadką jej mamy, która podobno poszła „w plener” jak określiła kobieta. Zabrała małą obiecując, że zaopiekuje się nią aż do powrotu mamy. A ja całą noc miałam wyrzuty, że ta kobieta jest porywaczką i co będzie ze mną, jeśli dziecko zginie.

W dalszym ciągu mieszkałam u państwa Brajerów. Poznałam rodzinę pana Józefa: sympatyczną żonę panią Teodozję, starszego syna Ryszarda, młodszego – Zdzisława i najmłodszego Mirosława, rówieśnika mojego brata Stefana. Najstarszy syn, mój rówieśnik, jeszcze nie przyjechał.

Zaprzyjaźniłam się z tą rodziną. Zabierali mnie na spacer, a w niedzielę obowiązkowo na mecze piłki nożnej. Oni zwykle siedzieli na trybunach i zawzięcie kibicowali, a ja za siatką rozkładałam się na trawniku i czytałam książkę.

Zacząłam już rozeznawać się w swoich dzieciakach i pod koniec półkolonii znałam wszystkie imiona i nauczyłam się najważniejszego: panowania nad grupą.

Nie mogę powiedzieć z ręką na sercu, że lubię pracę z dziećmi, lecz przyrzekłam sobie, że będę wykonywać ją jak najlepiej. Nareszcie przyszedł fotograf, zrobił grupowe zdjęcie i dzieci rozeszły się do domu.

Miałam trzy dni do rozpoczęcia szkolnego roku. Jeszcze tego samego dnia postanowiłam jechać do domu wieczornym pociągiem. Poszłam tylko jeszcze do gospodarzy, żeby się przebrać i uprzedzić o wyjeździe. W tym czasie rozległo się pukanie i do mieszkania wszedł mężczyzna, którego rozpoznałam od razu dzięki podobieństwu do ojca i braci. Nie musiał się nawet przedstawiać. Był bardzo przystojny, miał ujmujący uśmiech, gęstą czuprynę i miły głos. Widząc, że szykuję się do wyjścia od razu przystąpił do rzeczy.

- Wyjeżdżam do Poznania. Czy mogłaby pani pożyczyć mi swoją walizkę ?

- Naturalnie, bardzo proszę – odpowiedziałam. – Pani Brajerowa, proszę wyjąć z walizki moje rzeczy i dać ją panu. Ja bardzo spieszę się na pociąg. Do widzenia, w poniedziałek wracam – krzyknęłam już ze schodów.

W poniedziałek przyjechałam wprost do internatu. Dziewczyny już zdążyły częściowo zagospodarować salę sypialną, w której mieściło się dziesięć piętrowych łóżek, czyli dwadzieścia miejsc do spania. Stałam niezdecydowana, które łóżko wybrać, lecz zrobiła to za mnie wysoka ładna blondynka, stanowcza i pewna siebie.

- Jestem Janka Łapińska z Łap. Będiesz spała na górnym łóżku nade mną. Jesteś dość filigranowa, to może mnie nie przygnieciesz, jak spadniesz.

- Jestem Zosia Klimaszewska – powiedziałam głośno do wszystkich – i dziękuję za łóżko – zwróciłam się do Janki.

W tej sypialni mieściła się cała nasza grupa z wyjątkiem dwóch białostoczanek, zakonnic.

Na tablicy ogłoszeń wisiał regulamin korzystania z pomieszczeń internatu, z którego wynikało, że sypialnia jest przeznaczona wyłącznie do spania, ewentualnie do odleżenia jakiejś lekkiej niedyspozycji. Do innych celów jak odrabianie lekcji, przyjmowanie gości itp. służyła świetlica. Muszę powiedzieć, że żadna dziewczyna nie próbowała wylaamywać się z ustalonego regulaminu. Gorzej było z wieczornymi powrotami do internatu – trzeba było używać dziur w płocie.

Jak już wspomniałam, wszystkie pomieszczenia internatowe: kuchnia, jadalnia, magazyny mieściły się na parterze w pałacowych stajniach. Część okien wychodziła na podwórko, a część na ulicę i park obok Teatru Węgierki. Dalej rozciągał się park Zwierzyniecki, gdzie chodziliśmy zarówno uczyć się, jak i na spotkania z chłopakami.

Nasz rozkład dnia wyglądał następująco: godzina 8⁰⁰ – śniadanie, o godzinie 13⁰⁰ – obiad, od 14⁰⁰ - zajęcia w szkole,

o 20⁰⁰ - kolacja, godzina 22⁰⁰ – wieczorny apel i lulu. Bardziej kochliwe panienki wymykały się po apelu na randki przez dziury w płocie.

Czas między śniadaniem i obiadem należał do nas, chociaż właściwie był przeznaczony na odrabianie lekcji.

Pierwszego dnia wybrałam się odwiedzić państwa Brajerów, gdzie dowiedziałam się, że państwo Andruszkiewiczowie zapraszają mnie do siebie. Dowiedziałam się też od pani Brajerowej, że Józef młodszy wrócił z Poznania rozczarowany, bo dziewczyna w której był zakochany w czasie przymusowych robót w Niemczech, znalazła sobie innego i rozstała się z Andruszkiewiczem.

Poszłam do nich, lecz zastałam tylko panią Teodozję, bo panowie byli w pracy lub w szkole. Umówiliśmy się, że Józef młodszy odniesie mi walizkę do internatu o godzinie 20⁰⁰. Będę czekała na niego w świetlicy.

Szkoła, to magiczne słowo. Nawet gdyby uczniami byli dziadkowie i babcie, to też skłonni byłiby do figlów i psot.

Siedziałam w ławce z Janką, a za nami siedziały dwie zakonnice. Za mną – siostra Wysocka, za Janką siostra Budzińska. Od pierwszego do ostatniego dnia nauki było tak, że kiedy z ust profesora padało pytanie, obojętnie na jaki temat, siostra Wysocka dawała mi pod łopatkę porządnego kuksańca i teatralnym szeptem wzywała pomocy: Zosiaaaaa ! Jeśli było to możliwe podpowiadałam, lecz nie zawsze to się udawało. Druga siostra była bardziej ambitna i polegała wyłącznie na sobie. Program nie był trudny, przynajmniej dla mnie – miałam za sobą dwie klasy gimnazjum.

Tego dnia wszystkie dziewczyny, łącznie z zakonicami, wiedziały, że przyjdzie do mnie chłopak. To bez znaczenia, że chłopak odnosił tylko pożyczoną walizkę. Dziewczęca wyobraźnia dopisała ciąg dalszy i to bezbłędnie.

Przyszłedł punktualnie i zanim doszedł do mego stolika, dał obejrzeć się zainteresowanym koleżankom. Jankę poznał od razu, bo siedziała przy moim stoliku. Potem stopniowo poznawał się z pozostałymi moimi koleżankami. Jeszcze tego

samego wieczoru przeszliśmy na ty, a Janka zaczęła nazywać mnie Józiową.

Zaczęliśmy spotykać się każdego popołudnia w parku, czasem chodziliśmy do jego domu.

Józek dostał pracę, tak jak jego ojciec, w milicji. Był pracownikiem cywilnym, nie nosił munduru.

Pewnego razu, wczesną jesienią, gdy byłam z Józkiem na randce w parku, przyjechał z Elku Witek. Przytomne koleżanki zatrzymały go w świetlicy, a do mnie wysłały gońca z ostrzeżeniem. Zostało przekazane na migi, ale ja zrozumiałam i spławiłam Józka z lekkimi wyrzutami sumienia.

Witek też mi się podobał, też był przystojny: czy to moja wina ?

Opowiedziałam przyjaciółkom również o trzecim wielbicielu, Edku, a one zawczasu przygotowały scenariusz spotkania.

Tym razem jednak spotkanie odbyło się inaczej.

Właśnie po śniadaniu odrabiałam lekcje w świetlicy, gdy woźny wywołał mnie na korytarz. Ujrzałam szczupłego podoficera, który z postawy przypominał Edka, lecz jego posiniaczona i pokaleczona twarz nasuwała wątpliwości. Woźny wczuł się w sytuację i zaprosił nas do swojej dyżurki, gdzie mogliśmy spokojnie porozmawiać. Objął mnie i długo trwaliśmy w uścisku, a ja miałam wrażenie, że płacze.

- Kto cię tak urządził, przecież wojna już się skończyła.

- Nie dla wszystkich – odpowiedział krzywiąc twarz z bólu.

- Wiedziałaś, że dostałeś się do wojska, ale że tak dosłużyłeś się belek ?

- Przecież wiesz jak teraz jest. Brak lekarzy, nauczycieli, oficerów, którzy przepadli na terenach Związku Radzieckiego. Widziałaś hasła na ulicach – „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Kilka miesięcy ćwiczeń i masz podoficera, oficera i wcale nie ma potrzeby „dosłużyć się” jak mówisz. Po prostu cię mianują.

Pomyślałam o swojej szkole. Tak, przedszkolanek też brak.

- A to ? – zapytałam patrząc na jego twarz.

- To ? – zapytał. – To zupełnie inna historia.

- Opowiedz.

- Dobrze, bo ciebie też to dotyczy.

- ?

- Po zakończeniu szkolenia i wręczeniu stopni, rozesłano nas na dwutygodniowe urlopy – zaczął. - Wybacz, lecz marzyłem głównie o tym, żeby się wyspać, a dopiero na drugim miejscu o tobie. Odwiedziłem twoją rodzinę, znajomych, pochodziłem naszymi starymi dróżkami i to był błąd. Za bardzo wystawiłem się na pokaz. Już trzeciej nocy usłyszeliśmy walenie czymś ciężkim w drzwi, jak za dawnych „dobrych czasów okupacyjnych” i krzyk:

- Otwierać! - Ojciec wyskoczył w białiznie, otworzył drzwi przez które wpakowała się do mieszkania grupa zbrojnych. - Podobno macie tu ruskiego oficera. Dajcie go nam, chcemy go uświadomić komu ma służyć.

Na ucieczkę nie miałem żadnych szans, ubrałem się więc i zszedłem z pięterka na dół. Otoczyła mnie gromada „uświadamiając” mnie . Moja matka zemdląła, więc powiedzieli, że rozstrzelają mnie w lesie. Poszedłem otoczony tą gromadą. Po drodze dowiedziałem się, że byli u twojej rodziny, żeby ostrzyć „pannę ruskiego oficera”. Całe szczęście, że nie było cię w domu. Przy okazji zabrali mundury twojego wujka i wszystko co było do jedzenia. Mnie pobili i chociaż byłem nieprzytomny, to wyżyłem. Ojciec z sąsiadem przynieśli mnie na rękach do domu.

W miarę opowiadania narastał we mnie gniew.

A ja tym draniom wynosiłam z niemieckich magazynów w Twierdzy Osowiec amunicję, narażając własne życie i życie swoich bliskich!

Edek, widząc moje wzburzenie, milczał chwilę, a potem przekazał polecenie mojej Mamy, żebym nie przyjeżdżała do domu aż do odwołania.

- A co z tobą ? – zapytałam.

- Na wszelki wypadek wyjechałem z domu. Resztę urlopu wolę spędzić w jednostce.

Spojrzał na zegarek.

- Nie będę ci więcej zabierał czasu. Niedługo mam pociąg.

- Napisz – poprosiłam.

Pożegnaliśmy się dość chłodno.

Tak więc wojna trwała nadal. Wojna wielkiej polityki i ogłupiałych, którzy myślą, że bijąc żołnierza, brata, zmienia coś w wielkiej polityce .

W mojej szkole były lekcje religii a przed pierwszą Wielkanocą w tym czasie mieliśmy rekolekcje w kościele.

Chyba drugiego dnia rekolekcji wróciłam z kościoła wprost na obiad. Podczas obiadu przyszedł żołnierz i wręczył pisma mnie i moim najlepszym koleżankom: Halinie i Wiśce. Wszystkie pisma były jednakowej treści. Wzywano nas do Urzędu Bezpieczeństwa na rozmowę. Skonsternowane, nie mając nic na sumieniu, zwróciłyśmy się do kierownika internatu o radę. Nie było wyboru, musiałyśmy się podporządkować.

Poszłyśmy razem. Urząd mieścił się w budynku obok naszej szkoły. Rozdzielono nas i każda znalazła się w oddzielnym pomieszczeniu. Po chwili niepewnego oczekiwania przyszedł oficer i rozpoczął niezobowiązującą rozmowę: jakie mamy warunki w szkole, czy dobrze nas karmią, czy dobrze traktują czy w dalszym ciągu odmawiamy modlitwę przed i po lekcjach. Usilnie starałam się zrozumieć o co mu chodzi i już byłam blisko, gdy zapytał o czym na rekolekcjach mówił ksiądz. W rzeczywistości rekolekcje prowadził biskup, który utracił swoją diecezję za wschodnią granicą. Skupiłam się. Pierwsze, co mi się przypomniało, to jak zwracał się do nas dziewcząt. Mówił – dziewczęta pamiętajcie, że musicie dbać o siebie, że na ulicy powinnyście być jak kwiaty.

Musicie podobać się nie tylko mężczyznom lecz także samym sobie.

- A czy mówił coś na temat powstania warszawskiego ? – przerwał mi oficer.

Długo zastanawiałam się, nie mogąc sobie przypomnieć.

- Mówił – zaczęłam z ociąganiem – chyba tak ogólnie, żeby modlić się za poległych.

- A co pani sądzi o powstaniu warszawskim ?

Ja właściwie nie miałam na ten temat zdania i niewiele wiedzy, bo wówczas polityka mnie nie interesowała. Zapytałam więc z głupia frant, co on o tym sądzi. O dziwo, udzielił mi odpowiedzi. Powiedział, że powstanie kosztowało zbyt wiele istnień ludzkich i strat materialnych, żeby można je było uważać za potrzebne.

Rozmawialiśmy przez pięć godzin. Oficerowi pękała z bólu głowa, bo coraz to ścisnął dłońmi skronie. Ja udzielałam wykrętnych odpowiedzi, lecz w miarę wyważonych. Na zakończenie powiedział: będziemy budować szklane domy, lecz pani nie będzie w nich mieszkać.

Wróciłam do internatu. Byłam załamana. Byłam wyklęta. Szklane domy były nie dla mnie. Dlaczego ?

Pozostałe koleżanki też wróciły i razem zdałyśmy kierownikowi internatu sprawę z naszej wizyty w UB. Doszłyśmy do wspólnego wniosku, że chodziło o zebranie dowodów obciążających księdza rekolekcjonistę.

Tak więc polityka przyszła i do mnie czy chciałam tego czy nie. I muszę przyznać, że wiele dowiedziałam się od oficera przesłuchującego. Byłam nawet dumna ze swego sprytu i z tego, że ośmieliłam się zadawać pytania. Oprócz Haliny, Wiśki i mnie była też na przesłuchaniu Janka Łapińska.

Okazało się, że ją zabrał samochód UB z ulicy a gdy kazano jej podać nazwiska kilku koleżanek, podała właśnie nas.

- Bo wiedziałam, że jesteście sprytne i mądre, i wykręcicie się jakoś.

Byłyśmy młode, chciałyśmy żyć normalnie, uczyć się, pracować, kochać się, bawić, zakładać rodziny. Nie lubiłyśmy polityki, nie była ona naszym ulubionym tematem. Miałyśmy dość wojny i okupacji.

W pobliżu naszej szkoły znajdowały się koszary, gdzie między innymi była szkoła podchorążych. Dowódca

podchorążówki miał więc chłopców, a kierownik naszego internatu – dziewczęta. Porozumieli się i odtąd otrzymywałyśmy oficjalne zaproszenia na tańczące wieczorki. Był tylko jeden warunek: chłopcy mieli obowiązek, odprowadzać nas do internatu o oznaczonej porze i to grzecznie. Co to były za potańcówki! To były bale! Sala ogromna jak poligon, orkiestra dęta, jak kanonada artyleryjska. Chłopcy jak „malowani ułani”. Można było przetańczyć całą noc. Do tego miałam śliczne amerykańskie sukienki, które hojną ręką pożyczalam koleżankom. W tańcu byłyśmy niedoścignione, ponieważ w szkole na przerwach pomiędzy lekcjami, ćwiczyłyśmy i to nie z konieczności, a z umiłowania tej sztuki. Moją partnerką była zwykle Janka, z którą opanowałyśmy do perfekcji wszystkie modne i niemodne tańce, także ludowe.

- A co na to twój Józek ? – pytały niektóre koleżanki.

Po pierwsze, nie jest mój, bo mi się jeszcze nie oświadczył, a po drugie na tych zabawach ja tylko tańczę – odpowiedziałam.

Rzeczywiście, nie nawiązałam bliższej znajomości z żadnym podchorążakiem.

Centralną postacią naszego małego środowiska – terenu szkoły i internatu był zboczeniec. Jaki może być zboczeniec ? Nasz był niegroźny, nie uczynił żadnej z dziewcząt krzywdy: po prostu nas podglądał w internacie, w szkole, chował się w parku i na widok idących dziewcząt wychodził z krzaków lub zza drzewa i przyglądał się im. Niechlujny, brudny, zarośnięty mógł wzbudzać strach i bałyśmy się go nieprzytomnie. Do jakiego stopnia nieprzytomnie przekonałam się na własnej skórze.

Pewnego razu, podczas wieczornego apelu, zgasło światło. Prawie jednocześnie rozległ się wysoki, przeraźliwy dziewczęcy krzyk: zboczeeeeenic! Powstała panika. Całe towarzystwo ruszyło w ciemność, nie bardzo wiedząc w którą stronę, gdzie i po co uciekać.

Tak się zdarzyło, że jedna z koleżanek skoczyła w moją stronę, a że była niższa, uderzyła mnie głową w kość jarzmową pod lewym okiem. Uderzenie było tak silne, że kość pękła, a oczy zostały otoczone granatowymi sińcami, które z każdym dniem zmieniały kolory. Po tym wydarzeniu nasz kierownik zadzwonił na milicję. Zabrali naszego zboczeńca, lecz po kilku dniach znowu wrócił i znowu rozpląszczał swoją przerażającą twarz w szybach naszych okien siejąc popłoch wśród dziewcząt.

Właśnie przez te sińce wokół oczu ominęła mnie jedna zabawa. Pomimo ciemnych okularów było je widać, tak były rozległe.

Tymczasem pierwszy rok nauki dobiegał końca. Całą zimę spotykałam się z Józkiem, głównie u niego w domu, ale mieliśmy też do dyspozycji cały Park Zwierzyniecki. Pierwszy miesiąc wakacji to obowiązkowa praca na półkoniach. Zostałam kierowniczką półkolonii w przedszkolu przy ulicy Żłotej. Były nas cztery przedszkolanki, z tym że ja zajmowałam się całą administracją, a pozostałe trzy koleżanki – dziećmi. Przedszkole mieściło się w niewielkiej, prywatnej willi i było niesamowicie ciasno, więc dzieci po śniadaniu wychodziły do dość obszernego ogrodu, przylegającego do budynku.

Posiłki były obfite i smaczne, ponieważ wspomagało nas Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Po miesiącu dzieci przybrały na wadze po kilka kilogramów co nie było bez znaczenia dla ich zdrowia. Po obiedzie był jeszcze podwieczorek, a gdy dzieci porzuciły się już do domów, cały budynek pozostawał do naszej dyspozycji. Przychodził Józek i jego brat Rysiek. Ten był zaręczony z panną z Sejn, Realdą – po prostu Ralą i nigdy o tym nie zapominał.

Spędziliśmy wesołe towarzyskie wieczory. W pustym budynku ćwiczyłyśmy nasze soprany na najwyższych tonach, co stwarzało niepowtarzalne efekty akustyczne. To był naprawdę niezapomniany miesiąc, lecz nadszedł dzień, gdy musiałam się rozliczyć z prowadzonej działalności przed

urzędnikiem TPD. Ponieważ z moich obliczeń wynikło manko, którego nie powinno być, Józek z Ryśkiem poświęcili całą noc na sprawdzenie całej księgowości i znaleźli błąd.

Byłam więc w porządku i mogłam wreszcie jechać do domu na wakacje. Powoli zaczęły klarować się moje stosunki z Józkiem. Byłam już pewna jego zamiarów, lecz miałam jeszcze na sumieniu Witka i Edka, który był moim wielbicielem niemal od dzieciństwa. Nie spodziewałam się, że oba te problemy rozwiążą się same jeszcze podczas tych wakacji.

Wracałam z Białegostoku do domu. Tym samym pociągiem jechał Witek do Ełku. Siedzieliśmy sami w pustym przedziale, a on swój elegancki kapelusz położył na półce. Zamierzałam mu powiedzieć, że poznałam w Białymstoku chłopca, który mi się oświadczył, lecz przeszkodził mi w tym nowy pasażer, który wsiadł do naszego przedziału na następnym przystanku i swój bagaż władował wprost na kapelusz Witka. Mój kawaler wściekł się. Krzyczał, używał niewybrednych epitetów, a ja wiedziałam, że to już koniec. Napisałam jeszcze do niego list z wyjaśnieniem, dostałam dość zjadliwe życzenia szczęścia i tak zakończyła się ta nasza znajomość.

W domu jak zwykle wpadłam w wir pracy. Na szczęście Mama nie była sama, bo jak zwykle przyjechała także moja siostra Lucyna, no i była Jania, moja ukochana ciocia, której mogłam zwierzyć się ze wszystkiego, a ona potrafiła doradzić, pocieszyć, a czasem wyśmiać. Na epizod z Witkiem machnęła ręką:

- Ach, to nieważne, zapomnij o tym. W życiu czekają na ciebie o wiele poważniejsze problemy.

Pod koniec wakacji moja Mama dała mi trzy dni urlopu. Już wcześniej umówiłam się z siostrą Edka – Luśką, że wybierzemy się do Pisu w odwiedzinach do Edka. Po zdemobilizowaniu dostał tam pracę i zamieszkał u stryja. Normalnej komunikacji jeszcze nie było. Korzystałyśmy z przypadkowych samochodów wojskowych, ryzykując, że

znajdziemy się nie tam gdzie trzeba, lecz szczęście nam sprzyjało i dotarliśmy na miejsce całe i zdrowe.

Pisz, nieduże, uroczne miasteczko, pełne zieleni, która litościwie okrywała rozbite i spalone domy. Niektóre ulice były nietknięte, lecz jeszcze niezamieszkałe. W ogrodach widziałyśmy obfitość owoców, których nikt nie zbierał. Było akurat po deszczu i wszystko lśniło kolorami wokół nas. Odnalazłyśmy właściwy adres – był to domek jednopiętrowy, dwurodzinny.

Stryjostwo Luśki i Witka zajmowali piętro, a na dole – jak się później dowiedziałam – mieszkała młoda wdowa z pięciorgiem dzieci. Z tyłu domu płynęła rzeka Pisa. Widać ją było przez okna i słychać było głosy kąpiących się dzieci niemieckich. Przy brzegu stały tratwy, na których lubiłam się opalać, gdy Edek pracował, a Luśka gotowała obiady. Po południu chodziliśmy na spacer. Okolica była tak piękna i to wszystko tak mnie oczarowało, że postanowiłam zostać z Edkiem.

Dotąd spałyśmy z Luśką na łóżku Edka, a on spał na materacu, na podłodze. Tego wieczoru powiedziałam do Luśki:

- Dzisiaj śpię z Edkiem - i położyłam się na jego materacu, czekając kiedy wróci z przymusowej przechadzki (kanalizacja jeszcze nie działała). Czekanie jakoś się przedłużało, więc wstałam i chcąc wyrzucić przez okno, straciłam z parapetu grzebień. Zeszłam z piętra i wyszłam na podwórko, żeby go odszukać. Przed domkiem na ławeczce siedział Edek i młoda wdowa, objęci, z pochylonymi ku sobie głowami. Odnalazłam grzebień i bez słowa poszłam na górę. Położyłam się obok Luśki, a ona nie pytała o powód. Nazajutrz wyjechałam.

Skończyły się wakacje i znowu jechałyśmy z siostrą do swoich szkół w Białymstoku i do swoich internatów.

Ja czułam się w internacie jak ryba w wodzie, natomiast siostra źle znosiła życie w gromadzie i ciągle narzekała. Czuliła się pokrzywdzona, czego ja nie byłam w stanie pojąć i uważałam, że się pieści. Według niej nie byłam dobrą siostrą, bo za mało zajmowałam się nią i jej sprawami. Dzisiaj wiem,

że miała rację i że człowiek musi wszystkiego się nauczyć: jak być matką, córką, siostrą, a nawet synową, teściową i szwagrem. I co mogę dzisiaj powiedzieć ? Chyba tylko – wybacz, Siostró.

Tylko w odniesieniu do Jani nie musiałam się niczego uczyć. Ją kochałam, zanim jeszcze przyszłam na świat.

A jeśli chodzi o mężczyzn, to chyba nie byłam zdolna do takiej melodramatycznej miłości jak w filmach lub książkach. Tak wyszło, że Józek został moim mężem po zastosowaniu metody eliminacji.

Miłość przyszła później. Przyszła za późno.

Rozpoczął się rok szkolny, nauka szła zwykłym trybem. W dalszym ciągu spotykałam się z Józkiem i utrzymywałam przyjazne stosunki z jego rodziną. Nawet coś szyłam dla pani Dozi, mojej przyszłej teściowej.

W roku 1948 na wiosnę zakończyło się nasze seminarium i wszystkie zostałyśmy skierowane do pracy. Egzaminami odłożono nam na kilka miesięcy później, już nie pamiętam z jakiego powodu.

I znowu dostała mi się Złota, tyle, że kierowniczką była teraz Wiśka, a ja zostałam wychowawczynią przedszkoli według oficjalnej nazwy.

Mniej więcej w tym samym czasie wrócił z Francji brat starszego Józefa Andruszkiewicza wraz z żoną i kilkunastoletnią córką Jadzią. Od tej pory Józef młodszy zawsze chodził z Jadzią, przychodził z nią do naszego przedszkola, zabierał ją na nasze randki, a ja byłam zazdrosna. Chciałam być z nim sama i nie znosiłam tej małej, chociaż nigdy nie zdradziłam się z tym.

Mówiło się już oficjalnie o naszym ślubie, chociaż nie było konkretnych ustaleń kiedy, a przede wszystkim – za co ?

Ja wprawdzie miałam suknię ślubną z Ameryki, welon obiecała mi pożyczyć koleżanka, ale Józek nie miał przyzwoitego ubrania, no bo skąd. Ze starych ubrań wyrósł, a nowych nie było za co kupić. Ratunkiem okazał się garnitur mojego nieżyjącego Ojca.

Mama wróżyła nam, że będziemy klepać biedę przez całe życie, skoro już na początku zaczynamy od żebraniny.

Józek miał jeszcze jedno zadanie do wykonania: musiał oficjalnie oświadczyć się mojej Mamie, a nie wiedział jak to zrobić. On, ja i Jania zamknęliśmy się w pokoju i robiliśmy próby tych oświadczyń, lecz Józkowi nie podobała się żadna wersja. W końcu Jania powiedziała z determinacją:

- Idź i powiedz: „Mamo dacie Zośkę czy nie! ? (to miało coś wspólnego z literaturą).

Józek poszedł szukać Mamy, lecz nie wiemy czy oświadczyń odbyły się właśnie w tej formie.

Ślub i wesele odbyło się u mojej Mamy w Downarach. Było dużo gości, między innymi stryj Andruszkiewicz z Francji, moje dwie koleżanki Wiśka i Halina, a swachną była moja dawna koleżanka Janka Pisanko, obecnie mężatka pani Kalinowska.

Pan młody był cały czas zdenerwowany i jego mama, Dozia, chodziła za nim z kropelkami.

Był taki moment kiedy wesele zawisło na włosku.

Na strychu stały łóżka wyniesione z mieszkania i kto chciał odpocząć mógł korzystać z tego lokum. To zdarzyło się w przeddzień wesela. Józek był na strychu, a ja miałam do niego jakąś sprawę. Weszłam po schodach i zaczęłam mówić, a on mi przerwał wołając:

- Wynoś się!

Zdrętwiałam. Zaczęłam wolno schodzić po schodach ze stanowczym postanowieniem odwołania ślubu i wesela. Usiadłam na ostatnim stopniu i zamyśliłam się. Ostatecznie niczego nie odwołałam i wesele odbyło się.

Do ślubu jechaliśmy zaprzęgami konnymi, pożyczonymi od sąsiadów. Podczas ceremonii popełniłam tylko dwie gafy: parsknęłam śmiechem na widok księdza ciągnącego za ucho niesfornego ministranta, a potem nie czekając na zakończenie ostatniej pieśni, wyprowadziłam z kościoła orszak ślubny. Mama spodziewała się reprimendy od księdza za te

uchybień, ale na szczęście ten albo zapomniał albo nie chciał nam robić przykrości i nic nie wspominał o tych zdarzeniach.

Główną kucharką na moim weselu była teściowa. Pomagały jej moja Mama, Jania, Lucyna i wszystkie inne kobiety, które przyjechały wcześniej. Ja miałam tylko jedno zmartwienie: że zabraknie jedzenia. Gdy już siedzieliśmy za stołem, powiedziałam o tym mojej swachnie, Jance Kalinowskiej. Ona też przejęła się tym tak bardzo, że postanowiłyśmy nic nie jeść, aby zaoszczędzić jedła dla pozostałych gości. Ona ogryzła tylko jedno skrzydełko od kurczaka, a ja niczego nie tknęłam, zresztą nie byłam głodna. Inni mieli jednak nieposkromione apetyty. Mój dalszy kuzyn – na przykład – przysunął do siebie tort – dzieło kucharki Dozi – poprosił o łyżkę i zjadł go do ostatniej okruszynki.

Na szczęście tortów było więcej.

Po uczcie poszliśmy w tany przy dźwiękach kapeli ludowej. Panna młoda musiała zatańczyć z każdym, ale co to było dla mnie! Tylko przyjemność.

Pierwsze wykruszyły się kucharki. Potem zniknął z pola widzenia mój mąż.

I tak kolejno ubywało gości: jedni szli spać na strych, inni na siano do stodoły, bo było bardzo ciepło i nagle zostałam sama na „gruzach Jerozolimy”.

Ksiądz zazwyczaj nie udzielał ślubów w soboty z uwagi na to, że weselnicy nie byli w stanie uczestniczyć w niedzielę we mszy świętej. Ja zobowiązałam się, że wszyscy stawią się na niedzielnej mszy „jak jeden mąż”.

Była godzina piąta rano. Czy opłacało się iść spać? Przyniosłam wiadro zimnej wody i szczotkę, wyszorowałam podłogi w pokoju jadalnym i w pokoju gdzie tańczono. Otwarłam wszystkie okna, żeby przewietrzyć pomieszczenia, pozmieniałam zabrudzone obrusy, wystawiłam półmiski z jedzeniem i zaczęłam kolejno budzić gości. Był najwyższy czas, żeby zdążyć do kościoła na godzinę dziewiątą. Wyruszyliśmy barwnym orszakiem, na skrzyżowaniu

przyłączyli się do nas miejscowi goście. Tej niedzieli ksiądz miał w kościele cały komplet.

Janka, Wiśka, Halina i ja poszłyśmy na chór do organisty oferując swoje usługi. Janka miała prześliczny głos, a my trzy przedszkolanki też nie byłyśmy gorsze. Wszystkie byłyśmy rozśpiewane, więc nie chwaląc się, nasz śpiew zachwycił wszystkich a najbardziej księdza, który słuchając naszych głosów, chwilami zapominał o swoich rutynowych modłach. Na zakończenie podziękował nam, mówiąc, że jeszcze nie słyszał tak zgranego zespołu. Zaprosiliśmy go na kolację, bo wbrew moim obawom jedzenia zostało aż nadto. Obiecałyśmy, że jeszcze pośpiewamy.

Zauważyłam, że od samego rana mężczyźni wyśmiewają się z Józka, a on jest na nich obrażony. Okazało się, że Józek bardzo przeżywał całą imprezę, zmęczony poszedł wcześniej spać na strych. Nie było tam światła i każdy szukał sobie po omacku legowiska. Tam gdzie spał mój mąż trafił jego stryj, który został przyjęty jak żona. To był temat do żartów na cały dzień i jeszcze dłużej.

Tak więc nie mieliśmy nocy poślubnej, lecz mama przygotowała nam swoją sypialnię w małym pokoiku przy kuchni i tam zostało skonsumowane nasze małżeństwo (w dzień). Być może nawet zostało poczęte nasze pierwsze dziecko.

W ciągu dnia goście przespali się, a wieczorem przyszedł ksiądz i już w uszczuplonym gronie, zasiedliśmy do kolacji. Zgodnie z obietnicą, śpiewaliśmy księdzu różne piosenki, a on ciągle nie miał dość.

Halina i Wiśka bawiły się cały czas z braćmi Józka – Ryśkiem i Zdlichem. Podśluchałam jak ojciec napominał Ryśka, żeby nie posuwał się za daleko, bo ma narzeczoną, Ralę.

No i tak zakończyło się to weselisko. Wtedy nie rozumiałam ile moja Mama miała w związku z tym pracy, wydatków i kłopotów. Dopiero później to do mnie dotarło i dopiero teraz dziękuję Ci Mamo z całego serca.

Jedna sprawa ciągle nie daje mi spokoju. Po ślubie pojechaliśmy z moim mężem na cmentarz, gdzie złożyłam na mogile Ojca swoją ślubną wiązanekę.

Nie jestem przesądna, lecz w jakiś sposób łączę ten fakt z wczesną śmiercią Józka. Chociaż z drugiej strony nie wierzę, żeby mój Ojciec mógł mi to zrobić.

Miałam zamieszkać u teściów, chociaż u nich i tak było ciasno. W tamtych powojennych czasach nikt nie szukał luksusu. Byle był dach nad głową i jakieś wyrko do spania. Na razie w mieście usuwano gruzy i dopiero szykowano miejsca pod budowę nowych domów.

Rozpoczęłam pracę na Złotej. Cała ulica Sienkiewicza, którą szło się do ulicy Złotej, leżała w gruzach. W wietrzne dni strach było chodzić tą ulicą, bo w każdej chwili mogła spaść cegła na głowę, a wieczorami włóczyli się tam podejrzani osobnicy, szukający w gruzach nie wiadomo czego. Moja teściowa, która spotykała się z sąsiadkami, ciągle przynosiła wieści o jakichś makabrycznych wypadkach, które przytrafiały się w tych ruinach. Bałam się, więc jeśli pracowałam do późna, to zawsze przychodził po mnie Józek lub któryś z pozostałych mężczyzn.

Wiedziałam już, że jestem w ciąży. Pierwszy zwiastun - poranne mdłości ostro mi dokuczały. Na dodatek zachorował mój mąż, mimo że przed ślubem poddaliśmy się obowiązkowym badaniom lekarskim (z dobrym wynikiem). Józek znalazł się w szpitalu z ostrym zapaleniem płuc. Moja Mama wprawdzie nie mówiła - „a nie mówiłam”, lecz wyrzut ten widziałam w jej oczach.

Jeszcze przed ślubem podejrzewała Józka co najmniej o skłonność do chorób.

Mieszkanie teściów składało się z jednego dużego pokoju, dwóch mniejszych, przedpokoju i kuchni. W jednym z małych pokoi spali teściowie, w drugim my i mój brat Stefek, który rozpoczął naukę w szkole w Białymstoku. W dużym pokoju spali trzej bracia Józka: Ryszard, który pracował i uczący się Zdzisław i Mirosław. Nie spotkałam w życiu lepszych

i szlachetniejszych ludzi, niż cała rodzina Andruszkiewiczów i to zarówno rodzice, jak i ich synowie.

Było nas zatem osiem osób, w tym cztery osoby pracujące. Pamiętam, że za pierwsze pobory kupiłam szafę do ubrania i firanki na okna, a potem komplet noży i widelców, które pozostały mi do dzisiaj.

Teść, Józek i Rysiek pracowali w milicji, w związku z czym mieli pewne przywileje. Mogli kupować we własnych sklepach tzw. Konsumach i to artykuły niedostępne w innych sklepach.

Kupowało się przy tym rzeczy nie te które były potrzebne, tylko to co akurat było w sprzedaży. Pamiętam, jak teść kupił mi płaszcz przeciwdeszczowy, uszyty z podgumowanej tkaniny, w drobną kratkę. Koniecznie chciałam go nałożyć, ale jak na złość, pogoda była piękna, a deszczu ani na lekarstwo. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam zmiany pogody, jak wtedy. Potem zimą dostałam wysokie gumowe buty, szczyt elegancji i przedmiot zazdrości mijanych na ulicy kobiet. Z tymi butami miałam nieprzyjemną przygodę. Pewnego dnia Józek – kinoman – dostał dwa bilety na włoski film „Rzym miasto otwarte”. Ponieważ w ostatniej chwili coś mu przeszkodziło, poszłam na film z teściem. Była akurat odwilż i buty były na czasie. W sali kinowej było bardzo gorąco, moje nogi nagle zaczęły powiększać swoją objętość i szalenie wypełniać moje buty. Z ekranu rozlegały się jęki torturowanego przez Niemców inżyniera, moja ciąża zaczęła naprawdę ciążyć. Zamknęłam oczy, zatkałam uszy palcami, ale nic to nie pomogło. Do tego moje stopy i łydki rozsadały gumowe buty. Szepnęłam teściowi, że źle się czuję i wyszłam z kina. Weszłam do najgłębszej kałuży na ulicy i stałam w niej kilkanaście minut, do chwili, aż moje nogi wróciły do normalniejszych rozmiarów.

Moja praca w przedszkolu była naprawdę ciężka. Ciasne, przepełnione pomieszczenia zmuszały nas do ciągłej uwagi, do organizowania zabaw. Trzeba było ciągle do nich mówić, co wyczerpywało mnie do tego stopnia, że po przyjściu do domu,

kładłam się na tapczanie twarzą do ściany, żeby w ten sposób zaznaczyć, że nie chcę z nikim rozmawiać. Bywały dni, że po ośmiu godzinach pracy miałam spuchnięty język.

Do przedszkola na Złotej chodziły przeważnie dzieci z tej ulicy i wolno im było chodzić samym. Gdy już odesłałam ostatnie dziecko i wracałam do domu, one wszystkie stały przy swoich furtkach czekając na mnie, aby powiedzieć: dzień dobry pani.

Bardzo źle znosiłam ciężę. Miałam wrażenie, że mój organizm robi wszystko, żeby jej się pozbyć. Byłam głodna, a nie mogłam jeść, bo czułam obrzydzenie na sam widok jedzenia. Miałam pragnienie, a nie mogłam pić, bo zaraz wymiotowałam. Co noc mi się śniło, że leżę na brzegu jeziora i piję wodę, aż do dna. Często też śniłam kioski z piwem. Właściwie piwo było jedynym napojem, który mnie stawiał na nogi i nie powodował wymiotów.

Z innych dolegliwości najbardziej przykry był ślinotok, że nie wspomnę o niesamowitym bólu dużych palców u stóp. W ustach czułam ciągły niesmak, który ustępował tylko wtedy, gdy jadłam żurawiny. Zawsze nosiłam je w kieszeni i co jakiś czas żułam kilka jagód.

Moje koleżanki z którymi pracowałam, starały się mi pomóc, zajmując się moją grupą, a kucharki gotowały mi oddzielnie potrawy, które mogłam jeść.

W takim stanie znajdowałam się, kiedy przyszło z kuratorium zawiadomienie o mającym odbyć się końcowym egzaminie naszego seminarium.

Krawcowa uszyła mi ciężową sukienkę, gdyż wyglądałam już dość okazale. Jeszcze większa była Janka z Łap, która miała urodzić miesiąc wcześniej.

Spotkałyśmy się znowu wszystkie po kilkumiesięcznej przerwie. Nie było jednak czasu na zwierzenia, bo każda z nas myślała wyłącznie o egzaminie. Cudowną rzeczą jest giełda pod drzwiami sali egzaminacyjnej. Pracę z języka polskiego napisałam na piątkę, lecz musiałam zdawać egzamin ustny z matematyki i zagadnień politycznych. Dostałam dwa pytania

na które odpowiedź usłyszałam przed chwilą pod drzwiami, z matematyki też jakoś wybrnęłam. Może to moje dziecko mi podpowiedziało ? Co o tym myślisz, Bożenko ? Na pewno pamiętasz nasz wspólny egzamin.

Byłam teraz dyplomowaną wychowawczynią przedszkoli. Moja siostra Lucyna też zdała maturę i została nauczycielką.

Nadeszła wiosna 1949 roku.

Nie lubiłam kobiet w ciąży i nie lubiłam siebie w tym stanie do tego stopnia, że odczuwałam wstyd idąc ulicą, a już szczególnie wtedy, kiedy szłam w towarzystwie swojego męża – sprawcy mojej zniekształconej figury.

Zgodnie z ówczesnymi przepisami, byłam już od dwóch tygodni na urlopie macierzyńskim. Cały ten czas spędzałam głównie u mojej Mamy na wsi. Wylegiwałam się całymi dniami na trawniku, bo nie byłam przydatna do żadnej pracy. Chociaż nic nie zmieniło się w moim samopoczuciu, jednak instynkt podpowiedział, że czas wracać do domu, do Białegostoku. Józek też wyczuł właściwy czas i przyjechał po mnie.

Rankiem następnego dnia nic nie wskazywało, że zacznie się coś dziać, więc mąż poszedł do pracy i zaplanował wyjazd w teren. Ja zawiesiłam czyste firanki w naszym pokoju. W starym budownictwie pokoje były bardzo wysokie, więc żeby dostać się pod sufit nie wystarczył taboret, trzeba jeszcze było podłożyć siedmiotomową encyklopedię. Udało się, firanki zawisły na swoim miejscu, lecz ja odczułam ból w dole brzucha. Nie przejęłam się tym, bo był krótki i lekki. Dopiero po godzinie 14 pojawił się następny, znacznie dłuższy i silniejszy, i teściowa zarządziła pospieszny wymarsz do szpitala. Torba z drobiazgami była już dawno spakowana, a szpital przy ulicy Warszawskiej znajdował się blisko, a przez ruiny na przelaj, jeszcze bliżej. Mimo to dwa razy musiałam zatrzymać się, aby przeczekać kolejne, bolesne skurcze. Męża przy mnie nie było, lecz byłam z tego zadowolona. W tamtych czasach rodzenie dzieci to była babska sprawa i ja tak byłam wychowana.

Wylądowałam na porodówce. Przez następnych kilka godzin nic się nie działo.

Mogłam jedynie obserwować inne kobiety i zaśmiewać się z ich zachowań. Szczególnie z jednej, która cały czas krzyczała, że więcej „nie dopuści” – oczywiście męża.

Był 22 maja 1949 roku. „Akcja” zaczęła się o godzinie 22⁰⁰ i było dość ciężko.

W przerwach pomiędzy skurczami powiedziałam, że dziś są moje urodziny i chciałabym, żeby moje dziecko urodziło się też w tym dniu.

- Wszystko zależy od pani – powiedział lekarz. – Proszę zastosować się do naszych zaleceń, a zdążymy na pewno.

Zdążyliśmy. Za kwadrans dwunasta przyszło na świat dziecko płci żeńskiej.

W poczekalni szpitala dyżurowali: moja Mama, Józek oraz teściowie. Józek jak zwykle wrażliwy, zażywał kropelki, które jego matka przezornie zabrała ze sobą. W tamtych czasach odwiedziny w szpitalu były kategorycznie zabronione, więc zaraz po otrzymaniu wiadomości o szczęśliwym rozwiązaniu, rodzina wróciła do domu. Przez następne osiem dni porozumiewaliśmy się za pomocą kartek. Poleciłam mężowi, żeby wybrał imię dla naszej córeczki, a on odpisał, że kilka razy przeczytał kalendarz od deski do deski i nie znalazł odpowiedniego imienia. Ostatecznie zaakceptowaliśmy wszyscy pomysł teścia, który wymyślił imię Bożena. Bożenka.

Do naszego przeludnionego mieszkania doszła nowa lokatorka – najmniejsza lecz zajmująca najwięcej miejsca i uwagi. Wszyscy ją wychowywali, interesowali się jej rozwojem, dawali rady, a ponad wszystko kochali ją.

Największy teatr grany był podczas wieczornych kąpeli. Bożenka była dość płaczliwa, a już szczególnie nie lubiła wody. W kąpeli wrzeszczała jak oparzona. Babcia ją kąpała, Józek przy płycie kuchennej ogrzewał ręcznik kąpielowy, ja przygotowywałam pieluszki i kaftaniki, Rysiek lub inny stryj przygotowywali łóżeczko, a teść czyli jej dziadek szeleścił gazetą, co miało ją rzekomo uspakajać. Kiedy w końcowym

akcie tego spektaklu mała przypinała się do mojej piersi, w mieszkaniu następował błogi spokój, a każdy ocierał pot z czoła jak po najcięższej pracy.

W pierwszą podróż Bożenka wybrała się w wieku trzech tygodni. Mąż odwiózł nas do Downar do babci Heli, na świeże mleko i świeże powietrze. Najważniejsze, że było tu dużo niań i nie musiałam bez przerwy zajmować się dzieckiem. Lecz sielanka nie trwała długo. Po kilku dniach, w niedzielę rano obudziłam się z wysoką temperaturą. Dziecko płakało, a ja nie mogłam się nim zająć. Wołałam, ale w domu nie było nikogo. Dopiero po dłuższym czasie zjawiała się babka Karolina, od której dowiedziałam się, że moja Mama poszła do kościoła, mąż i siostra Lucyna wybrali się na grzyby, Jani też nie było. Poczulałam rozgoryczenie, byłam sama, opuszczona przez wszystkich.

Zdałam sobie sprawę, że źródłem temperatury jest zapalenie piersi, która zrobiła się czerwona wokół brodawki, obrzmiła i boląca. Gdy wreszcie zjawili się domownicy, zaraz przygotowali mnie do podróży i pierwszym pociągami pojechałam do domu w Białymstoku, w towarzystwie męża i Mamy.

Jednak trzeba było czekać do poniedziałku, bo w niedziele przychodnie lekarskie nie pracowały. Miałam wysoką temperaturę – czterdzieści stopni i jeszcze dwie kreski. Chwilami traciłam przytomność. Wiedziałam, że przy czterdziestu dwóch stopniach umiera się, a ja sobie wmówiłam, że właśnie tyle mam, i z żalu, że osierocę dziecko, płakałam, a lzy lały mi się z oczu strumieniem. Rano przyszedł lekarz, przepisał czarną maść do smarowania i dał skierowanie na zabieg, ale można go było wykonać dopiero w określonym czasie, kiedy ropa „dojrzeje” do tego, żeby dokonać cięcia i ściągnąć ją.

Bardzo cierpiałam. Gorączka skakała: od osłabienia do czterdziestu stopni. W przebłyskach świadomości zauważyłam, że Józek też więcej czasu spędza na kanapie, niż na nogach. Już od dłuższego czasu wiedziałam, że jest chory. Nie żył

pełnią życia , najlżejsze obowiązki przerastały jego możliwości, dlatego jak mógł, uchylał się od nich. Kochaliśmy się jednak. W późniejszych latach znajomi mówili o nim, że ma dwie namiętności: wędkarstwo i żonę. Byłam wprawdzie na drugim miejscu, lecz i to była dobra lokata.

W tym czasie, kiedy chorowałam, moja teściowa miała więcej pracy i obowiązków, a mężczyźni nie umieli jej pomóc. Tak ich wychowała, jedno co umieli to prasować swoje koszule a i to tylko z przodu.

Byłam obolała i kiedy nadszedł dzień, gdy znalazłam się w dorożce w drodze do szpitala poczułam się szczęśliwa. Za to mój mąż przeżywał to wszystko bardzo i widziałam jak się denerwuje. To ja dodawałam mu odwagi, a nie on mnie.

Położyli mnie na stole operacyjnym i kazali liczyć. Ręce i nogi miałam unieruchomione. Naliczyłam do dwudziestu dwóch i zaczęłam bronić się przed czymś strasznym, przed umieraniem. Potem już lekko wyskoczyłam z otchłani jak piłka zwolniona z uchwytu z dna oceanu.

Rozejrzałam się. Lekarza już nie było, tylko pielęgniarka krzątała się koło mnie. Przeguby rąk miałam starte aż do krwi, tak podobno broniłam się przed śmiercią.

- Nazbierała pani tego ropska – powiedziała pielęgniarka, zakładając opatrunek.

Cięcie miało długość około pięciu centymetrów. W tamtych czasach nie znano jeszcze antybiotyków, dlatego chorowałam długo, około dwóch miesięcy i to ciężko. Ciągłe zakładano mi nowe sączki, ciągle sączyła się z nich ropa.

Kiedy wreszcie wyzdrowiałam, resztę wakacji – niecały miesiąc – spędziłam wraz z dzieckiem i mężem u mojej Mamy.

W czasie tego pobytu zdarzył się pewien incydent.

- Wszyscy, kto może, niech biegnie na pole wiązać owies w snopki, bo zanosi się na burzę – podniosła alarm Mama.

Pobiegałam także, przekazawszy opiekę nad dzieckiem Józkowi.

Owies wprawdzie został uratowany przed deszczem, lecz przy tym stała się rzecz tragiczna: zgubiłam swoją złotą, ślubną obrączkę.

Męczyła mnie nie tylko strata materialna, lecz bardziej wiara w przepowiednię, że to wróży coś złego.

Rozpoczął się rok szkolny i znowu znalazłam się na Złotej. Przydzielono mi grupę najstarszych dzieci. Trudno i ciężko było pracować w tej ciasnocie. Ale lubiłam swoje dzieci, nawet te najbardziej dokuczliwe.

Przedszkole znajdowało się dość blisko od naszego domu, co umożliwiało babci Dozi przywożenie dziecka do przedszkola w godzinach karmienia. Czynność ta odbywała się w pokoju kierowniczkii i zawsze w asyście jednego chłopca, który patrzył na to z zainteresowaniem granicznym z zachwytem.

- Dlaczego tak nam się przyglądasz ? – zapytałam.

- Bo pani tak pięknie uśmiecha się do swojej córeczki. A dlaczego do nas nie?

A był to chłopczyk z rodziny z tzw. marginesu społecznego. Kiedy był na mnie zły, a zdarzało się to dość często, wpadał w szał i wrzeszczał:

- Ja pani nogi z dupy powyrywam.

Miałam też innego urwisa, którego ciągle musiałam ratować a to spod kół nadjeżdżającego samochodu, a to wyciągać z dołu na śmieci, a to opatrywać liczne skaleczenia. Rodzice znali temperament swego synka i nie mieli do nas pretensji o zaniedbania w pracy.

Czasem babcia Dozia przychodziła z wózkiem przed zakończeniem pracy, zostawiała dziecko w przedszkolu i ja z nią wracałam do domu.

Raz wracając z wózkiem przeżyłam przygodę mrozącą krew w żyłach. Na samo wspomnienie dostaję gęsiej skórki.

Ulica Złota zachowała się w całości, lecz ulica Sienkiewicza, w którą skręcałam, była w całości w gruzach, ze sterczącymi gdzie niegdzie fragmentami ścian, czasem nawet z oknami.

Idąc środkiem jezdni wyczułam za plecami zimny powiew, brzęk tłuczonego szkła i rumor rozsypujących się gruzów. Obejrzałam się. Środkiem jezdni sunął olbrzymi lej powietrza. Nie miałam gdzie uciec przed nim, więc położyłam się na wózek – na szczęście niski, taki przy samej ziemi. Potwór przeleciał obok mnie, sypiąc odłamkami szkieleł, ram okiennych, odłamkami cegieł i bliżej nieznanymi mi elementami. Poderwałam się, żeby dalej biec, gdy na moich oczach runął fragment kamienicy stojącej na skrzyżowaniu Sienkiewicza i Niecałej. Tylko kilka sekund uratowało życie mnie i mojemu dziecku.

Dostęp do naszego domu został zasypany. Mężczyźni będący w pobliżu, przenieśli wózek i z miejsca zajęli się uprzątnięciem gruzu, umożliwiając mi dojście do domu. Tym razem nie tylko Józek pił kropelki, ale też i babcia Dozia.

Najważniejsze, że zagrożenie przestało istnieć – niebezpiecznej ściany już nie było.

Długo jeszcze omawiano zdarzenie, porównywano podobne wypadki uniknięcia śmierci o włos, każdy chciał potrzymać i przytulić cudem ocalałą Bożenkę, aż na w pół żartem zapytałam:

- A kto mnie przytuli ?

- A, to już przywilej i obowiązek twojego męża – odpowiedział teść, śmiejąc się. Gdybym ja to zrobił, mógłby mieć do mnie pretensję.

Od tej pory Józek przychodził po mnie do przedszkola, o ile wcześniej wracał z pracy. Dzieci na jego widok krzyczały do mnie:

- Proszę pani! Pani tatuś idzie!

Późną jesienią 1949 roku odbyła się nowa impreza w rodzinie Andruszkiewiczów - ślub i wesele Ryśka z Realdą Grodecką.

Panna młoda mieszkała w Sejnach, które w ówczesnym moim pojęciu znajdowały się na samym końcu świata. Wszyscy wyjechali wcześniej na to wesele a ja i Józek, zostawiwszy Bożenkę pod opieką mojej Mamy, która

przyjechała do nas ze wsi specjalnie w tym celu, wyjechaliśmy autobusem w sobotę po południu.

Od razu zrobiło się ciemno i cała podróż odbywała się nocą. Autobus włókł się, zabierał i wysadzał jakiś cyganów, którzy kurzyli fajki, przeklinali i na pewno nie jednemu wyciągnęli coś z kieszeni. Powietrze było ciemne od dymu, ciemna była droga, ciemny las po obu jej stronach i nawet niebo było ciemne.

Na każdym przystanku wychylałam się przez drzwi, by odetchnąć świeżym powietrzem, aż jeden z cyganów zlitował się i zabronił pozostałym palić. O dziwo ! wszyscy go posłuchali. Może był ich królem ?

Ale i tak podróż ciągnęła się w nieskończoność. Moja najdłuższa podróż w dotychczasowym życiu i już zaczęłam tęsknić za Bożenką. Moja pierś gwałtownie przypominała mi o niej (druga po przebytej chorobie była nieczynna).

Dobiliśmy do Sejn w środku nocy, lecz ułożono nas w tak spokojnym miejscu, że mogliśmy się wyspać i wypocząć po tej męczącej podróży.

Czekała na nas następna nieprzespana noc – wesele. Nie pamiętam żebym się dobrze bawiła. Płatała się tam pod nogami mała dziewczynka w wieku Bożenki albo nieco starsza, bo już raczkowała. Przypominała mi moje dziecko za którym tak tęskniłam. Za to Józek bawił się wspaniale, jak nigdy przedtem ani potem. Tańczył, śpiewał, był wodzirejem i przepłacił to tylko chrypką.

W poniedziałek rano już wracaliśmy do domu. Tym razem droga już się nie dłużyła, prawie cały czas spaliśmy i na szczęście mieliśmy siedzące miejsca.

Mama była wdzięczna, że już jesteśmy, bo spieszyła się do swojego domu. Była też dumna z tego, że nauczyła wnuczkę pokazywać rączką, gdzie jest słońeczko.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w Downarach, a po Nowym Roku mój mąż wyjechał do sanatorium, a mnie skierowano razem z Haliną i Wiśką do pracy w przedszkolu przy ulicy Antoniukowskiej. Teraz miałam daleką drogę do

domu. Po jednej stronie ulicy same gruzy, po drugiej stał kościół św. Rocha, jakby cudem ocalały.

W krótkie, zimowe dni wracałam z pracy w zupełnej ciemności, ulice nie były oświetlone. Przedszkole było nowe i naszym zadaniem było je zorganizować i otworzyć. Było to trudne przedsięwzięcie, zważywszy na fakt, że każdą rzecz, każdy najmniejszy drobiazg trzeba było zorganizować. Zwykle wracałam z pracy ciemną pustą ulicą. W tej ciszy słychać było jedynie moje kroki, wybijane przez eleganckie, amerykańskie pantofelki na wysokim obcasie.

W głębi serca czaił się strach o zdrowie męża i żeby to wszystko odreagować, miałam szaloną ochotę wejść między gruzy i wykrzyzczyć swoje nerwowe napięcie na cały głos, najgorszymi przekleństwami, które udało mi się dotychczas poznać. Nie czułam wtedy żadnego strachu i byłam gotowa stawić czoła wszystkim strachom i wampirom świata.

Kiedy przygotowania do otwarcia przedszkola zostały zakończone i rozpoczęła się praca z dziećmi, stan moich nerwów jeszcze się pogorszył. Praca z dziećmi wymaga cierpliwości, wielkiej koncentracji i wysiłku, a tu jeszcze coś stało się z moim mężem, który nie wracał z sanatorium pomimo zakończenia turnusu.

Już nie ciągnęły mnie gruzy, gdzie mogłam powoli przeklinać, lecz zawsze przechodząc przez most kolejowy obok dworca, stałam długo i tęsknie patrzyłam na przejeżdżające pociągi i na szyny biegnące w nieznaną dal.

Józek wrócił po dwóch tygodniach od zakończenia turnusu, ponieważ w przeddzień wyjazdu złapał grypę. Trzymali go aż do całkowitej pewności, że nie wystąpią żadne powikłania. Przybrał na wadze, wyglądał zdrowo, opalony górskim słońcem.

W moje serce wstąpiła nadzieja – na pewno wszystko będzie dobrze!

Bożenka pierwszy raz zachorowała w wieku trzech miesięcy i musiałam oddać ją do szpitala. Obie babcie, Dozia i Hela dyżurowały w holu szpitala, a ja przychodziłam karmić

ją dwa razy dziennie, bo tylko tyle miałam pokarmu w jednej piersi. Na szczęście nie było to nic groźnego i po trzech dniach wróciła do domu. Choć była taka mała i nie mogła nic powiedzieć, widać było jak bardzo nie lubi szpitala. Kiedy po karmieniu pielęgniarka zabierała ją ode mnie maleństwo wczepiało się rączkami w moje ubranie tak, że trudno je było oderwać. Płakały wtedy i ja i obie babcie.

Tego lata teściowie wyprowadzili się do Suwałk, a ja z Józkiem i Bożenką zostaliśmy sami w tym nagle ogromnym, jak na nasze potrzeby, mieszkaniu.

Jak zwykle szeptano o zboczeńcach, o wampirach, a ja często zostawałam sama na noc, gdy mąż miał nocny dyżur. Nie miałam tylu koców, aby pozasłaniać wszystkie okna, więc siedziałam z dzieckiem w jednym pokoju i drżałam ze strachu.

Pewnego wieczoru zauważyłam u małej rumieńce na buzi. Termometr wskazywał czterdzieści stopni! Jakoś przetrwałam noc i zaraz z samego rana pobiegłam do lekarza, nie czekając na powrót męża.

Lekarka uniosła główkę małej i od razu postawiła diagnozę:
- Sztywność karku, zapalenie opon mózgowych.
Natychmiast do szpitala!

W tym miejscu mam dziurę w pamięci. Dotąd nie mogę sobie przypomnieć jak dostałam się do szpitala. Na piechotę? Dorożką? Może na skrzydłach.

Teraz siedzieliśmy w holu z Józkiem, czekając na wyrok. Nie było babci Dozi z kropelkami.

Na szczęście badania nie potwierdziły diagnozy lekarki, chorobę zakwalifikowano jako grypę.

Kiedy zabierałam dziecko ze szpitala, na jego buzi malował się smutek nie taki jak u dziecka, ale smutek dorosłego człowieka.

Nie wiem jak to się stało, że Józek postanowił przeprowadzić się do Augustowa. Może tęsknił za rodziną, za rodzinnymi stronami, a już na pewno pociągały go jeziora i lasy.

Przeprowadziliśmy się we wrześniu 1950 roku. Byłam znowu w ciąży i znowu czułam się podle.

Bożenkę oddaliśmy do babci Dozi do Suwałk, a ja zgłosiłam się do pracy. Odtąd żyłam tylko oczekiwaniem na sobotę, kiedy to mogłam zobaczyć moje dziecko. Czasem jeździłam do Suwałk sama, czasem z Józkiem.

Było nam ciężko, bo mój mąż nie mógł dostać pracy i mieszkaliśmy w starej chałupince, gdzie jedynym luksusem było światło elektryczne.

O kilkadziesiąt metrów od naszej chałupinki znajdowała się inna chałupinka – dom rodzinny mojej teściowej. Mieszkała tam jej siostra z mężem i dziećmi – Jadwiga i Antoni Heblewscy, z Krysią i Bogdanem.

Bardzo serdeczni i uczynni ludzie, przyjęli na stołowanie Józka, a ja żywiłam się w przedszkolu.

Z tamtego okresu pamiętam tylko swoje cotygodniowe podróże do Suwałk i kontakty z Bożenką oraz jej następną chorobę i pobyt w szpitalu .

Z jakiejś niewiadomej przyczyny z jednej strony tak jej zapuchła buzia, że nie było widać oka.

- Oka buli – powtarzała i płakała.

Tym razem pobyt w szpitalu w Suwałkach trwał dłużej, chociaż już stosowano penicylinę. Można też było towarzyszyć dziecku w szpitalu, chociaż nie było na to warunków. Zmieniałyśmy się z babcią Dozią co kilka godzin, lecz nocne dyżury przypadały dla mnie. Leżałam na podłodze obok łóżeczka, a moja wysoka już ciąża bardzo mi przeszkadzała. W dodatku penicylinę wstrzykiwano co dwie godziny. Było to bardzo męczące dla dziecka, które już na sam widok białego fartucha dostawało spazmów ze strachu, a ja przeżywałam ten okropny stres wraz z nią. Może to od tamtego czasu tak nienawidzę zastrzyków, że na sam widok ukłucia nawet na ekranie telewizora, odwracam wzrok.

Po tygodniu oddano mi dziecko. Był już najwyższy czas, bo byłam skrajnie wyczerpana.

Teściowa, najlepszy człowiek na świecie, pozwoliła mi wypaść się do woli, sama opiekując się moim dzieckiem. Potem wróciłam do pracy, a w tym czasie mój mąż też znalazł zatrudnienie w miejscowości Bargłów, gdzie został prezesem Gminnej Spółdzielni. Do pracy dojeżdżał 14 kilometrów – autobusem.

W tym czasie przykry wypadek spotkał Ryśka i jego żonę. Rala zaszła w ciążę prawie w tym samym czasie co i ja. Pewnego razu tak nieszczęśliwie upadła, poślizgnąwszy się na lodzie, że poroniła – chłopczyk urodził się martwy. Było to ciężkie przeżycie zarówno dla jej rodziny, jak i rodziny Ryśka. W dodatku okazało się, że nie będą mieli więcej dzieci.

W przedszkolu było mi bardzo ciężko, szczególnie w ostatnich tygodniach ciąży, a dzieci jak to zwykle bywa, były i grzeczne i takie jak chłopiec o nazwisku Zyżało – imienia nie pamiętam, który ciągle mi groził, że jego mama wsadzi mnie do pierdła.

Jesień była piękna. Przedszkole znajdowało się prawie na końcu ulicy Kopernika, a ta kończyła się w lesie. Chodziłam tam z dziećmi na grzyby. Przez okna do przedszkola wpadały różne piękne ptaszki.

Swoją wiedzę o lesie, jej mieszkańcach, roślinach, drzewach starałam się przekazać dzieciom. Dopóki było ciepło, posiłki jadaliśmy w altanie w ogrodzie i dzieci całe dni spędzały na powietrzu.

Późną jesienią i zimą było gorzej, gdyż całe życie skupiało się w czterech ścianach sal, poszczególnych grup wiekowych.

Kierowniczką przedszkola była pani Irena Matysek. Była to osoba w wieku około pięćdziesiątki, dość tęga, ale nie gruba, pełna życia i energii.

Wracałyśmy z pracy zawsze razem, bo było nam po drodze. Zwykle brała mnie pod rękę, co z uwagi na moje złe samopoczucie, zanadto mnie obciążało, lecz nie miałam odwagi powiedzieć jej o tym. Szłyśmy zwykle wolno, spacerkiem, a ona opowiadała mi historię swojego życia.

Była panienką z dworu, miała wysokie aspiracje, a że była ładna i bogata, mogła przebierać w konkurentach. Flirtowała z chłopakami ze swojej klasy społecznej, a jednocześnie darzyła sympatią chłopca, który był robotnikiem we dworze. Wyszła za mąż za jednego z ziemiańskich synów, urodziła dwoje dzieci, zanim wybuchła wojna. Mąż zginął już w 1939 roku, majątek przepadł za granicą w Związku Radzieckim, a ona z dziećmi i siostrami, już po zakończeniu wojny, znalazła się w Augustowie. Niedługo potem zjawił się chłopak, robotnik z jej dworu, którego kiedyś darzyła sympatią. Pobrali się i pokochali.

Pewnego zimowego dnia pani kierowniczka nie przyszła do pracy. Wybuchła wielka konsternacja, gdy dowiedzieliśmy się, że urodził się syn – owoc miłości niedobranej klasowo pary. Zdziwienie było tym większe, że tak potrafiła ukryć swoją późną ciążę, która widocznie ją krępowała. Przez wiele miesięcy nikt nie domyślał się prawdy.

Miałam wyrzuty sumienia, że wszyscy dogadzali mi, starali się pomóc, odciążyć od pracy, a o niej nikt nie myślał.

W 1951 roku, 29 marca urodził się syn Józefa i Zofii Andruszkiewiczów.

Tym razem mój mąż wezwał karetkę po południu, a przed północą urodził się chłopiec, podobno tak chudy, że można było odciągać skórę od kości.

Nic dziwnego skoro przez pełne dziewięć miesięcy męczyły mnie torsje. Dopiero kiedy mój organizm pozbył się ciąży zaczęłam jeść normalnie.

Tym razem z wyborem imienia nie było kłopotów. Już jako gimnazjalistka upatrzyłam to imię dla swego przyszłego syna. A zdarzyło się to w następujących okolicznościach.

Siedem uczennic w granatowych mundurkach z niebieskimi wypustkami, plisowanymi spódniczkami i bluzami wyrzuconymi na spódniczki, trzymając się pod ręce szło sobie parkową alejką, zajmując całą szerokość. Siedem uroczych pensjonarek.

Z przeciwnej strony zbliżała się pani z kilkuletnim chłopczykiem. Dziewczęta dla żartu zatarasowały drogę, a pani zapytała chłopczyka:

- Marcyczku, która z pańienek podoba ci się najbardziej ? Marczyk wskazał na mnie i odtąd zachwyciłam się tym imieniem.

A teraz miałam własnego Marczyka, który z dnia na dzień przybierał na wadze i wkrótce stał się grubaskiem.

Chrzest Marka odbył się w czerwcu. Było bardzo upalnie, a ja narobiłam kwasu chlebowego. Z całej tej imprezy pamiętam tylko jak butelki z kwasem strzelały, jak nakryliśmy je kocem, żeby nikogo nie trafił szklany pocisk.

A co jedliśmy i gdzie siedzieliśmy w tej chałupince, zupełnie wyleciało mi z głowy.

Rodzina Józka – teściowie i bracia często nas odwiedzali, a już zwłaszcza babcia Dozia, która mi bardzo pomagała.

Mojej rodzinie, ze względu na większą odległość i złe połączenie, trudniej było przyjeżdżać.

Postanowiliśmy z mężem, że ja pojedę z dziećmi do Downar na całe lato, a nim zaopiekuje się ciocia Jadzia.

Były dwie możliwości dojazdu: autobusem do Grajewa i po trzech lub czterech godzinach oczekiwania na dworcu kolejowym, pociągiem do Goniądza, skąd jeszcze na miejsce dwa kilometry na piechotę lub wozem konnym.

Druga możliwość to jazda pociągiem z Augustowa przez Suwałki, Olecko, Ełk, Grajewo i przystanek w Goniądzu. Wybraliśmy tą drugą trasę dlatego, że nie było tam przesiadki. Jazda z dwójką małych dzieci i całym majdanem jedzenia i ubrań, to absolutny koszmar, lecz jakoś dowlekliśmy się, całkowicie pozbawieni sił. Na szczęście dziećmi zajęły się Jania i Lucyna, która właśnie wróciła ze swoich nauczycielskich wojaży.

Na wiele lat ustalił się następujący porządek: ja siedziałam przy maszynie do szycia – wieczna rodzinna szwaczka, a dziećmi zajmował się ktoś inny. Taki układ był mi właściwie

na rękę, bo ze względu na pracę w przedszkole miałam aż nadto dzieci.

Do domu Mamy przyszła ogromna paczka z dziecięcą odzieżą. Moja siostra wszystko pięknie poprasowała, poukładała, a nawet dała do krawcowej kilka rzeczy do przeróbki, okazując tym swoją miłość do siostrzeńców. Byłam jej za to głęboko wdzięczna, lecz w naszej rodzinie nie było zwyczaju okazywania uczuć i może nawet jej za to nie powiedziałam – dziękuję.

Józek odwiedzał nas dość często i od niego dowiedziałam się, że w Augustowie zamieszkała Halina, moja koleżanka z seminarium. Wyszła za męża, miała też dwoje dzieci. Cieszyłam się, że będę miała kogoś bliskiego, że będziemy wspólnie spędzać czas. Ona też zrezygnowała z pracy w przedszkolu.

W 1952 roku mój mąż został przeniesiony do pracy w Domu Turystycznym, na stanowisko kierownika.

Dom Turystyczny zbudowano przed samą wojną nad jeziorem Necko, na wysokiej skarpie, skąd roztaczał się przepiękny widok na wysoką puszcę wokół jeziora. Dostaliśmy służbowe mieszkanie i byłam zachwycona, że będę mogła codziennie patrzeć na te cuda. Przeprowadziliśmy się do dwóch pokoi z kuchnią i łazienką. Nareszcie rozkosz – woda w kranie zimna i ciepła, wanna, kanalizacja.

Moje szczęście nie miało granic.

Tego roku, jakby specjalnie na moje życzenie, wiosna przyszła bardzo wcześnie. Sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął, więc cały las i jeziora należały do mnie i moich gości, których teraz miałam mnóstwo.

Józek nareszcie mógł sobie pozwolić na kilkugodzinne wędkowanie każdego dnia, a ja nie wiedziałam co mam robić z jego połowami. Miałam dość ryb a zwłaszcza czyszczenia ich z łusek, więc oddawałam je każdemu, kto tylko chciał je brać. Byli to przeważnie moi teściowie z Suwałk, dozorca, furman Jakubowski, który dostarczał artykuły żywnościowe do naszej stołówki i przyjeżdżał swoim wozem zaprzężonym w jednego

konika. Z usług Jakubowskiego korzystaliśmy też chcąc dostać się do miasta, bo innej komunikacji nie było. Miał tak zmyślnego konika, który na widok każdego idącego zatrzymywał się i to tak gwałtownie hamując, że ja sama kilka razy fiknęłam koziołka z wysokiego siedzenia. Naprawdę była to niezwykła para: woźnica i jego koń. I muszę powiedzieć, że koń był lepszy, bo zatrzymywał się przy każdym przechodniu, a pan Jakubowski nie wszystkich chciał podwozić.

Dozorca, pan Milewski mieszkał z żoną i dorosłym synem na piętrze nad naszym mieszkaniem.

To jego żonie zawdzięczam umiejętność obróbki i przyrządzania ryb na wszelkie sposoby. Nawet więcej, bo gdy Józek przynosił pełne wiadro okoni wielkości męskiej dłoni, a mnie na ten widok ogarniała wściekłość, to wtedy ryby aż fruwały w moich rękach, aż pani Milewska kręciła z podziwem głową.

Już od początku maja kąpałam się systematycznie w jeziorze, w ciepłej wodzie nagrzanej na płyciźnie.

Jak wspomniałam, teściowie zabierali często dzieci do Suwałk, lub przyjeżdżali do nas na kilka dni. Dzieci musiały być pod ciągłym nadzorem ze względu na bliskość wody. Szczególnie Marek nie można było spuścić z oka, bo jeszcze nie wiedział, że po wodzie nie da się chodzić jak po ziemi i osobiście chciał to sprawdzić. Pewnego razu byłam w mieszkaniu, a teściowa na podwórku, kiedy usłyszałam wołanie:

- Zosia, czy Marek jest z tobą ?

- Nie – odkrzyknęłam i równocześnie wypadłam z domu i pobiegłam nad jezioro. Za mną biegła teściowa, krzycząc:

- Matko Boska, ratuj!

Dopałam malca w ostatniej chwili, kiedy nogą stał na obudowie basenu, a drugą przymierzał do postawienia na wodzie. Basen – przystań dla łodzi i kajaków – był bardzo głęboki, a ja nie umiałam pływać. Na szczęście złapałam go w ostatniej chwili i spontanicznie zastosowałam terapię szokową. Zanurzałam go w wodzie raz po raz, aż po szyję.

Teściowa przerażona wyrwała mi go z rąk, mówiąc z naganą w głosie: ty chyba oszalałaś, w takiej zimnej wodzie ...

Pomogło. Mareczek nareszcie zrozumiał, jaka jest różnica między wodą i ziemią.

Kiedy sprowadziliśmy się do Augustowa nie mieliśmy żadnych pieniędzy, Józek nie miał pracy, lecz naszą pierwszą inwestycją była łódź wiosłowa, zamówiona u stolarza. Nie wiem jak była spłacana, ale była naszą własnością i dzięki niej poznałam wszystkie okoliczne jeziora, urokliwe zakątki, ujścia różnych rzek i strumyków. W łodzi mieściło się osiem dorosłych osób. W wolne od pracy dni dziećmi opiekowała się babcia Dozia, a ja i Józek wy pływaliśmy na cały dzień na wólczegę. On łowił ryby, a ja czytałam i opalałam się.

Urządzaliśmy też wyprawy z rodziną Heblewskich lub Libichami .

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w mieście w małej chałupince, pół życia spędzaliśmy u Heblewskich. Był to dom przyjazny i otwarty w każdej chwili i chciało się przebywać tam jak najczęściej.

Pewnego razu, a było to dość chłodne, majowe popołudnie, wybraliśmy się we dwie rodziny, nad jezioro. Mężczyźni mieli zamiar złapać szczupaka na spinning, ale to właściwie mnie się udało, tylko że szczupak był nieduży i nie mógł nasycić całej gromady ludzi. W domu miałam tylko chleb, masło i kiszoną kapustę. Było jeszcze przed sezonem i kuchnia była nieczynna.

Wróciliśmy z przejażdżki zziębnięci i głodni. Ktoś rozpałił pod płytą, ktoś inny nastawił wodę na herbatę, dziewczyny krajały chleb i smarowały masłem, a ja na te kanapki nakładałam góry kiszzonej kapusty.

Czy kto kiedy jadł równie wyśmienite kanapki ? Wszyscy moi goście zgodnie odpowiedzieliby – nie! Herbata też miała niepowtarzalny smak, tak jak cała wyprawa. A skromny szczupaczek ledwie wystarczył na śniadanie dla mojego męża.

Pierwszym słówkiem, które powiedział mój Mareczek nie były wcale słowa „tata” lub „mama” lecz „Azia” - było to imię psa i „kajak”.

Wszystko co miało nogi i ruszało się, to była Azia, a przedmioty nieożywione - kajak. Kajakiem było łóżko, łyżka, drzewo, masło itp.

Aza była potomkiem rodów lisiego i psa domowego. Z lisa miała kolor sierści i umiejętność łapania myszy i sposób, a raczej miejsce wydawania na świat potomstwa. Odbywało się to w jamie wykopanej między korzeniami starej sosny. Właśnie w tym czasie miała swoje szczenięta ukryte głęboko i nawet sam dozorca Milewski nie mógł doliczyć się ile jest tego drobiazgu. Dopiero kiedy Aza zdecydowała się wyprowadzić swoje dzieci na świat i obejść z nimi swoje terytorium, okazało się, że było tego cztery sztuki, a każde innej maści i figury. Na zakończenie obchodu Aza ułożyła się u stóp dozorca, uznając go w ten sposób za przywódcę stada.

Tegoż roku w jesieni mój brat Stefan wziął sobie jednego szczeniaka, który potem okazał się prawdziwym potomkiem dzikiego zwierzaka, kiedy zaczął dusić owce u sąsiadów.

W sąsiedztwie Domu Turystycznego znajdowała się stacja kolejowa i pewnego czerwcowego dnia pociąg przywiózł pierwszych turystów, a kiedy dom wczasowy wypełnił się po brzegi, okazało się, że mój mąż nie daje sobie rady z zarządzaniem i trzeba było mu pomóc. Dzieci przeszły pod całkowitą opiekę dziadków, a ja zostałam zaangażowana jako pomoc biurowa, ale właściwie wykonywałam pracę pokojówki, sprzątaczkę, recepcjonistki – pociągi przyjeżdżały w różnych porach dnia i nocy.

Był ciągły ruch, jedni przyjeżdżali, drudzy wyjeżdżali, wszystkie pokoje zajęte, nawet w piwnicy gnieździł się „dzicy” turyści.

Z zaopatrzeniem były niemałe trudności – brakowało wszystkiego.

Ileż to razy zdarzyło się tak, że wczasowicze siedzieli już przy stolikach, czekając na obiad, a biedny pan Jakubowski, popędzając konika wiózł dopiero ziemniaki na tenże obiad.

Z Suwałk przywożono ogromne tusze końskie i chociaż nie każdy przepada za koniną, to wszyscy ze smakiem jedli ją jako pyszną wołowinę.

Rzadko słyszało się wtedy słowa uznania od wczasowiczów, częściej skargi, chociaż cały personel „robił bokami”.

Kierownik czasami wymykał się, wsiadał do kajaka i płynął na ryby. Godzina z wędką była jego jedynym relaksem.

Obok domu wczasowego był tzw. grzybek. Było to zadaszone miejsce do tańca.

Każdego wieczora z gramofonu płynęły nuty najnowszych szlagerów i tam wszyscy amatorzy tańca bawili się do północy. Ja też tam tańczyłam i moja siostra Lucyna, która przyjechała do nas na wakacje.

Przyjechała też i moja Mama. Pamiętam, jak stałyśmy na brzegu jeziora rozświetlonego wychodzącym zza lasu słońkiem, na jeziorze płynął statek wycieczkowy „Barbara” i było tak pięknie, że aż serce omdlewało z rozkoszy, lecz w tym momencie przypomniłam sobie jak jest pięknie w moich rodzinnych stronach, w Downarach i westchnęłam głośno:

Gdyby była jakaś siła, aby to całe piękno przenieść do Downar! Albo odwrotnie, bylebyśmy mogli być wszyscy razem.

Na tle pięknego lata, opalonych i uśmiechniętych wczasowiczów, wyglądałam jak nieboszczyk, przebywając ciągle w biurze, zawałona pracą, do wykonania której potrzebne byłyby przynajmniej jeszcze dwie osoby.

Jeśli miałam swoich gości, przynosiłam im z kuchni coś do jedzenia, a oni rządzili się sami w naszym mieszkaniu.

Wieczorami chętnie tańczyłam, żeby rozruszać mięśnie i kości, lecz nadal byłam blada.

Raz zdarzyło mi się tańczyć ze sportowcem z obozu kondycyjnego, który wraz z kolegami przebywał w naszym domu wypoczynkowym. Po zakończeniu tańca powiedział:

- Ależ pani wspaniale tańczy! Wyobrażam sobie, jak pani tańczyła, kiedy była młoda.

Posmutniałam. Opuściłam zabawę, poszłam do mieszkania i zaczęłam rozmyślać. Zaczęłam liczyć i wyszło mi, że mam 27 lat i jestem naprawdę bardzo stara. Czy nie powinnam wycofać się z życia towarzyskiego ?

Przez kilka dni nie chodziłam na potańcówki, aż pewnego dnia odmieniło się.

Siedziałam w oknie z dziećmi, a przez podwórko szedł mój mąż w towarzystwie jakiegoś eleganckiego faceta. Mąż zatrzymał się i wskazując na mnie powiedział:

- To jest moja żona i dzieci.

- Taka młoda ? – zdziwił się facet, kłaniając się i wymieniając swoje nazwisko.

Ulżyło mi. Uświadomiłam sobie, że ten sportowiec miał prawdopodobnie naście lat i z perspektywy jego wieku mogłam wydawać się stara.

Pomimo nawału pracy, każdego wieczoru kąpałam się w jeziorze, podczas gdy mój mąż udzielał mi instrukcji. Odpoczywaliśmy w ten sposób, całe moje zmęczenia zmywała woda, którą przez cały dzień ogrzewało słońce. Obiecywaliśmy sobie, że jak tylko skończy się sezon turystyczny, wznovimy nasze wędrówki łodzią, penetrację okolicznych jezior, do wszystkich miejsc, gdzie tylko będzie można dopłynąć.

Tymczasem obserwowałam życie turystów, ich małe dramaty, miłości, rozstania, czasem scenki komiczne, jak choćby taka:

W tamtych latach wymyślono nową sztuczną tkaninę – stylon .

Szczytem elegancji była męska koszula ze stylonu, lub damska bluzeczka ozdobiona koronkami i riuszkami (riuszka – wąska, marszczona falbanka).

Akurat byłam nad jeziorem, przy basenie z kajakami, gdy przyszły dwie panie w takich właśnie bluzeczkach, szortach, z nienagannym makijażem i mnóstwem loczków na głowie. Kajak był oparty dziobem o obudowę basenu i w momencie, kiedy panie znalazły się w środku, kajak przewrócił się i obie panie zginęły z pola widzenia. Wyłowiono je momentalnie i dramat zamienił się w komedię. Bluzeczki przyłgnęły do ciała, loczki wyprostowały się, ociekając wodą, makijaż spływał kolorowymi strumyczkami po twarzach a oczy stały się wielkie i okrągłe nie tyle z przerażenia, co ze zdziwienia. Wracalam do biura zanosząc się od śmiechu. Szkoda, że nie było wtedy telewizji i programu pt. „Śmiechu warte”. Ta scenka otrzymałaby na pewno wszystkie możliwe nagrody.

A wieczorami łąkały na spokojnej tafli jeziora pełne dramatyizmu słowa piosenek o sezonowej miłości, o rozstaniu, błyszczących liniach szyn kolejowych, wrzosach i innych symbolach nieszczęśliwej miłości i cierpienia.

Lucyna wyjeżdżała do Downar po kilkunastodniowej wizycie i chociaż był to środek pięknego lata, ja skojarzyłam jej wyjazd z zakończeniem czegoś pięknego, a nadejściem smutnej jesieni, pożegnaniem przy szeleście liści topoli obok naszego starego domu w Downarach. Koniec wakacji, koniec młodzińczej miłości ...

Lucyna w tym czasie pracowała i mieszkała w Łodzi i każdego roku część wakacji spędzała u nas, najpierw sama, a potem z mężem i synem. I każdego roku po ich odjeździe w moim sercu kończyło się urokliwe lato i następowała jesień z całym bagażem nostalgii i wspomnień.

Zastanawiam się dlaczego nie odwiedzała mnie Jania. Jakoś nie mogę przypomnieć, żeby kiedykolwiek była w Augustowie. A jeśli nie była – to dlaczego ? Przecież tak bardzo ją kochałam. Czy gdzieś wyjeżdżała, czy cały czas była w Downarach ? Nie mogę tego sobie przypomnieć. A może czekała na specjalne zamówienie ? Lecz czy to było konieczne w naszych wzajemnych tak bardzo zażyłych stosunkach.

Nikt mi już tego nie wyjaśni. Szkoda.

Bożenka była nieśmiała i trzymała się zawsze mamy lub babci, a Marka nazywaliśmy „włóczykij”, bo ciągle trzeba go było szukać, wszędzie go było pełno. Potrafił przysiąc się do stolika, przy którym mężczyźni pili piwo, zabrać któremuś kufel i opróżnić do dna. Cały personel miał za zadanie pilnować włóczykija. Byłam spokojniejsza wiedząc, że zawsze ktoś ma go na oku. Bożenka zagadnięta przez obcą osobę natychmiast chowała się za mnie, opuszczała głowę i milkła „na zawsze”.

Z tego powodu wszyscy więcej uwagi poświęcali Markowi, co znowu było przykre dla mnie. Bardzo dużo czasu spędzała u mnie moja koleżanka Halina z dziećmi: Markiem i Zosią. Zabierała wtedy całą czwórkę na plażę, a ja dostarczałam im jedzenie. Dla Haliny była to duża sprawa, że dzieci mają co jeść. Jej mąż niewiele zarabiał i trzeba było stawać na głowie, żeby całą czwórkę wyżywić. Opowiedziała mi, jak będąc z dzieckiem u lekarza, usłyszała, że jest ono niedożywione i ma za mało witamin. Rozplakała się, a doktor powiedział, że w takiej sytuacji nawet gdyby ukradła to żaden sąd jej nie skąże, a już na pewno Pan Bóg się nie rozgniewa. Tylko, że Halina nie umiała kraść.

Umówiłam ją z naszym woźnicą panem Jakubowskim, który prawie codziennie ich przywoził i wieczorem odwoził, wracając po pracy do domu.

Z naszego domu wczasowego do miasta było ponad trzy kilometry, a na przełaj przez las o wiele bliżej lecz w pojedynkę strach było zagłębiać się w puszcę, bo słyszało się nawet o pojawiających się wilkach.

Halina opowiadała o swojej babci, która była akuszerką. Idąc do porodu przez ten las, zauważyła za sobą biegnące wilki. Nieprzytomna ze strachu, przykucnęła pod krzakiem, opuściła głowę i zaczęła szeptać pacierze, pewna, że to jej ostatnia godzina. Tymczasem wilki – a było ich kilka – kolejno posiusiały na krzak i pobiegły dalej. Może wiedziały, że babka

Haliny miała dziesięcioro dzieci i nie chciały aby zostały one sierotami.

Z Józkiem często chodziliśmy przez las jesienią i zimą, i nie spotkaliśmy nigdy żadnego dzikiego zwierza. Józek był kinomanem i chodziliśmy do kina na wszystkie premiery, bez względu na porę roku i pogodę.

Niepostrzeżenie i powoli sezon letni zbliżał się ku końcowi. Coraz więcej pokoi świeciło pustkami. Pozostali tylko ludzie starsi i studenci - nawet obcokrajowcy.

Cały personel – kucharki, pokojówki, kelnerki – mając teraz więcej wolnego czasu, zajmowali się zbieraniem grzybów wokół domu wczasowego. Były to głównie zielonki i siwki oraz kurki. Kucharka przyrządzała z nich posiłki, a nadwyżki soliła w glinianych garnkach na zimowe zapasy.

Zbieranie grzybów przed domem to była dla mnie pełna egzotyka!

Na początku listopada kierownik otrzymał pismo z Ministerstwa Rolnictwa w sprawie rezerwacji noclegów dla kilkunastu osób i tyleż kolacji w określonym dniu. Kucharka czekała do godziny 23⁰⁰, a potem, kiedy doszliśmy do wniosku, że zapowiedzianej wizyty nie będzie, poszła do domu, a my wszyscy położyliśmy się spać. Nie zdążyliśmy jednak zasnąć, gdy przed frontem domu zaroilo się od samochodów i ludzi.

W taki to sposób miałam zaszczyt, wspólnie z żoną dozorcey panią Milewską, przygotować i podać panu ministrowi i jego świcie kolację, składającą się z jajecznicy, smażonych grzybów i herbaty. Wszystko potoczyło się sprawnie, bo na szczęście płyta kuchenna nie zdążyła jeszcze ostygnąć.

Pan minister podziękował nam, a nawet otrzymaliśmy jakieś pieniądze (niezbyt duże).

Gdy za ostatnim wczasowiczem zamknęły się drzwi, rozpoczęliśmy wielkie sprzątanie, cyklinowanie dębowej klepki niesamowicie zdeptanej, a potem nastąpiła cisza: pozostali tylko kierownik z rodziną czyli my i dozorca z żoną i synem.

Spadł pierwszy śnieg, las przybrał odświętny wygląd - mieszkaliśmy w zaczarowanej krainie.

Boże Narodzenie spędziliśmy w Downarach u Mamy, gdzie cała rodzina zebrała się w komplecie. Było nas dziewięć osób i nie wyobrażam sobie dzisiaj jak zdołaliśmy się wszyscy pomieścić i gdzie spaliśmy w tych trzech niedużych pokojach.

Chociaż Ojciec nie żył, lecz choinka, którą przywiózł z lasu mój brat, była taka jak ta, którą On zawsze przywoził: pod sam sufit, dorodna, świeża, niczym nie skażona. Przybyło więcej „miastowych” ozdób, lecz poczesne miejsce zajmowały aniołki, mikołaje i przeróżne pajacyki z wydmuszek domowej roboty – ozdoby z czasów naszego dzieciństwa.

Objedliśmy Mamę ze wszystkich zapasów jakie miała i beztrudno wróciliśmy do swego zimowego pałacu w Augustowie.

Zima była tego roku śnieżna i mroźna, lecz nie byliśmy odcięci od świata i nie nudziliśmy się mieszkając na tym odludziu. Ciągle ktoś nas odwiedzał – głównie Halina z dziećmi. Odbywały się też u nas różne konferencje krajowe i innego rodzaju szkolenia. Na ten czas personel wracał do pracy, dom wczasowy ożywał, a ja miałam okazję potańczyć.

Marek był bardzo zazdrosny o mnie. Widząc, że tańczę z obcym panem, wciskał się pomiędzy nas i starał się rozdzielić. Chciał, żebym tańczyła tylko z jego tatą. Tata natomiast nie miał na to ochoty.

Szczeniaki Azy wyrosły na bardzo mądre i inteligentne psy, niestety – psy -chuligany. Potrafiły bawić się sankami, jeden brał w zęby sznurek i ciągnął, pozostałe dwa usiłowały utrzymać równowagę, stojąc na sankach. Kiedyś spróbowały też użyć do przejażdżki mojej pierzyny, którą powiesiłam na drążku, żeby się wywietrzyła. Zanim dopadłam tę rozkoszną trójkę w lesie, pierzyna była porwana lecz na szczęście nie brudna, bo śnieg był nieskalanie biały i czysty. Codziennie przychodziły im do głowy jakieś psie figle, z których mogliśmy zaśmiewać się do łez.

Za oknem w kartonie trzymałam swoje zapasy mięsa i smalcu, na wypadek gdyby zaszła jakaś niespodziewana potrzeba. Gdy pewnego dnia taka potrzeba nadeszła, zajrzałam do kartonu i osłupiałam! Ptaki zrobiły otwór w tekturze i systematycznie, po troszku dziobiąc, zjadły mój cały zapas. Ale nie gniewałam się na nie, niech im będzie na zdrowie.

Zimą, gdy kuchnia była czynna tylko sporadycznie, musiałam gotować sama. Mąż przebywał zawsze gdzieś na terenie obiektu, więc często wysyłałam Bożenkę, żeby poprosiła tatę na obiad. Bożenka chodziła i wołała:

- Mężu kochany, chodź na obiad!

Czasami wychodziła korytarzem w suterenie, który prowadził wprost do kuchni lecz najczęściej wracała z płaczem, że szczur jej nie chce przepuścić. Rzeczywiście były tam szczury, a w dodatku takie bezczelne, że widok dziecka nie robił na nich wrażenia.

Na zakończenie karnawału jakaś instytucja z miasta urządziła wielką zabawę taneczną w naszym domu, lecz zaraz na początku pijany facet zdenerwował mnie i poszłam spać. Sama siebie nie mogę zrozumieć, jak mogłam zaprzepaścić taką okazję do wytańczenia się.

Ale nie była to jedyna okazja w kończącym się karnawale. Chodziliśmy także na potańcówki do znajdującego się w pobliżu Wojskowego Domu Wypoczynkowego. Tamtejszy kucharz opowiadał nam przy każdej okazji jak to do ich domu przyjeżdżała Marta Mirska – modna w tym czasie piosenkarka – jak każdego wieczora wypijała z nim buteleczkę wódki, a potem wychodziła na pomost nad jeziorem Białym i śpiewała pełnym głosem a jej piosenki było słycać w Wojciechu, wsi oddalonej od WDW w linii prostej około dwóch kilometrów - „jak wydał”. Określenie „jak wydał” znaczyło, że tak dobrze było słycać, jakby piosenkarka śpiewała tuż obok. A przecież nie używała wzmacniaczy czy mikrofonu, czy dziesięciu ton innych urządzeń.

Nie wiem kto wylansował piosenkę „Pierwszy siwy włos” – Mieczysław Fogg czy Marta Mirska, lecz ja wołałam jej wykonanie.

W powietrzu czuć już było wiosnę, na biurku kierownika piętrzył się stos listów, w których proszono o rezerwację, gdy nagle rozeszła się wieść, że Dom Turystyczny zostanie zamknięty, a w jego pomieszczeniach zostanie uruchomiona fabryka chemiczna. Jaka ? To na razie tajemnica.

O bezdenna ludzka głupoto! O głupia bezmyślności! Kto mógł wymyślić coś tak niedorzecznego, tak potwornego.

Oboje z mężem załamaliśmy się nie tylko dlatego, że on straci pracę, ale przede wszystkim dlatego, że ulegnie zniszczeniu ta bezcenna perła jaką jest przyroda wokół miasta.

Przysłano z Warszawy nowego kierownika nowej instytucji, który zamieszkał z żoną w jednym z pokoi hotelowych. Zaczęła się żmudna inwentaryzacja i przekazywanie majątku.

Ja z dziećmi wałęsałam się nad jeziorem, po okolicy, wypływałam łódką i czułam się tak jakbym z tego rajy odchodziła na zawsze.

Z chwilą przekazania kierownikowi ostatniego garnka, musieliśmy opuścić służbowe mieszkanie i przenieść się do nowego lokum przydzielonego nam przez Urząd Miasta a mieszczącego się przy ulicy 1 Maja. Mieszkanie mieściło się w oficynie - dwa pokoje z kuchnią, znowu bez wody i kanalizacji.

W tych warunkach przeżyliśmy szesnaście lat.

Mąż dostał pracę w Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem” na stanowisku prezesa. Brzmi to dumnie i obiecująco, lecz jego wynagrodzenie było tak skromne, że nieraz brakowało nam chleba, nie mówiąc o maśle.

Na szczęście nie musiałam martwić się o odzież, bo w dalszym ciągu dostawałam paczki z Ameryki od ciotek, sama szyłam i przerabiałam ciuszki dla dzieci. Pomagała mi Mama, podrzucając od czasu do czasu jakiś serek lub kawałek mięsa z ostatniego uboju.

Tymczasem zdrowie męża znacznie się pogorszyło. Należało zapewnić mu dobre odżywianie, co nie zawsze było możliwe.

Święta Bożego Narodzenia 1953 roku jak zwykle spędziliśmy na wsi u Mamy, a po świętach Józek znowu dostał skierowanie do sanatorium.

Zaprzyjaźniłam się z sąsiadami, szczególnie blisko i serdecznie z Marysią i Edkiem Tupalskimi. Nasze dzieci razem się bawiły, a Marysia – gadatliwa z natury – nie pozwalała mi myśleć negatywnie. Libichowie też mieszkali niedaleko, byliśmy z nimi w ciągłym kontakcie.

Serdeczne kontakty z ciotką Jadwigą, częste odwiedziny babci Dozi sprawiały, że nie czułam się samotna i przygnębiona, nie miałam czasu na tęsknotę.

Miesiąc szybko upłynął, wrócił mój mąż w bardzo dobrej formie, zdrowy, nawet zaokrąglony, lecz martwiłam się, że w pracy, która kosztowała go tyle nerwów, znowu straci kondycję.

Jednak była już wiosna, rozpoczął się sezon wędkarski i wiedziałam, że wyprawy łódką na ryby, będą wspaniałym środkiem uspokajającym.

W niedzielę zwykle przyjeżdżali teściowie z Suwałk. Babcia opiekowała się dziećmi, a mój mąż wypływał ze swoim ojcem na cały dzień na ryby. Czasem ja włóczyłam się z nim po jeziorach, czasem przyłączali się do nas nasi znajomi lub rodzina. Zawsze było cudownie !

Bywało też i niebezpiecznie. Pewnego razu wybraliśmy się na odpust do Studzienicznej w składzie: ja z Józkiem i dziećmi, ciocia Jadzia z mężem i dwójką dzieci i babcia Dozia. Kiedy dopływaliśmy do Domu Turystycznego, popatrzyłam ze smutkiem na budynek stojący na wysokiej skarpie - nasz dotychczasowy dom. Wokół było pusto, nie było wczasowiczów, lecz już wiedzieliśmy, że przebudowę na fabrykę chemiczną wstrzymano.

Chociaż to było dla nas pociechą.

Z zamyślenia wyrwał mnie gwałtowny ruch łódki, spowodowany przez nadciągający od strony Slepska szkwał. Łódka nagle zatańczyła na wodzie, wioślarz stracił panowanie nad nią, wskutek czego ustawiła się burtą do nadlatującej fali i nabrała wody. Babcia dostała spazmów, Bogdan – synek cici Jadzi – zaczął wysiadać z łódki do wody, a Bożenka znalazła się w moich ramionach z mocno zaciśniętymi oczami. Z trudem dobiliśmy do brzegu.

Kobiety z dziećmi wysiadły i poszły pieszo do domu. Ja zostałam z mężczyznami i popłynęliśmy dalej. Wiatr wprawdzie uspokoił się lecz zaczął siać deszcz. Pochodziłam po świętej wyspie, obejrzałam stragany, kupiłam dzieciom obwarzanki i koguciki na druciku. Do kościoła nie mogłam się dostać.

Był zatłoczony ludźmi chroniącymi się przed deszczem.

W drodze powrotnej deszcz ciągle padał. Wróciliśmy zmęczeni i głodni, ale teściowa z siostrą przygotowały obfity obiad z barszczem ukraińskim i tak zakończyła się ta nasza wyprawa. Na szczęście nikt nie zachorował po tej całodziennym kąpieli.

Tego lata do lipca zaliczyliśmy jeszcze biwak nad jeziorem Białym z Ryśkiem i jego żoną Rałą. Spaliśmy pod namiotem i było to niesamowite uczucie, leżeć tak na pustkowiu, słuchając szumu drzew i cichego chlupania wody o brzeg.

Rano o mało nie zdeptało nas stado krów pędzonych na pastwisko. A może były to dzikie bawoły ?

W drugim dniu wyprawy zabrakło nam żywności, wobec czego wcześniej wróciliśmy do domu.

I jeszcze jeden biwak na Gołej Zośce, gdzie ciocia Jadzia zajmowała się kuchnią – a raczej kuchenką spirytusową - na której gotowała zupę, a w ognisku piekły się ziemniaki.

A potem nadeszła ta tragiczna niedziela.

Wybraliśmy się znowu na Rospudę. Tym razem zabraliśmy Sławka, mojego brata, który przyjechał do nas z wizytą i jak zwykle rodzinę cici.

Miał też przyjechać ojciec mego męża, ponieważ jednak nie zjawił się na czas, uznaliśmy, że zrezygnował i wyruszyliśmy bez niego. Czułam się jakoś niewyraźnie, wszystko mnie denerwowało, złościłam się o byle co. Józek obsesyjnie powtarzał słowa z jakiejś piosenki czy wiersza „tylko czyjeś ciało zostać tu musiało”. Nie pomagały moje prośby ani złość – bez przerwy to powtarzał. Potem wściekłam się słysząc jak w pobliżu Domu Turystycznego grupka kąpiącej się młodzieży wygłupia się i zbyt często posługuje się słowem „ratunku”. Nawet ich zbesztalam, chociaż pewnie tego nie słyszeli.

Na Rospudzie długo szukaliśmy miejsca na biwak, aż rozlokowaliśmy się na bindudze (miejsce spuszczenia do wody sosnowych dłużyc) znajdującej się po przeciwległej stronie jeziora, na wprost Gołej Zośki.

Ze względu na bezpieczeństwo dzieci, rozłożyliśmy się dalej od jeziora, w cieniu, na skraju lasu. Józek z wujkiem Antkiem popłynęli na ryby za małą wysepkę po lewej stronie. Po prawej - kąpała się grupa dzieciaków; nie było ich widać, lecz słychać było aż za dobrze.

W dalszym ciągu humor mi nie dopisywał, byłam spięta i niespokojna. Nasze dzieci bawiły się w piasku – złotym, gorącym piasku, jaki można znaleźć jedynie w Puszczy Augustowskiej .

Usiłowałam czytać, lecz nie mogłam się skupić na treści książki. Ciocia Jadzia przygotowywała kanapki. Minęło południe, dzieci poczuły głód, więc zesłam na brzeg jeziora, żeby zawołać wędkarzy na obiad.

Z tego miejsca głosy kąpiących się na lewo ode mnie dzieci były jeszcze wyraźniejsze, a słowo „ratunku” powtarzało się zbyt często.

Nagle w powodzi dziecięcych głosów wyłowiłam męski głos, wołający „ratunku”. Nie byłam pewna czy to rzeczywistość, czy złudzenie, gdy nagle na środku jeziora zobaczyłam kajak a obok w wodzie ludzką głowę.

Kąpie się, czy tonie ? – zadałam sobie błyskawicznie pytanie. Z tej odległości wydawało się, że człowiek w wodzie

ma kajak w zasięgu ręki, a więc po prostu pływa. W tym momencie podpłynął do brzegu drugi kajak z dwoma mężczyznami i oni zadali mi to samo pytanie: kąpie się czy tonie ?

Nie czekając na moją odpowiedź, której i tak nie byłam w stanie udzielić, nacisnęli na wiosła i popłynęli w kierunku kajaka. Gdzieś w połowie ich drogi do miejsca wypadku, głowa znikła z powierzchni jeziora. Krzyknęłam w stronę wyspy, za którą znajdowali się nasi wędkarze. Musiało być coś niezwykłego w moim głosie, gdyż zjawili się natychmiast.

Dwaj mężczyźni w kajaku przez chwilę krążyli wokół, lecz widocznie żaden z nich nie był dobrym pływakiem, nie zaryzykował zanurkowania w jeziorze. Wkrótce wzięli pusty kajak na hol i popłynęli w stronę Necka i Domu Turystycznego.

Na jeziorze było już pusto, gdy podpłynęli do brzegu łódką Józek z wujkiem.

Opowiedziałam przebieg wydarzenia, zapanował ponury nastrój i wszyscy stracili chęć do jedzenia. Zbieraliśmy się powoli do powrotu, straciwszy zupełnie chęć do dalszego biwakowania. W czasie gdy mężczyźni układali w łodzi cały ten biwakowy majdan, podpłynęła do brzegu milicyjna motorówka.

Sprawdzali, czy ktoś nie widział tego wypadku na jeziorze. Jako jedyny świadek musiałam jeszcze raz powtórzyć wszystko to, co powiedziałam przed chwilą swoim.

Kiedy skończyłam, milicjant zapytał, wyjmując z kieszeni dowód osobisty:

- A może znacie państwo tego mężczyznę - i podał dowód Józkowi.

Ten otworzył go, spojrzął na zdjęcie, litery zawirowały mu w oczach i miękko osunął się piasek.

Zabrałam mu dowód i przeczytałam głośno:

Józef Andruszkiewicz - i zwracając się do milicjantów dodałam - to ojciec męża.

Potem był problem, kto zawiezie tą straszną nowinę do Suwałk, do jego żony.

Wypadło na jej brata, Zielińskiego, również mieszkającego w Augustowie.

A potem była ta straszna noc, gdy siedziałam przy łóżku Józka, sprawdzałam czy oddycha, i jak bez przerwy brzęczała mucha zwabiona blaskiem nocnej lampki i jak o świcie przyszedł po mnie rybak z gospodarstwa rybackiego, bo miałam z nimi płynąć na połów, żeby wskazać miejsce wypadku, jako jedyny świadek.

Dokładnie określiłam to miejsce, bo je dokładnie zapamiętałam, lecz pomimo trzykrotnego zarzucania sieci ciała nie wyłowiono.

Na drugi dzień powtórzyło się to samo, tylko już beze mnie. Rybakom towarzyszyli Józek i jego bracia. I znowu nic, a rybacy orzekli, że jestem głupia baba i od początku nie należało polegać na moim zdaniu.

Na trzeci dzień wyruszyli na połów sąsiedzi i znajomi wujka Heblewskiego, którzy trudnili się połowami węgorzy.

We wskazanym przeze mnie miejscu zarzucili linki z haczykami i za pierwszym razem wyciągnęli ciało. Ojciec miał na sobie tylko slipki, za które zaczepił się haczyk.

Potem stałam na tyłach prosektorium i płakałam na cały głos, więc nie wiem co się działo przy trumnie.

Płakałam, bo wmówiłam sobie, że mogłam go uratować. Lecz to nie było możliwe, ale do tego doszłam później.

Bólu mojej teściowej po stracie męża też nie potrafię opisać i wyrazić. Wydaje się, że coś takiego jest nie do przeżycia, lecz człowiek jest silny i może znieść więcej niż mu się wydaje.

W jakiś czas po pogrzebie, ochłonawszy nieco, ustaliliśmy okoliczności, które doprowadziły do tak tragicznego końca.

Tego dnia teść wybrał się do Augustowa, jak było umówione, lecz przyjechał trochę później, gdy nas już nie było w domu. Poszedł do Domu Turystycznego, pożyczył od dozorca, pana Milewskiego, kajak i wyruszył na jezioro z nadzieją, że nas odnajdzie. Rozebrał się, bo było bardzo

ciepło i chyba sen go zmorzył. Jednak gdyby siedział w kajaku normalnie, na dnie, to nawet gdyby zasnął, nie mógłby wypaść. Musiał więc siedzieć na dziobie. Ale dlaczego ? Skąd taka lekkomyślność, przecież nie umiał pływać.

I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie ?

Natomiast w przeczucia należy wierzyć. Teściowa wyczuła obecność męża w domu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy utonął. I kiedy ujrziała swojego brata, natychmiast zrozumiała, że stało się coś złego.

Jania, która wysłała czternastoletniego Sławka do nas, w ten tragiczny dzień cały czas go wypatrywała, mimo, że miał wrócić dopiero za kilka dni.

Ja, nie chcąc, żeby uczestniczył w naszej tragedii, wysłałam go do domu jeszcze tego samego dnia, w niedzielę. Jania, ujrzawszy na drodze wracającego syna ucieszyła się, że nic mu się nie stało, a potem zaczęła martwić się o nas, zanim nie dowiedziała się prawdy.

No i w końcu nieuzasadniony z pozoru niepokój, towarzyszący mi przez cały dzień.

Józef Andruszkiewicz - ojciec mego męża utonął dnia 11 lipca 1954 roku.

Został pochowany na cmentarzu w Augustowie.

Życie potoczyło się swoim ustalonym trybem, a żal po stracie bliskiej osoby należało ukryć w głębi serca. Babcia Dozia, jak ją nazywały moje dzieci, żeby nie pomylić z babcią Helą – moją Mamą z Downar, przyjeżdżała do nas równie często jak dotąd. Ryszard po ślubie zamieszkał u żony Rali, Zdzisław studiował w Warszawie, a w domu został najmłodszy syn – Mirek.

Teściowa spędzała czas głównie u swojej siostry Jadwigi, gdzie zabierała moje dzieci.

Pomimo tego co się stało, Józek nie zaprzestał wędkowania, a ja nieraz mu towarzyszyłam.

Tego roku pracownicy PSS „Społem” zorganizowali wycieczkę do Lublina, na ogólnopolską wystawę rolniczą. Zostawiliśmy dzieci pod opieką babci Dozi i pojechaliliśmy

z Józkim na tę wycieczkę. Tuż przed wyjazdem otrzymałam od swojej Mamy list, w którym informowała mnie o ciężkiej chorobie Jani i bezwzględnych rokowaniach lekarzy: najwyżej pół roku życia.

Ta wycieczka to był koszmar: źle się czułam, nic mnie nie interesowało, myślałam tylko o niej i o tym jak wypadnie nasze spotkanie, jak ja będę mogła spojrzeć jej w oczy w sytuacji, kiedy ja żyję, a ona umiera.

Wracając z Lublina zajechaliśmy do Downar. Przy powitaniu to okropne skrępowanie, kiedy to nie wiadomo o czym mówić, żeby nie zaczepić o drażliwy temat. Jak ciężko udawać bez troskę, swobodę i niewiedzę.

Już wtedy okrutny rak wycisnął na tej dorodnej kobiecie swoje piętno.

Nie interesowały jej nasze wrażenia z wycieczki, siedziała zamyślona i smutna, nie brała udziału w rozmowie. Moje serce nie wyleczone po jednej tragedii, zostało rozdarte z powodu drugiej. Przecież to była Jania, moja ukochana Jania.

Wyjeżdżając, umówiłam się z Mamą, że gdy nadejdzie ten najgorszy czas, przyjadę na dłużej, żeby przy niej być i pomóc pielęgnować.

Marysia Tupalska – sąsiadka i Halina Libichowa – koleżanka, stale dotrzymywały mi towarzystwa. Paplając o różnych głupstwach, odwracały moje myśli od tego co ma nastąpić.

Wigilię i Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy jak zwykle w Downarach.

Już wtedy Jania nie dała rady uczestniczyć w wigilijnej kolacji. Musiała położyć się, nękana bólami. Staraliśmy się, żeby wszystko było jak zawsze, nawet usiłowaliśmy śpiewać kolędy, ale nie było jak zawsze.

Józek miał kolejne skierowanie do sanatorium. Na skutek przeżyć w ostatnim czasie, znowu pogorszył się stan jego zdrowia.

Po jego wyjeździe zabrałam dzieci i wyjechałam do Mamy na dłużej.

Chora nie wstawała już z łóżka, nie jadła, a raczej nie mogła jeść, chociaż odczuwała głód. Bóle, na które nie mieliśmy odpowiednich leków, zabijały ją.

W końcu stycznia 1955 roku przyjechała Lucyna. Pewnego wieczoru nie wiem co na mnie napadło, że przy chorej zanuciłam piosenkę. Spodobała się jej, poprosiła o jeszcze. Wtedy prześpiewaliśmy z Lucyną cały wieczór, a nasz śpiew ukoił jej cierpienia, chociaż na krótko.

Dnia 7 lutego 1955 roku moja Jania wydała ostatnie tchnienie.

Wola życia i silne serce sprawiły, że przez cały miesiąc żyła bez jedzenia i picia, tylko na glukozie wstrzykiwanej do żył.

Już po pogrzebie Jani Józek wrócił z sanatorium, jak zwykle w dobrej kondycji i zaraz przystąpił do pracy w swoim zakładzie, gdzie czekało na niego mnóstwo nie załatwionych spraw i trudnych do rozwiązania problemów. Gorsze jednak były problemy prywatne. Lekarze stwierdzili, że wystarczy już leczenia sanatoryjnego, że trzeba koniecznie poddać się operacji prawego płuca. Musieliśmy przygotować się do tej poważnej operacji, którą zaplanowano na jesień tego roku. Na razie przyjmował aktualny lek, zwany „pas”, składający się głównie z wapna. Połykał go całymi garściami, lecz myślę, że bardziej skutecznym lekarstwem było puszczańskie powietrze i jeziorna bryza, podczas wypraw łodzią.

Całe lato staraliśmy się nie myśleć o tym, co czeka Józka i żyliśmy normalnie.

Jednak nie mogłam pogodzić się z tym, że odchodzą najlepsi.

Józef Andruszkiewicz i wiele lat później, jego żona Teodozja – najlepsi Rodzice, najlepsi Teściowie, najlepsi Ludzie.

Moja Jania, ta wieczna wdowa, która tylko rok była mężatką. Tyle lat namęczyła się w życiu. Dlaczego ?

A jeszcze wcześniej tragiczna śmierć mojego ojca.

Józek chodził wieczorami do Libichów na karty, a wtedy Halina przychodziła z dziećmi do mnie i mogłyśmy do woli uzalać się na życie.

Mąż Haliny to był podrywacz, który przysporzył jej niejednego zmartwienia.

Usiłował podrywać i mnie, ale odnosiłam się do niego obojętnie. Pewnego jednak razu stał się przyczyną moich kłopotów .

Pewnego dnia, po południu Józek wybrał się do pracy, czy też na jakieś spotkanie. Wyszedł, a ja ubrałam się w kurtkę z zamiarem wyjścia, gdy nagle usłyszałam pukanie do drzwi i wszedł Libich. Niespodziewanie padł na kolana i zaczął całować mnie po nogach. W tym momencie wszedł mój mąż, prowadząc Marka do domu, bo zauważył, że jest cały ubłocony.

Cała nasza trójka na moment zamarła. Ja zareagowałam pierwsza, wychodząc z domu powiedziałam:

- Załatwajcie to sobie jak chcecie.

Podobno Libich obrócił sprawę w żart, Józek dalej chodził do niego na karty, lecz ze mną nie rozmawiał przez kilka dni. Byłam o to obrażona, bo przecież nasze małżeństwo było prawie doskonałe, nie było mowy o skokach na boki i mieliśmy do siebie zaufanie.

Libichowie po jakimś czasie wyprowadzili się do Lęborka a jeszcze potem on zostawił swoją żonę i dzieci i prowadził niestabilizowane życie.

Był wyjątkowo ciepły dzień na przełomie października i listopada, gdy przyjechałam z mężem do Białegostoku. Dzieci zostawiliśmy po drodze w Downarach. Józek miał skierowanie do szpitala, lecz nie chciało nam się iść tam od razu. Spacerowaliśmy po alejkach przed Teatrem, zawędrowaliśmy do parku Zwierzynieckiego, przypominaliśmy miejsca naszych spotkań, śmieliśmy się z różnych zabawnych sytuacji, byleby tylko odsunąć od siebie jak najdalej temat choroby. Pożegnaliśmy się późno: odeszłam dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nim drzwi szpitala.

Odtąd zamieszkałam w Downarach u swojej Mamy i jeździłam pociągiem w każdą niedzielę do szpitala, bo tylko wtedy był czas odwiedzin chorych i przepis ten był rygorystycznie przestrzegany.

Już podczas mojej pierwszej wizyty w szpitalu, zaczęliśmy dyskutować na temat operacji. Poddać się jej, czy nie ?

Nie chcę żyć z toporem nad głową – mówił Józek – Chcę być zdrowy, albo w ogóle nie żyć.

- Ale przecież operacja to ostateczność. Ingerencja w organizm ludzki zawsze jest niebezpieczna - odpowiadałam.

- Znam kogoś , kto nie ma całego płuca i funkcjonuje normalnie.

- A ja znam kogoś, kto zmarł na stole operacyjnym.

W ten sposób rozmawialiśmy godzinami.

Podczas następnych odwiedzin to ja byłam za operacją, a on odczuwał lęk i wołał leczyć się środkami farmakologicznymi.

Wychodziło na to „ że jak nie zrobisz, będziesz tego żałował”.

Czas leciał, a my nie potrafiliśmy znaleźć rozsądnego rozwiązania problemu.

Przyjeżdżałam zwykle w niedzielę pociągiem bardzo wcześnie. Miałam kilka godzin do rozpoczęcia wizyty w szpitalu. Szłam bardzo wolno, długo stałam na moście kolejowym, zachodziłam po drodze do kościoła św. Rocha, raz trafiłam na moment, gdy ksiądz chodził z tacą po ofierze. Każdemu ofiarodawcy mówił „Bóg zapłać”, a mnie powiedział „daj Boże zdrowie”.

Ucieszyłam się: to dobra wróżba!

Od stacji kolejowej do domu Mamy miałam do przejścia około dwóch kilometrów. Szłam wolno, bo śnieg był głęboki, a droga nie przetarta. W zmierzchu zimowego dnia zaczęło zbierać się nad moją głową czarne, kraczące ptactwo. Było go coraz więcej, było go tyle, że nie mogłam już tego znieść. Otrząsnęłam się, rozejrzałam wokół. Czarne ptaki zginęły - moje troski też zginą – pocieszałam się.

Rano wyjeżdżając, zauważyłam, że Marek ma gorączkę.

- Jeśli jest chory, to zła wróżba, a jeśli nie, to dobra.

Marek był zdrowy, miał tylko lekki katar. Znowu mi ulżyło.

Przyśniła mi się Jania: sen był dramatyczny. W dodatku to samo przyśniło się mojej Bożence i sąsiadce Marysi.

- Zła wróżba – powiedziała moja Mama.

Zbliżały się kolejne Święta Bożego Narodzenia, przybliżał się termin operacji, a my ciągle byliśmy niezdecydowani.

Jednak przeznaczenie musi się wypełnić. Przekonałam się o tym nie raz.

Dnia 23 grudnia 1955 roku pożegnałam się z Józkiem w holu szpitala.

Operacja rozpoczęła się o ósmej rano i trwała osiem godzin. Przez ten czas siedziałam jak drętwa w poczekalni, bez myśli, bez łez, bez czucia. Nie wiedziałam, która jest godzina, jaki to jest dzień, nie czułam własnego ciała. O jakiejś tam godzinie, tak samo czarnej jak wszystkie godziny tego pochmurnego dnia, otworzyły się drzwi bloku operacyjnego i wyjechał wózek z moim mężem. Pozwolono mi tylko zerknąć na niego, usłyszałam, że operacja udała się i poinformowano, że nie wolno mi dalej wejść. Chory będzie miał odpowiednią opiekę.

W nocy wróciłam do domu. Szłam przez pola, przez głęboki śnieg i ani mi nie przyszło do głowy, żeby bać się.

Nazajutrz była wigilia, była też choinka, lecz nic z tego nie pamiętam. Nawet ból po stracie Jani zatarł się w obliczu nowego nieszczęścia, a przecież nie minął nawet rok od jej śmierci.

W pierwszy dzień Świąt pojechałam do Białegostoku. Jak zwykle stałam na moście kolejowym, żeby jakoś wypełnić czas oczekiwania na otwarcie szpitala dla odwiedzających. Rozpoczęłam targi z Panem Bogiem.

Boże – myślałam – jeśli zachowasz przy życiu mego męża, to ja do końca swoich dni spędzę każdy świąteczny dzień w samotnej podróży, tu na tym moście, gdzie nie ma żywej

duszy. Oderwę się od każdego ciepłego pieca i przyjdę na ten most w każdą pogodę, żeby Ci dziękować.

Wtedy święcie wierzyłam, że będę w stanie tę obietnicę wykonać.

Po jakimś czasie przyszła mi do głowy inna modlitwa.

- Boże – modliłam się – mój mąż może być złym mężem, może być pijakiem, może mnie nawet porzucić, byleby tylko żył.

Takie to niedorzeczne pomysły podsuwała mi moja rozpacz.

W szpitalu była już moja teściowa i jeszcze ktoś z rodziny, niezbyt dobrze pamiętam. Stan Józka był fatalny. Poznał wszystkich, lecz nie miał siły rozmawiać. Co jakiś czas lekarze musieli ściągać gromadzące się w opłucnej płynie. Oddychał tlenem z butli.

Gdy po jakimś czasie wszyscy goście opuścili szpital, zostałam sama. Lekarz najpierw mnie skrzyczał, a potem kazał pielęgniarce dać biały fartuch i pozwolił mi zostać, mrużąc pod nosem, że szpital posiada wystarczającą ilość personelu. Jak bardzo wystarczającą, przekonałam się w ciągu następnych dni. W sali stały dwa łóżka - jedno było wolne, więc mogłam w nocy przykucnąć na nim, żeby się zdrzemnąć, lecz okazało się to złudną nadzieją, bo już po godzinie gromadzące się płyny zaczęły dusić chorego i musiałam dobrze się nabiegać i otworzyć wiele drzwi, zanim znalazłam lekarza. I tak wyglądała cała noc.

W dzień było lepiej, bo ciągle zaglądali lekarze i pielęgniarki, więc mogłam wyjść na korytarz i odprężyć się. Denerwowały mnie współczujące spojrzenia chorych mijanych na korytarzu.

Tego dnia dokwaterowano nam drugiego chorego i następną noc przesiedziałam na stołku. Nawet trochę drzemałam, kiedy nie musiałam szukać lekarza.

Rano jednak byłam skrajnie wyczerpana. Za godzinę snu mogłam oddać pół życia. Uzgodniłam z Józkiem, że pojedę do Downar, zobaczę jak się mają dzieci i następnego dnia wrócę.

Nie wspomniałam jak bardzo potrzebuję snu. Opłaciłam pielęgniarkę, żeby opiekowała się chorym w nocy i pojechałam. To wtedy, gdy szłam ze stacji do domu opadły mnie stada czarnych kruków – myśli, które musiałam odpędzać całą siłą woli i optymizmu.

Po powrocie do szpitala stwierdziłam, że stan mego męża pozostaje bez zmian. Zaglądałam do książki zleceń lekarskich znajdującej się w pokoju pielęgniarek. Pod nazwiskiem mego męża niezmiennie figurowały słowa: stan ciężki. Na moje szczęście zabrali naszego współlokatora i znowu miałam łóżko dla siebie. Nauczyłam się też wykorzystywać każda minutkę spokoju Józka na własny odpoczynek. Dni mijały, a w książce zleceń ciągle figurowały dwa słowa – stan ciężki.

30 grudnia musiałam pojechać do Augustowa po jakieś ważne dokumenty. Miałam zamiar załatwić sprawę i tego samego dnia wrócić do Białegostoku, lecz kiedy przyszałam na dworzec autobusowy przeraziłam się tłumem ludzi, którzy chcieli jechać i zapewne mieli sprawy równie ważne jak ja. Białostocki autobus zabrał zaledwie połowę chętnych. Nawet nie pchałam się, nie widząc dla siebie żadnych szans. Stałam z tyłu, a łzy lały mi się po twarzy strumieniem. Jak Józek spędzi tę noc bez opieki! Kierowca stanął w drzwiach z rozłożonymi rękami mówiąc – nikogo więcej nie zabiorę – gdy nagle wzrok jego zatrzymał się na mnie i dokończył zdanie – oprócz tej tam beksy na końcu. Przepchnęłam się przez niezadowolony tłumek, a kierowca wciągnął mnie do środka. I nie był on wcale moim znajomym, był natomiast dobrym, współczującym człowiekiem.

Dobrzełam do szpitala przed nocą i objęłam swój normalny dyżur przy mężu. Minął Sylwester, minął Nowy Rok monotonnie jak każdy dotychczasowy dzień. Jaka siła zmusiła mnie do wyjazdu do Downar dnia 2 stycznia? Dlaczego nie miałam żadnego przeczucia, dlaczego nie powstrzymał mnie żaden lekarz czy pielęgniarka? Jak mogłam nie wyczuć, że to już koniec?

W dwie godziny po moim wyjeździe mój mąż zmarł - nieprzytomny, jak pocieszyła mnie pielęgniarka. Ale sam, bez żadnej bliskiej i kochającej osoby!

Telegram dotarł tego samego dnia po południu.

A potem było już tylko załatwianie formalności, telegramy krążyły między Augustowem, Suwałkami i nawet Ełkiem, bo dopiero tamtejsze „Społem” dysponowało samochodem ciężarowym, który przewiózł ciało do Augustowa.

Wszystko załatwiałam sama, chodziłam od urzędu do składu trumien, a w głowie kołatała mi jakaś głupia piosenka, jakby nagrana na taśmie i bez przerwy w kółko odtwarzana – te same słowa i tony.

Następnego dnia po pogrzebie wszyscy rozjechali się do swoich domów i obowiązków, a ja zostałam sama z dwojgiem dzieci: niespełna czteroletnim Markiem i półtora roku starszą Bożenką.

Uratowała mnie moja sąsiadka Marysia, która intuicyjnie czuła, że nie mogę być sama ani przez chwilę, że potrzebne jest mi jej towarzystwo.

Dzieci bawiły się zazwyczaj na podwórku. Były za małe, aby rozumieć tajemnicę śmierci. Tylko jeden raz Marek rozplakał się, że chce do Taty i nie mogłam go w żaden sposób uspokoić, aż w końcu usnął splakany.

W tym czasie byłam pełna buntu. Nienawidziłam kobiet w żałobie, a słowo „wdowa” budziło we mnie odrazę. Na widok żałobnego konduktu uśmiechałam się z satysfakcją – a niech sobie popłaczą, niech przekonają się, jak to jest po stracie kogoś bliskiego. Przez dłuższy czas po pogrzebie Józka miałam co noc jednakowe sny. Spacerowaliśmy razem alejkami parku Zwierzynieckiego, objęci, zakochani, a ja odczuwałam głęboką ulgę, że to jest rzeczywistość, a jego śmierć - to jest zły sen.

Budziłam się i stwierdzałam, że jest akurat odwrotnie.

Zamknął się pewien kolejny etap życia. Jak potoczy się dalszy ciąg ?

AUGUSTOWSKA BALLADA

Bywały wspaniałe ballady
o paziach i księżniczkach białych,
tęsknotach w wieży zamkniętych,
o miłości i jej udrękach.

A moja ulubiona ballada
przy ognisku ze mną siada,
wędruje szlakiem przez puszcę,
deszczem w gałęziach pluszcze.

Moja ulubiona ballada
z falami jeziora gada,
rybacką łodzią płynie,
przystaje w starym młynie.

W srebrzystej rosie skąpana
czeka na mnie co rana,
a gdy nie przyjdę na spotkanie
ballada samotna zostanie.

Z.P.

DOM

Kończył się pogodny, jesienny dzień. Czerwona tarcza słoneczna spłynęła za zębatą linię bagiennych zarośli na horyzoncie. Prawie natychmiast po tym zaczęły wypływać pojedyncze welony delikatnej mgły: łączyły się ze sobą, tworzyły większe kłębowiska i szukały legowisk w zagłębieniach terenu, przykucwały pod krzakami, w kępach bylin na miedzach, ale głównie dążyły nad rozległą łączę pobliskiej łąki, która stopniowo ginęła pod białym oparem. Jeszcze gdzieś niedługo prześwitywały kontury domów leżącej w oddali wsi, ale wkrótce mgła całkowicie okryła wszystko dookoła.

Wędrującą dziewczyną wstrząsnął chłód. Szczelniej otuliła się kusym kożuszką, dłonie wsunęła w rękawy. Spodnie z samodziałowego płócienka także nie chroniły przed zimnem. Wędrowała już tak wiele godzin. Obolałe nogi w niewygodnych drewniakach od dawna domagały się odpoczynku, ale cel wędrowki był bliski i dziewczyna szła wytrwale.

Była już w miejscu, gdzie lekkie wzniesienie terenu zasłaniało widok na rodzinne obejście. Tutaj zawsze, ilekroć powracała skądkolwiek, nawet po krótkiej nieobecności, przeżywała niepokój o Dom.

Zawsze, w miarę zbliżania się do szczytu wzniesienia, niepokój powodował przyspieszone bicie serca, które wzrastało i w momencie, kiedy Dom ukazywał się, dławilo krtań.

Dom jednak zawsze był i reszta drogi do niego potrzebna była na uspokojenie zatrwożonego serca.

Zastanawiała się nieraz nad źródłem tego niepokoju a nawet bała się przesądnie, aby nie wywołał on nieszczęścia.

Dom został wybudowany i zamieszkanym w roku, w którym wybuchła wojna i zapewne stąd pochodziło owo poczucie zagrożenia.

W czasie, kiedy burzono miasta i palono wsie, kiedy wiele innych domów przestało istnieć, troska o Dom stała się szczególnie wyolbrzymiona.

Tego dnia Dom także był.

Wyłonił się z mgły i dziewczyna odetchnęła z ulgą. Przycisnęła ręką zatrwożone serce, żeby uspokoiło się i pomimo zmęczenia przyspieszyła kroku.

Właściwie nie Dom był celem jej wędrówki.

Szła dalej do wsi, gdzie przebywała jej młodsza siostra.

Gdy przed miesiącem ewakuowano z terenów przyfrontowych ludność cywilną, siostra była chora i nie mogła wyjechać z rodziną. Pozostawiono ją na wsi a teraz dziewczyna szła dowiedzieć się o zdrowie siostry.

P O R Z E C Z K A

Na kuchennym stole stoi lubianka pełna porzeczek.

Dorodne, czerwone grona jagód zebrane na plantacji. Troskliwie pielęgnowane przez ogrodnika. Podcinane gałęzie, opryskiwane przeciw szkodnikom, krzaki okopywane, podlewane. Wypieszczone. Wypieszczone z myślą o zysku, jaki przyniosą właścicielowi. Zysku kalkulowanym po kilkakroć: wartość produkcji, przewidywana wartość zbytu, wysokość zysku. A może nie obrodzą.

Jednak tym razem obrodziły. Zysk okazał się większy od planowanego. Porzeczek z plantacji!- gwałtowny skurcz serca.

Porzeczek! Czy zapomniałaś gdzie twoje miejsce? Porzeczek!

Kręta, nizinna rzeczka, rozległe łąki i bielniki- oto twoja ojczyzna.

Długowłose kaliny- to twoje siostry.

Wyniosłe olszyny- to twój cień. Drżące lustro wody- to twoje zwierciadło.

Porzeczeko-porzeczeko... w dniach mego dzieciństwa rosłaś wyłącznie po to, żeby dzieci mogły urządzać dalekie wyprawy przez kwieciste łąki, przez bielniki upstrzone pasami bielących

się płócien, przez bujne grodzie, w cieniu olszyn. Rosłaś wyłącznie po to, abyśmy mogli skosztować twoich niepozornych jagód, abyśmy mogli wraz z tobą przeglądać się w zwierciadle wody, odpoczywać w twoim cieniu.

Nie łamaliśmy twoich gałązek, a ty zawsze czekałaś na nas i miałaś dla nas najbujniejsze grona swoich jagód.

Twoje korzenie piły czystą źródlaną wodę, twoje liście obmywały deszcze, twoje włosy czesały wiatry.

W twoich gałązkach ptaki wiły gniazda, które były dla nas ogromną tajemnicą, a których nigdy nie psuliśmy, bo kochaliśmy i ciebie porzeczek i rzeczkę i łąki i olszyny i bielniki i cały świat, który był wtedy dla nas dzieci taki przyjazny.

Świat, który był zawsze skąpany w słońcu, nawet wtedy, gdy padał deszcz a kolorowa tęcza tonęła w perlistej rosie łąk i bielników, w krzakach porzeczek i kalin, w drobnych falach bystrej rzeczki.

Jakże tęsknię za tobą porzeczeko, jak pragnę znaleźć się znowu w cieniu olszyn i dotykać twoich chłodnych, ciężkich gron!

Jak bardzo chciałabym zamknąć oczy i czuć na policzkach rosę spadającą z twoich liści i cały otaczający świat brać w ramiona.

Nie ma już tamtego świata.

Wyschła rzeczka, wycięto olszyny. Nie bieli się płócien na bielnikach.

Teraz sieje się szlachetną trawę. Umilkły czyste, dźwięczne głosy ostrzonych kos. Porzeczeko wyniosła się na plantacje...

... porzeczeko z plantacji, która stoi oto na kuchennym stole, ale nie cieszy oczu i ... coś dziwnego dzieje się w moim sercu.

SZKLANA KULA

Mój ojciec zbudował nowy dom na kolonii, na lekkim wzniesieniu, zwanym Ostrówkowa Górka.

Z okien domu można było oglądać rozległe widoki na cztery strony świata.

Z północnej – widać było fragment polnej drogi biegnącej ze wschodu na zachód i rozległe płaskie pola.

Wyglądając przez okno zachodnie wzrok obejmował gościniec, czyli wiejską utwardzoną drogę i fragment wsi.

Z okien południowych roztaczał się najbogatszy widok. Dróg tam nie było, tylko łąki, gaj olszynowy, struga zarosła po obu brzegach krzewami porzeczek i kalin, a wzdłuż brzegów strugi rozciągała się wieś, widoczna na całej jej długości.

... Tak więc mimo woli widziało się zawsze, kto przechodzi lub przejeżdża jedną z dwóch dróg, znajdujących się w polu widzenia.

Nowy dom nie był jeszcze całkowicie wykończony. Do użytku nadawała się tylko kuchnia i maleńka sypialnia obok niej. Pozostałe dwa pokoje nie nadawały się do zamieszkania. Deski przeznaczone na sufity i podłogi jeszcze się suszyły.

Był rok 1939 i w sytuacji nadchodzącej wojny, Ojciec postanowił dokonać przeprowadzki wcześniej, żeby będąc na miejscu, kontynuować prace wykończeniowe obu pokoi.

Rodzina moja składała się wówczas z sześciu osób: rodziców, babki Karoliny i nas, trójki dzieci w wieku od czterech do szesnastu lat.

Wrzesień był ciepły a nawet upalny, więc rodzice spali w stodole na sianie, a my z babką musieliśmy pomieścić się jakoś w kuchni i maleńkim pokoiku.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, moja Mama wyrzała przez okno od strony północnej i zdziwiona pomyślała: A któż to może jechać z tyłoma tobołami? Ktoś się wyprowadza?

Zanim rozpoznała jadących, z jeszcze większym zdziwieniem spostrzegła, że ten wóz konny z tobołami i trójką pasażerów skręca w alejkę prowadzącą do ich domu i chwilę potem zatrzymuje się na podwórku.

- To Jania!- zawołała Babka Karolina i rzuciła się do drzwi a za nią wszyscy obecni w domu.

Łzy radości, uściski, bezwładna gadanina trwałyby długo, gdyby nie płacz niemowlęcia, leżącego w blaszanej wanience, umieszczonej bezpiecznie pomiędzy tobołkami.

Zdjęto więc najpierw ten najcenniejszy tobołek a następnie mężczyźni zaczęli rozpakowywać resztę rzeczy.

Gdy nakarmione dziecko zasnęło, Jania i jej mąż Bolesław opowiedzieli w skrócie jak udało się im ująć z życiem, podczas, gdy miejscowi Białorusini wyrzynali wszystkich Polaków zajmujących jakieś znaczące stanowiska. Oni byli w takiej grupie, gdyż oboje byli nauczycielami na dalekich kresach.

Dziecko przyszło na świat podczas gęstej strzelaniny, tłumiącej krzyk rodzącej. Cudem udało się im uciec a nawet wywieźć trochę osobistych rzeczy.

Przybyli do najbliższej rodziny a problem zakwaterowania trzech dodatkowych osób w ogóle nie istniał. Wszystkie przywiezione bagaże złożono na razie w niewykończonych pokojach.

Pewnego dnia, Jania rozpakowując kolejną walizę trafiła na trzy flakony do kwiatów, które obejrzałam starannie i zachwyciłam się szczególnie jednym z nich. Była to szklana kula z otworem do wstawiania kwiatów i dnem, aby mogła stać.

Na dwóch pozostałych flakonach przedstawiona była pasterka i jeszcze inne cuda, lecz ja zachwyciłam się kulą, jej doskonałym kształtem, prostym, a jednak wykwintnym.

Od tego dnia zakochałam się w szklanej kuli.

Późna jesień zmroziła kwiaty, lecz ja chodziłam po polu zbierałam suche patyki i chwasty i układałam z nich przeróżne kompozycje.

Nie było dnia, żebym nie przyłożyła dłoni do obłego kształtu kuli i nie poczuła jej bijącego dla mnie serca.

W tym czasie mój Ojciec i Bolesław mąż Jani wykończyli jeden z większych pokoi, do którego wprowadzili się przybysze.

Mąż Jani miał na imię Bolesław, a syn Władysław. Oba imiona posiadały tę samą końcówkę, a więc ich właściciele otrzymali od nas imiona: ojciec „Sław” a syn „Sławek”.

Pewnego razu kula spadła z półki, gdzie dotychczas stała i stłukła się na drobny mak.

Moja Mama przepowiedziała nieszczęście i rzeczywiście wkrótce przepowiednia spełniła się: Bolesława aresztowało NKWD i od tego czasu nigdy nie usłyszeliśmy o nim.

Sławek został pólsierotą.

Ciągle nie mogłam zapomnieć o szklanej kuli, chociaż miałam do niej pretensję o spowodowanie zaginięcia Bolesława.

Cały czas mieszkaliśmy razem, bo drugi pokój Ojciec też już wykończył. Żyliśmy dalej w tych ponurych czasach sowieckich rządów przy całkowicie pustych sklepach, niemożliwości uczenia się, w ciągłym strachu, że mogą nas aresztować.

Podziemie działało i to dość odważnie, dopóki wszystkich jego członków nie aresztowano, a rodziny wywieziono na Syberię.

Wkrótce potem ja, dotychczas „niezniszczalna”, rozchorowałam się. Wysłałam z domu z umytą a niedosuszoną głową i wtedy zaczęło się. Rozboliło mnie prawe ucho, najpierw nieznacznie, potem ból zaczął narastać i stał się nie do zniesienia. Do tego doszła wysoka temperatura, na zmianę z osłabieniem i dreszczami.

Pierwsza ulitowała się nade mną Jania i pojechałyśmy razem do lekarza do Białegostoku. Ten jednak niewiele mógł mi pomóc przy braku lekarstw, więc tylko rozgrzał mi ucho lampą elektryczną, co spowodowało pęknięcie błonki i wypłynięcie nagromadzonej ropy. Poczułam niewysłowioną ulgę i wróciła mi chęć do życia.

Miałam zalecenie, aby w razie nawrotu bólu, rozgrzewać chore ucho, nawet przy kuchennej płycie. Po jakimś czasie wszystko zaczęło się od nowa, a co gorsze, nagrzewanie nic nie pomagało.

Postanowiłam sama jechać do Białegostoku do lekarza z reklamacją. Wracałam pieszo ze śródmieścia, miałam wysoką temperaturę, byłam ledwie żywa i rozbita, lecz wiedziałam, że muszę dojść na dworzec kolejowy. I doszłam.

Idąc, na nic nie zwracałam uwagi, bo ból stępił wszelkie wrażenia.

Jednakże mijając jakiś sklep, bezwiednie spojrzałam na okno wystawowe i zdębiałam. Zamknęłam oczy, skoncentrowałam się, na ile było mnie stać, następnie otworzyłam oczy i ponownie spojrzałam w okno.

Tak, to nie był zwid chorej wyobraźni, to była najprawdziwsza szklana kula, bliźniaczo podobna do tej, która stłukła się tak niedawno.

EPITAFIUM NA ŚMIERĆ BRATA

Niespełnione marzenia
to poranki mgliste i trawy rosiste,
nowie i pełnie księżyca,
nie poznany do końca świat
i tyle nie przeżytych lat.

Kłosa niezżęte w polu
i już żadnego bólu.

Nieprzeczytane książki w zaciszu
niezakupionego wiklinowego fotela na biegunach.

Niezapalone ognisko w noc czystą
nad urokliwą rodzinną rzeką.

Nieodbyte podróże po dalekiej północy:
psie zaprzęgi i rwące potoki.

Pogody i deszcze.

Ach, żyć, żyć jeszcze!

Niech pęknie cisza cmentarza!

Niech zdarzy się, co się nie zdarza.

SPIS TREŚCI:

Nostalgia.....	9
Rodzinny dom Klimaszewskich w Downarach.....	11
Las (cztery pory roku).....	12
Len.....	13
Najmłodsze lata.....	34
Jania.....	130
Polesia czar.....	146
Rok 1939.....	159
Zielone Świątki 1938r.....	180
Wakacje.....	184
Dom na Ostrówkowej Górze.....	222
Ofiary wojny.....	232
Zakończenie.....	232
Trudna młodość (1941-1945).....	235
Ucieczka.....	235
Tułaczka.....	239
Brońcia.....	242
Unteroffizier Antek.....	244
Front.....	272
Wyzwolenie.....	282
Ewakuacja.....	289
Powrót z ewakuacji.....	298
Gorzki miód.....	310
Dom.....	371
Porzeczką.....	372
Szkłana kula.....	374
Epitafium.....	377